

Homer

Odyseja

BRYK PL



Książka dostępna na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

tłum. Lucjan Siemieński

Pieśń pierwsza

Zgromadzenie bogów. Rady Ateny dla Telemacha

Muzo! Męża wyśpiewaj, co święty gród Troi
Zburzywszy, długo błędził i w tułaczce swojej
Siła różnych miast widział, poznał tylu ludów
Zwyczaj, a co przygód doświadczył i trudów!
A co strapien na morzach, gdy przyszło za siebie
Lub za swe towarzysze stawić się w potrzebie,
By im powrót zapewnić! Nad siły on robił,
Lecz druhów nie ocalił: każdy z nich się dobił
Sam, głupstwem własnym. Czemuż poświęcone stada
Heliosowi pojadła niesforna gromada?
Za karę bóg też nie dał cieszyć się powrotem.
Jak było? Powiedz, córo Diosa, coś o tem!

Wszyscy inni, uszedłszy srogiego pogromu,
Krwawych burz i bitw morskich, wrócili do domu;
Jego tylko, serdecznie do swoich, do żony
Tęskniącego, trzymała w skale wydrążonej
Nimfa Kalypso, z bogiń najcudniejsza kształtem,
Pragnąca go małżonkiem przy sobie mieć gwałtem.
A nawet kiedy nastał w czasów kołowrocie
Ów rok, iż z woli bogów o prędkim powrocie
Do Itaki mógł myśleć, to jeszcze i wtedy
Nie ujrzał swoich, końca nie widział swej biedy.
Zgoła wszystkim niebianom żal było tułacza;
Posejdon sam mu tylko mściwy nie przebacza
I wciąż, póki nie wrócił do dom, ścigał w tropy.

Szcześnie bóg ten był odszedł aż na Etyjopy
Zamieszkujące ziemi rubieże ostatnie,
A rozpadł w dwóch ludów połowice bratnie:

Z tych jedni wschód, a zachód drudzy zamieszkali;
A gdy ci hekatombę sutą wyprawiali
Z byków i kóz, Posejdon godował wraz z nimi.
Podonczas Zeus olimpski ze zgromadzonymi
W pałacu swym bogami zasiadł i w te słowa
Mówił on, rodu bogów i ludzkiego głowa,
Że myśl jego Ajgistem gładkim zaprzątniona,
Którego zabił Orest, syn Agamemnona.
Więc o nim myśląc, tak się ozwał w bogów radzie:
„Że też to na karb niebian człowiek wszystko kładzie,
Co dozna złego; chociaż sam swoją głupotą,
Idąc wbrew Przeznaczeniu, ugrzęza w to błoto!
Toż i ninie Ajgistos, w przekór wyrokowi,
Czyż nie porwał małżonki Agamemnonowi
I nie przywłaszczył sobie, a wracającego
Męża czyliż nie zabił? Wszakżem go od tego
Długo naprzód hamował, grożąc srogą karą
Przez czujnego Hermesa, aby żadną miarą
Nie ważył się zabijać ani brać mu żony,
Gdyż przez Oresta Atryd będzie odemszczony,
Gdy ten w lata dojrzeje, zatęskni do swoich.
Tak go przestraszył Hermes, lecz napomnień moich
Nie słuchał twardy Ajgist; swoje zrobił gwałtem,
Aż dziś za wszystkie grzechy zapłacił ryczałtem”.

Więc na to mu Atene rzekła sowiooka:
„Ojcze, o mój Kronidzie! Cześć tobie wysoka,
Że on zdrajca wziął karę słuszną za swe zbytki:
Oby tak każdy ginął, jak on zbrodniarz brzydki!
Za to serce się kraje, gdy na myśl mi przydzie
Ów nasz dzielny Odysej, co tyle lat w biedzie,
Siedzi tam udręczony, tęskniący za domem,
Na ostrowiu lesistym, wkoło mórz ogromem
Oblanym, kędy nimfa mieszka tam urodna,
Córa Atlasa, morze znającego do dna,

Barkiem dźwigającego wielkie słupy one,
Na których wisi z ziemią niebo zawieszone.
Ona to stęsknionego tułacza wciąż trzyma,
Czaruje go pochlebstwem, pieszczotą, oczyma,
By się wyrzekł Itaki. On się nie wyrzeka,
I byle dym itacki ujrzyć choć z daleka,
Już by umarł bez żalu! Ciebież to nie wzrusza,
O mój Olimpski! Za nic masz Odyseusza
Tyle ofiar nam danych pod Troją, gdzie nawy
Argejskie stały? Zeusie! Bądźże nań łaskawy!”

Odpowiedział jej na to Kronid gromowładny:
„Jakiż to z ust twych wyraz wymknął się nieskładny?
I jaż bym Odyseja w pamięci zagubił
Najmędrszego, co tyle obiat składać lubił
Nam nieśmiertelnym, panom na niebie szerokiem?
Li Posejdon go ściga zemstą krok za krokiem
Nieubłaganą za to, że mu tam Kyklopa
Polyfema oślepił, najduższego chłopa,
Mocnego jak bóg który w Kyklopów czeredzie;
Więc, że Polyfem z nimfy Toosy ród wiedzie,
Córki Forkisa, morskich strażnika pustkowi,
Co w pieczarze poddała się Posejdonowi,
Gdzie ją napadł — z tych przyczyn Posejdon wre złością
I nie zabić Odysa, ino przeciwnością
Chce go znękać, w powrocie do dom mu przeszkadzać.
Na to sposób: na wiecę bogów pozgromadzać
I powrót mu zapewnić. Posejdon gniew złoży;
Sam on nic nie podoła przeciw sile bożej,
Gdy wszyscy nieśmiertelni na niego powstaniem”.

Na to Atene z takim ozwała się zdaniem:
„Ojczy Kronidzie! Władco władających mocarzy!
Jeśli na wiecu bogów ten wyrok przeważy,
Żeby Odys powrócił do ojczystych śmieci,
To pchnijmy argobójcę Hermesa, niech leci

Tam, na ostrów Ogygii, i niech nimfie onej
Pięknowiącej oznajmi wyrok niecofniony
O powrocie Odysa do dom i bez zwłoki.
Ja tymczasem obrócę na Itakę kroki,
W synu ducha poostrzę, rozbudzę w nim żywy
Ogień męstwa, by zaraz na koło Achiwy
Bujnokędziorne zwołał, a tych zalotników
Odprawił — czy już nie dość baranów i byków
Krętorogich mu zjedli? Potem pchnę mołojca
Do Sparty i na Pylos piaszczysty. Niech ojca
Tam szuka i pozbiera o nim różne wieści,
Przy tym wśród ludzi sławy nabędzie i cześci”.

To rzekłszy podwiązała złociste sandały
Pod stopki sobie; nimi ponad morskie wały,
Ponad bezbrzeżne stepy buja z wiatru wiewem.
W dłoń pochwyciła oszczep z ciężkim długim drzewem
o miednym grocie; tłumy mężów nim obala,
Gdy ją, córę strasznego ojca, gniew zapala.
I tak zbiegła ze szczytów Olimpu, aż wreszcie
Stała u bram zamku Odysa, tam w mieście
Itace, w ręku oszczep dzierżąc spiżowy,
Niby tafijskie książę: Mentos, gość domowy.
Więc przed gankiem ujrzała dziarskich zalotników,
Igrających wesoło ciskaniem kamyków,
I na skórach tych wołów, co sami pobili,
Porozwalanych. W dworze rojem się kręcili
Keryksi, czeladź: jedni mieszali na poły
W kraterach wino z wodą; owi tarli stoły
Smokliwymi gąbkami; ci nieśli zastawy
I rozdzielali mięsne biesiadnym potrawy.

Gościa zoczył Telemach podobien do bożka,
Siedzący tam wśród gachów; wzdry myśl jego gorzka,
Bo ciągle obraz ojca stał mu przed oczami:
Oby wrócił, ład zrobił raz z tymi gachami

I wypędził ich z domu! to i cześć odzyska,
I jak pierwaj — zawładnie u swego ogniska.
O tym siedząc wśród gachów myślał, aż Palladę
Ujrzawszy, pobiegł do wrót szybko, choć nierade
Serce w nim, że gościowi tak długo kazano
U wrót czekać. Więc ścisnął przez gościa podaną
Prawicę, a odjąwszy mu z niej włóczń spiżową,
Przemówił doń i takie rzucił lotne słowo:
„Rozgość się, cudzoziemcze; w domu moim witaj!
Zjedz co wprzód, a potem o co zechcesz pytaj”.
To rzekłszy szedł — a Pallas za nim. Gdy tak w dwoje
Wstąpili na wysokie zamkowe pokoje,
Wzięty oszczep w osobnym postawił skarbczyku,
Opierając go o słup, gdzie innych bez liku
Odysowych oszczepów stało w ładnym szyku.
Zaś samą w krześle sadził i roboty drogiej
Kobierzec jej podesłał, nożnik dał pod nogi,
Obok niej na chędogiej sam zasiadłszy ławie,
Lecz daleko od gachów, by gość przy tej wrzawie
Niesfornej tłuszczy obiad mógł spokojnie spożyć,
A też, by się z myślami o ojcu otworzyć.

Służebna wraz przyniosła w nalewce złocistej
Na srebrnej misie wodę i lała źródź czysty
Jej na ręce; stół gładki postawiła przed nią;
A z spiżarni różnego jadła niepoślednio
Zniosła skrzętna szafarka, toż chlebne pieczywo;
Potem krajczy podawał przeróżne mięsiwo
W kopiastych misach, kubki postawił przed nimi,
A keryks je dolewał: wciąż były pełnymi.

Już rzesza butnych gachów weszła do świetlice,
Długim rzędem zasiadła stołki i ławice;
Keryksi wodę do rąk nosili, a chlebne
Kosze na stół stawiały dziewczeczki służebne,
Pachołcy w czasie wino leli zielonawe —

I wszyscy się rzucili rękoma na strawę;
A najadłszy, napiwszy do syta, marzyli
Rozkosznicy o nowej dla się krotchwili.
Do płasów ich ochota i do piosnek brała,
Bez czego by się żadna uczta nie udała.
Więc keryks dał cytarę Femiowi do ręki,
Co umiał najślawniejsze wywodzić piosenki;
A choć mu wobec gachów śpiewać się nie chciało,
Brząknął w struny i dumę zanucił wspaniałą.

Wtenczas Telemach, schylon ku Atenie głową,
Rzekł z cicha, by nie doszło do nich jedno słowo:
„Miły gościu! Co-ć powiem, niech cię nie pogniewa:
Patrz, jak gawieź przy śpiewkach i płasach używa,
Bezkarne trawiąc mienie po wielkim człowiecze,
Którego białe kości deszcz w polu gdzieś siecze
Lub nie grzebione ciało liżą morskie fale.
O, gdyby niespodzianie stanął tu w swej chwale,
Każdy by z nich bez targu za dobrych nóg dwoje
Zrzucił z siebie ten ciężar złota i te stroje.
Lecz snadź rodzaj ten śmierci był mu przeznaczony,
I nic go już nie wskrzesi! A choć i w te strony
Czasem wieść się zapłaczę o jego powrocie,
Lecz któż by wierzył baśniom! — A teraz się do cię
Zwracam, byś ciekawości mojej też dogodził.
Z jakiegoś ludu, miasta? Mów mi, gdzieś się rodził?
Jakeś się dostał? Czyjże okręt do Itaki
Przywiózł cię? Co za jedne te twoje flisaki?
Bo przecież się tu dostać nie mogłeś piechotą.
Jedno by prawdę wiedzieć, zapytuję o to.
Pierwszyś to raz w Itace? Czy też ongi może
Bywałeś tu za ojca mojego w tym dworze,
Kiedy się doń zjeżdżało siła zacnych osób,
A on wszystkich w gościnny podejmował sposób?”

Na to mu sowiooka córą Diosowa

Rzekła: „Wszystko, co-ć powiem, prawda aż do słowa.
Mentes jestem, Anchiala mienię się być synem,
A sam władam żeglownych Taffijotów gminem.
Teraz tutaj przybyłem; mam liczną osadę
I do obcojęzycznych ludów morzem jadę,
By za towar żelazny kupić miedź w Temezie.
Od miasta podal stoi okręt, co mnie wiezie,
W zatoce Rejtron, u stóp Nejonu leśnego.
Chlubię się, że był nieraz gościem ojca twego.
Możesz o to Laerta spytać, twego dziadka;
Staruch pono do miasta zagląda dziś z rzadka,
Samotnie doganiając na wsi dni ostatka,
Przy starce, co go karmi strawą i napitkiem,
Gdy w wieczór wróci do dom zmordowany zbytkiem
Łażenia, jak dzień długi, wśród winnicznych wzgórz.
Otóż słysząc, że ojciec twój wraca z podróży,
Tu-m zaszedł. Że go nie ma? Snadź szkodzą mu bogi;
Bo przecież umrzeć nie mógł Odysej nasz drogi.
Pewnie na jakiej wyspie, wkoło oceanem
Oblanej, gdzieś tam kiśnie pod twardym tyranem
Lub wśród dziczy, co gwałtem trzyma go w niewoli.
Otóż chciałbym o jego powrócić ci doli
Z tych przeczuć, jakie w duszę wlał mi niebianie:
Być może, iż co powiem, nareszcie się stanie;
Acz-em nie wieszczę i z lotu ptaszego nie wróżę,
To wiem, że wnet się skończą te jego podróże:
Wróci nasz tułacz, wróci w własny próg domowy;
A choćby go trzymały żelazne okowy,
Wyłamie się, ucieknie; wszak nie bity w ciemność!...
O jednej tylko prawdzie, proszę, oświeć-że mnie:
Tyżes-to w tej osobie własny syn Odysów?
Podobieństwa w nim wiele masz z oczu i rysów.
Widywałem go nie raz, nie dwa, jeszcze wprzód,
Nim pod Troję popłynął na boje i trudy

Z herojami Achai, co tam popłynęli.

Odtądemy z Odysem już się nie widzieli”.

Na to roztropnie odrzekł Telemach młodziutki:

„Dowiedz się, gościu, z ust mych prawdy bez ogródki:

Że on jest ojcem moim, tak matka powiada.

Ja nie wiem. Tej pewności nikt z nas nie posiada.

Wolałbym jednak synem być po szczęsnym człeku,

Co by we własnym gnieździe sędziwego wieku

Dopędzał. Lecz tu u nas mówią pospolicie,

Że ten najnieszczęśliwszy z ludzi dał mi życie”.

Na to mu sowiooka tak odpowiedziała:

„Z woli bogów niepróżna ród twój czeka chwała,

Jeśli Penelopeja takiego ma syna!

Wprzód jednak rzeknij prawdę: jaka to przyczyna

Tych godów i hałasów? Co to wszystko znaczy?

Czy stypa, czy wesele? Bo przecież inaczej

Zwykła ucztą wygląda. Patrząc na te gbury

Szumiące, jakby dwór ten nogami do góry

Przewrócić chcieli, każdy przy zdrowym rozumie

Wszedłszy tu, zapomnieliby języka w tym tłumie”.

Więc roztropny Telemach jął mu się spowiadać:

„Cudzoziemcze! Jak widzę, pragniesz mnie wybadać.

Słuchajże! Ongi dom ten cnotą, dostatkami

Słynął, póki on jeszcze przebywał tu z nami.

Alić mąż wielki z bogów przekornych wyroku

Znikł ze świata, w bezślednym gdzieś ukrył się mroku.

Ja sam może bym jego tak nie płakał zgonu,

Gdyby był legł z drugimi na polach Ilionu

Lub na rękę przyjaciół skończył już po wojnie.

Wtenczas przynajmniej ludy achajskie przystojnie

Pamięć by bohatera uczyły mogiłą —

Moje imię z nim razem w prawnukach by żyło.

Ale on srogim harpiom dostał się w zdobyczy;

Bez widu, słychu przepadł. A syn cóż dziedziczy?

Łzy i ból. Nie dość, że już płaczę nieboszczyka,
Los mnie jeszcze innymi kolcami dotyka:
Ilu władyków bowiem panuje w tej stronie
Na lesistym Zakincie, Samie, Dulichionie,
I wszyscy, co na skalnej Itace rej wodzą,
Zalecają się matce mojej, dom nasz głodzą.
Ona zaś ni odmawia, ni spełnić się śpieszy
Tych ślubów! A tymczasem od drapieżnej rzeszy
Dobyték mój pożarty; wkrótce i mnie schłoną!”

Na to, że była gniewem Atene wzburzoną,
Rzekła: „Przebóg! O, jakże nam tu nie dostaje
Twojego ojca! Zaraz starłby w proch tę zgraję,
Niechby przybył i we drzwiach tej izby się zjawił
W hełmie, ze szczytem, kopie dwie ku nim nastawił,
Taki, jakim go pierwszy-m raz poznał przed laty
W domu u nas, gdzie wesół hulał, chwał nad chwaty,
Z Efyry gdy od Ila wracał Mermeryda,
Dokąd jeździł okrętem myśląc, że mu wyda
Do zatrucia pierzastych strzał mordercze trutki;
Wždy Ilos dać mu nie chciał, z tej jedno pobudki,
Że mu strach było ściągnąć za to bogów karę;
Więc dał mu je mój ojciec, lubiąc go nad miarę.
Otóż gdyby się Odys naraz zjawiał taki,
Gardła by, klnąc żeniaczkę, dały te junaki!
Lecz w tajnych dotąd losach zapisane stoi,
Czy on wróci, czy pomści, czy nie, krzywdy swojej
W tym tu miejscu. Więc tobie najpierw przykazuję,
Abyś precz z domu wymiół te rozpustne szuje.
O mój chłopcze! Do słów mych przywiąż udział żywy:
Zaraz jutro na wiecę powołaj Achiwy,
Przemów do nich; na świadki wezwij bogów w niebie;
Gachom rozkaż, by każdy powracał do siebie,
A matce — jeśli pragnie drugiego małżeństwa —
Niech powraca do domu ojca, do rodzeństwa;

Tam wesele jej sprawią, dadzą sute wiano,
Jak przystoi wyprawiać córę ukochaną.
Tobie zaś radzę, jeśli rada moja waży:
Uzbrój łódź, weźmij z sobą dwudziestu wiosłarzy
I ruszaj, byś o ojcu mógł dostać języka
Tak z ludzkiego posłuchu, jak od posłannika
Zeusowego, co każdą wieść roznosi lotem.
Wstąp do Pylos, wypytaj Nestora, a potem
W Sparcie da ci Menelaj nowin rozmaitych.
Ostatni on z Achiwów wrócił miedziokrytych.
Gdy się dowiesz, że ojciec zdrów wraca z podróży,
To choćbyś jak był smutny, wycierp rok, nie dłużej,
Tutaj w domu. Przeciwnie, jeżeli doprawdy
Już on nieżyw — to wrócisz tu na wyspę zawdy
kurhan mu usypiesz, stypę jak należy
Sprawisz, i matce męża poszukasz w młodzieży.
A gdy wszystko to spełnisz, jak na cię przystało,
Wtedy obejrz się dobrze, myślą zważ dojrzałą,
Jak byś mógł zalotniki wytracić w tym dworze
Bądź fortelem, bądź wstępnym bojem. O, nieboże!
Trzeba ci już dziecięce porzucić zabawy.
Czyś nie słyszał, do jakiej Orest doszedł sławy
Między ludźmi, że zgładził Ajgista, mordercę,
Który mu ojca zabił? I tyś, moje serce,
Wzrostem, kształtem wybujal: co umiesz, czas dowieść,
Aby późny potomek z dzieł twych uplótł powieść.
Lecz już mi trzeba wracać na okręt w zatoce;
Czeladź się oddaleniem moim gdzieś kłopoce.
Pamiętaj, com ci mówił, chłopcze, myśl o sobie!”

Młodziuchny mu Telemach odrzekł w tym sposobie:
„Gościu mój! Mówisz do mnie iście tak serdecznie,
Jakby ojciec do syna; zachowam to wiecznie.
Przecież zaczekaj kęsek, choć w drogę ci pilno;
Wykap się wprzód, dla duszy weź strawę posilną,

Abyś idąc na okręt powracał wesóły,
Obdarzon upominkiem, jakim przyjacioły
Wzajem się obdarzają”.

Atene mu na to:

„Nie zatrzymuj mnie; dłuższa zwłoka dla mnie stratą.
Dar, który mi przeznaczasz, przyjmę za powrotem,
Bym go zawiózł do domu i również klejnotem
Cennym ciebie obdarzył”.

I Zeusowa córka

Rzekłszy to, sowyooka, w powietrze wprost furka
Niby ptaszę skrzydlate, do piersi chłopięcej
Wlawszy siłę i męstwo, że odtąd goręcej
Niż wpierw myślał o ojcu. Uczuć miotał mnóstwem,
Domyślał się w duchu, że rozmawiał z bóstwem...
Teraz boskie pacholę do gachów wróciło,
Gdzie śpiewał sławny gęślarz. W izbie cicho było,
Słuchali — a on śpiewał powrót opłakany
Spod Troi od Ateny na Greków zesłany.
Kiedy w górne komnaty doszedł śpiew ponury
Do uszu Penelopy, Ikariosa córy,
Śpiesznie zbiegła po schodach na dolne pokoje,
Wždy nie sama, przy sobie miała panien dwoje,
I gachom się zjawiała postać cnej matrony
Stojąca w progu izby wysokosklepionej,
Na lica zapuściła z głów namiotkę cienką,
Z lewej i prawej miała służebną panienkę,
I do boskiego piewcy rzekła, płacząc rzewnie:
„Femiu! Ty innych pieśni więcej umiesz pewnie,
Co ludzi, bogów sławia, a u piewców słyną.
Więc jedną z takich zabrzmi; a oni niech wino
Piją milcząc. Tej nie chcę tylko pieśni jednej.
Taką boleścią serce przenika mnie biednej
Już i tak udręczonej tym płaczem ustawnym
Po małżonku, w Helladzie i na Argos sławnym”.

Telemach odrzekł na to: „Matko ukochana!
Za cóż-eś na miłego pieśniarza zdąsana?
Czy że śpiewa, jak czuje? Nie on winien temu,
Raczej Zeusa obwiniaj, że daje każdemu
Mistrzowi takie tylko, jak sam chce, natchnienia.
Nie wiń go, że nam śpiewa Greków utrapienia.
Azaliż nie tej pieśni słuchamy najchętniej,
Co czymś nowym w sercu słuchacza odtętni?
Raczej ty się do pieśni nastrój w duszy swojej.
Przecież nie sam to Odys nie wrócił spod Troi
— Tyłu innych herojów przepadło bez wieści.
Lepiej wróć do się, pilnuj roboty niewieściej,
Wrzeciona i krosienek. Naganiaj, by żwawo
Dziewczęta pracowały. Rozkaz mężów sprawą,
A i moją. Jam przecież pan tutaj we dworze”.

I cofnęła się matka w zdumionej pokorze
Mądrą synowską mowę rozważając w sobie,
A wszedłszy do swych komnat da folgę żałobie,
Pamięć męża rzewnymi oblewając łzami,
Póki Pallas jej powiek nie potrząsła snami.

W ciemnej izbie znów wrzawę wszczęli zalotnicy.
Każdy z nich rad się dobrać do niej, do łożnicy.
Lecz Telemach słowami powściągnął zbytników:
„Matki mej zalotnicy, niechajcie tych krzyków!
Nie lepiej-ż przy tych godach zażyć krotchwili,
I takiego pieśniarza nie stokroć-że milej
Słuchać, kiedy boskimi dźwięki nas czaruje?
Jutro w rynku na wiecę wszystkich powołuję,
By obwieścić mój rozkaz krótko, węzłowacie:
Fora ze dwora! Innych schadzek czy nie macie,
Gdzie byście swój lub cudzy zjadali dobytek?
Lecz jeśli na tym rozkosz wasza i pożytek,
Aby mi nie zostawić w domu kęsa chleba,
To i mnie zjedzcie! Zaklnę nieśmiertelne nieba,

A może Zeus te psoty równym spłaci płatem,
I wszyscy gardło dacie na miejscu tu, na tem!”

Tak mówił. Oni wargi przygryźli. Skąd taka,
Dziw im, wzięła się buta dziś u Telemaka?
Więc Antinoj, Eupejta syn, nabrał go z góry:
„Pewnie cię, Telemachu, nauczył bóg który
Tak hardo się odzywać tutaj w naszym gronie?
Obyś tylko w Itace nie dał mu, Kronionie,
Panować, choć na niego władza spada z ojca!”
Na to mu wręcz odcięła roztropność mójca:
„Antinoju! Czczej sprzeczki z tobą nie prowadzę,
Lecz jeśli Zeus ją da mi, to wezmę tę władzę.
Alboż to zostać królem masz za rzecz tak podłą?
Zaprawdę nic w tym złego: otworzy się źródło
Dochodów, zbogaciejesz i sam wzrośniesz w cześci.
Przecież achajskich kniaziów niemało się mieści
Na tej wyspie, bądź młodych, bądź w starym już wieku,
Aby to berło wzięli po wielkim człowieku.
Dla mnie dość, żebym dom mój utrzymał spokojnie
I sługi, które Odys wziął łupem na wojnie”.

Eurymach, syn Polyba, na to się ozowie:
„O tym, mój Telemachu, rozstrzygną bogowie,
Kto na przyszłość itackim ma władać ostrowem.
Ty dierz swoje i panuj w ognisku domowym.
A póki mężów stanie w tym naszym zakątku,
Nikt by nie śmiał cię gwałtem ograbiać z majątku.
Jednak chciałbym o gościa tego spytać — powiedz,
Co zaczą? Z jakiej to ziemi wziął się ten wędrowiec?
Gdzie ród jego? Dziedziczne kędyż leżą włości?
Czy o powrocie ojca przywiózł wiadomości?
Czy też we własnej sprawie tu go co przygnało?
Czemu naraz gdzieś przepadł, a do nas nieśmiało
Zbliżał się? Z twarzy przecież wyglądał szlachetnie”.

Na to roztropny młodzian Telemach odetnie:

„Eurymachu! Już ja się ojca nie spodziewam!
I przestałem już wierzyć wieściom, choć je miewam.
We wróżby też nie wierzę. Choć tam matka pyta
Sprowadzanego często o przyszłość wróżbita.
Ten zaś gość znał mojego rodzica za młodu,
Zwie się Mentos, Anchiala syn, z bitnego rodu.
Dziś żeglownym Tafijcom włada berłem błogim”.
Tak mówił przeczuwając, że ten gość był bogiem.
I gachy znów śpiewkami, wesołymi skoki
Szaleli, aż wieczorne zbliżyły się mroki.
A gdy już czarne mroki zapadły i chłody,
Każdy poszedł się wyspać do swojej gospody.

Telemach do sypialnych również szedł pokoi,
W gmachu z pięknym widokiem; ten w podwórzu stoi.
A szedł zakłopotany szukać snu, do łóżka;
Przed nim z smolnym łuczywem szła dobra staruszka
Eurykleja, Opsowa córka. Opsa spłodził
Pejsenor. Gdyż Laertes, kiedy w kupno wchodził
Swych włości, razem o nią zawarł był ugodę
I za dwadzieścia wołów kupił dziewczę młode,
Które to w domu chował w pańskiej uczciwości.
Wždy nigdy jej nie dotknął, bojąc się zazdrości
Żony swej. Teraz ona świeciła łuczywem
Telemachowi; sercem kocha go pieściwem,
Gdy jeszcze od dziecięcych niańczyła go latek.

On, skoro drzwi otworzył do swoich komnatek,
Siadł na pościeli, zrzucił z siebie chiton miękki
I roztropnej staruszce oddał go do ręki;
A ta, złożwszy gładko fałdzik przy fałdziku,
Zawiesiła przy łóżku na ściennym gwoźdźniku,
Po czym wyszła, drzwi srebrnym przyciągła pierścieniem,
Zasuwkę zasunęła szarpnąwszy rzemieniem.

On noc całą w wełnianym puchu ocz nie mruży;
Pallas radziła podróż: myślał o podróży.

Pieśń druga

Zgromadzenie mieszkańców Itaki. Wyjazd Telemacha

Gdy świt różanopalcą urodził Jutrzenkę,
Syn Odysa się z łoża porwał, wdział sukienkę
Chędogą, a przez ramię zawiesił miecz srogi,
Pięknymi postołami białe opiał nogi
I wyszedłszy z komnaty, jak niebianin śliczny,
Wydał rozkaz keryksom, aby okoliczny
Lud kędziornych Achiwów na wiecę zwołali;
Więc na głos ich Achaje zewsząd się ściągali.
A gdy już powołani gromadnie się znidą,
Wstąpił pośród nich, w ręku ze spizową dzidą,
Wždy nie sam, lotnych chartów parę miał przy sobie.
Pallas taki nadała blask jego osobie,
Że lud wszystek się cieszył z młodzieńca widoku;
Zasiadł prestoł ojcowski; starce cofli kroku.

Heroj Ajgyptios zaczął rzecz przed zgromadzeniem.
Był to zgarbiony starzec mądry doświadczeniem,
Którego syn Antifos z Odysem w wyprawie
Na Ilion koniorodny pociągnął, i w nawie
Jednej z nim pożeglował, kopijnik wyborny,
Lecz go Polyfem w jamie rozdarł — na wieczorny
Kąsek sobie ów złośnik chłopaka zostawił.
Krom niego, miał trzech innych: Eurynomos bawił
Z zalotnikami; doma dwaj gospodarzyli —
Przecież syna, co zginął, płakał każdej chwili.
Więc stary płacząc tak się ozwał do słuchaczy:
„Itkanie! Niech słucha, kto mnie słuchać raczy.
Nie było u nas sejmów ni żadnej narady,
Odkąd cny Odys wywiódł pod Troję osady;
Któż więc zwołał nas ninie? Kto miał powód jaki?

Zrobiłaż to starszyzna czy nasze junaki?
Czyżby który wieść dostał, że wracają nasi?
Niechaj mówi, co słyszał, ciekawość ugasi.
A może jaką sprawę publiczną chce wnosić?
Zawsze czyn to szlachetny, i niech mu Zeus dosyć
Darów nasypie, ile serce jego żąda!”

Telemach z słów tych wróżbę pomyślną przegląda,
A nie mogąc dosiedzieć, wpadł w pośrodek tłoku,
Żądny słowa. Wtem keryks Pejsenor, na oku
Mając go, zaraz berło podsunął do ręki;
On zwrócił się do starca i na znak podzięk
Rzekł:

„Cny starcze, ów sprawca wnet ci się przedstawi:
Jam was zwołał w najcięższym smutku, co mnie dławi.
Lecz o powrocie naszych nie wiem nic takiego,
Co bym mógł wnieść do ludu tu zgromadzonego,
Tym mniej o pospolitej kraju radzić rzeczy;
Ino powiem o sobie. Dom mój się niweczy
Podwójną klęską. Naprzód stradałem rodzica:
Pod berłem jego niegdyś kwitła ta ziemica;
A teraz znowu cierpię nad domem w upadku —
Lada chwila, a koniec mienia i dostatku!
Matkę moją obsiadła rzesza zalotników;
Wszystko to syny naszych przedniejszych władków,
A każdy od jej ojca Ikariosa stroni —
Przecież, żeby prosili, dałby sute po niej
Wiano i rękę temu, kogo sam wybierze.
Wtomiast woleli u nas obrać sobie leże,
Rznąć z naszych obór woły, owce, kozy tłuste
Na biesiady, ognistym winem swą rozpustę
Skrapiać i wszystko chłonać — a nie ma nikogo,
Kto by jak Odys plagę odwrócił tę srogą.
Ja jej sam nie odwrócę; sił nie mam na tyle
I nie wiem, czy odwagą podołam ich sile.

Oj, dałbym sobie radę, gdyby sił po temu!
Co się święci, znieść trudno i najcierpliwszemu.
Dom mój do szczętu złupion! Ujmijcież się przecie
Krzywd mych, jeśli się wstydać sąsiadów nie chcecie
Dokoła mieszkających; wszak was bogi mściwe
Mogłyby skarać za ich gwałty niegodziwe.
Za nie się Zeus olimpski, za nie Temis nasza
Pomści, co ludzkie rady wspiera lub rozprasza!
Pofolgujcie mi, błagam! Czyż mało wam na tem,
Że własne utrapienie moje dla mnie katem?
Miałżeby kiedy Odys, rodzic mój pocziwy,
Umyślnie was obrazić, pancerne Achiwy,
Że na mnie wetujecie swe dawne obrazy
I podszczuwacie gachy? Wolałbym sto razy
Widzieć dom mój, dobytek, przez was pochłonięty:
W tym nieszczęściu ocalić można by choć szczęty;
Bo dopóty bym chodził od chaty do chaty
Krzycząc: «Wróćcie, co moje!», aż bym odbił straty,
Gdy nienie tylko zgryzot poicie mnie jadem!”

Rzekłszy to o ziem cisnął berło; lży mu gradem
Z ócz się polały. Lud się łez jego litował:
Wszyscy wkoło milczeli i nie występował
Nikt z gromiącą pogrózką przeciw jego mowie,
Tylko syn Eupejtesa, Antinoj, tak powie:
„Chłopcze ostrojęzyczny, wyrwałeś się hardo
Z potwarzą; chcesz nas okryć wstydem i pogardą.
Cóż zalotnicy złego-ć zrobili? Gdzie wina?
Raczej w twej matce, chytrej niewieście, przyczyna.
Wszak trzy lata minęły, a na czwarty ma się,
Jak zalotnych Achiwów czczą nadzieją pasie;
Wszystkim coś obiecuje; tym, owym majaczy
Słodkimi konszachtami, lecz myśli inaczej.
Na taką się jej dowcip zdobył niespodziankę,
Że umyślnie w swej izbie cienką, długą tkankę

Należała i rzekła do zalotnej młodzi:
— Jeśli wam po Odysie o mą rękę chodzi,
To pokąd nie dokończę tej szaty, nie prędeję
Ślub być może — bo żal by marnować mi przędzy.
Sztukę tę dla Laerta przeznaczam, gdy stary
Usnąwszy niebudzonym snem pójdzie na mary;
Nie chcę, by mnie achajskie ganiły kobiety,
Gdyby on, pan tak wielki, leżał nieokryty.
Tak mówiła, i wszyscy wierzyli mądrości.
Odtąd w dzień przy krosienkach tkła tam po trosze,
Lecz w noc przy żagwiach pruła, co we dnie utkała,
I tak nas przez trzy lata wciąż oszukiwała.
Gdy czwarty rok przyniosły pór odmienne lica,
Przez jedną z pokojówek wyszła tajemnica.
Wpadamy — na gorącym uczynku schwytana,
Pruła to czasu nocy, co utkała z rana.
Więcśmy ją zmusili dokończyć tej pracy;
A zatem ogłaszamy wręcz, wszyscy junacy,
Dla twojej wiadomości i zgromadzonego
Ludu: Wyślij precz matkę! Niech sobie jakiego
Męża wybierze sama lub ojciec wybierze.
Bo jeśli ma nas długo trzymać w poniewierze
I liczyć na swój dowcip, dany od Pallady,
Tworzenia ślicznych tkanin, wybiegów i zdrady,
O czym-to nie słyszano nigdy za lat dawnych,
Acz w Achai bywało tyle niewiast sławnych:
Taka Alkmen i Tyro, więc Mykene cudna —
Wždy żadna tak w swej sztuce nie była obłudna
Jak Penelopa. Chytróść nabawi ją szkody,
Bo póty łupić będziem twe mienie i trzody,
Dopóki nie przestanie trwać w swoim uporze,
Jakim ją niebo natchło. Dla niej urósć może
Sława stąd — vždy majątek przepadnie do licha.
A jeśli wśród Achiwów nie znajdzie żenicha,

Żaden z nas nie ustąpi krokiem z tego domu,
Ani do swoich, ani narzuci się komu!”

Roztropny mu Telemach na to wręcz odpowie:
„Matkę wygnać to w mojej nie mieści się głowie,
Wygnać dawczynię życia, co mnie wykarmiła —
Czy tam ojciec mój żyje, czy go śmierć zabiła!
Trudno mi także spłacić Ikariowi wiano,
Gdybym tak samowolnie wygnał ukochaną.
Oj, dałby mi on za to! A gorzej demony
Pomściłyby się, jeśli klątwa wypędzonej
Wezwie Erynie; ludzie by mną pogardzali!
Nigdy syn z domu swego matki nie oddali.
A jeśli wam ta mowa moja serca bodzie,
To precz z dworu! Na innej osiąść wam gospodzie,
Gdzie byście swój lub cudzy zjadali dobytek!
Lecz jeśli na tym rozkosz wasza i pożytek,
Żeby mi nie zostawić w domu kęsa chleba,
To i mnie zjedzcie! Zaklnę nieśmiertelne nieba!
A wtedy Zeus te psoty równym spłaci płatem,
I wszyscy gardło dacie na miejscu, tu, na tem...”
Tak rzekł. A Zeus, szerokogrzmiący pan błękitu,
Zesłał dwa orły k'niemu lotem z góry szczytu.
Zrazu oba bujały z wiatrami po niebie
Rozpostartymi skrzydły, blisko obok siebie,
Dopiero gdy zawisły nad zgiełkliwym rynkiem,
Nuż trzepotać się w miejscu i kręcić się młynkiem,
Topiąc w te czaszki tłumu złowrogie oczyska.
Biły się szponmi, pierze drąc z karku i pyska —
W końcu przez gmachy miejskie wionęły na prawo.
Lud się dziwił patrzący na tę bójkę krwawą,
I sam się w duchu pytał, co znaczą te dziwy,
Gdy Haliterses zabrał głos, witeź sędziwy,
Syn Mastora, nad niego nie znajdzie wróżbita,
Z lotu ptaków on przyszłe losy wie i czyta;

Więc wobec sejmujących to otworzył zdanie:
„Co wam powiem, słuchajcie słów mych, Itakanie!
Choć, co powiem, najwięcej w zalotniki mierzy.
Im to grozi zagłada! Kto chce, niech mi wierzy.
Odyseja co ino nie widać z powrotem;
Już on gdzieś niedaleko i rozmyśla o tem,
Jak by gachom zgotował śmierci ukaranie.
Przy nich się niejednemu po skórze dostanie
Z okolicznych mieszkańców Itaki górzystej;
Więc trzeba ich hamować — wniosek oczywisty.
Albo niech sami siebie wezmą w tęgie kluby,
A to ich uratuje od niechybnej zguby.
Doświadczony ja wróżbit, co mówię, nie myli,
A czy się już nie spełnia wróżba onej chwili,
Kiedy Argów pod Troję odpływały nawy,
A i Odys należał z nimi do wyprawy —
Że po wielu przygodach on sam bez drużyny,
Od swoich nie poznany, wróci do rodziny
Aż po latach dwudziestu. Wszystko to się stanie”.

Eurymach, syn Polyba, zgromił to gadanie,
Mówiąc: „Starcze! Idź do dom! ot, wróżyłbyś lepiej
Synom swym, czej się jakie lichy ich nie czepi.
Umiem ja niż ty trafniej wróżyć z takich znaków,
Któż nie wie, że pod słońcem lata dużo ptaków,
Choć nie wszystkie coś wróżą! Odys dawno w ziemi
Gdzieś spoczywa; a ciebie z wróżbami twojemi
Niechby lichy porwało! Nie bajałbyś tyle
Przepowiadając rzeczy drażniące niemile,
Jątrzące Telemacha serce i tak gniewne,
Żeby jakim kubanem ujął cię zapewne.
Lecz wiedz, starcze — a wróżba ta ziści się pono:
Jeśli tego chłopaka, mimo doświadczoną
Starość chciałbyś do burdy podbuntować jakiej,
Tedy krok ten zuchwały da mu się we znaki.

Niech co chce robi, gachom nic zrobić nie może,
Za to tobie pokutę nałożym, nieboże,
Tak twardą, że ci nigdy nie wyjdzie z pamięci.
Ty zaś, mój Telemachu, słuchaj dobrej chęci
I rady: Matkę przymuś, niech wraca do ojca!
On jej sprawi wesele, wyda za mójca
I córce ukochanej da przystojne wiano.
Inaczej Achajczyki nigdy nie przestaną
Pożądać Penelopy. Czyż boim się kogo?
Telemach nam nie straszny, choć gada tak srogo.
Nawet nas wróżby twoje, staruchu, nie straszą,
Na wiatr rzucone. Wzgardęś tylko zyskał naszą.
Zatem do szumnych biesiad wracamy, i w domu
Nigdy ładu nie dojdiesz, dopóki z nas komu
Ręki matka nie odda. Owoż tak jak pierwszej
Dobijać się o rękę jej będziem bez przerwy
I nikt z nas w inne progi pewno nie zawita,
Choćby była niejedna do wzięcia kobieta”.

Na to roztropny młodzian Telemach odpowie:
„Słuchaj mnie, Eurymachu! Słuchajcie, gachowie!
O nic was tu nie błagam, bo i słów nie staje,
Gdy o tym wiedzą bogi i wszystkie Achaje.
Statek mi tylko dajcie z dwudziestą osady,
A puszcę się na morze szerokie na wzwiady:
Będę w Sparcie, a pierwszej w piaszczystym Pylosie,
Aby się o rodzica coś wywiedzieć losie;
Może od kogo z ludzi lub od posłannika
Zeusowego dostanę o ojcu języka.
Gdy się dowiem, że żyje i wraca z podróży,
To jeszcze nań poczekam tęskny rok najdłużej
Tutaj w domu; przeciwnie, jeżeli doprawdy
Już on nieżyw, powrócę na tę wyspę zawdy,
I kurhan mu usypię, stypę jak należy
Sprawię, i matce męża poszukam w młodzieży”.

To rzekł i usiadł młodzian. Mentor powstał zatem.
Cnego on Odyseja był druhem i bratem;
Odys mu na odjezdnem dał pieczę majątku,
Przykazał posłuszeństwo — a on strzegł porządku.
Więc w dobrej wierze starzec takie otwarł zdanie:
„Co powiem, posłuchajcie słów mych, Itakanie!
Źle to, kiedy pan, w ręku którego jest władza,
Ma serca prawość, dobry, poddanym dogadza;
Przeciwnie, złym być winien, okrutnym zbytnikiem,
Kiedy pamięć boskiego Odysa już w nikiem
Tu u ludu nie żyje, chociaż nam królował
Łagodnym berłem i nas jak ojciec miłował.
Mniej przeto za złe biorę zalotnej czeredzie,
Że w chytrym zaślepieniu pusty żywot wie dzie,
Szarpiać mienie Odysa; za to kiedyś szyje
Dadzą, dziś się łudzacy, że Odys nie żyje.
Atoli reszcie gminu za złe mam, że siedzi
Niemy i nawet słowem nie karci gawiedzi;
Liczniejszy, a tej garstki nie okiełzna drobnej”.

Na to syn Euenora Lejokrit rzekł zło bny:
„Mentorze! Podżegacz! Głupstwa pleciesz w szale;
Lud szczujesz na nas. To ci się nie uda wcale,
Żebyś liczbą miał wydrzeć nam zaszczyt biesiady!
Sam Odysej podobno nie dałby nam rady,
Gdyby tutaj się zjawił i naszych sokołów
Brał się rugować z dworu od godowych stołów.
Nie ucieszyłoby to nawet jego żony,
Choć spragnionej do męża. Padłby porażony
Ciosem wnet, zaczepiając silniejszych liczebnie.
Widzisz więc, żeś się z mową wyrwał niepotrzebnie.
Dość tego, idźcie do dom, każdy do swej pracy.
Telemacha tam w drogę wyprawia już tacy,
Jak Mentor, Haliterses — oni, co od ojca
Datującą się przyjaźń mają dla mołojca.

Lubo sędzę, że z nami posiedzi on dłużej,
Łowiąc wieści, i tej tam zaniecha podróży”.

Tak rzekł — i dał odprawę wiecującej rzeszy.
Rozprószyły się tłumy, każdy do się śpieszy,
Zalotni zaś na dworzec Odysa wtargnęli.

Telemach na brzeg morski poszedł i w topieli
Ciemnych, wód umył ręce, Ateny wzywając:
„Bóstwo, Ty, które wczoraj dom nasz nawiedzając
Rozkazałaś mi łodzią puścić się na morze
Za wieścią o mym ojcu zgubionym, co może
Wraca do nas: lecz zamiar psują mi Achiwi,
A najbardziej gachowie gwałtowni i chciwi”.

Tak się modlił. Wtem Pallas stanęła na jawie,
Mentorowi podobna w głosie i postawie,
I do młodziana rzekła uskrzydłone słówko:
„Na przyszłość, Telemachu, nie trwóż, nie drwij główką!
Jeśliś po ojcu dostał moc i serce dzielne,
Którym słowa i czyny siał on nieśmiertelne,
Tedy podróż ta dla cię nie będzie daremną,
Lecz jeśli w żyły swoje wzięłaś krew nikczemną
I Odys z Penelopą ciebie nie spłodzili —
Nigdy nie dopniesz tego, co chcesz, chęć omyli.
Zaprawdę, mało synów, co się w ojców wdali,
Mniej lepszych, a moc takich, co podli i mali.
Więc gdy nadal nie stchórzysz i nie podrwiesz głową,
Ani całkiem utracisz mądrość Odysową,
Tedy na pewne tuszę, żeć dzieło uwieńczy;
A tym, co gachy robią, gardź, niech cię nie dręczy.
Głupcom tym sprawiedliwość ni mądrość nieznana;
Nie przeczuwają śmierci, a już zgotowana
Wisi nad nimi; wszyscy na jeden raz padną,
Więc twój wyjazd nie trafi na przeszkodę żadną;
Ja bowiem, jako z ojcem miałem przyjaźń dawną,
Jadę z tobą i łódź ci przysposobię spławną.

Tymczasem wracaj do dom, z gachami się zadaj,
Podróżną żywność gromadź, w naczynia układaj,
Wino w dzbany, a mąkę, co chłopom moc daje,
Pakuj w wory skórzane. Ja zaś sobie zraję
Tam i sam między ludem nieco ochotnika.
A że w morskiej Itace wiele się spotyka
Tak starych, jak i nowych na wybrzeżu łodzi,
Więc wybiorę najlepszą; gdy się nałagodzi
I opatrzy, wraz spuścim łódź na pełną wodę”.

Tak rzekła Kronionowa córa. Chłopię młode
Na głos bogini rusza śpiesznymi krokami
Ku domowi, po drodze bijąc się z myślami.
W domu zastał tłum gachów, jak sobie w najlepsze
W dziedzińcu kozy łupił, smalił tłuste wieprze.
Aż oto i Antinoj ze śmiechem ku niemu
Pomknął, ścisnął za rękę i rzekł po swojemu:
„Telemachu wymowny, zagorzała głowo!
Nie gorsz się postępkami naszymi ni mową.
Jedz, pij razem tu z nami, tak samo jak wprzód,
A o podróż Achajom zostaw wszystkie trudy:
Łódź ci dadzą, wioślarzy, byś w boskim Pylosie
Prędzej się mógł dowiedzieć coś o ojca losie”.

Roztropny mu Telemach na to odpowiedział:
„Nigdy bym, Antinoju, przy godach nie siedział
Z zuchwalcami, by z nimi zażyć krotchwile!
Czyż wam mało, gachowie, żeście mi już tyle
Przetrawili majątku, pókim był dziecięciem?
Dziś, gdym podrósł i własnym zrozumiał objęciem,
Co świat gada — a piersi męskie duch rozpiera —
Zobaczę, czy nie przyjdzie na was straszna Kera,
Bądź do Pylos pojadę, bądź zostanę z wami.
Wždy jadę! Ta się podróż, jak tuszę, uda mi,
Choćby na cudzej łodzi, bo swego okrętu
Ni flisów nie mam, przez was złupiony do szczętu”.

To rzekł i rękę umknął z jego dłoni zdrađnej,
A gachy, sposobiące w izbie stół biesiadny,
Drwili zeń; ów i drugi językiem szermował,
Aż jakiś tam pyszałek z tym się wysforował:
„Coś Telemach się bierze do nas nie na żarty!
Pewnie oprawców z Pylos albo też ze Sparty
Zmówi na nasze gardła, gorąco kąpany!
Może też do Efyry, w ów kraj wychwalany,
Kopnie się po mordercze, z ziół dobyte trutki,
I do wina nam wmiesza? Oj, żywot nasz krótki!”

Po nim znów inny śmiałek tak się naigrawa:
„Kto wie, czy mu na dobre wyjdzie ta wyprawa,
I czy go, jak Odysa, nie pochłoną wały?
Uważcie, jaki kłopot byłby stąd niemały:
Trzeba by się spuścizną dzielić i dom łądzić,
Żeby matkę z małżonkiem nowym w nim osadzić”.

Tak mówili, gdy młodzian w wysokosklepienne
Skarbce zaszedł ojcowskie, gdzie miedź, złoto cenne
W kupach leżały; w skrzyniach suknie pochowane,
W łagwiach oliwa wonna; toż dzbany gliniane
W rząd, o ścianę oparte, stały z winem starem,
Tym najsmaczniejszym, niemal że boskim nektarem
Odysa, jeśli tenże trudy i przygody
Złamię i kiedyś wróci do własnej zagrody.
Sklepy te drzwi warowne zamykały szczelnie
Na dwie kłódki. Szafarka w nich krząta się dzielnie
Dzień i noc, pańską własność mająca w dozorze,
Eurykleja Opsówna — Ops po Pejseńorze.
Telemach ją do sklepu zwołał i rzekł: „Nuże,
Matulu! Nalej winem gliniane mi kruże,
Wystałym i najlepszym, jakie ma piwnica,
Krom tego, co je chowasz dla mego rodzica,
Gdyby kiedyś powrócił do nas w zdrowia pełni.
Nalej takich dwanaście i zatkaj najszczelniej;

Toż w miechy gęstoszyte maki mi nabierzcie —
Dość będzie cienko mlonej nabrać miar dwadzieście;
Wždy o tym nic nie trzeba mówić do ostatka.
Sami to wszystko zróbcie; a w wieczór, gdy matka
Pójdzie sobie na górę i spać się uładnie,
Będę mógł te przybory powynosić snadnie,
Gdyż wyjeżdżam do Sparty; lecz pierwszej w Pylosie
Chciałbym się o ojcowskim coś dowiedzieć losie”.

To rzekł, a Eurykleja łzami się zalewa,
Głośno łkając, w te słowa k'niemu się odzywa:
„Synku! Cóż znowu do cię przystąpiło? Za czym
Miałbyś gdzieś w świat za oczy puszczać się tułaczem,
Panicz, jednak? Kiedy nie ma wątpliwości,
Odysej daleko złożył swoje kości!
A oni, gdy odjedziesz, nastąpią-ć na życie,
I aby twój majątek posiąść, zgładzą skrycie.
Ot! Siedź lepiej na swoim! Nikt cię stąd nie goni
Szukać strachu i burzy na bezdennej toni”.

Na to rzekł jej Telemach, roztropne pacholę:
„Nie trap się, nianiu! Boską spełniam tylko wolę.
Wždy przysięż, że mej matce nie powiesz, co robię
Aż w jedenastej albo aż w dwunastej dobie,
Chyba gdyby kto doniósł lub mnie zawołała;
Nie chciałbym, by się łzami psuła jej płeć biała”.

To rzekł. Ona na wielkie bogi mu przysięgła,
A przysięgłszy, największym zaklęciem się sprzęgła.
I wino jęła toczyć wraz w kruże gliniane,
Makę zsypywać w miechy gęsto zeszywane.
On zaś poszedł do izby, gdzie gachów biesiada.
Teraz na inny fortel bierze się Pallada:
Wziąwszy kształt Telemacha obiegła dokoła
Ulice miasta, wszystkim przykazując zgoła,
Kogo tylko spotkała, by gdy noc zapadnie,
Nie omieszkał przy łodzi stawić się gromadnie;

W końcu zaś u Nemoni, co go Fronios rodzi,
O łódź prosiła, on jej nie odmówił łodzi.

Zgasło światło Heliosa, mrok poczerzył szlaki;
Bogini łódź na morze pchnęła i wszelaki
Sprzęt zniosła, bez którego żaden nie wybieży
Okręt na morze; potem podał od wybrzeży,
Aż do ujścia zatoki, łódź tę doprowadzi
I napomnienia daje zebranej czeladzi.

Znowu na inny fortel Pallada się wzięła:
Śpiesznie w dworzec boskiego Odysa wionęła
I tam gachom snem słodkim zaproszyła oczy,
Że niejeden z pijących, gdy go sen zamroczy,
Czaszę z ręki upuścił. Więc się zataczając
Na spoczynek do miasta poszli, nie mieszkając.
Wtedy Zeusowa córka o oczach błękitnych
Wywoła Telemacha z głębi komnat szczytnych,
Mentorowi podobna i z głosu, i twarzy:
„Telemachu, tam garstka pancernych wioślarzy
Czeka już; brak im ciebie tylko, a odpłyną.
Spieszmy się, by z wyjazdem nie spóźnić się ino!”

To wyrzekła Atene i śpiesznie szła przodem;
On za boginią równym też podążał chodem.
A gdy tak do korabiu doszli, co w przystani,
Czekali kędzierzawi flisy tam zebrani.
Do nich więc świętej mocy Telemach rzekł: „Ano!
Chodźcie, mili, po żywność już przygotowaną
U mnie w domu... Przed matką cała rzecz ukryta;
Krom starki jednej, żadna nic nie wie kobieta”.

Rzekł — i przodem podążył; oni za nim w ślady
Znieśli żywność do łodzi burtownej na składy,
Ustawiając w tym szyku, jak rozkaz im dany,
Aż i sam wszedł na pomost, przez nią poprzedzany.
Pallas siadła u steru, a tuż przy bogini
Siadł Telemach. Więc linę odczepiwszy, inni

Weszli także na statek i zasiedli ławy.
Atene im wiatr zaraz zesłała. łaskawy:
Zefir wiejący czuby fal czarniawych gładzi.
Telemach wciąż do milej przemawiał czeladzi,
By śpiesznie ład czyniła; więc robią, co każe:
Sosnowy maszt wbijają w drążonym ligarze,
Wyprostowują, z dołu biorą w mocne sznury,
I na rzemieniach żagle podciągają do góry.
Jakoż płótna wiatr nadął, i wełny z łoskotem
Bijąc o boki nawy, gdy nurt pruć lotem,
Coraz śpieszniej ją gnały po wodnym odmęcie.
A tak, gdy umocnili sprzęty na okręcie,
Wnieśli po sam czub winem napełnione czary,
Z nich bogom nieśmiertelnym złali część ofiary;
Najwięcej zaś Atenie obiat się dostało.
Bogini z nimi była do rana, noc całą.

Pieśń trzecia

Wydarzenia w Pylos

Wybiegł Helios z jeziora promiennej pościeli
Na spizowy strop nieba. I już dniem się bieli
Dla bogów i dla ludzi ziemia karmicielka,
Gdy do Pylos przybyli. Murów moc tam wielka
W grodzie Neleja! Właśnie lud dawał ofiarne,
Zabijane na brzegu morskim, byki czarne
Posejdonowi. Dziewięć ław było zajętych,
Po pięćset w każdej; dziewięć byków też zarzniętych
Przed każdą. Bogu na cześć udźce popalono
I skosztowano trzewiów. Nawa w chwilę ona
Przybijała do lądu. Flisy żagiel strocą,
A statek przycumują, i wszyscy wyskoczą
Na brzeg wraz z Telemachem, którego prowadzi

Bogini jasnooka i z cicha tak radzi:

„Teraz, chłopcze, już nie czas chować wstydne lica,
Gdyś się puścił na morze odszukać rodzica,
Czy go ziemia gdzie grzebie, czy co z nim się stało;
Przeto do rycerskiego Nestora idź śmiało.
Zobaczmy, jaką radą on ciebie wspomóż,
Pewna, że nie okłamię — on kłamać nie może”.

Na to znowu roztropny Telemach odpowie:

„Jakże pójde i jak się pokłonię królowi?
Niewprawnym w gładkie słowa, a będąc młokosem
Wstyd mi obcesem pytać starca z białym włosom”.

Błękitnooka rzekła mu na to Pallada:

„Nie trwóż się: trochę serce przez ciebie zagada,
Trochę natchnie bóg który. Bo tak z różnych rzeczy
Wnoszę, żeś jest u bogów w osobliwej pieczy”.

To powiedziawszy Pallas pośpieszyła przodem,
A za nią wraz Telemach zdążył różnym chodem.
Do ław przyszli — starszyzna pylijska w nich siedzi,
Nestor z synami; pełno krząta się gawiedzi:
Ci piekli mięso, inni na różny je kładli.
Ujrawszy gości hurmem przeciw nim wypadli,
Podali ręce, gwałtem ciągnęli przybyłych.
Syn Nestora, Pejsistrat, pierwszy gości miłych
Witał: wzięwszy za ręce, do jadła prowadził
I na piasku, na skórach miękkich ich posadził
Przy swym ojcu i bracie swoim Trasymedzie.
Przed każdym trzewiów nakładł, toż z czaszą wyjedzie
Złotą, nalał w nią wina i taką przemową
Uczcił błękitnooką córkę Diosową:
„Módl się, gościu, do bóstwa nad słonymi wody!
Jemu gwoli, jak widzisz, sprawiamy te gody;
Gdy zaś spełnisz libację, jak obyczaj każe,
Towarzyszowi swemu ku takiej ofiarze
Podaj czasz z winem słodkim. Wszak on bogów chwali:

Bo jakżeby się ludzie bez bogów ostali?
Lecz że młodszy od ciebie, a mój równolatek,
Więc pierwszej ciebiem poczcił, jego na ostatek”.

To rzekłszy, w rękę dał jej czasę pełną wina.
Ujęło to Atenę, że od niej zaczyna:
Widać młodzian roztropny i chowan w karności —
Zatem tak się modliła do mórz wszechmocności:
„Usłysz mnie, Ładowstrzęsco! Usłysz, Posejdonie!
Czej cię szczerą modlitwą do życzeń mych skłonię:
Najpierw daj Nestorowi, synom jego sławę,
Mężom pylijskim pokaż oblicze łaskawe
Za pyszną hekatombę, daną-ć z taką częścią,
A nam dwom daj powrócić do dom z dobrą wieścią
I cel osiągnąć naszej podróży w te kraje!”

Po tej prośbie i drugą spełnia, bo oddaje
Telemachowi czasę podwójną, złocistą.
I syn Odysa zmówił modlitwę strzelistą.
Gdy właśnie z roznów zdjęto pieczone mięsiwa,
Każdy kęs dostał; uczta była to prawdziwa:
Kto spragniony się napił, kto głodny nasycił.
Gereński witeź, sławny Nestor, rzecz pochwycił:
„Teraz wolno mi spytać przybyłych tu gości,
Kto są — bo już podjedli sobie do sytości.
Mówcie, co wy za jedni? Skąd morzem płyniecie?
Czy dla handlu, czyli też bładzicie po świecie,
Ot tak sobie, łotrzyki, postrach tych wybrzeży,
Narażający głowy własne dla grabieży?”

Wraz roztropny Telemach tak odparł bez mała,
A odważnie, bo ducha Atene mu wlała,
Żeby pytał o ojca, a czej na ślad wpadnie,
I żeby się sam młodzian pokazał też ładnie:
„O Nestorze, Achiwom przodkujący w sławie!
Pytasz nas, skąd jesteśmy? Zaraz ci objawię:
Z Itaki podnejońskiej po mokrej wód fali

W sprawie własnej, nie ludu, tuśmy się dostali,
Szukać wieści o ojcu mym, boskim Odysie,
Lecz nie wiem, czy ją schwycić kiedy uda mi się.
Wszak on niegdyś, zarówno jak ty i jak twoi,
Bywał w jednej wyprawie i zburzył gród Troi.
Wiadomo zaś o innych, którzy się tam bili,
Gdzie i jak głowy swoje w boju położyli;
Alic Kronion śmierć jego skrył tak, że ochota
Opuszcza poszukiwać, kędy zbył żywota:
Czy na łądzie od wrażych mężów on zabity,
Czy utonął w zhukanych falach Amfitryty?
Przeto błagam cię, kornie do kolan się kłonię,
Powiedz, co wiesz! Czy byłeś sam przy jego zgonie?
Czy też słyszałeś o tym od podróżnych ludzi?
Tylko niech twoja litość próżno mnie nie łudzi!
Mów prawdę, bez ogródki, jak widziały oczy.
Błagam cię! Jeśli niegdyś do usług ochoczy
Ojciec mój ci dopomógł czynem albo mową
Pod Troją, gdzie i głodno było, i niezdrowo,
W imię zasług zaklinam, mów prawdę prze bogi!”

Na to mu bohaterski Nestor:

„O mój drogi!

Kiedys mi już przypomniat te biedy i znoje,
Które-śmy przebywali przyszedłszy pod Troję —
Bądź w korabiach po ciemnej tłukac się otchlani,
Za łupem przez Achilla wciąż gnani a gnani,
Bądź gdyśmy dobywali ów gród Pryjamowy —
Najmężniejsi z Achiwów dali tam swe głowy:
Tam legł Ajas, ów witeż jak Ares waleczny;
Tam Achilles, tam Patrokl, druh jego serdeczny,
Boskiej rady młodzieniec; tam i syn mi zginął,
Antiloch, chłopiec dziarski, szlachetny — a słynął
Wśród Achiwów oszczepem i rączęścią biegu.
Lecz to kęs tylko nieszczęść długiego szeregu!

Bo gdzieś śmiertelnik, co by zrachował je kiedy!
Choćbym pięć, sześć lat duszkiem opowiadał biedy
Wycierpiane pod Troją, końca byś nie czekał,
Lecz zmęczony do domu czym prędzej uciekał.
Przez lat dziewięć fortelów, zdrad używszy siła,
Nic my nie zrobili; moc boża ich zbiła.
W wojsku naszym Odysej w podstępny obfity
Nie miał równego sobie, nie w ciemę on bity!
Wszystko zwietrzył, wymyślił, ten twój ojciec wielki —
Jeśliś tylko syn jego? Wždy jak dwie kropelki
Podobnyś doń, i mową. Dziw mi nie do wiary,
Żeby młodzian tak dobrze mówić mógł jak stary.
O, wtenczas my z Odysem trzymali się w zdaniu,
Czy to na radzie wodzów, czy ludu zebraniu,
Jedna myśl nas roztropna wiodła i ostrożna,
Byle Grekom dać zysku najwięcej jak można.
A gdy w końcu Pryjamów gród upadł na pował,
Zeus tedy straszny powrót do domu zgotował
Argejcom. Że nie każdy był cny i roztropny
Między nimi, stąd wielu spotkał los okropny
Przez zawziętość Zeusowej córki jasnookiej,
Co w dwóch synach Atreja wznieciła szeroki
Rozbrat. Obaj zwołują walne zgromadzenie
Wbrew zwyczajowi, boienne już gasły promienie;
I gdy Grecy nietrzeźwe łby z sobą przynieśli,
Oni nuż im dowodzić, dlaczego się zeszli.
Menelaps achajskim radził towarzyszom
Przez morskie grzbiety wracać k'ojcystym komyszom;
Agamemnon to ganił, radząc rzesze zbrojne
Trzymać w miejscu, a palić hekatombie hojne,
Aby gniew obrażonej odwrócić bogini.
Szaleniec! Wiedział przecież, że próżno to czyni,
Bo gniew bogów nieprędko daje się przebłagać.
Więc brew w brew, ostrym słowem zaczęli się smagać,

Co pancerni Grekowie słysząc, skoczą z wrzawą
Dzieląc się w dwa obozy: na lewo i prawo.
Noc przesпали, w zburzonych sercach złe zamiary
Knując wzajem, gdy na nich Zeus gotował kary.
Skoro świt, pół nas sudna zepchnęło na morze
Znosząc w nie sprzęt, kobiety, wszystko co kto może.
Drugie pół się zostało Greków na wybrzeżu
Przy swym Agamemnonie, narodów pasterzu.
My pod czas brzeg obiegłszy pełnymi żaglami
(Któryś z niebian wód przestwór wygładził przed nami),
Płyniem tak do Tenedu. Tam obiatę bogi
Wzięły sutą; lecz Zeus nam przeciął morskie drogi
Posyłając na Greki drugą niezgód chmurę,
Że zaraz się zwróciły wstecz sudna niektóre
Pod wodzą Odyseja, tej przemyślnej głowy,
Snadź aby przyjść do łaski Agamemnonowej.
Widząc to, z mymi sudny pierzchnęłam niemieszkanie;
Czułam, że tu coś złego chcą splatać niebianie,
Pierzchnął i syn Tydeja, pociągnąwszy drugich;
W końcu płowy Menelaj dognał nas, gdy w długich
Naradach w Lesbie radzim, którądy nam płynąć
Do dom? Czy skalny Chios powyżej ominąć
W kierunku Psyrii — wtedy Chios mieć będziemy
Z lewej — gdy zaś od Chios niżej się weźmiemy,
Zawsze wichrów Mimasu zarwać nam potrzeba.
Więc modlim się do boga, by znak nam dał z nieba,
Którądy? On nam kazał tam wprost na Eubeę
Zmykać, w skok zmykać, nim się morze rozszałeje.
Wnet też wiatr nadął żagle; pędzimy co mocy
Po rybim tym gościńcu, aż o późnej nocy
Do Gerajstu zawiniem. Wraz byczych pośladków
Palimy dużo bogom, za tę bez przypadków
Przebytą drogę. Właśnie dzień czwarty nie mijał,
Jak Tydyd Diomedes do portu zawijał

W Argos, razem ze swymi. Ja, do Pylos dalej
Płynąc z wiatrem, który mi bogowie zesłali,
Przybyłem, o mój synu, bez wieści wszelakiej,
Nie wiedząc, kto z nich żyje, a kto umarł taki...
Jednak tyle, co mogłem, w domu zakopany,
Schwyć, opowiem wiernie bez żadnej odmiany.

Najpierw więc Myrmidońcy dostali się do dom
Szczęśliwie — syn Achilla dowodził tym rodom.
Również i Filoktetes Pojasa syn sławny.
Toż Idomeneus przywiódł do Krety huf sprawny,
Ocalon w bojach, żaden nie padł mu w podróży.
Lecz pewnie o Atrydy powrocie coś dłużej
Słyszałeś, w swoim kącie siedzący za światem:
Jak Ajgist nieszczęsnego zgładził, był mu katem,
Za co mściwym odwetem odebrał karanie.
Dobrze, gdy po zabitym ojcu syn zostanie.
Syn też jego na zbójcy krzywdę powetował,
Zgniółł Ajgista, który mu ojca zamordował.
Ty zaś, chłopcze, z postawy zuch i nie ułomek,
Dierz się ostro, a późny uczci cię potomek”.

Na to mu wręcz roztropny odpowiedział młodzian:
„Nestorze, blaskiem chwały w Achai przyodzian!
Srogą zaprawdę zemstę wziął on. Jego chwała
Szeroko rozbrzmi, w pieśniach wnuków będzie brzmiała.
O, czemuż i mnie bogi tych sił nie użyczą,
Abym mógł zetrzeć gachów zuchwałość zbrodniczą,
Co mnie swymi psotami dzień w dzień gorzej pieką.
Ale cóż! Takie szczęście ode mnie daleko!
Nie miał go ojciec, nie mam i ja, cierpmy dłużej”.

Na to mu stary Nestor z Gereny odwodził:
„Kochanku! Kiedyś o tę rzecz potrącił w mowie,
Słyszałem, że twą matkę obsiedli gachowie
I w domu na złość tobie psoci lada chłystek.
Powiedz, czy dobrowolnie to znosisz, czy wszystek

Lud cię nie lubi, widząc, żeś karą dotknięty?
Któż wie, czy on nie przyjdzie, nie zetrze natręty
Bądź sam, bądź pomoc dadzą przyjazne Achiwy?
Żebyś to ty u Zeusa modrookiej dziewy
Wpadł w łaskę, jak nasz Odys. O, jakżeż on dbała
Tam pod Troją, gdzie reszta Achiwów marniała.
Wierz mi, nigdy nie widział, żeby bóstwo komu
Tak jak jemu sprzyjało i tak po widomu.
Niechby cię też Atena wzięła pod swe skrzydła,
Niejednemu by z gachów żeniaczka obrzydła”.

Więc Telemach mu na to: „Starcze, zbyt to wiele,
Coś rzekł, bo się nie spełni nigdy — mówię śmieie.
I dziw mi, że nadzieją ludzisz się tak błogą;
Bogowie, choćby chcieli, nic tu nie pomogą”.
Na to Atene, córa ozwie się Zeusowa:
„O chłopcze! Z ust twych jakież wymknęły się słowa!
Bóg i tym, co najdalej, kiedy chce, pomaga.
Któż nie rad by z ojczyzny, gdzie go nędza smaga,
Bodaj i najpóźniejszym powrotem się cieszyć,
Niż wróciwszy za wcześniej śmierć sobie przyśpieszyć,
Jak ów król, co gdy wrócił w miły próg domowy,
Padł od zdrajcy Ajgista i swej białogłowy!
Lecz śmierci przeznaczenia bogowie nie mogą
Odwrócić od najdroższej głowy, od nikogo,
Jeśli w sen wieczny czarna pogrąży godzina”.

Na te słowa Telemach tak się wraz odcina:
„Mentorze, już nie mówmy o tym, dość my smutni...
On nigdy już nie wróci! Bogowie okrutni
Od dawna wyrok śmierci wydali na niego!
Wždy Nestora zapytać mam o coś innego.
Wszak on i sprawiedliwość, i mądrość posiada,
I, jak mówią, trzy wieki ludzkie ludom włada.
Przeto mam go za obraz bóstwa na tej ziemi.
Nestorze Neleido! Prawdę powiedzże mi,

Jak zginął Agamemnon, król szeroko władny?
Gdzie był wtedy Menelaj, przez jakież szkaradny
Podstęp Ajgist tęższego od siebie mógł zabić?
Nie stało się to w Argos? Może dał się zwabić
W obce miejsce i tam mu nastąpił na zdrowie?”

Zagadnion tak rycerski Nestor mu odpowie:
„Najchętniej, o mój synu, powiem prawdę całą.
Uważ, a łatwo pojmiesz, co by się to stało,
Gdyby Atryd Menelaj wracając spod Troi,
Żywym zastał Ajgista i w mocy miał swojej!
Nikt by jego był trupa nie nakrył mogiłą,
Psy by i dzikie ptactwo w sztuki roznosiło
Leżącego za miastem gdzieś tam w polu gołym,
Żadna Achajka jednej łzy by nad warchołem
Nie zroniła. Bo gdyśmy na bój głowy nasze
Nieśli, on siedział w Argos, bujnym w końską paszę,
I Agamemnonowi bałamucił żonę.
Zrazu mu Klytajmestra za umizgi one
Okazała pogardy wiele i obrazy
Jako pani roztropna i całkiem bez zmaży.
Był tam pieśniarz, któremu mąż idąc w bój krwawy
Kazał przy niej odbywać straż małżeńskiej sławy,
Lecz że bóg jej nie bronił od tych samolówek,
Więc Ajgist piewcę wywiózł na pusty ostrówek
I wydał go drapieżnym ptakom na pożarcie,
Potem ją na swój dworzec wprowadził otwarcie,
Gdzie obiatował bogom woły i barany,
A złotem, pawłoką zdobił świątyn ściany,
Przez wdzięczność, że mu sztuczka udała się trudna.
Wtenczas od brzegów Troi właśnie nasze sudna
Niosły mnie z Menelajem, przyjaciół do zgonu.
Lecz gdy do attyckiego przylądu, Sunionu,
Dążym na Menelaja okręcie, bez duszy
Padł sternik — Feb go z swojej tak ustrzelił kuszy,

W chwili, gdy w ręku trzymał rudel okrętowy.
Sławny to sternik, Frontis, syn Onetorowy,
Co okręt umiał z każdej wyprowadzić burzy.
Więc Menelaj, choć spieszył, zabawił się dłużej,
Aby sługę pochować, jak chce obrzęd święty.
Wreszcie i on za nami ruszył swe okręty
Przez ciemne wody, dotarł przylądka Malei —
Lecz tam piorunny Zeus go nawiedził z kolei
Smutną żegluga, zesłał wichry, niepogody,
Aż w góry niebotyczne spiętrzyły się wody.
Słowem rozprószył nawy, część zagnał ku Krecie,
Gdzie nad Jordanem siedzą Kydońcy, jak wiecie,
Gdzie od granic Gortyny z wód czarnej przepaści
Strzela skała i piersią odpiera napaści
Bałwanów, które Notos wprost na Fajstos wzdyma —
A głąz drobny potęgę wód tych w ryzie trzyma.
Tam zagnał ich najwięcej, ludzie ocaleli,
Sudna rozbite poszły na dno tej gardzieli.
Lecz pięć naw z Menelajem o błękitnej prorze
Do Egiptu aż zagnał prąd wichru i morze.
A kiedy on po obcych ziemiach tak się włóczył,
Złote skarby zgromadził, płodami objuczył,
Wtenczas Ajgistos zabrnął w zbrodnie niesłychane:
Zabił Atrydę, jarzmem obciążył poddane
I przez lat siedm w Mykenie jak król rozkazywał.
W ósmym dopiero Orest z Aten, gdzie przebywał,
Wrócił na jego zgubę i w zbójcy Ajgiście
Pomścił śmierć swego ojca, potem uroczyście
Wyprawił pogrzeb matce, szkaradnej kobiecie,
I jej gachowi, żertwą uczcił należycie.
W tym dniu właśnie Menelaj wrócił wojowniczy
W korabiach pełnych złota i innej zdobyczy.
Toż i ty niezbyt długo baw w dalekich krajach,
Kiedys swój tam majątek przy onych hultajach

W domu liszył, bo oni rozdrapać go mogą
W twej niebytności. Podróż przypłaciłbyś drogo!
Z tym wszystkim do Meneli radzę jechać tobie.
On po długiej włóczędze powrócił na dobre
Z stron zapadłych, skąd człowiek rzadko ma nadzieję
Wrócić, gdy go zapędzą prądy i zawieje,
Hen! za morza, skąd nawet potrzebują ptaki
Przez rok lecieć. Taki to zapadły kraj, taki!
Ty zaś, jeśli chcesz płynąć, śpiesz się do łodzi;
Chcesz lądem? Każdy z synów moich ci wygodzi,
Da wóz i konie, jeszcze zawieźć cię gotowy
Aż do Lakedajmony tej Menelajowej.
Proś go, proś na wszystko, niechaj szczerze gada;
Kłamać pewno nie skłamię, łepak to nie lada”.
Tak mówił — a już słońce gasło w-nocnym mroku;
Na to rzekła Atena o błękitnym oku:
„Zaprawdę, starcze, z ust twych mądre słowa płyną.
Lecz krajcie no ozory i mieszajcie wino,
By uczcić bogów, głównie uczcić Posejdona
Przed snem obiata; pora bowiem już spóźniona;
W ciemnościach światła zgasły; pofolgujmy godom,
Niepięknie praznikować długo, pójdźmy do dom”.
Tych słów córki Zeusowej wszyscy usłuchali,
Keryksowie im wody na ręce nalali;
A pacholcy, gdy wina w kratery naleją,
Rozdają je czaszami, obchodząc kolejną,
W końcu spalą ozory, libację stojący
Spełnią; a gdy już napój rozgrzał ich gorący,
Atena z Telemachem (postać jego cudna!)
Wybiera się na nocleg do swojego sudna;
Lecz Nestor nie zezwalał i karmił słowami:
„Ani Zeus nie dopuści, ni bogowie sami,
Abym was mógł na okręt odprawić w tej chwili.
Czyż ja to hołysz jaki albo żebrak? Czyli

Nie stać mi już na płaszcze, okrycia wełniane
Dla gości, kiedy u mnie są podejmowane?
Nie troszcz się; tu nie braknie nakrycia ni płaszcza,
Jażbym pozwolił, żeby syn Odysów zwłaszcza
Szedł na statek? Rzecz taka nigdy się nie stanie,
Pókim żyw, a i po mnie dość synów zostanie,
Aby w domu umieli gości przyjąć pięknie”.

Na to Zeusowa córka modrooka rzeknie:
„Cny starcze! Dobrze mówisz; Telemach ci wierzy
I usłucha twej rady, bo tak się należy;
Pójdzie z tobą i w twoich komnatach wypocznie,
Ja zaś muszę na okręt udać się niezwłocznie,
Pokrzepić towarzysze, zarządzić człowiekiem.
Bo ja tam na okręcie jeden starszy wiekiem;
Inni poszli z przyjaźni ku nam, chłopcy młodzi;
Żaden z nich Telemacha wiekiem nie przechodzi.
A tak przenocowawszy tam, na ciemnej nawie,
Skoro świt się do zacnych Kaukonów wyprawię,
By od nich ściągnąć różne tam należytości.
Ty zaś gościa, którego zamek twój ugości,
Wypraw wozem do Sparty; niech go z synów jaki
Zawiezie, a każ rączę zaprząć im rumaki”.

Tak mówiła Atena. Gdy wtem niespodzianie
Wionął orzeł, tłum wszystkich w podziwieniu stanie.
Zdumiał się i sam starzec patrząc na to dziwo,
Ujął dłoń Telemacha i rzekł mową tkliwą:
„Tuszę, że z ciebie kiedyś zrobi się mąż tęgi;
Gdy nad chłopcem już krążą niebieskie potęgi.
Czyś baczył, że nikt inny nie mógł być przy tobie,
Tylko Diosa córka we własnej osobie?
Tak sama się i ojcem twym opiekowała.
O sprawżę to, bogini! Spraw, niech spłynie chwała
Na mnie, na moje dzieci, miłą połowicę;
Za to dam ci roczniaczkę, gładką jałowicę.

Co jeszcze byka nie zna, jarzma ani troszki —
Tęć dam w ofierze, złotem każę okuć rożki”.

Tak błagał, a modlitwa doszła do Ateny,
I sławny rycerz Nestor, staruszek z Gereny,
Swoich synów i zięciów otoczony kołem,
Szedł na zamek; a kiedy przybyli tam społem,
Rzędem zajęli krzesła, wspaniałe siedzenia.
Starzec znowu lał w krater dla ich pokrzepienia
Wonne wino, staraniem szafarki chowane
Lat jedenaście, pierwszy raz co odetkane.
Ten napój starzec miesza i obiatę czyni
Egidowładcy córce, Palladzie bogini.
Gdy spełnił, a już każdy napił się do woli,
Wszyscy się spać do gospód rozeszli powoli
Krom Telemacha. Tego syna przyjaciela
Nestor w zamku zatrzymał, łożę mu wydziela
Pyszenie rzeźbione w jednym z przewiewnych przysionków.
Tuż przy nim spał Pejsistrat; z rodziny tej członków
On jeden w zamku mieszkał, jako nieżonaty.
Sam zaś Nestor wysokie zajmował komnaty
Wraz z królową, zdobiącą małżeńską łożnicę.

Ledwo Jutrzenka krasne wychyliła lice
Z mroku świtu, już Nestor rzucił senne łożę;
Wyszedł i siadł na białych kamieniach na dworze,
Co stały przed pałacu wchodowymi drzwiami
Lśniące jakby oliwą. Dawnymi czasami
Siadywał tam Neleus, człowiek bożej rady,
Lecz zmarł; w podziemny Hades przeniósł się cień blady.
Teraz siadł Nestor. Posoch trzymała prawica.
Pasterza mężów. Syny ujrzawszy rodzica:
Echefron, Stratios, Persej, wybiegli co żywo,
Toż Aretos, Trasymed zdązał nieleniwo;
Nareszcie i szóstego nie zabrakło brata,
Bo oto i najmłodszy przybiegł, Pejsistrata.

Ci zaraz Telemacha przy ojcu uprzejmie
Posadzili, a Nestor taką rzecz podejmie:
„— Żwawo, dzieci! Spełnijcie duszy mej pragnienie;
Chciałbym się przypodobać bogini Atenie,
Gdyż na tym tam prężniku na cześć Posejdona
Widocznie oczom moim zjawiała się ona.
Niech który w pole skoczy, wolarzowi każe
Przywieść tutaj jałowkę, którą dam w ofiarze.
Drugi do Telemacha łodzi bież i sprowadź
Wszystką czeladź — dwóch zostaw, ci mogą pilnować.
Do Laerka złotnika pobieży mi trzeci,
By złotem róg jałowki okuł. Reszta dzieci
Zostanie z nami, każdy będzie tu potrzebnym,
Czy jadło przysposobić, czy kazać służebnym
Znieść tutaj stołki, drzewo, dzbany z świeżą wodą”.

Rzekł — wszystko się rozbiegło. Jałowkę już wiodą
Z pola, a z Telemacha przybyła też łodzi
Jego drużyna. Również i złotnik nadchodzi,
Niosąc ze sobą wszystkie narzędzia, mistrz tęgi,
Tak młotek, jak kowadło i krzywe obcęgi
Do misternej roboty. Na ten obrzęd święty
Zbiegła i Pallas. Nestor złotnikiem zajęty
Dał mu złota, a sztukmistrz złotem okuł rogi
Jałowce, więc boginię cieszy dar ten drogi.
Echefron, Stratios dzierżąc róg jałowicę,
Aretos z komnat wyniósł kwiecistą miednicę
Pełną wody, a w lewej miał ziarna jęczmienne
W króbcie. Już Trasymedes wzniosł ramię wojenne
Zbrojne w topór nade łbem jałoszki ofiarnej.
Perseusz w misę zbierać miał strumień krwi czarnej.
Ojciec ręce umywszy miotał jęczmień święty,
A na ogień skręcił sierści z łba krowie wycięty.

A kiedy się pomodlił i nasiał jęczmienia,
Wraz przystąpił Trasymed i siłą ramienia

Palnął — aż topór ugrzązł w karku, przeciął żyły
I powalił ofiarę. Z krzykiem się modliły
Wszystkie córki, synowe, obok Eurydyki
Żony Nestora, córy Klimena władcy.
Syny, za łeb jałoszkę dźwignawszy, trzymali,
Aż dorżnął ją Pejstrat. Czarna krew się wali
I duch cielsko opuścił. Rąbiąc ją w kawały
Wyjmują polędwicę i dwakroć w tłuszcz biały
Obwinawszy, jak zwyczaj, nałożą wysoko
Drobniejszymi gnatami, z kapiącą posoką.
Starzec je tak na stosie spalił, winem polał
Ciemnym, a synów orszak ofiarę okolał
Z pięciozębnymi widły. Spaliwszy te mięsa,
Trzewia do ostatniego aż spożywszy kęsa,
Resztę w drobniejszych sztukach na różny nawlekli
I takowe przy ogniu obracając piekli.

Tymczasem Telemacha, ślicznego młodziana,
Kapała Polykasta, panienka sudana,
Najmłodsza z Nestorówien, a po wziętej wannie
Namaściwszy oliwą odziała starannie
Piękną szatką i w chiton miękką otuliła...
Gdy wszedł, jasność od niego jak od bożka biła.
Szedł więc i przy pasterzu mężów siadł Nestorze...

Już z różnów zdjęto mięso upieczone w porze,
I rzucili się wszyscy na biesiadę oną;
Lecz poważniejsze tylko krzątało się grono
Około wina, które z krateru czerpali
I biesiadnikom w złotych czarach podawali.
Aż zgaszono pragnienie, nasycono głody.

Wtedy gereński starzec krzyknął:

„Kto tam młody,

Niech skoczy, długogrzywe konie tu przywiedzie,
Do kolasy założy, bo nasz gość odjedzie!”

Tak rzekł. Synowie rozkaz spełniają w tej chwili:

Piorunem do kolasy konie założyli,
A szafarka w nią chleba i wina nakładła,
Toż wybornych łakoci królewskiego jadła.

Wskoczył tedy Telemach na rydwan zaprzężny.
Rzeszowódca Pejsistrat, Nestora syn mężny,
Obok niego usiadłszy lejce schwycił w dłonie,
Klasnął z bicza, i lotem puściły się konie
Pólmi, od grodu Pylos coraz dalej mknące,
Dzień cały szarpiąc jarzmo kark ugniatające.
Nareszcie zaszło słońce, cień poczernił szlaki,
Gdy do zamku Diokla, do Feraj junaki
Wraz przybyli. Orsiloch, syn Alfejosowy
Zrodził tego Diokla. Nocleg tam gotowy
Znaleźli, i gościnne przyjęcie im dano.

Ze wschodzącą nazajutrz Jutrzenką rumianą
Znów wyjechali obaj w zaprzężnej kolasie
Przez bramę; aż w przedsionkach turkot rozlega się.
Z klaskiem bicza koniki ruszyły z ochotą,
Między pszeniczne łany mkną i mkną, aż oto
U kresu drogi dzielne stanęły rumaki.
Właśnie Helios się schował, cień poczernił szlaki.

Pieśń czwarta

Wydarzenia w Sparcie

Wąwozami wjechawszy w gród Lakedajmony,
Skręcili wprost na zamek, kędy mąż sławiony,
Menelaj, huczne sprawiał wesele dla syna
I dla córki. Tę oddał, choć jego jedyna,
Synowi Achillesa, wojów gromiciela.
Z nim ją bowiem zaręczył w Troi przed lat wiele,
A niebianie złączyli parę k'sobie skłonną.
Właśnie ją dziś odesłał koleśno i konno

W sławny gród Myrmidonów. Dla syna zaś swego
Wziął w Sparcie Alektora córę. Syna tego
Megapentesem zowią — chłop silnej prawicy —
A miał go w starych latach z jednej niewolnicy,
Gdyż Helenę bogowie zrobili bezpłodną,
Odkąd powiła córkę Hermionę, godną
Ze złotą Afrodytą równać się w piękności.

Tak więc Menelaj w gronie przyjaciół i gości
W komnatach swego zamku hucznie biesiadował.
Był tam i cudny pieśniarz, co swojej wtórował
Pieśni na gęśli, i dwaj skoczkwie tam byli,
Co na miarę tej pieśni w środku się kręcili.
Zaś Telemach z Nestora synem przed wrotyma
Pierwszymi, co do zamku wiodły, konie wstrzyma.
Spostrzegł ich Eteonej, sługa przywiązany
Do Atrydy, i poznał, że to ktoś nieznany.
Prędko więc na pokoje biegał z wieścią nową,
Przybliżył się do pana i rzekł lotne słowo:
„Jacyś tam obcy ludzie, o mój jasny panie!
Jest ich dwóch; wyglądają iście jak niebianie!
Rozkaż, czy wyprząc konie mamy im, czy dalej
Odprowadzić, by indziej gościny szukali?”

Menelaj tym oburzon rzekł: „Synu Boety
Eteoneju! Gadasz, jak gdyby to nie ty,
Tylko dziecko, co głupie powtarza wyrazy!
Czyż to my gościnności ludzkiej tyle razy
Nie doznali obadwa przed naszym powrotem?
Zeus mógłby znów nas karać, gdyby zabyć o tem.
Śpiesz się więc wyprząc konie i dać im wygody,
A tych gości zaprosić na weselne gody”.

Tak rzekł, a ten z komnaty wybieżał i zwołał
Innych sług, zabierając po drodze, co zdołał.
Z nimi wyprząc konie, pomęczone oba,
Wwiódł do stajen i mocno przywiązał u żłoba.

Owsa im zmieszanego z jęczmieniem wsypano,
Po czym wóz postawiono pod błyszczącą ścianą,
A gości na królewskie wiedziono komnaty.

Oni z podziwem patrzą na terem bogaty;
Bowiem jako blask słońca, księżycy miganie
Oczom się ich wydało Atrydy mieszkanie.
A gdy widokiem oczy i serca napaśli,
Do łazien myć się w wannach gładkich obaj zaszli;
Tam ich dziewczki umyły, namaściły ręczo,
Oblókłszy w chiton z wełny, okrywwszy oponczą.

To odbywszy, szli zasiąść przy Atrydzie krzesła.
Zaraz jedna z służebnic złoty kubek wniesła,
A w nim wodę; tę lejąc do miednicy srebrnej
Na ręce, przysunęła im stolik potrzebny.
Poważna też szafarka z zapasy różnymi
Przybywszy, te przysmaki stawiała przed nimi,
A krajczy na kopiastych misach wniósł pieczone
I inne mięsa, czasie podał też złociste.

Wtem Atryd płowowłosy obudwóch powitał:
„Cni goście! Jedzcie smacznie; potem będę pytał,
Gdy się już posilicie, coście to za jedni?
Ród wasz, jak się domyślam, wcale niepośledni,
Idzie od królów, co to z Zeusa się wywodzą,
Z podłej bowiem krwi tacy, jak wy, się nie rodzą”.

To rzekł i sam im podał tłusty comber wołu
Pieczonego — a był to przysmak jego stołu —
Więc do zastawionego dobrali się jadła.
A najadłszy, napiwszy, gdy już chęć odpadła,
Do swego towarzysza, nachylony głową,
Telemach mu na ucho mówił takie słowo:
„Patrzaj no, Nestorydo, patrzaj, serce moje,
Jakim blaskiem spiżowym sieją te pokoje!
Co tu złota, bursztynu, srebra, słoniej kości!
Nie wiem, czy jest świetniejszy dwór Olimpskiej Mości.

Nieprzebrane bogactwa! Aż mi ćmią się oczy”.

Snadź domyślił się Atryd, o czym rzecz się toczy
Między nimi, bo na nich zawołał: „Hej, młodzi!
Niech nikt śmiertelny z Zeusem w zapasy nie chodzi,
Bowiem wieczne są jego dostatki i dwory.
Ze mną rzecz inna; każdy, kto chce, mógłby zbiory
Moje przesadzić lub nie; chociaż się niemało
W ośmioletniej zamorskiej włóczędze zebrało,
Kiedym Fenicję, Egipt, Cypr, a nawet strony
Etyjopskie zwędrował — Eremby, Sydony,
Toż Libię, gdzie jagnięta z rożkami się rodzą,
A owce w ciągu roku trzykroć z płodem chodzą.
Mają tam gospodarze, mają i pasterze
Mięsa dość, brodzą niemal i w mleku, i w serze,
Bo jak rok długi, ciągle doją się maciorki.
Otóż gdym się tam ganiał i ładował worki
Złotem, tutaj tymczasem brata mi zabito
Skrycie, podstępem, w zмовie z nikczemną kobietą!
Jakoż mi to dziedzictwo obmierzłe się stało.
Wolałbym mieć z tych skarbów trzecią częśćkę małą,
Byle żyli ci męże, co na polach Troi
Legli podał od Argos, przyjaciele moi.
Jakkolwiek po nich tęsknię i myślami wodzę,
Przecież po żadnym serce nie płacze tak srodze
Jak po jednym; odbiega sen i chęć do jadła,
Gdy o nim myślę. Komuż cięższa dola padła
Niż Odysowi? Nadeń któż więcej biedował?
Los go stworzył do cierpień samych; mnie zachował
Do smutków po przepadłym, który gdzieś się kryje,
A nie wiemy, czy żyje jeszcze, lub nie żyje.
Pewnie stary Laertes co dzień po nim płacze,
Toż mądra Penelopa, i to nieboracę
Syn Telemach, którego przy piersi zostawił”.

Mówiąc to w taką rzewność gościa swego wprawił,

Że łza w rzęsach zawisła z wspomnieniem rodzica:
Jakoż w płaszcz purpurowy ukrył smętne lica,
Z czego odgadł Menelaj zaraz, kto on taki,
I w głębi duszy sposób układał dwojaki:
Bądź dać mu się wypłakać za straconym ojcem,
Bądź wprzód o tej rzeczy pogadać z mołojcem.
Owoż gdy to roztrząsał w ducha tajemnicy,
Weszła Helena z wonnej wychodząc świetlicy,
Jak Artemida zbrojna w pęki strzał pierzaste.
Zaraz z krzesłem misternym podbiegłaAdraste;
Alkippe jej kobierzec miękkipodesłała,
Filo koszyczekniosła — Helena go miała
Od Alkandry, Polyba żony, co za dawnych
Lat żył w Tebach egipskich, bogactwami sławnych;
On to dwie srebrne wanny, trójnogów po parze,
Talentów dziesięć złotem Meneli dał w darze.
Helenie się od żony dostał dar bogaty:
Złota kądziel i koszyk ów podługowaty
Z srebra plecion, a złotą obciążnion obwódka.
Filo go postawiła przed nią tuż, bliziutko,
A w tym koszyku motków przędzy było pełno,
Na wierzchu była kądziel z fijołkową wełną.
Helena więc usiadłszy wsparła nogi obie
Na podnóżku, pytając męża w tym sposobie:
„Czy wiemy, Menelaju, jaki ród tych gości,
Co przyszli w domu naszym szukać gościnności?
Myleż się lub nie mylę — lecz czuję to przecie,
Że dwóch mężczyzn, dwóch kobiet nie spotkałam w świecie
Tak podobnych do siebie — dziw to niesłychany! —
Jak ten oto młodzieniec, u nas tu nie znany,
Z Telemachem, Odysa synem, podobniutki.
Pamiętam, on przy piersi był wtedy malutki,
Kiedy z wami, Achiwy, w kraj daleki Troi
Odys szedł krew przelewać gwoli hańby mojej”.

Na to płowokędziorny odrzekł jej Atryda:
„To, co z domysłów mówisz, mnie prawdą się wyda:
Takie ręce i nogi, tak oczy patrzące
Miał Odys, a i takie włosy się kręcące.
Toż gdym przed chwilą wspomniał tu Odyseusza
I mówił, jakie trudy niezłomna ta dusza
Zniosła dla mnie, aż oto łza mu z oka kanie,
I w purpurowym płaszczu ukrył pomieszanie”.
Na to mu Nestoryda Pejsistrat powiedział:
„Atrydo Menelaju! Królu! Ot, byś wiedział,
Że to syn Odyseja, syn jego prawdziwy;
Lecz boi się uchybić, przeto tak wstydlivy
I nie chce, kiedy mówisz, przerwać obcesowo,
Taką mu radość wlewa boskie twoje słowo.
Mnie tutaj posłał Nestor, ten ojciec mój drogi,
Abym mu towarzyszył w domu twego progi,
Gdzie ojca przyszedł szukać tak w słowie, jak w czynie;
Bo dziecko cierpi dużo, gdy ojciec mu zginie,
A sierotę opuszczą przyjaciele domu,
Jak Telemacha. Ojca nie ma on, nikomu
Nie chce się ująć za nim, by odwrócić ciosy”.

Na to znów Menelaos odrzekł płowowłosy:
„Prze bogi! Toż mym gościem syn wielkiego męża,
Co za mnie w tylu bitwach dobywał oręża!
Jam go chciał za powrotem nad wszystkie Achiwy
Osypać, gdyby morzem powrót nasz szczęśliwy
Obudwom był zachował Zeus, bóg gromowładny.
W Argos miałem mu miasto, dwór zbudować ładny,
A z Itaki dobytek i syna sprowadzić
I ludność stamtąd zabrać i w mieście osadzić,
Wyprzątnąwszy najbliższe, co berłu mojemu
Podlega. Jakże by to sprzyjało częstemu
Widywaniu się z sobą, by ten węzeł święty,
Który nas łączył, nigdy nie był już rozcięty,

Chyba śmiercią, gdy obu wtrąci w cień ponury.
Lecz szczęścia tego bóg mi pozazdrościł który,
Gdy jemu do powrotu pozamykał wrota”.

To rzekł, i wszystkich rzewna objęła tęsknota;
W płacz Helena Argejka, a córą Kroniona;
W płacz Telemach; Meneli żrenica zwilżona
Także łzą; łza się kręci w oku Pejsistrata,
Bo w duszy cień mu stanął Antilocha, brata,
Co go syn zamordował Eosy świetlanej!...
O nim myślał i mówił, choć niezagabany:
„Atrydo! Ciebie Nestor w najmądrzejszych rzędzie
Zawsze kładł i obstawał tak w domu, jak wszędzie.
Gdziekolwiek między nami rzecz o tobie była;
Przeto powiem ci szczerze, że mi się zmierzila
Ta płaczliwa wieczerza: wszak i jutro wstanie
Słońce dla nas. Aczkolwiek bynajmniej nie ganię,
Kiedy kto oplakuje swego nieboszczyka.
Zaszczyt też to jedyny, co zmarłych spotyka.
Że po nich włosy strzygą i łzy leją żywi.
Wszak i jam brata stradał. znali go Achiwi;
Był jeden z lepszych, pewnie znałeś go choć trocha.
Jam go nie znał; lecz wszyscy chwałą Antilocha.
Że do biegu i kopii był nieporównany”.

Na to mu Menelaos odrzekł: „Mój kochany!
Mówisz dobrze, już lepiej i mędrzec nic powie.
Nie zawsze się tak uda nawet i starcowi.
Po takim ojcu nic dziw, że syn mówi k'rzeczy.
Zaraz poznać krew męża, którego w swej pieczy
Zeus miał i błogosławił mu od urodzenia.
Toż w małżeństwie, i teraz łaski swej nie zmienia.
Gdy starość jego w takie pociechy ubierze
Jak syny mądre, sławne oszczepem szermierze.
Zabądźmy więc na teraz tych płaczów i nędzy;
Lepiej pobiesiadować. Hej! Dajcie co prędzej

Wody na ręce; jutro czas upatrzym sobie
Pomówić z Telemachem o naszej żałobie”.

Rzekł — i Asfalion ręce wodą mu polewał,
Gorliwie on Atrydę swego obsługiwał.

Po czym wszyscy obsiedli zastawną biesiadę.
Wtem Helena skoczywszy do głowy po radę
Pijącym przymieszała czar taki do wina,
Że gniewów, smutków, zgryzot przeszłych zapomina,
Kiedy kto pokosztuje z zaprawnego kruża.
W dzień ten nigdy łza w oku nie stanie mu duża,
Choćby drogiego ojca i matkę pochował;
Nigdy, choćby kto miednym mieczem zamordował
Brata mu albo syna, przed jego obliczem —
Taki to czar był, napój niezrównany z niczem!
Dostała go Helena od Tona małżonki,
Polydamny, w Egipcie, gdzie ziemia korzonki
Osobliwe wydaje na leki lub trutki:
Toż każdy tam znachorem nie z innej pobudki,
Tylko że zna te leki — istny ród Pajona.
Jakoż czar przymieszawszy, rozkazała ona
Podawać go i w słodkiej ozwała się mowie:
„Atrydo Menelaju! A i wy, synowie
Mężnych ojców! Zeus zwykle rozdaje na przemian
Raz złe, raz dobre, jako pan wszechwładny ziemian;
Przeto mając przed sobą tę oto wieczerzę,
Jedzcie i gwarzcie, ja wam za to coś powierzę.
Nie myślę wszystkich bojów z początku do końca
Wyliczać, w których walczył Odys, nasz obrońca,
Tam na ziemi trojańskiej, dla Greków tak wrażej.
Raz on sam się umyślnie poranił po twarzy,
A zarzuciwszy lachman jakiegoś tam ciury,
W sam rój swych nieprzyjaciół wkradł się w miasta mury
I udawał żebraka. Któż by podejrzewał
W nim hetmana, co z Greki na nawach przybywał?

Tak więc wszedł między Trojan i był niepoznany —
Jam go jedna poznała mimo tej odmiany;
Ciągnę z niego — na próżno! Wykręty miał chytne.
Lecz gdy w łaźni go skąpię i oliwą wytrę,
Szaty dam i przysięgnę na wszystkie świętości,
Nie pierw rozgłosić w mieście o jego bytności,
Póki nie wróci do naw i namiotów greckich —
Dopiero mi się zwierzył z zamiarów zdradzieckich.
Potem łbów on trojańskich siłą z karku zrzucił
I dostawszy języka, cało do swych wrócił.
W Ilijonie płacz niewiast rozległ się żałosny,
Tylko jam się cieszyła — bo już mi nieznośny
Stał się pobyt wśród cudzych; płakałam jak dziecko
Po domu; złorzeczyłam samej Afrodycie,
Że mnie od swoich w obcą zagnała tu stronę,
Matkę córce, mężowi z łoża biorąc żonę;
A mąż ten i rozumem, i kształtem wyborny!”
Na to jej Menelaos rzekł płowokędziorny:
„Zaprawdę, powieść twoja, Heleno, jest szczera.
Znało się niejednego w życiu bohatera
Czyny i myśl — po świecie daleko bywałem —
Lecz takiego, jak on był, nigdy nie spotkałem
Męża, który by nosił serce tak niezłomne.
Dość, gdy niebezpieczeństwa i śmiałość przypomnę,
Kiedyśmy wszyscy wodze w koniu wydrażonym
Siedzieli, jak wiszący grom nad Ilijonem.
Wtedy tyś przyszła. Pewnie zły duch ci to szeptał,
Co chciał, żeby Trojanin pobił nas i zdeptał.
Przyszłaś — Deifob przyszedł, pomnę, z tobą społem:
Trzykroć naszą kryjówkę obeszlście kołem;
Macałaś, wyzywałaś różnymi imiony
Wodzów greckich, udając głos każdego żony.
W środku konia jam siedział, Tydyd, Odys trzeci;
Wtem słyszymy, a z zewnątrz twój głos nas doleci.

Obaśmy się zerwali, wyskoczyć gotowi
Z tej kryjówki i boki rozsadzić koniowi
Lub odezwać się na głos, lecz Odys nas wstrzymał;
Pohamował i innych, choć ten, ów się zżymał...
Antiklos tylko gwałtem chciał dać znak o sobie,
Lecz Odys go pochwycił zaraz w bary obie,
Gębę zatkał... Przytomność ta nas ocaliła.
Szczęściem Atene z miejsc tych cię uprowadziła”.

Jemu na to Telemach z odpowiedzią śpieszy:
„Atrydo Menelaju, boski wodzu rzeszy!
Tym przykrzej, że mąż taki, chociaż w piersi nosił
Z spiżu serce, od śmierci on się nie wyprosił!
Lecz czas nam do łóżnicy, spoczynek już zda się:
A pokrzepienie w samym znajdziemy wywczasie”.

To rzekł. Helena zwoła swoje służebnice;
Każe w przysionku wnosić wspaniałe łóżnice,
Purpurowe podściółki, znów kobierce dziane,
I do przykrycia płaszcze sposobić wełniane.
One wyszły, trzymając płonące pochodnie,
I zwinęły się żwawo, ścieląc im wygodnie.
Keryks zaś Telemacha i syna Nestora
Odprowadził, i spali tam w przysionku dwora.
Zaś Atryda spał wewnątrz zamkowych pokoi
Przy najpiękniejszej z niewiast, przy Helenie swojej.

Gdy na niebie różane zbudziły się zorze,
Grzmigłos Menelaj naraz porzucił swe łoże.
Wdział szaty, a przez ramię zawiesił miecz srogi,
A i w kształtne postoły opiał jasne nogi;
I wyszedłszy z swych komnat, piękny jak bóg który,
Usiadł przy Telemachu i pytał go z góry:
„Po co, powiedz, przybyłeś w te odległe strony
Przez morskich wód obszary, do Lakedajmony?
W sprawie ludu, czy swojej przybyłeś? Mów szczerze!”

Więc roztropny młodzieniec po nim głos zabierze:

„Atrydo Menelaju, władco ludów boski!
Przyszedłem tu o ojcu pozbierać pogłoski.
DobYTEK mój zniszczony, spustoszone łany,
Wrażych gości dom pełen, biją mi barany,
Biją kozy, rzną stada ciężkonogich byków
Te gachy mojej matki, hurma najeźdźników.
Przeto błagam cię, nisko do kolan się kłonię:
Powiedz mi, co o ojca mojego wiesz zgonie?
Byłeś świadkiem? Czy jaki mówił ci wędrowiec?
On się rodził, by cierpieć, wiem ja to — lecz powiedz
Po prostu, bez ogródki, jak widziały oczy.
Błagam cię! Jeśli kiedy do usług ochoczy
Ojciec mój ci usłużył czynem albo mową
Pod Troją, gdzie i głodno było, i niezdrowo,
W imię zasług zaklinam, powiedz wszystko wiernie”.

Na to rzekł Menelaos, wzruszon niepomiernie:
„O bogi! Czyżby w łóżce bohatera tacy
Wedrzeć się mieli tchórze podli i ładacy?!
Podobnie w lwiej komyszy, jeśli złoży łania
Parę młodych, co ledwo nawykły do ssania,
A sama w góry pójdzie na bujne pastwisko,
Lew tymczasem wróciwszy w swoje legowisko
Z obudwóch tych jelonków zrobi parę łyków —
To samo od Odysa spotka tych nędźników!
Czej mu kiedyś Zeus-ojciec, Atene, Apollo,
W tej postaci jak niegdyś na Lesbie pozwolą
Stanąć, gdy szedł w zapaśny bój z Filomelidem
I Achiwom dał triumf, jego zgniótł ze wstydem —
Niechby się w tej postaci przed gachami zjawił.
Odsądziłby od żony i wszystkich podławił.
To zaś, o co mnie pytać przyszedłeś na dobre,
Bez ogródki, jak było, wręcz opowiem tobie,
Wszystko, co boski staruch kiedyś mi powiedział.
Nic z tego nie zataję, wszystko będziesz wiedział.

W Egipcie tam, acz bardzo do domu się rwałem,
Bogi mnie zahaczyły za to, że nie dałem
Powinnych ofiar. Źle jest bogów ważyć lekko!
Tam wśród morza ostrówek leży, niedaleko
Od ujścia rzeki, Faros ludzie go nazwali;
Od rzeki leży na dzień żeglugi, nie dalej,
Zwłaszcza gdy wiatr pomyślny żegludze tej sprzyja.
Jest tam przystań, i żaden okręt jej nie mija,
By nabrać świeżej wody i dalej pruć fale.
W przystani tej dwadzieścia stałem dni, gdyż wcale
Wiatru dobrego-m nie miał, by puścić okręty
I przerzynać się nimi przez morskie odmęty.
Wnet by nam było jadła i serca nie stało,
Aż z bóstw jedno z tej cieśni nas wyratowało.
Była to Ejdotea, córka Proteusza,
Władcy mórz, którą widok nędzy mojej wzrusza.
Ona, gdym się raz odbił od mego narodu,
Co rozległ się po wyspie, trapiiony od głodu,
Szukać jadła lub ryby na wędę tam łowić —
Ona zbliży się do mnie, by wdzięcznie pozdrowić,
I rzekła. — Jesteś dziecko czy człek lekkomyślny,
Czy też leniuch już taki, aby na umyślny
Głód się skazać i nie móc rzucić wyspy nagiej,
Nim twoich ludzi reszta odbieży odwagi? —
Na to jam odpowiedział w tych słowach bogini:
— Jeśliś bóstwem, niech twoja mądrość mnie nie wini,
Bo tu z chęci nie siedzę i pewnie bym śpieszył,
Gdybym był względem bogów coś tam nie nagrzeszył.
Przeto mów — nieśmiertelnym tajnego nic nie ma —
Który bóg na tej wyspie w uwięzi mnie trzyma,
I w jaki sposób mógłbym odpłynąć do domu? —
Tom rzekł; ona pochwyci prędko: — Jeśli komu,
Li tobie, cudzoziemcze, prawdę całą powiem:
Tu włada morski staruch nad onym ostrowiem,

Proteusz, bóg egipski, co morskich wód łona
Zna wszystkie, najwierniejszy sługa Posejdona.
Choć mój ojciec, rzecz skrytą o nim ci udzię:
Dostań go w swoje ręce przez pewne fortele,
A on ci wskaże drogę, da środki niechybne,
Byś mógł doma powrócić przez te szlaki rybne...
Przy tym wielkie u Zeusa ma on zachowanie.
Gdybyś go chciał zapytać, wywróżyć ci w stanie,
Co złego lub dobrego zaszło w twoim gnieździe,
Kiedys tu do nas w swojej zapędził się jeździe.

To rzekłszy, odpowiedzi mojej pilnie słucha;
Więc mówię: — Wskaż, jak złapać morskiego starucha,
Aby się nie wysliznął, widząc mnie z daleka.
Nielatwo da się bożek pochwycić przez człeka. —
Tak mówiłem; boginka zaś odpowiedziała:
Gościu mój! Tobie prawda należy się cała;
Więc gdy słońce w południe szczyt nieba dogoni,
Niemylnie bożek morski wypływa z wód toni,
Pod wiatru tchnieniem odzian w bałwan skędzierzony,
I spać idzie w pieczarze w skale wydrążonej;
Plemię zaś Halosydny, rój pletwistych foków,
Z wód wyszedłszy zalega z obu jego boków
I morskimi wyziewy zasmradza powietrze.
Ja cię tam zaprowadzę, skoro świt się przetrze,
I umieszczę wraz z nimi. Teraz rzeczą twoją
Trzech z okrętów wziąć chłopów, co się nic nie boją,
Bo ten staruch fortele ma zadziwiające:
Naprzód idzie rachować foki w rząd leżące,
A gdy je tak obejrzał i zliczył piątkami,
Sam kładzie się jak pastuch pomiędzy owcami.
Jakoż gdy obaczycie, że usnął na dobre,
Powstać, w bary go schwycić żyłaste i chrobre
I dzierżyć! On się będzie wymykał na próżno —
Bo czarownik, przywdzieje na się postać różną:

Co na ziemi, co w wodzie lub co w ogniu żyje —
Śmiało tylko, a cisnąć, chociaż jak się wije!
Lecz gdy do was zagada w postaci tej samej
Jak leżał snem zmorzony w głębi onej jamy,
Wtedy puszczaj starucha, bo już się ukorzy,
I pytaj: który z bogów na ciebie się sroży
I jak przez rybne szlaki wrócisz w swoje strony? —
To powiedziawszy, w bałwan wskoczyła spiętrzony,
Ja zaś na brzeg piaszczysty szedłem, gdzie miał łódzie,
I tysiąc dziwnych myśli duszę mi przebodzie.
Gdym stanął przy mych nawach, tam, u wód zwierciadła,
Nastąpiła wieczera; wonna noc zapadła
I na szumiącym brzegu legliśmy pokotem.
A gdy poranna Zorza zbudziła się potem,
Chodziłem wzdłuż wybrzeża nad morską roztoczą
I modliłem się bogom. Z moich — trzech ochoczo
Poszło za mną, a każdy zuch wielki i cięty.
Tymczasem Ejdotea pornąwszy odmęty
Morskie wyniosła stamtąd cztery focze skóry
Świeżo zdjęte; zasadzkę obmyśliła z góry;
I dla każdego dołek wygrzebawszy w piasku,
Siadła nas oczekując. Zszedłem ją o brzasku.
Ona w doły nas kładzie i skórą okrywa.
Czatujemy — lecz męka była to straszliwa!
Bo z fok tłustych okropnie dusił tran smrodliwy:
W sąsiedztwie tych potworów nie dotrwa nikt żywy!
Lecz boginka sposobik znalazła w potrzebie:
Dała wachać ambrozję używaną w niebie;
Jej wonie brzydki wyziew zupełnie rozwiały;
I w cierpliwym czekaniu przeszedł ranek cały.
Tymczasem stada foków wylaziły z wody
I rzędem na wybrzeżu kładły się jak kłody.
W południe boski staruch z ciemnych wód łożyska
Wyszedł, policzył foki, obejrzał je z bliska.

Nas również za potwory liczył, a o zdradzie
Nic się nie domyślając, obok fok się kładzie.
Naraz rwiemy się z wrzaskiem; opasujem śmieie
Bożka ramiona. Lecz on ma swoje fortele:
Najprzód lew się zeń zrobił grzywiasty, a z tego
W rysia się zmienił, w dzika, w smoka skrzydlatego,
Już drzewem w obłok strzelił, już jak woda płynął.
Dzierżym go, bo ramieniem każdy go owinął,
Aż i zdał się nareszcie, choć miał takie czary,
I zapytał mnie, głosem zwyczajnym, ten stary:
— Który ci to poradził z niebian, mój Atrydzie,
Żebyś mnie wziął podstępem? Mów, o co ci idzie? —
To rzekł staruch — jam na to jemu odpowiedział:
— Kryjesz się niepotrzebnie, jakbyś sam nie wiedział,
Że tak długo na wyspie siedzę tu bezludnej,
Głowę tracąc, by z matni wydobyć się trudnej.
Przeto mów, nieśmiertelnym każda rzecz wiadoma:
Jak przez rybny gościniec mógłbym wrócić doma? —
Powiedziałem — i on też z odpowiedzią śpieszył:
— Nie wiesz-li, żeś Zeusowi i bogom nagrzeszył,
Skąpiąc im hekatombę na samym odjeździe,
Byś rychło i szczęśliwie stanął w własnym gnieździe?
Póty bowiem nie ujrzysz — wyrok niecofniony —
Ni rodziny, ni domu, ni kochanej żony,
Póki w Egipcie nie wrócisz i nad brzegiem rzeki
Nie zjednasz hekatombą u bogów opieki,
U bogów tych tam w niebie; błagaj je obiatą,
Oni podróż pomyślną morzem dadzą-ć za to. —
Staruch skończył, mnie serce aż krajał ból srogi,
Gdy mi kazał się wracać do Egiptu z drogi
Tak daleko i morzem takim niebezpiecznym!
Jednak w mej odpowiedzi nie byłem mu sprzecznym:
— Dobrze, mój starcze, woli twojej się dogodzi,
Tylko mów czystą prawdę, bo o nią mi chodzi:

Mów, czy wszyscy Achiwi bez szwanku wrócili,
Ci, których my z Nestorem w Troi zostawili,
Czy też umarł z nich który czasu tej żeglugi,
Czy wśród swoich, gdy wrócił z tej wojny tak długiej? —

To rzekłem, a w odpowiedź takim słowa schwytał:
— Czemu mnie o to pytasz? Lepiej byś nie pytał,
Żebyś, co wiem, wygadał; bo gdy ci odsłonię,
I łzami się zalejesz, i załamiesz dłonie.
Słuchaj! Wielu z nich żyje, wielu już ubyło:
I tak, dwóch, co knemidnym Grekom hetmaniło,
Śmierć znalazło w powrocie; ty staczałeś bitwy.
Jeden gdzieś tam odprawia znów morskie gonitwy,
Ajas z swymi okręty dno morskie zgruntował.
Zrazu wprawdzie Posejdon rozbitka ratował
Z toni morskich w pobliżu gyrejskiej opoki,
I na wrogu Pallady może by wyroki
Straszne się nie spełniły, gdyby w chępcie swojej
Nie był bogom nabluznił, że się ich nie boi.
Lecz Posejdon usłyszał bluźnierstwo pyszałka;
W srogą pięść schwycił trójzęb, i spadła ta pałka
Na skałę Gyry, która pękła w dwa kawały:
Pół zostało, pół drugie odszczypanej skały
Runęło wraz z Ajasem, który bluźnił niebu;
Wzburzony go ocean schłonał bez pogrzebu.
Tak skończył Ajas, wodą zalawszy się słoną.
Twój brat przed tej bogini mstą nienasyconą
Uszedł wprawdzie na sudnach, broniła go Hera,
Lecz gdy już do przylądka Malei dociera,
Porwała go wichura i niosła z okręty
Jęczącego, daleko, w wielkich mórz odmęty,
Ku wybrzeżom, gdzie Thyest żył czasy dawnymi,
Potem Ajgist, syn jego — w ostatni krańc ziemi.
Tu już myślał, że jego nieszczęścia się skończą,
Gdyż bóstwa odwróciły wicher, a on ręczo

Gnał do dom. Oj, radośnież na ziemię ojczystą
Wyskoczył, ucałował, skropił łzą rześistą,
I poił się widokiem znanej okolicy.
Aż wtem stróż go dopatrzył z wysokiej strażnicy,
Gdzie go Ajgist osadził, dwa talenty w złocie
Przyrzekł, gdy o Atrydy da mu znać powrocie,
I rok cały wartował, by niespodziewanie
Nie wpadł, bo byłby sprawił wielkie krwi rozlanie.
Jakoż pobiegł na zamek, dał znać Ajgistowi;
Ten fortelem Atrydę sprzątnąć postanowi:
Dwudziestu chłopów dobrał, ukrył w głębi dworu,
A gdy kazał sprawić sute, dla pozoru;
Sam zaś Agamemnona i konno, i woźno
Jechał witać, zasadzkę uknuwszy nań groźną.
Więc gościa tak ufnego w dom zaprosił sobie
I z nim godując, zarznął jak wołu przy żłobie.
Nikt z ludzi Atrydowych nie wyszedł tam cało,
Nikt z Ajgistowych; wszystko się wymordowało. —
Skończył, a we mnie serce pękało na ćwierci.
Siadłem, głośno szlochając i wzywając śmierci
Jak zbawienia; Heliosa nie znośm blasku.
A gdym się tak wypłakał, ból wytarzał w piasku,
Znowu do mnie przemówił ów staruch wrózebnny:
— Pohamuj łzy, Atrydo; ten płacz niepotrzebny,
Doli swej nie naprawisz łzami. Raczej siły
Zbierz, byś prędzej powrócił do ojczyzny milej.
Może zbójcę zastaniesz, a może już katem
Stał się dla niego Orest; pogrzebiesz go zatem. —
Tak gdy mówił, męskiego w pierś wpędził mi ducha.
I w serce bólem strute wstąpiła otucha,
Żem pytał, chcąc co więcej usłyszeć od niego:
— Już wiem, co dwóch spotkało; jakież los trzeciego?
Czy go żywcem na morskim pustkowiu kto trzyma?
Nie taj mi smutnej prawdy. Mów, czy go już nie ma? —

To rzekłem, a z ust starca wyszła mowa taka:
— Trzeci to syn Laerta, gniazdem mu Itaka.
Widziałem go na jednej wyspie; płakał rzewnie
Tam, u nimfy Kalypsy; nie puszcza go pewnie
Ta pani, choć po domu w tęsknicy się skwarzy,
Bo na pustce tej nie ma łodzi ni wiosłarzy,
Żeby się przez fal grzbiety mógł dostać do siebie.
Lecz, Menelaju, Zeusa kochanku, dla ciebie
Śmierci wyroku nie ma w Argos koniorodnym.
Bogowie cię siedliskiem kiedyś uczczą godnym:
Poślą na kraniec ziemi, w Elizejskie Pola,
Gdzie rudy Radamantys mieszka. Tam cię dola
Czeka błoga: bo życie lekko tam upływa,
Nigdy śniegu, zamieci, nawałnic nie bywa;
Ciągłe miły tam Zefir dmucha od zachodu,
Ocean go posyła; w skwar użycza chłodu.
Tam pójdziesz, bo Helena jest małżonką twoją;
O ciebie, zięciu Zeusa, bogi bardzo stoją. —

To rzekłszy wraz się rzucił w szumiące głębiny,
A ja szedłem do łodzi z garstką mej drużyny.
Po drodze myśli grały w wzburzonej mi duszy,
A gdym przyszedł, gdzie stała łódź moja na suszy,
Zgotowano wieczerzę; noc zapadła potem,
I spać my polegali na brzegu pokotem.

Nazajutrz, gdy rumiane zbudziły się zorze,
Jęli my się spychania naw na święte morze;
Nuż maszty wbijać, żagle rozpinać na nawach —
Sami wreszcie w nie wszedłszy, rzędami na ławach
Usiądziem, w sine nurty bijemy wiosłami.
Tak do rzeki Ajgyptos syconej deszczami
Przypłynąwszy, złożyłem stuwolną ofiarę
I bogi-m zbłagał, co mnie skazały na karę;
Nareszcie pamięć brata uczciłem mogiłą.
Tego więc dopełniwszy, miałem odtąd miłą

Drogę do dom; bo wiatry pomyślne mi wiały
I szybko do ojczyzny żagle nasze gnały.

Ty zaś na moim dworze baw jeszcze w gościnie,
Póki dni jedenaście, dwanaście nie minie;
Wtedy sam cię odeślę, uczczę podarunkiem,
Dam toczony rydwanik, trzy konie z rynsztunkiem,
Przy tym misterną czaszę, byś z niej obiatował
Bogom, a o mnie pamięć stateczną zachował”.

Na to mu tak roztropny młodzian odpowiedział:
„Nie nalegaj, Atrydo, bym dłużej tu siedział!
Zaprawdę, i rok cały przesiedziałbym chętnie
Bez tęsknoty do domu, tak mi tu ponętnie
Słuchać twych pogawędek i różnych powieści,
Że radość stąd zaledwie w sercu się pomieści.
Lecz moi towarzysze, których-em zostawił
W Pylos, stęskniliby się, gdybym dłużej bawił.
Co zaś do upominku, przyjmę jaki taki
I schowam; jedno nie wiem, po co do Itaki
Brałbym konie; twych stajen są one okrasą,
Tu w równiach potrzebniejsze i dobrze się pasą
Na koniczu, ostryżu, orkiszu, pszenicy,
Na wąsatych jęczmionach, gdy w mojej ziemiicy
Nie ma ni takich równin, ni pastewnych błoni;
Itaka dla kóz tylko, nie dla chowu koni.
Jednak ją lubię; zgoła na żadnym ostrowie
Chów koni, dla łąk braku i dróg, nie odpowie:
Z wszystkich najmniej skalista Itaka”. Gdy skończył,
Grzmigłos Menelaj uśmiech do swych słów dołączył
I mówił gładząc ręką młodzieńca po głowie:
w „Dobra krew w tobie, chłopcze; znać to w każdym słowie.
Podarunki ci zmienię chętnie; stać mnie na to:
W mym skarbcu jest wszystkiego suto i bogato,
Łatwo się najpiękniejszy podarek wybierze.
Myślę o tym misternej roboty kraterze

Z srebra kutym z obwódka złotą — sławnym dziele
Hefajsta. Król Sydonu lat temu już wiele
Fajdim mi go darował, gdy czasu podróży
Wstąpiłem doń w gościnę — niechże tobie służy”.
Tak tam obaj gwarzyli z sobą.

A tymczasem

Przed zamkiem Odysowym gachowie z hałasem
Zabawiali się, kręgi ciskając i groty
Na majdanie, gdzie często broili pustoty.
Zaś Antinoj, Eurymach, jak bożkowie jacy
Siedzieli, wodze gachów, najtężsi junacy.

Wtem Noemon, syn Fronia, przystąpił k'siedzącym,
Zagabnął Antinoja słowem pytającym:

„Czy wiesz co, Antinoju, lub nie wiesz nic o tem,
Kiedy z Pylos Telemach będzie tu z powrotem?
Wziął mi łódź, a łódź teraz mnie samemu zda się,
Bo mam jechać na łąki w Elis, gdzie się pasie
Moich dwanaście klaczy z mulnymi źrebaki;
Jednego z nich sprowadzić chciałem do Itaki”,

Ci zdumieli się słysząc, że w Pylos Nelejskie
Odprawił się Telemach — pewni, że go wiejskie
Zatrzymują uciechy wśród trzód i pasterzy!
Na to Antinoj, chociaż wieści tej nie wierzy:
„Mów prawdę: kiedy odbił? Skąd wziął towarzyszy?
Czy ochotników, dworską czeladź, czy przybyszy
Nabrał na tę wyprawę tak zręcznie ukrytą?
Opowiedz z szczegółami, wiedzieć trzeba mi to.
A czy biorąc od ciebie statek gwałtu użył?
Czy dobrowolnie dałeś, kiedy cię odurzył?”

Na to Noemon tak mu całą rzecz tłumaczy:
„Sam łódź dałem i nikt by nie zrobił inaczej,
Proszony od człowieka będącego w smutku;
Trudno jest taką prośbę zostawić bez skutku.

Poszli też z nim najtęższe zuchy naszej młodzi;
Nad wszystkimi jest sternik Mentor — on dowodzi
Okretem lub bóg jaki, bo miał bożka postać.
Lecz dziw mi, kędy mógł on nazad się tu dostać,
Odpłynąwszy do Pylos? Jam go spotkał wczora”.

To rzekł i w dom ojcowski powrócił.

Jak zmora

Gniew siadł na butnych duszach obu zalotników.
Wraz kazali zaniechać igraszek i krzyków
Gachom, których zwoławszy posadzili wkoło.
Antinoj, syn Eupejta, rzekł im niewesoło:
„Przebóg! Wielkiego dzieła dokonał zuchwale
Telemach, bo odjechał. Nie marzyłem wcale,
By ten zamiar się udał. Uszedł — zażartował!
Dzieciuch ma okręt; młódź nam najtęższą zwerbował!
Brońże nas, Zeusie! Wzmógł się i zacznie nas trapić;
Ale nim nas podepce, daj mu pierwszej skapieć!
Lecz łodzi mi potrzeba z dwudziestoma chwyty:
Będzie wracał — ja sam się wyprawię na czaty,
Stanę między Itaką a Samos, w przesmyku;
Za to szukanie ojca zapłacisz, młodziku!”

Jego mowie przyklasło gachów zgromadzenie
I rzuciło się tłumem w zamkowe podsienie.
Prędko do Penelopy doszły te posłuchy,
Jakie tam zdrady knuli w skrytości złe duchy.
Wydał ich Medon, keryks, który był za ścianą,
Gdy na dziedzińcu o tej zdradzie rozmawiano.
Wraz też wieść tę chwyciwszy zaniósł do królowej.
Ona, gdy próg przestąpił, zagabła go słowy:
„Keryksie, z czymże pyszni ślą cię tu junacy:
Czy z rozkazem do niewiast Odysa, by pracy
Zaniechały, a dla nich warzyły wieczerzę?
O, niech się już ta zgraja nigdy tu nie zbierze
I niech już kęs ostatni nasyci te gardła.

Wszak codzienna hulanka do reszty pożarła,
Co tylko miał Telemach! Któż za lat dziecinnych
Nie słyszał z was od ojców, albo i od innych,
Jak Odysej dla ludu był wylanym zawsze;
Że jak czyny, tak słowa miał dlań najłaskawsze
I nikogo nie skrzywdził; choć królów rozkoszą,
Gdy jednych w proch ścierają, drugich z prochu wznoszą.
Lecz mój Odys za ślepym nie szedł urojeniem.
Tylko u was niedobrze dzieje się z sumieniem,
Gdy za tyle dobrodziejstw niewdzięczność zapłatą”.

Cny i roztropny Medon rzekł pani swej na to:
„Królowo! Zło to wielkie, lecz może być gorzej.
Do gorszego ta zgraja gachów się przyłoży,
Knując spiski; niech Zeus nas od tego zachowa!
Od nich w niebezpieczeństwie syna twego głowa
Może popaść w powrocie, gdyż powiem otwarcie,
Że do Pylos pojechał, a miał być i w Sparcie,
By się zwiedzieć o ojcu”.

Rzekł — a pod nią nogi
Zatrzęsły się, drży serce, usta ściał ból srogi,
We łzach oczy pływały — co słowo, to łkała,
Aż w końcu ochłonąwszy tak mu powiedziała:

„Mów, Medonie, i na co jemu te podróże?
Co go zmusza na okręt wsiadać, krajać duże
Obszary tymi końmi, co fal depcą grzbiety —
By nawet imię zgasło z nim razem, niestety!”

Odrzekł jej na to Medon, ów keryks roztropny:
„Nie wiem, czy bóg go natchnął, czy sam był pochopny
Do jazdy, by się zwiedzieć o ojcu w Pylosie,
Znaleźć go, lub o jego wiecznie zwątpić losie”.

To rzekłszy, w Odysowe pośpieszył mieszkanie.
Królową smutek przygniótł, że nie jest już w stanie
Ani usiąść na krzesłach — w izbie ich niemało —
Tylko upaść na progu na poły omdlałą

I zawodzącą płaczem. Dokoła niej panny
Zbiegły się zewsząd, wszczeły lament nieustanny
Wszystkie, co w domu służą, młode i podżyłe.
A Penelopa rzekła łkając: „Panny miłe!
Wiecie wy, że mnie jedną w świecie z niewiast mnóstwa
Wybrały na ofiarę nieszczęść same bóstwa.
Naprzód stradałam męża. Lew to był prawdziwy,
Każdą cnotą górował nad wszystkie Achiwy.
Teraz mi jedynaka wichur porwał z domu,
Bez sławy — i odjechał matkę po kryjomu.
Nieszczęsne! Czy mogliście mieć serce ze skały
I nie zbudzić mnie ze snu, kiedyście wiedziały,
Że syn mój w noc odpływa na czarnym okręcie?
Gdybym była odgadła takie przedsięwzięcie,
Jego serce łom matki by się nie oparło —
Zostałby — lub odjechał w domu mnie umarłą.
A teraz mi starego sługi wołać żwawo,
Doliosa, co go ojciec dał mi był z wyprawą.
Dziś pilnuje on sadu; niech śpiesznie doniesie
Laertowi o wszystkim, co u nas dzieje się.
Może on nam da radę jaką w tej niedoli,
Przemową ich powściągnie od onej swawoli
Spikniętej tak na niego jak Odysa plemię”.
Na to jej Eurykleja niańka: „Zabij-że mnie,
O córko! — rzekła — mieczem wywlecze ze mnie duszę,
Lub zostaw żywą. Wszystko powiedzieć ci muszę.
Wiedziałam o odjeździe, wina i żywności
Dałam w drogę, przysięgałam na wszystkie świętości
Wpierw nie pisać ci, aż dwanaście dni minie;
Chyba byś zatęskniła bardzo po twym synie,
Lub kto zdradził wyjazdu jego tajemnicę.
Bo on nie chciał, byś ciąglą łzą szpeciła lice.
Teraz radzę, weź kąpiel, oblecz białe szaty
I z pannami do górnej udaj się komnaty.

Tam pomódl się do córy wielkiego Diosa.
Ona mu z głowy strącić nie da ani włosa,
Byleś smutnego starca nie smuciła bardziej.
Bogi na Arkejsjada ród nie są tak twardzi;
Przyjdzie taki, co gmachu tego szczyt podeprze,
I na te żyzne łany przyjdą czasy lepsze”.

Ta mowa żal jej koi, z łez osusza oczy,
Królowa po kąpieli w białe się oblóczy
Szaty. Idzie do komnat, grono niewiast przy niej —
Święty jęczmień ma w króbcie — modli się bogini:
„Córo egidowładcy, usłysz mnie, niezłomna!
Niegdyś w tym samym zamku mąż mój — czyś niepomna
Jak żertwował ci tłuste woły i barany!
Pomnij to i nie dopuść, by ginął kochany
Syn mój — natomiast zetrzyj gachy darmozjady!”

Mówiąc szlochała; płacz jej doszedł do Pallady.
Tymczasem gachy w izbie wszczęli zgiełk okrutny,
A któryś z tej gawiedzi krzyknął, młokos butny:
„Snadź się już do wesela sposobi królowa,
A nie wie, że na gardło synaczka jej zmowa”.

Tak gwarzyli nie wiedząc, co tam bóg przeznaczy;
Wtem Antinoj przemówił do rzeszy junaczej:
„Powstrzymajcie języki wasze, o szaleni!
Nie wiecież, że tu w domu możem być zdradzeni?
Milczkiem stąd się wynosić i brać się do dzieła,
Na które jednogłośnie zgoda już stanęła”.

Rzekł — i dwudziestu chłopów najtęższych wybierze,
Z nimi szedł do okrętu na morskie wybrzeże,
A tam zepchnąwszy okręt, gdzie głębsze odmiały,
Wbili maszt, pociągnęli w górę żagiel biały;
W pochwy skórzane wiosła nawlekli rząd długi;
Różnych oręży zwinne naniósł im sługi.
A gdy okręt już gotów, Antinoj z drużyną
Wsiadł nań; zjedli wieczerzę, a w nocy odpłyną...

Penelopa w komnatach górnych jak tam padła
W rozżaleniu, tak nie chce napitku ni jadła,
Tylko wciąż o niewinnym przemyśliwa synie:
Czy ujdzie śmierci? Czy też od gachów on zginie?
Jak lew w tłum ludzi wpadłszy rzuca się z rozpaczą
Tam i sam, a tu łowcę zewsząd go osaczają...
Tak jej myśl się rzucała, póki w snu ramiona
Nie padła, od wewnętrznych trwóg wyswobodzona.

Teraz się Atenaja wzięła myśli nowej.
Stwarza widmo podobne córce Ikariowej
Iftimie, i tej samej, co ona, piękności,
Której mąż Eumelos miał swe posiadłości
Blisko Feraj. Bogini postać tę udaną
Śle na Penelopeję spłakaną, znękaną,
Aby łzy jej otarła, zdjęła ból kamienny.
Widmo wemkło się szparką zasuwki rzemiennej,
Stało u głów śpiącej i tak szepce z bliska:
„Ty śpisz, Penelopejo, a serce ból ściska.
Wierz mi — nie chcą w rozkoszach żyjący niebianie
Twoich łez i żałoby. Syn twój wkrótce stanie
Tu w domu. Wszak on bogom nie zawinił niczym”.

Penelopeja marom wyrwana zwodniczym,
Co ją snem kołysały, rzekła jak na jawie:
„Siostró, skąd tu się wzięłaś? Nie pamiętam prawie,
Kiedy byłaś w moim domu. Mieszkam tak daleko!
A teraz mi powstrzymać każesz łzy, co cieką,
Jęć stłumić, chociaż boleść duszę mi rozdziera.
I to mnie, co straciłam męża, bohatera,
Lwie serce, górujące cnotą ponad Greki.
Mnie, kiedy mój jedynak, dziecko bez opieki,
Dom opuszcza i leci w świat nie znany sobie!
W cięższej niż po Odysie widzisz mnie żałobie
Po tym chłopcu, tak strach mi, aby tam co złego
Wśród obcych lub na morzu nie spadło na niego,

Bo źli ludzie czyhają i zabić gotowi
Na drodze, kiedy wracać będzie ku domowi”.
Na to odpowiedziało blade widmo siostry:
„Ukój się, ja ci wyrwę z serca kolec ostry.
Twój syn ma towarzyszkę, a takiej, jak ona,
Zazdrościłby niejeden, bo niezwyciężona.
Jest nią Pallas, twych cierpień ona się lituje,
Posłała mnie do ciebie i to ci zwiastuję”.

Na to jej Penelopa tę odpowiedź dała:
„Jeśliś bóstwem, z boginią jeśliś rozmawiała,
To mów mi co o losie biednego małżonka!
Czy żyje? Czy ogląda jeszcze promień słońka?
Lub nieboszczyk już poszedł do cieniów siedliska?”

Blade zaś widmo siostry te słowa jej ciska:
„Tego mówić nie mogę, czy po świecie chodzi,
Czy zmarł na dobre — próżna gadanina szkodzi”.

Rzekło widmo i szparą zasuwki jak tchnienie
Wymkło się i rozwiało... A wtem i zbudzenie
Przyszło na Penelopę. Zrywa się z pościeli
Z wielką ulgą na sercu — bo już dzień się bieli —
A sny o rannym doju zwykle są prorocze.

Gachy tymczasem krają wód morskich roztocze
Na Telemacha głowę niosąc cios morderczy. —
Jest tam skała na morzu, co w przesmyku sterczy,
Dzielącym od itackiej wyspy Samos skalną;
Zwie się Asteris. Przystań z obu stron ma wałną,
Gdzie żeglarze się chronić lubią skołatani.
Owoż łódź gachów w tej tam skryła się przystani.

Pieśń piąta

Tratwa Odyseusza

Eos z łóża ślicznego Titona gdy wstała,

Na bogów i na ludzi źródł światła wylała,
A na wiecu zasiedli niebianie zebrani,
Śród nich Zeus, pan wszystkiego, wszyscy mu poddani.
Atenie na myśl przyszły Odysa cierpienia,
Ninie jeńca Kalypsy, i do zgromadzenia
Rzekła:

„Ojcie Kronidzie, wy bogowie inni!
Odtąd króle na tronach już by nie powinni
Być łagodni, łaskawi, dobrzy, sprawiedliwi,
Lecz wściekli zapaleńcy, okrutni i mściwi,
Kiedy już zapomniały o Odysie boskim
Ludy, choć nimi rządził berłem tak ojcowskim.
On na wyspie u nimfy Kalypsy tam siedzi,
Jeńcem trzyman, i smutną dolą swą się biedzi;
Do domu utęskniony, o powrocie marzy,
A tam ani okrętów nie ma, ni wioślarzy,
Co by go chcieli przewieźć przez morskich fal grzbiety.
Teraz mu jedynaka zabić chcą, niestety,
W drodze do domu; właśnie o ojcowskim losie
Jeździł się dowiadywać w Sparcie i Pylosie”.

Odpowiedział jej na to Kronid chmurowładny:
„Jakiż to z ust twych wyraz wymknął się nieskładny?
Wszak sama uradziłaś, że gdy Odys wróci,
Krwawym odwetem gachów zuchwalstwo ukróci.
Raczej nad Telemachem czuwać ci należy,
By bez szwanku dopłynął do swojej macierzy,
A gachy z tej zasadzki wrócili jak zmocy”.

Potem się do Hermesa zwrócił i pochwyci:
„Hermeju! O mój synu! Gończe doświadczony!
Nieś nimfie pięknowłosej wyrok niecofniony,
Że Odys wrócić musi, mąż wielki cierpieniem,
Wrócić, nie wsparty boskim ni ludzkim ramieniem.
Na tratwie wątlej, bity od wichru i prądu,
W dni dwanaście do Scherii dostanie się lądu,

Gdzie mieszka lud Feaków niebianom pokrewny:
Tam go przyjmą jak bożka, a stamtąd już pewny
Przewóz znajdzie okrętem na Itakę swoją,
Tam miedzi, złota dadzą, w szaty go ustroją,
Że bogatszy powróci, niż gdyby łup wzięty
W Ilijonie do domu zawiózł był nietknięty.
Ujrzy swe przyjaciół, zamek swój wysoki,
Swoje pola ojczyste — bo tak chcą wyroki”.

Rzekł — a zwinny Hermejas wnet się puścił w czały:
Już sobie stopy opiął w niebiańskie sandały
Złotołśniące; on nimi ponad wód rozlewem,
Ponad lądów ogromem buja z wiatru wiewem.
Wziął i posoch; posochem tym śmiertelnych oczy,
Czyje chce, ze snu budzi albo też snem mroczy.
Dzierząc go, Argobójca szparkim sunął lotem,
Na Pierii stanął — k'morzu spuszczać się potem,
Szybował nad powierzchnią, podobien rybitwie,
Co nad odmętami zatok, w ustawnej gonitwie
Za rybkami, we fali nieraz skrzydło zmoczy:
Tak i Hermejas bujał po wodnej roztoczy.

Do wyspy się zbliżając leżącej daleko,
Z wód wychynął i lądem posuwał się lekko
Aż do wielkiej pieczary, boginki siedliska,
Kalypsy długowłosej, którą u ogniska
Samą siedzącą zastał. Z dala już powiewek
Niósł po wyspie zapachy od płonących drewek
Żywicznych cedru. Głos jej wdzięczną brzmiał piosenką,
Gdy chodząc wkoło krosien, suwała czółenko.
Tę pieczarę mały różnych drzew gaiki,
To woniące cyprysy, topole, osiki;
W ich liściach długoskrzydlny ptak nocą się skrywa:
Sowa, krogulec, morska wrona też krzykliwa,
Co tak rada się pluskać u przybrzeżnej wody.
Wino rozkoszolistne pięło się na wschody

Głazów sklepiennych, gronne zwieszając jagody.
Z czterech krynic srebrzyste biegły tam poniki,
To razem, to rozpierzchnę tam i sam w wężyki.
Miękkie łąki się słały, przetykane kwiatem
Fijołków i opichu. Na miejscu tu, na tem,
Bóg nawet by się cieszył i stanął jak wryty.
Toż i gończy Hermejas, widokiem podbity,
Stanął i w one wszystkie wpatrywał się czary,
A potem wszedł do pięknej sklepionej pieczary.

Poznała go bogini Kalypso od razu:
Bóstwo nie zapomina twarzy i wyrazu
Innego boga, choćby mieszkał gdzie najdalej.
Lecz Odysa nie zastał. Odys tam się żali
Siedząc nad brzegiem morza, gdzie zwykle siadywał;
Darł serce westchnieniami, łzami się zalewał,
Wzrok topiąc ciągle w morze pustynne przed sobą.
Kalypso wraz się gościa zajęła osobą,
W promienne krzesło sadzi i tak się odzywa:
„Hermes, z złotym posochem bożek, tu przybywa!
Gość taki! Po raz pierwszy zajrzał w me siedlisko!
Mów, czego żądasz? Na twe usługi tu wszystko,
Co tylko w mocy mojej lub co jest możliwe;
Zbliź się tylko, przyjęcie znajdziesz tu życzliwe”.

Tak mówiła, trzymając przed bożkiem puchary
Z ambrozją, do niej miesza różowe nektary.
A on jadł i popijał, Zeusowy ten goniec.
Gdy już głód swój nasycił, skrzepiony, na koniec
Mówił do niej te słowa:

„Po co tu przychodzę,
Bogini, pytasz boga? Woli twej dogodzę
I o całej tej sprawie zdam rachunek czysty:
Z Zeusa rozkazu jestem, więc nie osobisty
Cel mnie przygnał. Bo któżby na pustynię wodną
Puszczał się, gdzie miast nie ma, co by boga godną

Umiały czcić obiatą lub świetnym stuwołem?
Zresztą wiesz, że i bogi muszą kornym czołem
Bić przed piorunnym Zeusem, pełnić rozkaz jego.
Zeus mi rzekł, że u siebie masz najbiedniejszego
Z tych herojów, co dziesięć lat burzyli Troję,
A w dziesiątym, gdy z łupem wracali już w swoje
Siedziby, tak zgniewali Atenę, że wściekła
Wciąży ich w podróży wichrem i burzami siekła.
Owóz gdy utonęło wszystko, co z nim było,
On ocalał, a morze tu go wyrzuciło.
Przeto rozkaz przynoszę: wypuść go bez zwłoki!
On daleko od swoich nie umrze. Wyroki
Przeznaczyły mu druhów powitać i ściany
Zamku swego oglądać i ojczyste łany”.

Tak mówił, a boginię strach ogarnął na te
Wyrazy, więc mu słowa rzuciła skrzydlate:
— „Bogowie! Okrutniejsi od ludzi jesteście,
Za złe mając nam, każdej bogini niewieście,
Jeśli sobie za męża znajdzie śmiertelnika...
I tak: różana Eos z Orionem gdy zmyka,
Póty bogami zemsta miota nieustanna,
Aż w Ortygii Artemis, złototronna panna,
Chyłkiem podszedłszy, cichą zabiła go strzałą.
Znowu kiedy z Jasjonem Demetrze się chciało
Użyć pieszczot na skibie trzykrotnie zoranej —
Sprawka ta doszła Zeusa — a on rozgniewany
Rozmachniętym piorunem Jasjona ustrzelił.
Teraz w oczy was kole, że łoże tu dzielił
Ze mną człowiek, któregom wydarła z rąk śmierci,
Gdy łódź jego bóg gromem roztrzaskał na ćwierci
W środku mórz, a on sam się z falami borykał,
Dzierżąc belkę, bo druhów już mu popołykał
Morski gardziel. Rozbitek dążył więc do lądu,
I tu był wyrzucony od burzy i prąciu.

Przyjęłam go, okryłam opieką serdeczną,
Przyrzekłam nieśmiertelność i młodość dać wieczną;
Darmo! Kiedy Kroniona woli tej wszechwładnej
Oprzeć się nie potrafi nawet z bogów żaden.
Zeus każe mu stąd jechać — to niech sobie płynie
Mokrym pustkowiec; lecz ja tego nie uczynię,
Bym go wysłała, flisów nie mając ni łodzi,
Co by go przewieźć mogły przez morskie powodzi.
Chyba radą go wesprę: tego nie utaję,
Niech bezpiecznie w ojczyste powraca się kraje”.

Na to jej argobójczy odpowiedział goniec:
„Wyprawże go natychmiast, pomnąc, jaki koniec
Spotkałby cię od gniewu Kronida żałośny”.
To powiedziawszy odszedł Hermes wieścionośny.

Nimfa, słysząc ten wyrok Kronionowej woli,
Poszła szukać Odysa onej sprawie gwoli.
On siedział tam na brzegu płacząc; jego oczy
Nie osychały od łez; a pobyt uroczy
Truła ciągle tęsknica, bowiem do bogini
Serce stracił, a chociaż nocą sypiał przy niej,
To gwałt był, lecz nie z jego, a tylko z jej strony.
Na urwisku więc siedział w dzień osamotniony
Serce trapiąc westchnieniami, lamenty, żałobą,
Wzrok topiąc ciągle w morze pustynne przed sobą.

Teraz rzekła bogini, zbliżywszy się k'niemu:
„Biedny mój! Wnet się skończą te smutki, bo czemu
Miałbyś żywot swój skwasić? Wszak jestem gotową
Stąd cię puścić. Więc tratwy zajmiesz się budową:
Rąb wielkie drzewa; miedzią gdy pospajasz tramy,
Dasz pokład z desek; my zaś chleba, wody damy
I czerwonego wina, byś nie umarł z głodu,
Damy wiatr dobry, suknie chroniące od chłodu.
Mocna tratwa wytrzyma bijące bałwany,
I ty bez szwanku wrócisz do ziemi kochanej,

Jeśli bogi pozwolą, co w niebie tam siedzą,
A mocniejsi ode mnie, niż ja więcej wiedzą”.

To rzekła, a Odysej stał wszystek zdrętwiały.
Po chwili z ust mu takie słowa wyleciały:
„Coś innego w zanadrzu swoim chowasz pono,
Gdy chcesz, bym w tratwie przebył otchłań niezmierzoną
Strasznych mórz, kędy nawet i wielkimi sudny
I przy wietrze pomyślnym przejazd bywa trudny;
Na tratwę, wbrew twej woli, nie wstąpiłbym nogą,
Chybabyś mi przyrzekła pod przysięgą srogą,
Że w tym nie ma podrywki na zgubę mą żadnej”.

Bogini śmiechem zbyła ten posąd szkaradny
I ręką pogładziwszy rzekła doń te słowa:
„Szpakamiś ty karmiony, nie od kształtu głowa,
Gdy w każdym słowie wietrzysz jakby cel ukryty.
Lecz świadkiem bądź mi, ziemio! Świadkiem nieb błękity,
Stygu wodo podziemna! — Straszna to przysięga,
Przed nią nawet i bogów zgina się potęga —
Więc przysięgam, że zgubić nie pragnę ja ciebie,
Tylko myślę i mówię, jak bym sama siebie
Ratować chciała, będąc w takim położeniu:
Twego chcę dobra, czystą czuję się w sumieniu
I litości mam wiele w sercu niezależnym”.

Rzekłszy to nimfa krokiem pośpieszyła bieżnym
Przodek biorąc; a Odys szedł w tropy bogini,
I nimfa wraz z kochankiem stanęła w jaskini.
Każe się Odysowi w tym samym prestole,
Gdzie Hermes siedział; przed nim co żywo na stole
Stawi jadło, napitek, zwykłą ludzką strawę,
A sama wprost Odysa zajęła też ławę;
Więc służebne ambrozję i nektar podały
I wzięli się palcami spożyć te kordiały;
A gdy się już najedli, napili do syta,
Boginka głos zabrała i tak go zapyta:

„Zacny mój Laertydo, przemądry Odysie,
Zatem chcesz jak najprędzej z wyspy wymknąć mi się
I wrócić do ojczyzny? Szczęśliwej ci drogi!
Lecz żebyś mógł przewidzieć, jakie los złowrogi
Przeznacza ci opały, nim staniesz u celu,
Zostałbyś w tej pieczarze ze mną, przyjacielu,
I nieśmiertelność przyjął, jakkolwiek stęskniony
I niecierpliwy pragniesz powrócić do żony,
Od której pośledniejszą nie jestem ja przecie
Ni wzrostem, ni urodą. Czyż marnej kobiecie
Rzecz podobna mnie, bóstwu, chcieć urodą sprostać?”

Na to on, nie chcąc dłużnym odpowiedzi zostać:
„Uśmierz gniew — rzekł — o nimfo! Jaż bym to nie wiedział,
Że między Penelopą a tobą jest przedział?
Że się równać nie może z twym wzrostem, urodą?
Prosta to śmiertelniczka, a tyś wiecznie młodą!
Mimo to tęsknię do niej; tęsknię coraz więcej,
Aby się dnia powrotu doczekać najpręcej;
Choćby mnie bóg znów jaki pogrążył w bałwany,
Zniosę mężnie, w cierpieniach jam wypróbowany.
Tylem już przebył, takie przechodził katusze
Na wojnie i na morzu, że i to znieść muszę!”

Rzekł to — wtem zaszło słońce i nastał mrok szary...
Oboje pod sklepienia weszli tej pieczary,
Rozkoszując miłością spali obok siebie.
A gdy różana Eos błysnęła na niebie,
Odys w chlajnę i chiton odział się, a ona
Także wstała, w fałdzistą szatę obleczona
Z lśniącej tkanki; więc biodra ujawnszy w pas złoty,
Pod namiotką ukryła włosów bujne sploty —
I myśli, jak Odysa wyprowadzić na morze.
Jakoż dała mu topór; ostrze w tym toporze
Podwójne a spiżowe; mocna w nim osada,
Gładkim trzonkiem oliwnym ręka dobrze włada;

Dodała i siekierę; więc spiesznymi kroki
Wiodła go na kraj wyspy, kędy bór wysoki
Sokorów, olch i jodeł z wyniosłymi szczyty
Daje towar już wyschły, na łódź wyśmienity;
A wskazawszy mu miejsce, kędy był las stary,
Powróciła Kalypso do swojej pieczary.

I Odys ścinał drzewa — praca szła mu sporo;
Dwadzieścia zwałił; topór gałęzie ciął z korą,
A siekiera równała pod sznur one dyle.
Aż Kalypso mu świdry przyniosła za chwilę:
Wiercił dziury, toż belki ze sobą szykował,
I tak tratwę wziął w kluby i gwoźdźmi ją skował.
Jak wielki spód korabiu, co go cieśla biegły
W duży obwód założy, tak równie rozległy
Był i statek Odysa przezeń budowany.
Dał też pomost, o boczne oparłszy go ściany;
Nakrył burtą, ochroną od fal dostateczną,
W środku wzniosł maszt i reję opatrzył poprzeczną,
A dla kierunku rudel zrobił na ostatku.
Wićmi zaś z wikła boki obwarował statku
Od fal napaści. Na dno narzucał do łodzi
Różnych ciężarów. Już też boginka nadchodzi
Niosąc płótna; z nich żagle uszył ręką zwinną;
Jedną liną maszt związał, do żagla dał inną,
I drągami łódź zepchnął w święte wody słone.

Gdy w dniu czwartym te prace były pokończone,
Więc go w piątym boginka wysła już w drogę.
Wykapawszy go, w szatki odziewa chędogie,
Łagiew wina ciemnego, drugą wody świeżej,
Lecz większą, śle na statek; toż wór pełen spyży
Zapaśnej na tę podróż i inne przysmaki.
W końcu zsyła mu wietrzyk powiewem jednaki.

Rad z wiatru, heroj żagiel rozpiął, i był wzdęty.
Siadł u steru i biegle przez ciemne odmęty

Łódź kierował. Nie przysła nigdy nań drzemota;
W Plejady, w nie śpiącego wciąż patrzył Boota,
Toż w Niedźwiadka zwanego Wozem; gwiazda ona
Bowiem w miejscu się kręci, patrząc wciąż w Oriona,
A w morzu się, jak inne, nigdy nie zanurzy.
Nimfa z nim się żegnając, tę gwiazdę w podróży
Kazała mieć na oku wciąż po lewej stronie.

I tak dni siedemnaście pruł bezbrzeżne tonie,
W następnym ujrzał góry Feackie w oddali,
Gdyż Feacy najbliższej tych tam stron mieszkali;
I te góry on widział jak tarczę zamgloną.

Właśnie od Etyjopów, gdzie go tak raczono,
Wracający Posejdon, ze Solimskiej Góry
Ujrzał, jak Odys płynął, i wnet gniewu chmury
Wybiegły mu na czoło; wstrząsł się i sierzdę: „Oho! — rzekł. — Coś innego bogi oczywiście
Myślą zrobić z Odysem; znać, że nie był z nimi!
Bo już się do Feaków zbliża, gdzie z długimi
Nędzami swych przeznaczeń kończąc, do Itaki
Wróci; lecz czekaj! Jeszcze dam ci się we znaki!”

Rzekł i bałwany wzruszył; chmur zgromadził nawał,
Trójzębem rozkaz wiatrom, jakie są, wydawał,
Aby dęły zaciekle; w tuman ląd i morze
Gęsty obwinął — że się stała noc na dworze.
Zerwał się i dał Euros, Not, toż Zefir wściekły,
Toż mrozący Boreasz, i przestwór wód siekły.
A w Odysie zadrżało serce, drżą kolana;
Westchnąwszy w sobie rzekła dusza nie złamana:
„Biada mi! Czegóż ja tu nie dożyję jeszcze!
Nimfy słowa, jak widzę, sprawdzają się wieszczce:
Gdy przed powrotem do dom, mówiła, że w biedzie
Będę wielkiej na morzu. Ot, do tego idzie!
Cóż tu chmur na niebieskie strony Zeus napędza!
Jak morze wzdyma! A jak wichr każdy by jęcza

Szaleje! Teraz pewnie kres mój ostateczny!
Trzy, cztery kroć szczęśliwszy każdy Grek waleczny,
Co legł pod Troją, walcząc za swoje Atrydy!
Czemużem nie legł z nimi? Czemu ostrzem dzidy
Nie przepędził mnie który, kiedym bronił trupa
Pelida, a mnie grotmi parła Trojan kupa!
Byłbym pogrzeb miał piękny, w Achai bym słynął,
Gdy teraz taką nędną śmiercią będę ginał!”

Mówił to — wtem spiętrzony bałwan się nań rzucił
Wściekle, z góry w łódź lunął, zakreślił, przewrócił,
A i jego z pomostu zmiotło; ster mu z pięści
Wyrwało, a masztowe drzewo, na dwie części
Zgruchotane, runęło wichrem, co szaleje
I co jednym podmuchem zdarł żagiel i reje.
Długo nurzał się w głębi Odys, choć co siły
Chciał wzbić się ponad wały, które go topiły.
Lecz darmo! Od Kalypsy suknie dane darem,
Nasiąknawszy, ciągnęły na dno swym ciężarem.
Przecież wybił się na wierzch: morską wodę usty
Wypluł — z czaszki się lała całymi upusty.
Wždy w tej trwodze o tratwie nie zapomniał wcale:
Dopadł do niej, przez wzdęte przebiwszy się fale,
I od śmierci niechybnej był uratowany.
Tam i sam statkiem jego miotały bałwany;
Jak Boreasz w jesieni suche osty miecie
Polem, a te, splątane, trzymają się przecie:
Tak i tratwą wichura tu i owdzie miota;
Boreasz ją na pastwę posyła do Nota,
Eur cisnął Zefirowi, by ją ścigał dalej.

Widząc to, Leukotea nad nim się użali;
Jest nią Ino, Kadmosa pięknostopna dziewa,
Wpierw ludzką znała mowę, a teraz przebywa
W morskich toniach, gdzie cześć ją jak bóstwo otacza.
Otóż się użaliwszy biednego tułacza

W postaci wodnej kurki z topieli pomknęła,
Siadła na tratwie, ludzką mową mówić jęła:
„Biedny! Pewnieś obraził boga, ZiemioWSTRZĘSCĘ
Posejdona, że klęskę zsyła ci po klęsce;
Jednak on cię nie zgubi, choć w zemście okropny.
Rób tylko, co ci powiem, jeśliś człek roztropny:
Ciśń te suknie, a tratwę zdaj na wolę burzy;
Potem skocz w wodę i pływ jak możesz najdłużej
Ku lądowi Feaków; tam pomoc ci dadzą.
Ot przepaska! Nią opasz piersi — pod jej władzą
Świątą możesz się nie bać śmierci, choć jak bliskiej;
A tak, kiedy rękoma namacasz brzeg niski,
Odwiąż ją i od brzegu podał rzuć tą szmatą
W toń morską, a twarz odwróć, byś nie patrzył na to”.

Rzekłszy, boginka dała mu przepaskę świętą.
Sama zaś odleciała znów na falę wzdętą
Podobna kurce wodnej i znikła pod wodą.

Więc boski tułacz Odys zdumiał się przygodą,
A westchnąwszy pomyślał sobie w duchu dzielnym:
„Biada mi! Jeśli sprawa z jakim nieśmiertelnym,
Co mnie znowu chce podejść, bym rzucił ten statek?
Wždy nie usłucham; bowiem, niech raz ziemi płatek
Ujrzę w dali, to pewno znajdę tam zbawienie.
Tak zrobię; to najlepsze i tego nie zmienię.
Więc dopóki wiązanie mocno trzyma belki,
Póty dotrwam i udar zniosę, choć jak wielki;
Lecz jeśli łódź bałwany na cząstki roztluką,
Wpław pójdę i tą może ocale się sztuką”.

Gdy to umysłem w sercu ważył na dwie strony,
ŁadowSTRZĘSCA Posejdon słał nań wał spiętrzony;
Ogrom jego rósł nad nim i lunął nań z góry.
A jako wichher plewy rozmiata i wióry
Z kupy, i tu i owdzie po polu je pędzi,
Tak rozmiótł jego tratwę. Odysej krawędzi

Belki uczepion, siedział jak na koniu na niej.
Z darowanych przez nimfę wyzuł się ubrani,
Pierś obwiązał przepaską daną z napomnieniem;
Potem w nurt skoczył, fale rozcinał ramieniem
I raźnie płynął.

Widzi to morskich bóg toni,
Chmurnie głową potrząsa i te słowa roni:
„Płyńże, płyn! Przez te wały przebijaj się w trudzie,
Póki się nie dostaniesz między zbożne ludzie.
Myślę, że ci tą biedą dałem się we znaki!”

To rzekłszy biczem zaciął grzywiaste rumaki
I do Ajgaj wnet przybył, gdzie miał gmach wspaniały.

Wtem Atenę już inne myśli podleciały:
Nagle wiatry, co dęły, naraz w kluby bierze,
Ucisza je i każe iść na swoje leże.
Li Boreasza pędzi, by wiał jego drogą
I fale łamał przed nim, póki na ląd nogą
Feacki on nie wstąpi, ocalon z rozbicia.

Tak przez dwa dni, dwie straszne noce, broniąc życia
Od fal napaści, z morzem bił się bez ustanku.
Aż gdy w dniu trzecim Zorza zeszła o poranku,
Naraz wiatr ucichł; niebios pogodne błękity
Odbijała wód szyba, a on, falą wzbity
W górę, mógł już wyraźnie brzeg lądu rozpoznać.
Radość to, jakiej dziatwa może tylko doznać,
Gdy jej ojciec, gorączką śmiertelną trapiiony,
Już, już kona, okrutnie męczon przez demony,
Naraz wraca do zdrowia; niebo gwoli dzieci
Uzdrowia go. Toż radość w oczach mu zaświeci,
Gdy ujrzał ląd i lasu rąbek. Więc dołoży
Rąk i nóg, by do brzegu dobił się tam skorzej.
Lecz na odległość, w jakiej głos człowieczy sięga,
Huk go doszedł; fal morskich tłukła tak potęgą
O skalisty brzeg mocą bijąc niesłychaną,

Aż kipiało, ląd białą obryzgując pianą.
Nie ma tam ni przystani, ni lichej zatoki,
Jedno brzeg straszny, rafa, wiszące opoki.
W Odysie aż się serce wstrząsło, nogi drżały;
Więc westchnąwszy, tak myślał w głębi duszy śmiałej:
„Biada mi! Zeus zaledwie we mnie wlał otuchę
Ląd wskazując, gdym morską przebrnął zawieruchę,
Aż tu wybrnąć z tej toni już nie wiem którędy:
Zębate skały sterczą, wre i kipi wszędy
Wściekły żywioł — przede mną brzegu gładka ściana,
A głębia wciąż niezmierna i nie zgruntowana
Nogami, aby dobrnąć i łapać się brzegu,
Jeśli wprost pójde, bałwan pochwyci mnie w biegu
I o skalistą ścianę rozbije na trzaski.
A nużbym ją wyminął i szukał, gdzie płaski
Brzeg się ścięło, albo też jaka przystań głucha?
Aż drzę! Może mnie znowu porwać zawierucha
I odrzucić daleko na rybne przestwory,
Lub czart jaki napędzi na mnie te potwory,
Żywiące tam w otchłaniach świętej Amfitryty.
Wiem-ci ja, że Posejdon to mój wróg zabity!”

Gdy tak rozważa w sercu i na rozum bierze,
Wół potężny nim rzucił o skalne wybrzeże;
Kości by mu zgruchotał i skórę zdarł z ciała,
Gdyby Atene myśli mu tej nie poddała,
Że się obojgiem ramion o skałę owinał
I uwiśł, póki bałwan z rykiem go nie minął,
Czym na razie się zbawił, lecz bałwan z powrotem
Oderwał go, na pełne morze rzucił potem.
A jak polip, wyrwany z miejsc, gdzie był wrośnięty,
Ma żwirem i głazami oblepione pręty:
Tak do skały przylepła z dwóch rąk uczepionych
Zdarta skóra, i Odys wśród tych fal spiętrzonych
Byłby pewnie utonął w przekór przeznaczeniu,

Lecz Pallas myśl ratunku dała w okamgnieniu.
Jakoż wychynał na wierzch wełn, co o brzeg biły,
I wzdłuż płynąc, spoglądał, czy gdzie ląd pochyły
Nie pokaże się albo jaki port zaciszny.
I tak dotarł do ujścia jakiejś rzeki pysznej.
Więc w tym miejscu mógł łatwo przybić już do lądu,
Bo i skał tu nie było ni wiatru, ni prądu.
Otóż ujrzawszy rzekę, tak się modlił w duszy:
„Ktokolwiek jesteś, panie, błagam, niech cię wzruszy
Dola moja! Posejdon topi mnie zawzięty!
Przecież i wobec bogów człek taki jest święty,
Co błaga o ratunek w ostatniej potrzebie —
Ja się do rzeki twojej tulę i do ciebie.
Zlituj się, władco, pieczy twej polecam siebie!”
To rzekł — i bóg zhukane fale pohamował,
Wodę przed nim wygładził, a jego ratował
Wciągał na brzeg. Fale ze sił go wyssały,
Bo mu ręce opadły, nogi pod nim drżały;
W każdym członku obrzmiałość; z ust mu woda słona
I z nosa wybuchała; pierś tchu pozbawiona.
Omdlał więc; od zmęczenia upadł jak skostniały —
Lecz gdy westchnął i siły znowu mu wracały,
Odwinął z piersi oną przepaskę zbawienną
I cisnął poza siebie w tę słoność bezdenną.
Prąd ją porwał i uniósł; przepaskę tę chwytła
Już czekająca Ino. Więc z rzeki koryta
Wyszedł Odys, w sitowie padł, i macierz ziemię
Całując, westchnął, jakby z duszy zrzucał brzemię:
„Biada mi! — rzekł. — Co cierpię! Co jeszcze mnie czeka,
Jeżeli mnie nad rzeką noc już niedaleka
Zaskoczy! Ten szron mroźny, wilgne rosy nocne
Do szczętu zjedzą ciało, i tak już niemocne,
Gdyż od rzeki wiatr zimny dąć będzie o świcie.
Lecz gdybym tam, na wzgórką zarosłego syczycie,

Układał się w gęstwi, mrozu bezpieczeń rannego
I zwątlenia, a zażyć mógł tam snu smacznego,
To znów strach, by drapieżne zwierze mnie nie zjadły”.
Te myśli mu do smaku snadź lepiej przypadły,

Bo wszedł w las, co obrastał wzgórek, położony
Tuż nad wodą. Tam znalazł kierz gęsto-zielony
Z płonki i owocnego splecion oliwnika.
Nigdy przezeń wilgotny wiatr się nie przemyka,
Nigdy pod nim słoneczny upał nie dokuczy;
Sklepień tych nie przebiję deszcz ulewnej tuczy,
Taki gąszcz tam. Odysej wpłynął zgięty nisko
I rękami jął mościć z liści legowisko
Szerokie, bo tam liścia leżało tak dużo,
Że dwóch, trzech ludzi skryć się mogłoby przed burzą
Lub śnieżycą, chociażby szalała najsrożej.
Patrzac na swoje łoże, rad był tułacz boży;
Legł więc w środku i liścia nagarnął na siebie.

Jak ten, co pod popiołem szarym żar zagrzenie
W pustym polu, gdzie blisko nie mieszka nikt z ludzi,
Ma zarzewie i już się po ogień nie trudzi:
Tak i Odys się w liściach zagrzebał po uszy.
Atenea mu słodkim snem oczy zaprószy,
By po srogim zmęczeniu wstał rzeński i lekki:
Sen nasławszy, znużone zwarła mu powieki.

Pieśń szósta

Przybycie Odyseusza do Feaków

Usypiał boski tułacz Odys; sen już spada
Twardy na złamanego trudem. Wraz Pallada
Idzie w grodziec Feaków, leżący precz dalej.
Przedtem oni w szerokiej Hyperii mieszkali,
Gdzie wojenne Kyklopy mając za sąsiady,

Wciąż nękanych od pewnej ratując zagłady,
Wywiódł ich Nausitoos, on, bogom podobny,
I osadził na Scherii, kędy kraj zasobny,
A od ludzi daleki; miasto zamknął w tyny,
Zbudował domy, chramy, grunt rozdał na gminy —
Lecz Kerą zwalon, zstąpił w Hadesa podziemie.
Dziś mądry król Alkinoj wziął w rządy to plemię.
Zatem Pallas Atene w jego dworzec dąży,
A powrót Odyseja na myśli jej ciąży.
Szła prosto; do panieńskich komnat się przemyka,
Gdzie córka Alkinoja śpi, piękna Nausyka,
Boginiom równa wzrostem a wdzięczna jak one.
Niepośledniej urody dwie dziewy uśpione
Leżały tam przy odrzwiach błyszczących podwoi.
Pallas jak lekki powiew do łóżka dziewoi
Przemknie się, do głów schyli, coś do niej przygwarza,
Wziąwszy na się kształt córki Dymasa żeglarza,
Druhny jej najmilejszej i jej równolatki —
I mówiła bogini odziana w kształt gładki:
„Oj, Nausyko! Toż z ciebie leniuszek nie lada!
Drogie szatki, bielizna precz brudem przypada,
A wesele za pasem! Miejże co pięknego
Dla družbów, co-ć powiodą do pana młodego,
A i dla się — bo zwykle strój czysty u ludzi
Zyszcze imię, w rodzicach ucieszenie budzi.
Dalej zatem do prania! Wyprzedź ranne zorze!
By raźniej poszła praca, każda ci pomoże,
Ja pierwsza. Raj panieński się kończy; wszak swaty
Ociebie już zachodzą od młodzi bogatej
I przedniejszej, bo przecież ród twój niepośledni!
Nuż! Poproś rodzica pierw, nim się rozedni,
Aby ci kazał muły zaprząć w wóz drabiaty;
Nałożysz nań sukienki, przepaski, makaty.
Jechać będzie wygodniej: pieszo zbolą nogi;

Przecież pralnie od miasta taki kawał drogi”.

To powiedziawszy Pallas sowiooka wraca
Znowu na szczyt Olimpu, do bogów pałaca,
Gdzie nigdy burza nie grzmi, deszcz ścian nie obija,
Śnieżna zamieć nie prószy — tylko się przewija
Nieustanna pogoda, ni to namiot lity:
Tam bogom raj wesela płynie niepożyty;
Tam wróciła Atene napomniawszy śpiącą.

Wstała Jutrznia, poświęta swą złotem kapiącą
Budząc Nausykę. Panna swoim snom się dziwi,
Prędko z komnat do komnat bieży, by co żywiej
Rodzicom opowiedzieć. Zastała rodzice:
Matka przy ogniu siedzi, wkoło służebnice,
I lekuchnym wrzecionem krasną wełnę skręca;
Z ojcem zbiegła się w progu; właśnie go książęca
Walna rada wzywała, i szedł zasiąść w radzie;
Zabiegła mu i w uszy taką prośbę kładzie:
„Dobry tato, każ dla mnie zaprząć wóz, a długi,
Z wartkimi koły; pilno mi jechać do strugi
Prać bieliznę; bo tyle już jej się zebrało!
Wszak i tobie przystoi bieliznę mieć białą,
Gdy siadasz w zgromadzeniu dostojnych Feaków.
Wszak i doma jest pięciu dorodnych junaków,
Dwóch żonatyh, trzech jeszcze chłopiat już niemałych,
Twych synów; ci chcą zawsze chodzić w szatach białych
Na płasy, a wszystkiemu radź tu, moja główko!”

Tak mówiła, a wtrącić wstydno jej by słówko
O weselu. Lecz ojciec domyślił się tego
I rzekł: „Nie bronię-ć, córko, ni mułów, ni czego;
Natychmiast niech parobcy wóz zaprzęgą mułmi,
Wysoki, wyplatany i z wartkimi kółmi”.

To rzekłszy krzyknął; czeladź przyskoczyła żwawo:
Wóz koleśny wytoczon stoi przed wystawą;
Wiodą muły; zaprzężna idzie w dyszel para.

Nausykkaa z komory znosi co niemiara
Cienkich szat i bielizny, wóz naładowywa;
Matka zaś pełny koszyk smacznego pieczywa
I jarzynek tka w rękę; była i łagiewka
Skórzana z winem w drogę (na wóz siadła dziewczka);
O dzbanuszku z oliwą matka też pamięta,
By wyszedłszy z kąpieli ona i dziewczęta
Miały czym się namaścić. Ot! już wzięła wodze,
Biczem klasła w powietrzu. Z turkotem po drodze
Pokłusowały muły, ciągnąc ciężar z panią,
Wždy nie samą; i dziewczki siedziały tuż za nią.

Owoż gdy przyjechały nad brzeg ślicznej rzeki,
Gdzie w cembrzyny kamienne sączą się poniki
Wód nieprzebranych, miejsca dla praczek wygodne,
Prędko muły wyprzęgą i puszcza swobodne
Na paszę w słodką trawę, co z taką rozkoszą
Wyściela brzegi rzeki. Potem z woza znoszą
Bieliznę i po sztuce w ocembrzone wody
Kładą, depcąc nogami, piorą na wyprzody.
Wyplukawszy do plamki wszystko jak należy,
Rozpościerają rzędem wzdłuż ciepłych wybrzeży
Nad morzem, kędy fale gładki żwirek ścielą.
Skończywszy, wraz się chłodzą zdroistą kąpielą,
Oliwą maszczą członki, potem na trawniku
Siadają do smacznej strawy, a szatki w wietrzyku
Niech schną tymczasem. Gdy tak spożyły łakotki,
Staną do piłki, z głowy odrzucą namiotki.
Pustującym piosenkę zaśpiewa królowna,
Rzekłbyś, że z Artemidą-łowczynią pokrewna,
Co przez bór Erymantu lub Tajget ugania
Rada, gdy z rąk jej padnie odynec lub łania;
A nimfy, pół mieszkanki, pod pani swej bokiem
Pustują wkoło; Leto cieszy się widokiem,
Że nad wszystkie celuje wzrostem i obliczem,

I snadno poznać, czym jest w orszaku dziewiczym:

Owo tak rej wśród swoich królewna prowadzi.

Lecz kiedy o powrocie do dom już coś radzi,

Zaprzęga muły, suche już składa odzieże,

Wtedy Pallas-Atene na sposób się bierze,

By Odysej się zbudził, zobaczył dziewicę

I przez nią był wprowadzon w Feaków stolicę.

Więc ku dziewczkom rzucona piłka z rąk Nausyki

Leci, cel swój omija i pada w głąb rzeki,

A one w śmiech i wrzaski. Odys ze snu rwie się,

Usiadł — strwożone serce te myśli mu niesie:

„Biada mi! Do jakichże dostałem się krajów?

Miedzy dzicz nieochajną i kupę hultajów,

Czy też miedzy gościnny lud do cnót nałożon?

A toż co za niewieści wrzask? Niby dziwożon,

Co rade zamieszkują skał wierzchy wyniosłe

I źródła rzek, i łęgi trawami zarosłe.

Blisko gdzieś tu żyć muszą mówiące istoty:

Dalej! Zobaczmyż tedy, skąd one chichoty?”

To powiedziawszy Odys wypełznął na raku

Z gęstwi, silną prawicą z najgrubszego krzaku

Liściastą gałąź udarł, by nią okryć ciało.

I tak sunął jak górski lew, kiedy zuchwało

Kroczy w deszcz, zawieruchę; we łbie gorą ślepie,

Aż przydybie gdzieś bydło, trzodę owiec w stepie

Albo w boru jelenia, a gdy głód doskwiera,

Dusić drobną chudobę do obór się wdziera:

Otóż tak szedł Odysej ku pannom — nie żeby

Nie zważał na swą nagość, ale szedł z potrzeby.

Straszny im zdał się morskim owalany błotem!

Widząc go, wszystkie w nogi i na wzgórek potem;

Jedna Nausyka stoi. Atene jej tchnęła

Męską odwagę w duszę, członkom strach odjęła.

Nie rusza się i czeka. Odysej sam nie wie,

Czy ma paść do nóg wdzięcznie patrzącej nań dziewie,
Czyli, jak stał, z daleka wzniesć prośbę pochlebną
O pokazanie drogi i odzież potrzebną.
Ta myśl w ciężkim kłopotcie przyszła mu wybornie;
Więc jako był, z daleka, pochleбно, pokornie
Błagał o przebaczenie, aż do nóg jej padnie
I zaczął rzecz swą prawić mądrze i układnie:
„Błagam cię, czyś jest bóstwem, czy panną śmiertelną!
Jeśliś jedną z tych bogiń w niebiesiech udzielną,
Tedy zdasz mi się córą wielkiego Kroniona,
Z Artemidy kibicią i wzrostem jak ona;
A jeśliś jest śmiertelną mieszkanką padolu,
Błogosławiony ojciec z twą matką pospołu,
Błogosławieni bracia! Jakże im gdzieś rośnie
Serce przy tobie! Jak się rozplywa radośnie,
Gdy w skocznym korowodzie ujrzą twoją postać!
Lecz szczęściu oblubieńca cóż mogłoby sprostać,
Jeśli za hojne wiano zawiezie cię do dom?
Różnym ja się, przeróżnym napatrzył narodom,
A równej nie znam tobie. Cześć i podziw razem!
Niegdyś widziałem w Delos, przed żertwiennym głazem
Feba, latorośl palmy: jak ty w górę strzela —
Bom się i tam zapędził także z ludu wiele
W tej tułaczce, gdzie zbieram same łzy i znoje —
I stałem w podziwieniu przed nią, jak tu stoję:
Ziemia nigdzie też palmy nie wydała takiej!
Owoż równe zdumienie i podziw jednaki
Ima mnie, gdy ci objąć ze czcią chcę kolana:
Tak wielka moja nędza, iście niesłychana.
Wczoraj po dniach dwudziestu jam z morzem się rozstał;
Dni bowiem tyle rwał mnie prąd, a wichler chłostał
Wciąż od wyspy Ogygii, aż z demoniej psoty
Wyrzuconym jest tutaj na nowe kłopoty.
Dużo jeszcze mam cierpieć, dużo z bogów woli!

A choć ty się ulituj! Po długiej niedoli
Ciebie pierwszą spotykam; wszak i duszy żywej
Nie znam, zamieszkującej ten gród i te niwy.
Wskaż mi drogę do miasta; okryj nagie ciało,
Choćby płachtą z bielizny! — i to by się zdało —
A bogi cię najmiłszą opatrzą nagrodą:
Dadzą-ć męża i domek, przenajświętszą zgodą
Pobłogosławią! Skarb to najcenniejszy w świecie,
Gdy małżonka z małżonką zgodna miłość splecie,
Duch jeden włada domem; wróg na to się krzywi,
Cieszą druhy! A oni nad wszystkich szczęśliwi!”

Białoramienna panna w te ozwie się słowa:
„Widno, żeś człek niepodły ani miałka głowa.
Darmo! Woli Zeusowej nikt się nie wybiega,
I czy pan, czy chudzina losowi podlega;
Od niego padł i tobie; znoś z pokorą brzemię!
A teraz, kiedyś nogą wstąpił w nasze ziemie,
Okryjem cię, niczego-ć nie będzie brakować,
Co tylko obcy tułacz może potrzebować,
Do miasta wskażę drogę, dam ludu nazwisko:
My, Feaki, tę ziemię zamieszkujęm wszystką;
Jam córka Alkinoja; wyższego tu nie ma:
On władzy i potęgi w ręku berło trzyma!”

To rzekła i na dziewczki zawoła z daleka:
„Stójcie już, stójcie! Za cóż uciekać od człeka?
Czy myślicie, że do nas jako wróg przychodzi?
Zaprawdę, nie urodził się ani urodzi
Taki, co by nieprzyjaźń wniósł do naszych progów
I spokój zmieszał. Wszak my, kochani od bogów,
Siedzimy na odludziu, w krąg morzem oblani,
Prawie na krańcu świata, nikomu nie znani.
Ugościć raczej trzeba przybysza, gdy bieda
Aż tu go zapędziła. Wszak dziećmi Kronida
Są tułacze. Dar mały często uszczęśliwi:

Sam tu, dziewczeczki! Gość nasz niechaj się pożywi;
I wykąpać go trzeba w rzece, gdzie zaciszna”.

Na jej głos dziewczki wróca, i idą z niepyszna
Prowadzić Odyseja w cienisty brzeg rzeki,
Posłuszne rozkazaniu swej pani, Nausyki.
Więc chiton przygotowują i inne sukienki;
W złotej bańce oliwy podadzą też miękkiej
I każą do kąpeli iść mu kryształowej.

Na to rzecze Odysej: „Miłe białogłowy!
Ustąpcie kęs na stronę: sam sobie poradzę;
Z barków sól spluczę, ciało oliwą wygladzę;
O, bo też dawno takiej wygodki pragnąłem!
Lecz się kąpać nie mogę przy was żadnym czołem,
Moja nagość mnie wstydzi przed płcią pięknowłosa”.

To rzekł — one ustąpią i pani doniosą.
Boski tułacz obmywa sól morską w strumieniu,
Na grzbiecie, na oboim przyschłą mu ramieniu;
Ze skroni gęsty namuł zgarnia do ostatka;
A gdy po łaźni przyszła oliwa nań gładka,
Wdział szatki w podarunku od panny mu dane,
I wraz Pallas-Atene — cudo niesłychane! —
Wzrost mu daje i młodość; bujny kędzior z głowy
Rozsypie mu na barki, by kwiat hiacyntowy.
A jako cienkim złotem srebro się obleka
W rękę ucznia Hefajsta, umnego złotnika,
Co z kruszcu tworzy dziwy — w takie same czary
Obleka go bogini; i piękny bez miary
Poszedł na brzeg nadmorski i siadł w swojej krasie.
Ujrawszy go, królewna wielce zdziwiła się;
Więc po cichutku prawi do drużyny swojej:
„Słuchajcie no, dziewczęta! Tak mi się coś roi,
Że nie wszystkich on bogów gniewem obarczony,
Kiedy w błogosławione nasze zabiegł strony.
Z początku zdawał mi się człowiek dość codzienny,

A teraz jak bóg który, niebianin promienny.
O, gdyby mi się trafił mąż, co by mu sprostał,
Z młodzi naszej!... Lub gdyby on sam moim został!
Ależ jadło, napitek co tchu mu zanieście!”

Na rozkaz pani żwawo kopną się niewieście:
Niosą jadło i napój zastawiają przed nim;
A Odysej zajadał i pił z niepoślednim
Łakomstwem, bo nic w ustach nie miał już od dawna.

Teraz Nausyka inną robotą zabawna
Włożyła na wóz szatki poskładane zręcznie,
Ochocze muły w dyszel zaprzęła i wdzięcznie
Zachęca Odyseja, i z wozu tak prawi:
„Cudzoziemcze, ku miastu zbieraj się, a żwawiej!
Zawiodę cię do dworu, gdzie ojciec mój stary;
Tam poznasz i przedniejsze feackie bojary.
Acz sam zdasz się roztropny, przyjm rady ostrożne:
Póki szlak idzie polem między łany zbożne,
Póty razem z dziewczkami pośpiesznym pochodem
Będziecie szli za wozem; ja pojedę przodem.
Lecz kiedy wjedziem w gród nasz tynem ogrodzony,
Znajdziesz przystań wyborną z obojej tam strony
Wąskiej grobli; koraby na warsztatach swoich
Leżąc tam, zawalają drogę z stron oboich.
Jest też przy Posejdona chramie plac szeroki,
Wymoszczony płytami ciosanej opoki,
Gdzie się przysposabiają we wszystko okręty,
W płótno żaglowe, w liny, wiosła, inne sprzęty.
U Feaków łuk, kołczan nie na wiele służy;
Za to maszty i wiosła, korab do podróży —
W to im graj! To ich duma mknąć po modrej fali!
Lecz przy tym są złośliwi, pewnie by wyśmiali
Gdzie nas z boku; u gminu nietrudno o baśnie,
I widząc nas, zły język mógłby mówić właśnie:
— Jakież obok Nausyki przybylec się kręci?

Skąd go wzięła? Oj, z tego coś się nam wyświeci!
Czy nie okręt zaniesion do brzegu tu jaki
Nam go przyniósł? Wszak goście u nas rzadkie ptaki!
Pewniej to bożek który zeszedł na wezwanie
Modłów jej aż tam z nieba, i przy niej zostanie.
Najpewniej, że gdzieś sama jeździła daleko
I znalazła małżonka; boć wiemy, jak lekko
Waży sobie zaloty feackich paniątek! —
Tak by ludzie gadali; pozór daje wątek
Do obmów i ja sama zgańlabym w innej,
Gdyby się z uległości rodzicom powinnej
Wyłamawszy, przed ślubem z mężczyzną zadała.
Lecz słuchaj mojej rady, chcesz, by się udała
I ojciec mój w ojczyste odprawił cię progi:
Gdy więc gaj topolowy ujrzysz podle drogi,
Poświęcony Atenie — w gaju strumyk dzwoni,
Niżej futor i sady ojcowskie wśród błoni,
A stamtąd już do miasta nie dalej nad staje —
Tam więc usiądź, gdzie miły chłodek ronią gaje,
I czekaj, póki w mieście i domu nie staniem.
Lecz skoro drogę naszą wymierzysz czekaniem,
Pośpieszaj w gród Feaków i pytaj — rzecz twoja —
O mieszkanie mojego ojca, Alkinoja.
A nietrudno ci będzie; lada żak najmniejszy
Wskaże ci, bo z feackich dworów najpyszniejszy
Dwór mego ojca, nawet różni się w strukturze.
A gdy się tam dostaniesz i wnijdziesz w podwórze,
przebiegniesz wielką izbę — dalej masz na stronie
Komnatę mojej matki; przed nią ogień płonie:
Ona kręcąc wrzeciono z purpurową wełną
Siedzi o słup oparta; przy niej kobiet pełno.
Tam również i mój ojciec przed ciepłym kominem
Siedzi jak bóg na tronie i krzepi się winem.
Tego pomiń, wprost tylko matce do nóg padnij,

Jeśli chcesz dnia powrotu doczekać się snadniej,
Choćbyś na końcu świata gdzie mieszkał najdalej.
Bo skoro ona nędzy twojej się uzali,
Bądź pewny z przyjaciół mieć prędką uciechę,
Witać pola rodzinne i ojczystą strzechę”.

Tak mówiła królowna i nagli do biegu
Muły błyszczącym biczem. Więc od rzeki brzegu
Kopnęły zrazu kłusem, potem mniej się śpieszą;
By zaś Odys z dziewczkami mógł nadążyć pieszo,
Toczy się wóz ni prędko, ni nadto powoli.
Słońce już gasło, kiedy do gaju topoli
Przybyli — więc Odysej usiadł w świętym gaju;
Nuż modlić się Atenie, jak to miał w zwyczaju:
„Choć raz usłysz mnie, córo Diosa wszechwładna!
Nie wysłuchana jeszcze z gorących próśb żadna,
Odkąd na ląd mnie cisnął groźny Burzywoda.
Spraw, spraw, niechaj feacki lud rękę mi poda!...”
Tak się modlił. Atene słyszy skargi rzewne,
Lecz się mu nie objawia; boi się zapewne
Brata swojego ojca. Gniewu on nie złoży,
Aż póki w dom nie wróci Odysej nasz boży.

Pieśń siódma

Odyseusz przychodzi do Alkinoosa

Tak się tam modlił Odys losem bity srodze,
Gdy pannę rące muły uniosły po drodze
W miasto wiodącej. Jakoż przed dwór okazały
Ojcowski gdy zajędzie, muły się wstrzymały
U pierwszej bramy. Bracia, piękni jak niebianie,
Wybiegli wszyscy razem na jej powitanie
I muły wyprzęgali, i wyprane szaty
Z wozu znosili. Panna do swojej komnaty

Szła wprost, gdzie ogień stara nieciła już niańka,
Eurymedusa, ongi apejrejska branka.

Z Apejry w łódź feacką przed laty porwana
I przywieziona tutaj na dar godny pana,
Dostała się królowi, co Feakom włada,
Za którym jak za bogiem lud wszystek przepada;
Wyniańczyła mu córkę białą jak lilija —
Teraz warząc wieczerzę, przy ogniu się zwija.

Więc Odys się do miasta zbierał, gdy bogini
Atene czuwająca nad nim mgłę uczyni
I schowa go, by z dumnych Feaków tam który,
Spotkawszy go, nie złajał lub nie spytał z góry.
Co zacz? A więc gdy w miejskie wchodził już ulice,
Zabiegła mu Atene sowiooka, lice
Wziąwszy na się dziewczeczki młodej, z dzbankiem w dłoni;
A gdy stanęła przed nim, on ozwał się do niej:
„Dzieweczko, wskaż mi, proszę, w tym mieście nieznanem,
Gdzie tu dwór Alkinoja, co tutaj jest panem?
Jam człek cudzy i nędzarz srodze nieszczęśliwy,
Z dalekich krain idę, więc i duszy żywej
Nie znam pomiędzy ludźmi tu mieszkającymi”.

Na to rzekła Atene z oczami lśnącymi:
„Chcesz, dziadku, to ci wskażę, kędy idzie ścieżka
Do dworu; tam w bliskości i ojciec mój mieszka.
Idź za mną, wždy ostrożnie, ja cię poprowadzę;
W nikogo nie patrz, z nikim nie gadaj, tak radzę.
Na przybysze tutejszy mieszkanięc zawzięty.
Obcy nigdy tu nie był gościnnie przyjęty.
Lud ten puszy mnogością żeglujących łodzi,
Po morzu wciąż upędza i daleko chodzi;
Bo ładotrząs Posejdon dał im dar już taki,
Że ich nawy jak myśli lotne lub jak ptaki”.

Powiedziawszy to Pallas szła przed nim co żywo,
A Odysej jej śladem zdążał nieleniwo.

Więc żeglownych Feaków uszedł jakoś wzroku,
Gdy samym środkiem miasta przerznął się w ich tłoku,
Straszna bowiem i pięknie trefiona bogini
Ćmi ich oczy i wkoło niego mgłę uczyni.
A Odysej się dziwił korablom w przystani:
Moc ich taka! Toż placom, gdzie męże zebrani,
I długim murom miejskim w ostrokół warownym,
I wszystkiemu się dziwił dziwem niewymownym.

A tak gdy przed królewski szczytny dworzec przyszli,
Atene jasnooka ozwie się w tej myśli:
„Oto, dziadku wędrowny, dwór, o który pytasz,
Masz przed sobą; tu w kole biesiadnym powitasz
Władcy tego kraju — wszystko ród Zeusowy.
Idź prosto, nie trwóż sobą i nie trać nic głowy.
Śmiały idzie przebojem i przeto wygrywa,
Mniejsza, czy cudzoziemcem do obcych przybywa.
Wszedłszy tam, naprzód panią pozdrowić się godzi;
Zwie się Arete; z jednych rodziców pochodzi,
Co mąż jej, bo Posejdon Nauzyta, ich dziada,
Spłodził na Periboi, jak o tym wieść gada —
Najpiękniejszej kobiecie, a najmłodszej córce
Króla Eurymetona, co to chłopcy duże
Giganty rządził, które do szczętu wygubił,
A i sam zginął. Otóż Posejdon ją lubił,
Z nią miał syna Nauzyta, władcę tych Feaków,
Który to znowu spłodził dwóch dziarskich junaków,
Reksenora z Alkinem. Wždy pierwszy żył mało,
Bo po godach weselnych Feb zabił go strzałą
I jedna tylko po nim została dziewczyna
Arete, a dziś żona króla Alkinoja.
Mąż ją czci; żadna w świecie bardziej nie uczczona
Trzymająca rząd domu mężowskiego żona —
A tę cześć tak serdeczną odbiera bez zmiany
Od samego Alkina, od dziatwy kochanej,

Od ludu, co bożyszczem nazywa ją swoim,
Że gdy w mieście ją ujrzy, pcha się do niej rojem.
Bo to i rozum piękny, i dowcip tej pani:
Umie radzić, przejednać tych, co pogniewani.
I jeśli na ciebie okiem popatrzy łaskawem,
Toś wygrał i przyjaciół obaczysz niebawem,
I wrócisz w progi własne do rodzinnej ziemi”.

Rzekłszy to córą Zeusa z oczyma sowiemi
Rzuciła smugi Scherii rozkosznej i lotem
Minąwszy mórz pustkowia i Maraton potem,
Przebiegając w Atenach ulice i place,
Weszła w Erechteusza zamczyste pałace.

Odys w królewskie gmachy podążył w tej dobie
I długo stał przed nimi i rozważał sobie,
Czy ma nogą przestąpić pański próg spiżowy,
Gdzie jak promień słoneczny lub blask księżycowy
Wnętrze komnat pałało. Ściany, wyłożone
Miedzią, biegły to w jedną, to w drugą znów stronę,
Od progu w głąb i głębiej; wkoło gzyms niebieski;
Wewnątrz w każdej świetlicy drzwi ze złotej deski;
Próg miedny odrzwia srebrne dźwigał, a sklepienie
Ze srebrnej belki. U drzwi też złote pierścienie,
Psy złote i psy srebrne z obu stron podwoi,
Co je Hefajstos ukuł, ten mistrz w sztuce swojej,
Leżały — rzkomo Stróże domu swego pana;
Ani śmierć, ani starość stróżom tym nie znana.
Od progu w głąb i głębiej, w rząd poustawiane
Pod ścianami szły stołki; na stołkach zaś dziane
Kobierce, ręką niewiast misternie wyszyte.
Tam siadają feackie pany znamienite
Jedząc, pijąc; nie zbywa nigdy im na niczem.
Na podstawach dokoła z młodzieńczym obliczem
Stały złote posągi trzymając kagańce
Gościom przyświecające przy nocnej hulance.

Pięćdziesiąt tam niewolnic krzątało się w dworze.
Te obracały żarna, mieląc płowe zboże,
Inne przy krosnach, kądziel znowu przędły inne,
Jak liście na topoli, wciąż w ruchu, wciąż czynne,
Zbijały pasma tkanin mocno, aż z warsztatów
Tkackich tłustość ściekała. Bo jak tęższych chwatów
Nad Feaki do morskich wypraw nie ma w świecie,
Tak dowcipem nie sprostą feackiej kobiecie
Żadna inna w tkaninach misternej roboty:
Atene im wyłącznie dała te przymioty.
Za dziedzińcem sad duży ciągnął się od brony,
Czteromorgowy, wkoło płotem ogrodzony,
Kędy drzewa wysokie i kwieciami okryte
Rodzą granaty, gruszki, jabłka smakowite,
Słodkie figi. Toż drzewa oliwne tam były,
Przez rok cały tak zimą, jak latem rodziły,
Bo w ciepłym zefirze, co tam wciąż powiewa,
Jeden owoc się kłuje, drugi już dojrzewa,
Jabłko idzie po jabłku, gruszkę gruszka spycha,
Figa figę, i owoc zawsze się uśmiecha.
Widać tam i winnicę, bujną w winogrona,
Część jej duża na upał słońca wystawiona,
Ażeby schły jagody; więc jedno w kosz biorą,
Drugie tłoczą. Wiośniarki dochodzą niesporo.
Tu kwiat ledwie, tam już się rumienią jagody.
Za sadami warzywne leżały ogrody,
Grzędy ziół wonnych, kwiatów pstrokatych bez liku.
Są dwie krynice. Jedna wije się w poniku
Przez sady, druga pańskie podwórze obmywa
— Z niej wody na potrzebę lud miejski używa.
Taka to nad królewskim domem łaska bogów!
Długo Odys tułaczy stał zdumion u progów.
A gdy wszystkiemu w duszy dość się nadziwował,
Próg przekroczył i w wnętrze komnat tych wstępował.

Tam feackich bojarów zastał godujących
I ostatnią z czasz winnych obiatę lejących
Na cześć Argosobójcy. Zwykle biesiadnicy
Robią to, aby smaczny sen znaleźć w łożnicy.
Boski Odysej izbę prędkim mierzył krokiem,
Od Ateny odziany leciuchnym obłokiem,
Aż dopadł Alkinoja — siedział przy Arecie,
I gdy Odysej dłońmi kolana jej splecie,
Naraz zeń święty obłok zsunął się ze wszystkim
I w izbie zmilkli goście — zdumieni zjawiskiem,
Patrzali na przybysza. On wniósł prośbę, którą
Miał w tych słowach: „Areto, Reksenora córo!
Błagam twego małżonka, ciebie i tych gości,
Ja tułacz — niechaj bogi dadzą wam w pełni
Zdrowia, szczęścia, by jeszcze i na wasze dziatki
Godność od ludu dana spadła i dostatki —
Przez litość wrócić do dom pomóżcie mi prędzej!
Długo, długo się tułam w sieroctwie i nędzy”.

To rzekł i na ognisku wraz usiadł w popiele
Przy ogniu. Goście zmilkli, chociaż ich tam wiele.
Aż wreszcie przerwał ciszę mąż najstarszy laty,
Siwy Echenej, w słowa wymowne bogaty.
Dawnych wieków pamiętny, znał obyczaj stary,
Więc się zaraz odezwał mądrze i do miary:
„Ej! Nie godzi się, królu, bo to nie w zwyczaju,
By w popiele siadywał gość z cudzego kraju.
Czekając na twój rozkaz, chowamy milczenie;
A zatem podnieś gościa, na srebrne siedzenie
Posadź tu obok z nami. Keryksom każ w kruże
Wino lać, cześć oddamy bogu, co grzmi w górze:
Wszak pod jego opieką stoją nieszczęśliwi;
A klucznica z spizarni gościa niech pożywi”.

Wzruszyła się tą mową Alkinoja dusza.
Powstał i niezłomnego dłoń Odyseusza

Wziąwszy, podniósł z popiołu, posadził przy sobie
Na miejscu Laodama, co gościa osobie
Musiał ustąpić, chociaż ojca ukochanek.
Służebna na srebrzystej misie złoty dzbanek
Pełny wody przyniosła i ręce nią zmyła
Gościowi, po czym gładki stół mu przystawiła.
Potem skrzętna klucznica przyniosła mu chleba
I rozmaitych potraw z spiżarni, co trzeba,
A boski tułacz Odys jadł i spijał głodny.

Do keryksa tak mówił Alkinoj, pan godny:
„Pontonoju, lej wino gościom, rozdaj kruże,
Aby obiatę bogu złożyć, co grzmi w górze
I wszystkich nieszczęśliwych pod skrzydła swe bierze”.

Rzekł, i Pontonoj wino po pełnym kraterze
Znowu gościom podawał. A tak gdy ofiary
Każdy część wylał i sam napił się do miary,
Przemówił znów Alkinoj do wszystkich, co byli:
„Posłuchajcie, kniaziowie i władcy mili!
Mówię do was, co serce podaje do głowy:
Podjadłszy idźcie do dom na sen wywczasowy.
Jutro więcej starszozny zwołamy na koło,
Aby obcego gościa uraczyć wesoło,
A przy tym obiatami zjednać sobie bogi
I obmyślić, jak wróci ten człek w swoje progi,
Aby wolen tułacznych niewygód i trosek
Z pomocą naszych ludzi do rodzinnych wiosek
Dostał się. A już mniejsza, czy drogi stąd kawał,
Aż gdy stanie na miejscu — niech się tam rozlicza
Z wyrokami przeznaczeń, jakie tajemnicza
Nić mu snuje przez twarde prządki uprzedziona,
Kiedy na świat dziecięciem wyszedł z matki łona.
Lecz jeśli to zbieg z nieba który nieśmiertelny,
To znak, że bogi mają jakiś cel oddzielny.
Zwykle bowiem w widomej postaci się jawią,

Zasiadają wraz z nami, jedzą, piją, bawią,
Zwłaszcza jeśli ich sutym uczymy praznikiem,
Lub też zszedłszy się w drodze z samotnym pątnikiem,
Biorą kształt ludzki, chętnie kumają się z nami,
Toż z grubymi Kyklopy albo z Gigantami”.

Na to mądry Odysej odpowiedział skromnie:
„O Alkinoju! Nie myśl, proszę cię, tak o mnie.
Przecieżem do żadnego niepodobien boga,
Ani wzrostem, ni kształtem, chudzina uboga.
Lecz jeśli kogo znacie z chodzących po świecie
Najnieszczęśliwszym, to mnie równać z nim możecie.
A i więcej bym cierpień naliczył i biczy,
Którymi wyrok bogów ćwiczył mnie i ćwicz.
Wždy pozwólcie, niech zjem co, choć w oczach łza stoi.
Nic głodnego żołądka pono nie ukoj.
— Głód największym tyranem, ciągle się napiera
Nie dbając, czy ból jaki duszę ci rozdziera.
Że mi się serce kraje, nic to mu nie szkodzi:
Jeść! Pić! co chwila woła żołądek, ten złodziej!
I wszystko, com wycierpiał na starość i z młodu,
Zapominam, dopóki nie napasę głodu...
Więc błagam was, władcy, gdy ranek zaświta,
Wyprawcie mnie do domu biednego rozbita!
Zniósłszy tyle już życia nie żał by mi było,
Gdybym ujrzał włość moją, dworzec, czeladź miłą!”

To rzekł i jego mowie przytuszą książęta
— Odesłać go do domu rzecz słuszna i święta.
Więc wylawszy obiatę, gdyż sami dość pili,
Na smaczny wypoczynek do dom podążyli.
Boski Odysej w izbie pozostał godowej,
Obok króla posadzon i obok królowej,
Gdy służebne ze stołów sprzątały naczynia.
Więc rzekła doń Arete, ta biała kniahinia,
Poznawszy na nim chiton i piękny odziewek,

Który sama utkała z pomocą swych dziewczek —
Zagabnęła go lotnym słowem w tym sposobie:
„Gościu! Pozwól, żec jedno zapytanie zrobić:
Coś zacz? Skąd się tu wzięłeś? Czemu w tym ubiorze?
Mówiłeś wždy, że-ć na ląd wyrzuciło morze?”

Na to jej mądry Odys dał taką odpowiedź:
„Trudno mi od początku robić całą spowiedź
Tych bied, jakimi bogi ścigają mnie srodze,
Jednak twej ciekawości, królowo, dogodzę.

Stąd daleko na morzach jest ostrów niewielki,
Zwan Ogygią, siedziba srogiej zwodzicielki,
Kalypso pięknowłosej, a córki Atlasa.
Każdy bóg jej unika, człek tam nie popasa;
Mnie tylko nieboraka demon zagnał do niej,
Kiedy piorun Zeusowy na pełnych mórz toni
Roztrzaskał mi łódź moją. W dom mnie swój przyjęła,
Gościnnie nakarmiła, potem wmawiać jęła,
Że mi da nieśmiertelność, a z nią młodość wieczną —
Lecz się broniłem od niej odmową stateczną.
Siedem lat mnie trzymała — i nieraz łza padła
Na ambrozyjne szatki, które na mnie kładła.
A gdy ósme już lato nadeszło w lat toku,
Sama nagli na odjazd. Nie wiem, czy z wyroku
Zeusa, czy że jej serce doznało odmiany,
Dość, że na wątlej tratwie, wićmi powiązanej,
Wysłała mnie, żywnością, winem i odziewkiem
Niebiańskim opatrzywszy; i ciepłym powiewkiem,
Dmącym na jej rozkazy, gnała mnie przez wody.
Całe dni siedemnaście płynąłem bez szkody,
W osiemnastym ujrzałem zarosłych gór czuby
Tej tu ziemi — i widok weseli mnie luby!
Biedny! Nie przeczuwałem, jak srogie opały
Zgotował mi Posejda gniew zapamiętały.
Jakoż wnet rwącym wichrem pomieszał mi szlaki:

Wzdął wielkie morze, bałwan cisnął na mnie taki,
Żem na tratwie od strachu wzdychał i dygotał,
Aż wichr wpadając na nią do szczętu zgruchotał.
Wpław poszedłem i ramion użyłem za wiosła,
W końcu mnie wieja z falą na wasz brzeg doniosła.
Alić tam, gdym wychynął, bałwanem porwany,
Byłbym się w proch roztrzaskał o brzeźnych skał ściany;
Tyle, żem się w czas cofnął i przylądek z dala
Opłynąwszy, na rzekę trafiłem; jej fala
Cichszą, brzeg płaski, bez skał, do wyjścia dogodny.
Wyszedłszy, bez tchu padłem. Gdy nastał mrok chłodny,
Zaraz brzegi strumienia opuściwszy, w głuche
Krze zalałem, zgarniając na się liście suche,
A ległszy, sen mi długi zesłał bóg w tej dobie.
Zmordowany, pod kołdrą liścia spałem sobie
Przez noc całą, poranek przeszedł i południe,
I dopiero się ocknął, kiedy słońce cudnie
Zaczynało zapadać. Spojrzę k'brzegom morza:
Tam igrały dziewczęta — między nimi hoża
Córa twa, istne bóstwo, dzieliła zabawę.
Ją więc błagam, i serce znalazłem łaskawe.
Przyjęła mnie, nad podziw, nad wiek swój sędziwa,
Choć wiek młody zazwyczaj nieroztropny bywa.
Ona i jeść mi dała, i wino ogniste,
I obmyła w strumieniu, i w te szatki czyste
Oblokła. Ot i szczerą zrobiłem ci spowiedź”.

Na to mu Alkinoos taką dał odpowiedź:
„Gościu! Wždy córka moja za to sprawę zda mi,
Że-ć nie odprowadziła tu z swymi dziewczkami:
Przecież się o pomoc naprzód uciekł do niej?”

Na to odrzekł Odysej: „O, niechże bóg broni,
Królu, żebyś naganiać miał to dziecko złote.
Właśnie że mnie ze sobą wziąć miała ochotę,
Jednom się temu oparł z wstydu i bojaźni,

Czy mój widok twojego gniewu nie podrażni:
Obcy człowiek tak łatwo w podejrzenie wpada!”

Alkinoos mu na to tak wręcz odpowiada:
„Przecież, gościu, krwią serce nie kipi tak u mnie,
By o nic wrzało: gniew mój hamuję rozumnie.
Obyż za sprawą Zeusa, Ateny i Feba
Mąż jak ty, i jakiego właśnie mi potrzeba,
Trafił się dla mej dziewczki, a dla mnie za zięcia!
Zostałby zawsze z nami. Ręka jej do wzięcia,
Wiano sute, dom, włości — wszystko wziąłbyś po niej.
Lecz gwałcić cię ja nie chcę. O, niech nas bóg broni
Od takiego postępuku! Wiedz, że na jutrzejszy
Dzień twój odjazd naznaczam, nie żaden późniejszy.
A teraz spać się połów, niech cię sny kołyszą!
One przez ciche morze ci potowarzyszą.
Popłyniesz w kraj swój do dom, i gdzie chęć powieje,
Choćby nawet i dalej gdzie poza Eubeę,
Co ma leżeć najdalej, jak mówią ci, którzy
Z Radamantysem w tej tam bywali podróży,
Wożąc go do Tityosa z Gai zrodzonego —
Na tę drogę im dosyć było dnia jednego:
Bez trudu i na powrót do dom go odwieźli.
Sam zobaczysz i przyznasz, że wcale są nieźli
I tego wyćwiczeni ci moi żeglarze,
Sudnami bujający po wodnym obszarze”.

Słowa te Odys przyjął jak wieszczbę radosną
I tę modlitwę usta jął odmawiać głośno:
„Ojczy Zeusie! Spraw, żeby Alkinoj mógł ino
Spełnić to, co obiecał. A iście nie zgina
Jego czyny i sława pójdzie po rozłogach,
A ja przecie w ojczystych raz ujrzę się progach!”

Gdy taką między sobą rozmowę tam toczą,
Białoramienna pani dziewczkom swym ochoczo
Słać kazała dla gościa pod wystawą łóżko,

Wymościć je prześliczną z czerwieni poduszką;
Na to kobierce, płaszcze znów na to wełniane
Dać do przykrycia. Dziewki z tym powyprawiane
Wybiegły z izby, sobie pochodniami świecą;
A gdy się uporały dla gościa z łożnicą,
Wróciły, zapraszając Odysa w te słowa:
„Gościu! Idź spać: łożnica czeka cię gotowa”.

Słyszając to rad był Odys, że sobie wypocznie,
I na miłe wywczasy udał się niezwłocznie.
Tak złożył boski tułacz głowę do snu skłonną
Na łożu, pod wystawą szczytną, echem dzwonną.
Zaś Alkinoj spał wewnątrz zamkowych pokoi
Przy zdobiącej małżeńskie łóżę żonie swojej.

Pieśń ósma

Pobył Odyseusza u Feaków

Ledwo rumianopalca rankiem błysła Zorza,
Święta moc Alkinoja porwała się z łoża.
Wstał i Odysej, grodów burzyciel on gracki,
I obaj z Alkinojem szli na plac feacki
W niewielkiej od okrętów leżący oddali;
Tam na gładkich kamieniach obaj posiadali.
Atenea tymczasem i chwili nie traci.
Gród przebiega w keryksa dworskiego postaci,
Przemyślna, chcąc zapewnić powrót Odysowi.
Kogo spotka, każdemu takie słowo powie:
„Nuże! Spieszcie feackie kniazie i władcy
Na plac zborny wysłuchać przybylca supliki,
Co niedawno zawitał w dom króla Alkina,
Morzem wyrzucon, kształtem bogów przypomina”.

Tak rzekła, ciekawością serca rozplómnienia —
I wnet się zapęłniły na placu siedzenia

Tłumem ludu. Zdziwione patrzyły gromady
Na syna Laertesa, co sztuką Pallady
Miał czoło i ramiona w boski blask ubrane,
I wzrost dłuższy, i rysy prawie młodociane,
By Feaki zachwycił swą wdzięczną postawą
I ze szermierskich igrzysk wyszedł z czcią i sławą,
Bo do nich go na próbę wyzwał Feakowie.
A gdy już plac okryło ludu wielkie mrowie,
Zagał je Alkinoj następnymi słowy:
„Władcy, kniazie, ludu feackiego głowy!
Mówię do was, co serce szepcze mi w skrytości:
Człek zachoży, mnie nie znan, w domu moim gości;
Nie wiem — z zapadnej przyszedł, czy od wschodniej strony?
Dość, że prosi, by do dom mógł być odprawiony.
Wyprawmyż go, jak zwyczaj, w tę podróż niezwłocznie,
Bo nikt obcy, co pod moim dachem tylko spocznie,
Nie trapi się czekaniem, by mógł jechać dalej.
Ot byśmy ciemny okręt z najnowszych wybrali
I spuścili na morze; dobrać młodych flisów,
Pięćdziesięciu dwóch, znanych z dawniejszych popisów,
A gdy do ławic wiosła raz przymocujecie,
Wróćcie na ląd, w moim terenie podjecie
Sobie na drogę. Wszystko znajdzie się na razie.
Rozkaz ten dla mołojców — zaś berłowi kniazie,
Jacy są, pójdą ze mną i w zamkowej sali
Gościa naszego będziemy wraz podejmowali.
Niech się nikt nie wymawia. Przyzwać mi pieśniarza
Demodoka; pieśń jego cudnie się wydarza
I weseli. On serce z boga ma natchnione”.

Rzekł — i sunął samopierw; za nim uberlone
Kniazie szli. Keryks pobieł dać znać pieśniarzowi.
Flisów pięćdziesiąt i dwóch, wszyscy doborowi,
Jak król kazał, ruszyło na brzeg wód pustynnych,
Gdzie na wybrzeżu okręt leżący wśród innych

Zepchnęli spiesznie w morza co głębsze odmiały,
Maszt wbili, zawiesili nad nim żagiel biały,
Toż wiosła powprawiali w tulejki skórzane,
Żagl rozwiną — i wszystko sprawnie wykonane.
Więc zaciągnąwszy okręt na głębię w przystani,
Poszli, do Alkinoja terem zwołani.

Już w dziedzińcach, przysionkach, izbach się roilo
Od gości; dużo starych i młodych tam było.
Król dał skopów dwanaście na godowe stoły,
Osem świń białokłowych i dwa ciężkie woły.
Te łupią i już warzą biesiadne potrawy.

Wszedł i keryks, z nim pieśniarz wesołej zabawy,
Muzy kochanek, dobrem i złem obdarzony:
Bo mu wzrok wzięwszy, dała dar śpiewu pieszczony.
Więc Pontonój w srebrzystym sadził go krzeselku,
Pod filarem, pośrodku ucztujących zgiełku;
Dźwięczną formingę upiął na kołku, powyżej
Głów Demodoka; wziął go za rękę i zbliży,
By ją zmacał — a przed nim na stoliku kosze
I czasz wina postawił, aby pił po trosze.
Biesiadnicy wraz stoły godowe zasiedli,
A gdy się już do syta napili, najedli,
Muza piewcę natchnęła sławić cnych heroi.
Więc z pieśni rozsławionej aż do nieb podwoi
Wybrał spór Odyseja z Achillem Pelidą,
Ongi, gdy na bankiecie bogów z sobą idą
W zapasy na języki, ku ucieście żywej
Agamemnona, że się skłóciły Achiwy.
Bowiem ten znak Apollon wskazał mu wyrokiem,
Gdy kamienny próg Pyto przestąpił był krokiem,
Aby pytać wyroczni. Jakoż od tej pory
Greków z Trojany straszne poważniły spory
W moc wyroków Zeusowych.

Gdy tę pieśń zaśpiewał

Demodok, w tejże chwili Odysej się zrywał,
Ręką by chwycić za płaszcz fałdny, purpurowy,
I twarz sobie nim zakryć, ściągawszy od głowy,
Bo nie chciał łez Feakom pokazać, jak ronił.
A gdy pieśniarz pieśń swoją do końca wydzwonił,
Prędko łzę starł i zsunął płaszcz z głowy i twarzy,
Wziął czas, podwójną bogów obiatą obdarzy;
A gdy pieśniarz znów zaczął, pobudzony przez gości,
Uradowany śpiewem przecudnej piękności
Odysej znowu głowę w płaszcz skrył, by nikomu
Nie dać poznać, że łzami płakał po kryjomu.
Alkinoj tylko odgadł jego pomieszanie
Siedząc obok i słysząc głębokie wzdychanie.
Więc się król do swych gości tak ozwał na razie:
„Dość my się, dość, feackie władcy i kniazie,
Przy tej wspólnej biesiadzie już naweselili
Dźwiękiem gęśli, wtrzącającej godom tym najmilej;
Teraz pójdziem szermierek popробować różnych.
By gość nasz miał co dodać do przygód podróży
I opowiadać doma, jak słyną Feaki
Z gonitw, skoków, zapasów i walk na kułaki”.

Rzekł i wyszedł, a za nim wyszła gości rzesza.
Keryks dźwięczną formingę na kołku zawiesza,
A pieśniarza za rękę wyprowadza z sali,
Wiedzie drogą, po której kniaziowie zdążali,
Idący na szermierskie patrzeć się igrzyska.
I szli tak wśród wielkiego gminu zbiegowiska
Aż na plac. Tam w zapasy z sobą wystąpili
Co najprzedniejsi z panów, zaraz się schwycili.
Akroneos, Okyalos, dalej Elatreus,
Nautej, Prymnej, Anchialos, z nimi Eretmeus,
Anabesinoj, Pontej, Prorej wyzwał Thona,
Amfial, syn Polineja, co zrodzony z Tektona
I Euryal waleczny jak Ares, bóg wojny;

Toż Naubolides wzrostem, kształtem tak przystojny
Jak żaden, chyba tylko Laodam jedyny.

Wreszcie Alkinoosa dziarskie, rosłe syny:

Laodamas, toż Halios, Klytonej, w zawody

Spróbują, kto do mety dobiegnie z nich wprzód:

Od miejsca aż do kresu wytknięto im gony.

Kopną się, i biegł z nimi polem kurz wzniecony.

Alić wszystkich Klytonej pozostawił w tyle:

Jak dwa muły sprzęg wołów prześcigną, o tyle

On swych braci przegonił i przypadł do celu.

W twardych zapasach siłę sterało tam wielu!

Zaś Euryjal szermierzy co najlepszych pobił;

Amfijal najbujniejszy skok ze wszystkich zrobił;

W miotaniu kręgiem jeden Elatreus miał szczęście;

Laodamas najkrzepszy z wszystkich był na pięście.

Gdy widok tych tam igrzysk serca już nasycił.

Syn Alkina Laodam te słowa pochwycił:

„Sam tu, moi! Spytajcie ot gościa, czy zna się

Na szermierce? Czy szermierz? Kształtem zacny, zda się,

Bo te lędźwie, te łydy, te żylaste bary,

Kark gruby, pierś wypukła mówią, że chłop jary

I ognisty — lecz widać, że zjadła go nędza;

Woda morska to ponoś najzjadliwsza jędza

I najtęższego chłopą naraz z nóg obala”.

Na to wyszła odpowiedź ta z ust Euryjala:

„Trafnieś rzekł, Laodamie: jeśliś tak ochoczy,

Idź sam do niego, powtórz mu to samo w oczy”.

Więc gdy syn Alkinoja usłyszał zachętę,

Przedarł się do Odysa przez tłumy ściśnięte:

„Gościu! Pójdź z nami, w szrankach spróbuj się! — powiada —

Jeśli umiesz; lecz pewnie tyś szermierz nie lada.

Jakaż piękniejsza sława człeka wyżej wzbije,

Niż gdy rąk i nóg siłą przeciwnika zbije?

Więc spróbuj, i te myśli chmurne strząśnij z duszy.

Odeślem cię niebawem — okręt twój wyruszy
Przygotowan w przystani, czeladź też gotowa”.

Na to przebiegły Odys odparł mu w te słowa:
„Czemu mnie wyzywacie? Czy z urągowiska?
Moje troski mi bliżej niżli te igrzyska,
Bom się dużo nacierpiał, i tak się wciąż będę,
Że jeśli w zgromadzeniu waszym tutaj siedzę,
To wciąż rwę się do domu i błagam w tęsknocie
Króla i lud: niech radzą o moim powrocie”.

Na to Euryjal tak mu z przekąsem odrzeczł:
„Zaprawdę, tobie z oczu nie patrzy, człowiecze.
Byś się znał na szermierskich, szlachetnych zabawach.
Z tych-eś raczej, co żywot swój trawia na nawach:
Możesz patron okrętu, włóczęga kupczący,
Stróż ładugi, towary sam dozorujący
Łapigrosz! Wcale miny nie masz na szermierza”.

Odysej na to wzrokiem ukośnie go zmierza:
„Nie znam cię, lecz źle mówisz, jak młokos zuchwały!
Wiedz, że bogi nie wszystko na raz wszystkim dały.
Tak urodę, jak rozum, jak wymowę świetną,
Toż niejednen, co postać wziął lichą i szpetną,
Otrzymał z łaski bogów taki dar mówienia,
Że gmin się nim zachwyca, gdy bez zająknienia
Tnie wdzięcznie i po prostu — podziwia go mnóstwo,
Idącego przez miasto tłum wita jak bóstwo!
Inny znów, chociaż kształtem niebianom podobny,
Nie potrafi się w sposób wysławić nadobny.
Toż i ty, taki śliczny, że nawet bogowie
Piękniejszego nie stworzą, a pustki masz w głowie:
Głupim słowem aż do dna rozdarłeś mi serce,
Choć mogę ci zaręczyć, że nie fryc w szermierce,
Jakoś twierdził. Jam niegdyś z pierwszymi się mierzył,
Pókim młodości mojej i ramionom wierzył.
Dzisiaj troski przysiadły; cierpiałem zbyt wiele

W bitwach z ludźmi, toż morskie zjadły mnie topiele.
Lecz i dziś niezłomnego znajdziesz zapaśnika
We mnie: tak mnie twa mowa boli i dotyka”.

Rzekł to — i jak był w chlajnie, wstał i wziął do ręki
Krąg ciężki i nabity, i nie tak maleńki
Jak te, które Feakom służą do zabawy.
Zamłyńcował nim, cisnął szparko z ręki prawej,
Aż warknął — i aż głowy pochyla Feaki
Do ziem, te zawołane na morzach flisaki —
Tak głąz huczał, i dalej poza metę padnie,
Puszczon z ręki. Atene, gdzie upadł, znak kładnie
I — przemieniona w człeka ku niemu się zwraca:
„Cudzoziemcze! I ślepy, co rękami maca,
Znalazłby głąz twój: z wszystkich najdalej on leży,
Nie zmieszany z innymi. O, niech się nie mierzy
Nikt tu z tobą! Zwycięstwo zawsze jest przy tobie!”

Tak rzekła, a Odysej cieszył się sam w sobie,
Że tu, wśród obcych, znalazł kogoś tak chętnego;
Weselszy też do tłumu rzekł zgromadzonego:
„Dalejże! Kto dorzuci, gdzie ja? Wnet krąg drugi
Puszczę, może przeleci przestwór równie długi.
Do każdej walki, kto ma serce i ochotę,
Służę. Wystąpcie! Zmazać trzeba mi sromotę.
Czy na pięści, na siłę, wyścigi — przyjmuję.
Krom Laodama, z każdym sił mych popróbuję;
On mój opiekun, z takim nikt się nie boryka.
Zaiste, ja takiego miałbym za nędznika,
Który by dobrodzieja, co go przyhołubił
Na czużynie, w bój wyzwiał — sam on by się zgubił.
Zresztą każdemu stanę, nie pogardzę nikim
I na siłę się zmierzę z każdym przeciwnikiem.
Nie myślcie, że szermierka obca dla mnie sztuka;
Umiem przecież cięciwę napinać u łuka.
Już ja mojego człeka najpierwszy ustrzelę

W kupie wrogów, chociażby towarzyszków wiele
Stało przy mnie i groty na wroga miotało.
Li Filoktet nade mną miał wyższość niemałą,
Gdy pod Troją w rzucaniu strzał my się ćwiczyli,
Lecz kto inny mnie sprostać niech się i nie sili.
Słowem — każdy, kto żyje i chleb je na świecie.
Z herojami przeszłości nie równam się przecie
— Jam nie Herakles ani Eurytos z Ojchali —
Bo ci łucznicy niemal bogom wyrównali.
Toteż Eurytos nagle zmarł, nim w jego progi
Starość weszła — Apollon zastrzelił go srogi
Za wyzwanie, by z sobą o lepsze strzelali.
Niż inny strzały, oszczep umiem posłać dalej;
Tylko w pieszych gonitwach może Feakowie
Pobiliby mnie wreszcie, bom ja sterał zdrowie
W burzach morskich, łódź moja zbyt skąpo żywności
Miała z sobą; dlatego zwątlały mi kości”.

Rzekł — oniemieli wszyscy i nastąpiła głusza,
Gdy Alkinoj tak mówił do Odyseusza:
„Mile nam jest, mój gościu, słuchać twej spowiedzi.
Znać to, że dzielność męska w piersi twojej siedzi,
Boś się wzburzył, gdy mąż ten ubódl cię w tym kole.
Nikt już twojej szermierskiej sławy nie ukole,
Kto ma trochę oleju i gada też k'rzeczy.
Zatem słuchaj, co-ć powiem, i miej to na pieczy,
Byś powtórzył przed mężmi, gdy zasidziesz kiedy
W zamku swym pośród żony, dzieci, sług czeredy.
A wspomnisz nasze cnoty, wiekopomne dzieła,
Które nam łaska bogów z naddziadów natchnęła:
Że w zapasach na pięście nie szukamy sławy,
Li w gonitwach, w żegludze słyniem z wielkiej wprawy;
Kochamy się w biesiadach, płasach, gęśli graniu,
W zmianie stroju, toż w łaźniach i odpoczywaniu.
Dalejże! Popiszcie się, feaccy skoczkowie!

Gość nasz swojej drużynie kiedyś to opowie
Za powrotem do domu, jacy to my, jacy
Żeglarze, skorochody, skoczki i śpiewacy!
Niech poskoczy tam który, formingę przyniesie
Dla Demodoka; u mnie gdzieś tam znajduje się”.

Tak mówił Alkinoos; keryks pobiegł śpieszno
Do zamku po formingę dźwięczną a ucieszną.

Teraz dziewięciu stróżów powstało z swej ławy:
Lud ich wybrał, im oddał porządek zabawy;
Ci do płasów szeroki plac przysposobili.
Keryks z dźwięczną formingą wrócił się po chwili;
Demodok wszedł do środka, a tam stały grona
Dziarskiej młodzi, co w płasach ślicznie wyćwiczona
Puszczala się w tan boski. Odys patrzył z boku,
Dziwiąc się nóg miganiu w leciuchnym poskoku.

Gęślarz w struny uderzył. Pieśnią znamienitą
Śpiewał on Aresową miłość z Afrodytą:
— Jak się raz z sobą zeszli w Hefajsta komorze;
Co Ares jej nadawał, nim mu splamił łoże.
Jak do Hefajsta Helios przybiegł i obwieścił,
Że widział, jak małżonkę jego Ares pieścił.
Hefajstos, gdy wieść przykra doszła jego ucha,
Wszedł do kuźni, a ziejąc zemstą z głębi ducha
Na pień wstawił kowadło, jął kuć takie pęto,
Co by go nie zerwano i nigdy nie zdjęto.
A skuwszy na Aresa te zgubne okowy,
Wszedł do sypialni swojej i swej białogłowy
I łowczą sieć rozwiesił wkoło popod ścianę.
Inne znowu z pułapu szły ponapinane,
Cieniutkie, jak pajęczce, nikt ich nie dostrzeże,
Nawet bóg sam, tak sztuczne były te wścierze.
W taką więc samolówkę osnuwszy łożnicę
Udał, że idzie Lemnu nawiedzić stolicę,
Którą z wszystkich swych grodów najwięcej miłował.

Niepróżno złotolejcy Ares nań czatował,
Bo gdy spostrzegł, że Hefajst oddalił się z domu,
On do mieszkania mistrza wpełznął po kryjomu
Palon żądzą ku pięknej Kyterze. Zaś ona
Tylko co powróciwszy od ojca Kroniona
Siedziała w swej sypialni. Ares wpadł tam do niej
I rzekł, rękę bogini ściskając w swej dłoni:
„Pójdź, o luba, do łoża w uściski rozkoszy!
Hefajsta nie ma, on nas pewnie tu nie spłoszy,
Bo u dzikich Sintijów bawi się na Lemnie”.

Tak mówił — a ją łoże ciągnęło przyjemnie.
Więc poszli i zasnęli. Aż wtem na nich zleci
Cała matnia misternych Hefajstowych sieci,
Że się ruszyć ni dźwignąć nie mogło z nich żadne.
Więc poniewczasie pęta zobaczyli zradne.
Wkrótce przybył i bożyc ów chromy na nogi,
Co nie doszedłszy Lemnu zawrócił się z drogi.
Helios ich wyszpiegował i pobiegł doń z wieścią.
On też wrócił, a serca targany boleścią
I gniewem rozjuszony, stanąwszy u progów
Krzyczał wzywając w pomoc wszystkich z nieba bogów:
„Ojcie Zeusie, bogowie szczęśliwi i wieczni!
Pójdźcie tu się przypatrzeć, co płodzą wszeteczni,
Jak mnie, chromego człeka, Zeusowa Kipryda
Oszukuje, z tym łotrem pieści się... ohyda!
Czemu? Bo prostonogi i przystojnych liców,
A ja krzywy. Nie moja wina, lecz rodziców...
O bodajby mnie nigdy byli nie spłodzili!
Patrzcie-no, jak się w moim łożu rozgościli
I rozkoszują. Serce aż pęka mi z żalu!
Ostatni to raz ona przy swoim chabału.
A choć się tak związali, chęć ich porzuci
Do schadzek, niechże leżą we dwójkę okuci,
Aż jej ojciec mi odda, com zapłacił za nią,

Gdym narzeczony słębił tę bezwstydną panią.
Ślicznać ona, ni słowa, lecz gamratka szczerą!”

Tak rzekł — a bogów orszak w dom jego się zbiera:
Wszedł Posejdon ładotrząs, Hermes wieści zwiastun,
Toż Apollon, dalekonośnej kuszy piastun.
Z bogiń żadna nie przysła — wstyd im tej swawoli...
A więc stanęli we drzwiach bogi, dawce doli —
I śmiech ogromny napadł niebian tam zebranych,
Gdy ich sztuką Hefajsta widzą powiązanych.
I gwarzył jeden z drugim — tak gwarzyli oni:
„Złe nie płuży, powolny ręczego dogoni,
Kiedy Hefajst Aresa, co jest znany przecie
Za najchyźszego z bogów tam, w olimpskim świecie,
Złapał sztuką, choć chromy. Masz, cudzołożniku!”
Takie były rozmowy na bogów sejmiku.

Wtem Apollon pytanie do Hermesa wniesie:
„A tyż, gończe i synu Diosy, Hermesie!
Chciałżebyś w takie twarde dostać się powicie,
By pieszczotek przy złotej zażyć Afrodyce?”

Na to Hermes odpowiedź już miał na języku:
„Bodajby tak się stało, mój celny łuczniku!
Niechby trzykroć mnie gęstsze pęta omotały,
Niechby bogów i bogiń zbiegł się Olimp cały
Na ten widok, to jeszcze spałbym przy tej złotej!”
To rzekł, a w gronie bogów wszczęły się chychoty.
Li Posejdon się nie śmiał, on prośbą szturmował
Hefajsta, by z tych więzów Aresa rozkował,
Mówiąc do niego, słowa posyłał skrzydlate:
„Uwolń go, ręczę za nim. Na bogi się, na te
Powołuję. On da ci, jaką chcesz zapłatę”.
Na to mu bożek ognia na dwie nóg kulawy:
„Daj pokój, Posejdonie, nie włącz do tej sprawy!
Nędzna poręka, która ręczy za nędznikiem.
Cóż bym robił z olimpskim, jak ty, poręcznikiem,

Jeśli Ares od długu i oków ucieknie?”

Ziemiowstrzęsca Posejdon na to mu odrzeknie:

„ — Hefajście! Gdyby Ares raz zwolnion z okowy
Uciekł ci, dług za niego jam spłacić gotowy”.

Na to znów chromy bożek: „A, to inna sprawa.
Nie ufać słowu nie mam ni czoła, ni prawa”.

Rzekłszy to Hefajst pęta zdjął z nich rąk swych siłą.
A oni zmiarkowawszy, że pęto zwolniło,
Wyskoczyli wraz z łoża. Ares w trackie kraje
Pognał, ona do Cypru, tam, w pafijskie gaje,
Gdzie ma wonny żertwiennik, leci uśmiechnięta.
Tam ją kąpią Charyty, tam ją maści święta
Oliwa, jaką bogi maszczą się wieczyste.
I w szatki ją obloką cudowne i czyste. —

Tak śpiewał boski piewca. Odys duszą całą
Radował się tej pieśni, z nim się radowało
Serce feackie, dzielni cieszą się żeglarze.
A wtem król Haliosowi z Laodamem w parze
Kazał pisać: nikt w tańcu im by dwom nie sprostał.
Owoż jeden i drugi piłkę w ręce dostał
Ukraszoną, misternej Polyba roboty.
Pierwszy, wznak się wygiąwszy, popod chmur namioty
Cisł ją w górę; zaś drugi w poskoku się rzucił,
W lot ją schwytał wprzód jeszcze, nim na ziemię wrócił.
Pokazawszy na piłce te sztuki tak wielkie,
Zaczęli płasem deptać ziemię karmicielkę
I przeginać się różnie. Młódź syła oklaski
W krąg stojąca, i pochwał podniosły się wrzaski.

Więc do Alkina boski Odysej tak powie:
„Sława ci, Alkinoju! Cześć tobie, królowi!
Mówiłeś, że świat nie ma równych twym tancerzy.
Zdumion przyznaję: sława tobie się należy”.

Świętą moc Alkinoja gładka mowa cieszy,
Toż zwrócił się tym słowem do feackiej rzeszy:

„Słuchajcie mnie, feackie władzyki, kniaziowie!
Jak widzę, gość ten siłą rozumu ma w głowie.
Piękny mu upominek jakiś dać wypada.
Gdy więc dwunastu kniaziów co przedniejszych włada
W państwie mym, ja trzynasty jeszcze się przyłożę;
Niech każdy z nas na suknię i chiton się zmoże
I na złota talencik dla gościa w ofierze.
Znieścieże to na kupę — on z sobą zabierze
I z sercem ucieszonym pójdzie na biesiadę.
Euryjal też od siebie mógłby go za zwadę
Nieprzystojną tak słowem, jak datkiem przeprosić”.

Rzekł i wszystkim ten pomysł podobał się dosyć,
Bo wnet każdy keryksa po dary wyprawił,
A Euryjal królowi tak swą rzecz przedstawił:
„Szerokowładny królu, mocarzu Alkinie!
Chętnie ja się dla gościa, jak każesz, przyczynię.
Miecz mu dam w upominku: srebrne on ma jelce,
A pochw z kości słoniowej, błyszczącą się wielce
Świeżą rzeźbą, a sądzę, że dar znamienity”.

I miecz srebrnymi gwoźdźmi dokoła nabity
Dał Odysowi, mówiąc te słowa skrzydlate:
„Cześć ci, ojczyzno wędrowny! Jeśli mi rogate
Słówko się wymkło, niechże na wiatry polecą,
A tobie bóg pozwoli dom, żonę i dzieci
Ujrzeć znowu, po biedzie w tułaczce przebytej!”

Więc Odysej mu na to: „Szczęśliwym bądź i ty,
Druhu mój! Błogosławieństw spodziewaj się z nieba,
I oby za tym mieczem tęsknić ci nie trzeba,
Któryś mi w upominku z dobrym słowem wmiesił”.
I miecz srebrnogwoździsty przez ramię przewiesił.

Słońce zaszło, przybywa darów coraz więcej;
Keryksi je na zamek odnoszą książęcy,
Gdzie syny Alkinoja, przyjmujący datki
W ręce swe, składali je u stóp zacnej matki.

Zaś Alkinój wiódł z sobą resztę zgromadzenia
Na dwór swój, gdzie zasiadło wspaniałe siedzenia.
I świętej mocy Alkin tak rzekł do Arety:
„Kochanko! Najśliczniejsze znieś mi tu sepety
I włóż w nie płaszcz i chiton czyściutko uprany;
Postaw na ogniu z wodą kociołek miedziany,
Aby gość, się skąpawszy, obejrzyć mógł one
Upominki, przez zacne Feaki zniesione,
I weselszy wieczerał przy formingi dźwięku.
Jeszcze mu ten pucharzek złoty, co ma w ręku,
Daruję; każdym razem o mnie niech wspomina,
Ileć na cześć bogów strząśnie częśćką wina”.

Król to rzekł — zaś Arete służebnicom każe
Prędko trójnożny kocioł postawić na żarze.
I one wraz kąpielne wstawiły naczynie,
Wlały wodę, podłoży drewek — i obwinie
Płomień boki; wnet syczy kociołek rozgrzany.

Już królowa gościowi sepet darowany
Wyniosła z swej komory i kładła do skrzynki
Złota, szaty feackie, piękne upominki;
Zaś od siebie płaszcz z pysznym włożyła chitonem,
I mówiła do niego słowem uskrzydłonym:
„Obejrzyj dobrze wieko; węzeł zawiąż mocny,
By kto w drodze nie ukradł, gdy zaśniesz w czas nocny
Słodkim snem, na twym ciemnym okręcie płynący”.

Gdy to usłyszał Odys, tułacz biedujący,
Wraz wieko przywarł, węzeł zadzierzgnął misterny;
Od Kirki miał ten węzeł sztuczny, nieotwieralny.
Weszła klucznica, sprasza gościa do kąpieli
Ciepłej w wannie. Ten widok serce mu weseli;
Dawno on już kąpieli nie miał tak wybornej,
odkąd rzucił pieczarę Kalypsy kędziornej,
Bo tam nań jak na bożka chuchano ustawnie.
Więc go dziewczki wymyły, namaściły sprawnie,

W piękne szatki oblokły, dały płaszcz z chitonem.

Wyszedł z łaźni z pijących połączyć się gronem.

Nausykaa w sklepionej izbie u podwoi
Stała tam, siejąc boski blask piękności swojej,
I w Odysową postać wpatrując się z dziwem,
Zaczepiła go, słowem przemówiła żywym:
„Bywaj zdrów, cudzoziemcze! Do dom gdy wrócicie,
Wspomnijcie czasem o mnie: winniście mi życie”.

Na to mądry Odysej do niej się odzywa:
„O Nausiko! Królewska córo urodziwa!
Niech mi Zeus, gromowładny mąż Hery, dozwoli
Do dom wrócić, raz skończyć pasmo mych niedoli,
A będę cię tam wielbił modłą nieustanną
Jak bóstwo: tyś mi życie ocaliła, panno!”

To rzekł — i obok króla usiadł on Alkina.
Właśnie mięso krajano i mieszano wina,
Gdy wszedł keryks, prowadząc przy sobie pieśniarza
Demodoka, którego lud wielce poważą,
I posadził go w środku o filar wspartego.
Odys rzekł do keryksa — gdy sztuk wieprzowego
Tylko co urznął grzbietu, sobie wziął niemało,
A kawałek, słoninką co obrosły białą,
Podał: „Ten kąsek zanieś tam Demodokowi;
Powiedz mu, że gość smutny sam go wnet pozdrowi.
Wszak, gdzie tylko na ziemi ludzie zamieszkują,
Pieśniarzy cześć otacza, wszyscy ich miłują;
Bo to Muzy uczniowie i jej ulubieńce”.

To rzekł, i keryks mięso w Demodoka ręce
Włożył, a ten przysmakiem tym się uradował.
Tymczasem tłum biesiadny hucznie biesiadował;
A gdy się najedzono, napito do syta,
Zaraz do Demodoka Odys się przypyta:
„Demodoku! Ja-ć wyżej nad śmiertelnych cenię;
Czy Muza, czy Apollon dał ci to natchnienie,

Żeś tak dokładnie nasze Achiwy wyliczył,
Gdzie byli, co robili, i jak los ich ćwiczył.
Nuż dalej, zaśpiewaj o koniu drewnianym,
Przez Epeja z Ateną wspólnie zbudowanym,
Jak do Troi wprowadził Odys zdradnie dzieło
Pełne zbrojnych, od których to miasto runęło.
Jeśli i to porządkiem opowiesz mi jeszcze,
Tedy wszystkim ja ludziom, jacy są, obwieszczę,
Że to bóg, bóg cię natchnął nieśmiertelnym pieniem!”

To rzekł; a gęślarz boskim nuż śpiewać natchnieniem:

Jak jedni, na burtowne wsiadłszy już okręty
Odbijali, gdy obóz trawił pożar wszczęty;
Jak inni razem z sławnym Odysem Achaje
W koniu siedzą, przez Trojan oblężeni zgraје,
Bo wróg sam tego konia wciągnął był do grodu:
A tak, gdy wkoło mnóstwo radziło narodu
Nad tym koniem, trojakię dając o nim zdanie:
Raz, aby gmach wydrążyć dać na porąbanie;
Znów, by z murów zamkowych strącić go na skały
Lub dla bogów zachować pomnik okazały —
Co się też wkrótce spełnić miało w rzeczy samej,
Bo Troi przeznaczeniem runąć, jeśli w bramy
Swe puści konia, w którym tylu tam heroi
Greckich siedziało, skrytych na zagładę Troi.
Dalej śpiewał, jak Grecy po mieście hulali,
Gdy się z brzucha zdradnego konia wysypali,
Jak na mury zamkowe leżli ci i owi,
Jak Odys w Deifoba dworzec, Aresowi
Podobien, wpadł z Atrydą Menelem we dwójkę,
Jak twardą mu tam przyszło z wrogiem stoczyć bójkę,
Jak go zmógł, bo Atene wsparła go ramieniem.

Tak śpiewał boski piewca. Odys z rozrzewnieniem
Słuchał go; łzy mu z powiek lunęły nawałem.
Jak zawodzi niewiasta nad mężowskim ciałem,

Zabitym pod murami, co je piersią bronił,
By dzień hańby od dzieci i miasta odgonił;
Ona widząc, jak z śmiercią męczy się, jak kona,
Obejmuje go, wyje — a tu rozjuszona
Kupa wrogów włóczyniami plecy jej okłada
I wlecze w jasyr, gdzie ją trud czeka i biada,
Gdzie ból rozpaczy krasę z lic kwitnących wyssie:
Taki ból łzy wyciskał i tobie, Odysie!
Aleś się przed drugimi z tymi łzami chował,
I tylko Alkinoos jeden coś miarkował
Obok siedząc, gdy łkanie doszło uszu jego;
Zatem tak się do grona ozwał biesiadnego:
„Posłuchajcie, co powiem, władcy i kniazie!
Demodokos niech śpiewać przestanie na razie;
Jego pieśni nie wszystkim przypadły do smaku,
Bo odkąd wieczerzamy przy boskim śpiewaku,
Odtąd nasz gość ustawnie i wzdycha, i jęczy;
Domyślam się, że w duszy jakiś go ból dręczy.
Więc nie śpiewaj! Tu wszyscy, gość i gospodarze,
Wesołymi być winni, tak obyczaj każe.
Wszak dla zacnego gościa jest i ta biesiada,
Te dary, okręt — zgoła, co dusza dać rada.
Bo każdy brata widzi w tułaczu znękanym,
Kto nie jest całkiem z uczuć litości obranym.
Więc też wykrętnym słowem nie wywódź mnie w pole
I mów mi czystą prawdę, tę najlepiej wolę.
Mów, jakim cię nazwiskiem zwie ojciec i matka,
Mieszkaniec okoliczny i twoja czeladka?
Przecież nikt bez nazwiska po świecie nie chodzi:
Czy to pan, czy chudzina, ma je, gdy się rodzi.
Każdy, co go powiła macierz, ma nazwisko.
Jakże zwiesz naród, jak kraj, jak własne siedlisko,
Jeśli chcesz w zgadującej myśl odpłynąć nawie?
Feakom bo sterników nie potrzeba prawie

Ni steru, co gdzie indziej jest w każdym okręcie:
Nasze same zgadują myśl pana i chęcie,
Trafią w najdalsze kraje, znajdą wszystkie grody
Wśród mgieł i nocy czarnych, a lecą przez wody
Morskie najchyżej. Również nie mamy obawy,
By burza potopila i potłukła nawy.
Mam to jeszcze od ojca mego nieboszczyka,
Nauzyta, że Posejdon wciąż na nas się wścieka
O tę śmiałą odwózkę gości w ich tam strony,
Za co kiedyś nasz okręt dobrze opatrzone,
A do dom wracający, strzaska na roztoczy
Morskiej, a gród nasz górą ogromną zamroczy.
Tak wróżył starzec — czy zaś Posejdon to zrobi,
Lub nie? zależy, jak go serce usposobi —
A więc proszę, mów prawdę gołą jak należy:
Gdzieś bywał i do jakich dotarłeś rubieży?
Nazwij ludy i miasta, które zwędrowałeś,
Gdzie łotrów, a gdzie gburów, a gdzie dzicz spotkałeś?
Gdzie znowu lud gościnny, bogów miłujący?
Mów, czemu płaczesz? Czemuś zawsze wzdychający,
Gdy usłyszysz o Grekach lub Ilionu losach?
Nie poradzisz — zginęli! Wyrok ten w niebiosach
Padł na nich, aby w pieśniach pokoleń ożyli.
Czy i tobie tam kogo z twych bliższych zabili
Pod Troją? Teść twój może lub zięć dali głowy,
Ludzie zacni, a z takich, co po krwi rodowej
Najdrożsi nam bywają? A możeś też stracił
Przyjaciela, co-ć szczerą wzajemnością płacił?
O! taki druh szlachetny, z dawna doświadczony,
Nie mniejszej bywa ceny, co i brat rodzony”.

Pieśń dziewiąta

Opowiadania u Alkinoosa. Przygoda z Kyklopem

Na to przemądry Odys rzekł mu: „O Alkinie!
Potężny, najślawniejszy królu w tej krainie!
Zaprawdę pieśń ta serce do głębi przeszywa,
I ten pieśniarz cudownie, ni bóg jaki, śpiewa.
Do wielkich też rozkoszy życia ja to liczę,
Gdy u ludu tchnie szczęściem wesołe oblicze,
Gdy w zamku godowników zasiada rząd długi
I słucha dźwięku gęśli, a kręcą się sługi
Z mięsiami i chlebem, a leją cześniki
Z krużów wino, roznosząc między biesiadniki.
Ma to dla mnie, jak rzekłem, powab niezrównany.
Ależ ty chciałeś poznać los mój oplakany.
Czy na to, bym znów płakał nad sobą, tułaczem?
Od czegoż by tu zacząć, a skończyć ci na czym,
Kiedy tyle bied spadło na mnie w tym ucisku?
Więc ci powiem, boś pytał, o moim nazwisku,
By kiedyś, jeśli ujdę dnia zguby ostatniej,
Łączył nas w oddaleniu nawet węzeł bratni:
Jam jest Odys Laertyd, z fortelów mych znany,
U ludzi pod niebiosą prawie wysławiany.
Mieszkam zaś na Itace jasnej — nad nią czołem
Sterczy leśny Neriton; liczne wyspy kołem
Obsiadły ją i leżą jedna blisko drugiej,
Jak: Same, leśny Zakynt, Dulichionu smugi.
Itaka ku północy czub swój stromo jeży,
Inne k'jutrzni i słońcu w morzu legły wyżej.
Skała to, lecz młodzieży dostarcza ognistej
Nie znam też nic miłszego nad ten kąt ojczysty...
Mogła długo mnie trzymać Kalypso, bogini,
W grocie swej, chcąc, bym brał ją, mężem został przy niej.

Mogła ajajska Kirka przez chytróść i czary
Pod małżeńskie w swym zamku ciągnąć mnie kotary,
Lecz gra się nie udała, byłem nieugięty...
Ojczyzna, ojciec, matka — skarb wielki i święty
Takim nawet, co mają włości i dostatki
W obcej ziemi, daleko od ojca i matki.

A więc słuchaj: opowiem powrót nieszczęśliwy
Spod Troi, jak mnie trapił Zeus swoimi gniewy.
Z Ilionu ku Kikonom zagnan wieją wściekłą,
Zburzyłem Ismar, gród ich; mężów się wysiekło,
A łup wzięty w dobytku i brankach kazałem
Między nas wszystkich równym rozrzucić podziałem,
Po czym mówię do naszych: — Umykać co duchu! —
Lecz głupcy radom moim nie dali posłuchu,
I nuż wino łąć w siebie i rznąć u wybrzeży
Kozy, owce i woły zajęte w grabieży.
Tymczasem niedobitki pomoc u sąsiednich
Wziąwszy sobie Kikonów, chłopów na schwał przednich
I bitnych a ćwiczonych w rzemiośle dwojakim,
Bo każdy bić się umiał konno i pieszakiem,
Ci zatem, w takiej liczbie jak na wiosnę liście,
Wpadli na nas o brzasku. Tu już oczywiście
Ociężała nad nami gniewem ręka boża.
Bój się wszczął przy okrętach, tuż u brzegu morza,
I miednymi oszczepy kluto się nawzajem.
Póki słońce na niebie, póty się nie dajem,
Bo choć oni liczniejsi, siły równe obie;
Lecz gdy słońce zniżone stanęło na dobie
Wyprzęży wołów, wtenczas wróg nas parł nawałą.
Achiwi się cofnęli, naszych napadało
Dość. Z każdej nawy sześciu zabito pancernych —
My reszta uszli cało tych rąk ludożernych.

Z ciężkim na duszy smutkiem płynęliśmy dalej:
Bo choć trwoga minęła, żal tych, co zostali.

Odbijając od lądu o tym pamiętano,
By każdego imiennie trzykroć wywołano,
Który, zabity od wroga, na polu się wala;
Gdy wtem na nasze nawy przyszła sroga fala:
Pędził ją Borej, wolą wzburzon chmurowładną.
I mgły gęste wraz na ląd i na morze padną,
Z nieba noc się stoczyła, a nasze okręty,
Aż maszty się pokładły, tak mkną przez odmęty.
Wichr w żagle wpadłszy rwał je na troje, na czworo;
Lecz z obawy wywrotu zwijamy je skoro
I wiosłując z mozołem, dopychamy łodzie
Do brzegu, gdzie dwie doby na tej niepogodzie
Staliśmy, ciągłą pracą i smutkiem już zbici.

W dniu trzecim, gdy rumiana Eos nam zaświeci,
Dźwignąwszy maszty, żagiel zawiesiwszy biały,
Siedzimy w nawach, które wiatr i sternik gnały,
A jam w powrót szczęśliwy nie tracił nadziei.
Lecz prąd morski płynących około Malei,
Toż Borej — jak nas schwycą, tak w przeciwną stronę
Od Kyterów odrzuca. Więc przez wody słone
Dni dziewięć wciąż pędzony wichry zajadłemi,
Aż w dziesiątym nareszcie dobiłem do ziemi
Lotofagów, co lotos jedzą. Na wybrzeże
Wysiadłszy, zapas wody każdy z nas nabierze,
Po czym-eśmy przy statkach do obiadu siedli;
A gdy się towarzysze napili, najedli,
Wyprawilem ich na ląd, by dokładnie wiedzieć,
Jaki lud chlebojedny mógł w tej ziemi siedzieć.
Dwóch ludzi, keryks trzeci, razem trzech wysłańców
Poszło i wnet spotkało gromadę mieszkańców.
One zaś Lotofagi jakby z przyjaciółmi
Obeszli się z naszymi — częstują ich ziółmi
Lotosu, tak iż który skosztował tej strawy,
Wracać nie chciał, o celu zapomniał wyprawy,

Tylko by w Lotofagów rad zostać ziemicy,
Jeść lotos i rodzinnej wyzbyć się tęsknicy.
Kazałem więc przemocą zbiegów ująć w pęta;
I choć rzewnie płakali, przywlec na okręta,
Gdzie do ław ich przykuto. Innych zaś z drużyny
Zapędziłem na pokład, dla prostej przyczyny,
By który się lotosu nie dorwał i potem
Wyrzekał się powrotu. Jakoż wszyscy lotem
Do wiosel się rzucili i zająwszy ławy,
Toń rybną bili wiosłem — i pomknęły nawy.

Stamtąd-eśmy płynęli, płynęli wciąż smutni,
Aż do ziemi Kyklopów. Łotrzy to okrutni,
Gdyż całkiem się spuściwszy na opatrność bożą,
Nie pracują nic w roli, ni sieją, ni orzą.
Nie orany, nie siany grunt tam nader płodny,
Daje jęczmień, pszenicę, winograd dorodny,
Gdyż deszczyk Diosowy często tam przepada.
Zresztą wieców nie znają, prawo tam nie włada.
Kyklop zwykle w jaskiniach, na gór samym szczycie
Mieszka, i rozkazuje jak pan swej kobiecie
I dzieciom, zaś o drugich nie ma troski żadnej.

Wprost przystani ostrówek ciągnie się tam ładny.
Od gniazd kyklopskich ani blisko, ni daleko,
Zarosły, a pod chaszczów buja tam opieką
Mnóstwo kóz dzikich, stopą ludzką nie płoszonych;
Bo łowiec, co zwykł w kniejach brodzić niezmierzonych
Lub drapać się po skałach, omija ostrówek,
Toż i rolnik, a pasterz nie wpędza swych krówek.
Nikt też pustką stojącej wyspy nie posiada:
Ludzi nie ma, kóz tylko chodzą po niej stada.
Łodzi czerwodzióbnych Kyklopy nie znają
Ani też zręcznych cieślów u siebie chowają
Do budowania statków żeglownych, którymi
Jeździliby przez morze do różnych miast ziemi,

Jak bywa między ludźmi, że jedni po drugich
Jeżdżą, ważąc się morskich podróży, tak długich:
Tacy by tę wysepkę, gdzie rodzi się wszystko,
Przemienili cudownie w wygodne siedlisko.
Wszak tam łąk wzdłuż wybrzeży ciągnie się niemało
Miękkuchnych, tam by wino jak raz się udało;
Orka łatwa, i pewno nie jednym zachodem
Żniwa by się odbyły, bo grunt tłusty spodem.
Przystań dobra, bez liny żeglarz się obchodzi,
Kotwicy nie zarzuca, nie cumuje łodzi,
Bo ta stoi bezpiecznie, aż póki żeglarzy
Potrzeba nie przynagli lub wiatr, co się darzy.
Wyż przystani jest źródło bijące z kamienia;
Przejrzyste jego wody gaj topól ocienia.
Tam lądujem. Bóg któryś powiódł nas tą drogą
W ciemną nocną, gdy najlepsze oczy nic nie mogą,
Bowiem mgła na okręty spadła — nawet z góry
Księżyc nam nie przyświecał, schowany za chmury.
Nikt więc tego ostrowu nie widział na oczy,
Jak nie widzi tej wełny, co k'lądu się toczy,
Dopiero kiedy o brzeg wytnie nawy bokiem.
Przybiwszy, zwiniem żagle, potem jednym skokiem
Jesteśmy już na ziemi, gdzie przy huku fali
Snem-eśmy aż do boskiej Jutrzenki przespali.

Nazajutrz, gdy świt zrodził Jutrzenkę różaną,
Przebiegamy wzdłuż, w poprzek, wyspę nam nie znaną.
I wnet nimfy, Zeusowe córy, kozie stada
Nagnały nam: dla głodnych posiłek nie lada.
Więc skoczym na okręty po łuki, po strzały,
Toż oszczepy, i na trzy dzielim się oddziały.
Strzelamy. — Bóg szczęśliwe zdarzył polowanie:
Jak dwanaście naw miałem, tak się im dostanie
Po sztuk dziewięć na każdą; dla mnie zaś samego
Wybrano sztuk dziesiętek. Więc nic już dnia tego

Nie robim, tylko głód nasz sycim tą zwierzyną;
Od rana do wieczora w czasach krąży wino.
A mieliśmy na statkach przechowane duże
Zapasy czerwonego napoju, bo w kruże
Każdy go nabrał sobie, gdyśmy rabowali
Gród Kikonów. Tak pijąc, w niewielkiej oddali
Widzim skały kyplopskie: wychodzą z nich dymy,
Głosy ludzkie i owiec beczenie słyszemy.
A gdy słońce zapadło i noc przyszła potem,
Na brzegu, falą bitym, legliśmy pokotem
Do snu, aż zaświtała Jutrzenka różowa.
Zbudziłem towarzyszy i rzekłem te słowa:
— Zostańcie, towarzysze wy drudzy, ja płynę
Na mej łodzi i moją zabieram drużynę,
Aby dotrzeć do skał tych i zbadać, kto taki
Siedzi w nich: czy dzicz jaka, jakie hajdamaki
Drapieżne, z praw świętością w wiecznej nieprzyjaźni,
Czy lud gościnny, w bożej żyjący bojaźni —
Tak rzekłem i na pokład wsiadam, zaś czeladzi
Każe linę odwiązać; statek się obsadzi;
A oni, posiadawszy na ławach rzędami,
Słoną toń morza biją raz po raz wiosłami.
Gdyśmy się już z kyplopskim zrównali wybrzeżem,
Na samym końcu lądu pieczarę spostrzeżem,
Co obrosła chaszczami lauru, gdzie kóz trzoda
I owiec nocleg miewa; jest tam i zagroda,
Zrobiona z brył ogromnych, ze skał w ziemię wbitych,
Także i z gonnych sosen, z dębów niepożytych.
Tam to mieszkał wielkolud, który swoje stada
Sam pasie, nie widuje żadnego sąsiada
I znać nie chce, więc żyje tylko sam ze sobą.
Karmiąc własne swe serce chytrnością i złością.
Potwór to był szkaradny; równego pacholka
Nie znaleźć między ludźmi: do góry wierzchołka,

Obrosłego borami, porównać go raczej,
Co nad garby wystrzelon, z dala już majaczy.
Dałem rozkaz czeladzi tej, co zostać miała
Na pokładzie, by statku czujnie pilnowała;
A sam chwatów dwunastu dobrawszy wychodzę.
Wziąłem też z sobą bukłak z winem mocnym srodze,
Które Maron Ewantycz był mi podarował,
Kapłan Feba (Ismarem Feb się opiekował),
Bośmy mu w tym rabunku ni dziełek, ni żony
Nie wycięli; chronił go bugaj poświęcony
Febowi, w którym mieszkał. Za to dał mi darem
Siedem talentów złota, obdarzył pucharem
Ze srebra najczystszego. Jakby nie dość na tych
Darach — dał wina krużów dwanaście uchatych:
Boski kordiał, o którym nie wiedział nikt w domu
Z służebnych ludzi, tak go trzymał po kryjomu,
Li on wiedział i żona, i jedna z szafarek;
Toż gdy się nim chciał raczyć, napełniał pucharek
I takowy wlewając w stągiew wody czystej,
Jeszcze miał napój myszką trącający, ognisty,
Co, byle cię zaleciał, łechtał podniebienie.
Tegom wina wziął w bukłak, przy tym pożywienie
W biesagi, na przypadek, gdyż mi coś mówiło
W duchu, że przyjdzie spotkać człeka z straszną siłą
I gbura, który żadnych praw nad sobą nie ma.

Weszliśmy więc w pieczarę, ale w niej olbrzyma
Już nie było: snadź trzody pognał na pastwisko.
My tymczasem w tym gnieździe przetrząśliśmy wszystko.
Jakie tam serów kosze! Co jagniąt, kozłątek
Po chlewach! Każde miały osobny swój kątek:
Tu starki, tu jagnięta, a tam średniolatki,
Odgrodzone osobno; wszędzie gwałt serwatki
Po saganach i skopkach, w które podój zbierał.
Widząc to, każdy z druhów srodze się napierał,

Bym dał im nabrać serów i drapnąć. Znów drudzy
Chcą na okręt gnać z obór ten dobytek cudzy,
Potem rozwinąć żagle i umykać cwałem.
Puszczam to mimo uszu — czemuż nie słuchałem!
Chciało mi się go poznać, być jak gość podjętym —
Lepiej było się nigdy nie spotkać z przeklętym!

Rozpaliliśmy ogień, obiatę składamy.
Gomólek coś podjadłszy czekamy, czekamy —
Aż oto wrócił z trzodą, dźwigając straszliwą
Wiązań drzew wysuszonych, na kuchnię paliwo,
I cisnął pod pieczarą z łoskotem. My w strachu
Pokryli się po kątach podziemnego gmachu.
On tymczasem w głąb jamy zapędzał maciory
Przeznaczone do doju, a zaś do obory,
Będącej tam w podwórku na zewnątrz pieczary,
Zamknął kozły i tryki; potem, wzięwszy w bary
Głaz ogromny, zawalił nim do jamy wniście.
I dwadzieścia dwa wozy, mocne oczywiście,
Czterokoleśne, tego nie dźwigiłyby głazu,
Którym on otwór jamy zawalił od razu!
Siadłszy potem, jął owce i kozy beczące
Doić lub pod nie sadzać jagnięta, ssać chcące.
Co gdy sprawił, połowę nabrał przeznacza
Na twaróg, który w gęstych koszach sam wytlacza;
Resztę trzyma w saganach, aby napój chłodny
Mógł mieć na podoręczu, gdy spragnion lub głodny.
A gdy tak z swą robotą uporał się pięknie,
Rozniecił ogień, a nas spostrzegłszy, tak rzeknie:
— Co za jedni? I skąd tu morzem przybywacie?
Czy za kupią? Czy szczęścia na morzu szukacie
Niby morskie łotrzyki, co to słoną wodę
Prują sobie na zgubę, a drugim na szkodę? —
Tak rzekł olbrzym, a serce tłukło się nam z trwogi
Na ryk mowy i widok postaci tej srogiej.

Przecieżem się na słowo zdobył: — My Achiwi
Spod Troi wracający — rzekłem — nieszczęśliwi!
Siłaśmy burz na wodzie doznali w przeprawie,
Zbici z drogi, nie mozem do dom trafić prawie.
Cóż robić? Z woli Zeusa ten los nam przypada!
My spod Agamemnona króla, on nam włada,
Pan wielkiej sławy; równej nie ma nikt na świecie,
Gdyż zdobył gród potężny, wyciął na pomiecie
Ludów tyle. My wszakże do stóp ci się kłonim
Błagając, byś nas przyjął (bo kędyż się schronim?)
I opatrzył twych gości, jak obyczaj każe.
Bój się bogów! Nie odmów, gdy proszą nędzarze!
Zeus mści się krzywdy gościa, skargę jego słyszy,
On podróżnemu w drodze zawsze towarzyszy! —
Tak rzekłem. Jędzon na to tę odpowiedź da mi:
— Głupiś, alboś z daleka przyszedł, że bogami
Chcesz mnie straszyć i radzić, bym im cześć oddawał:
Kyklop nigdy na niebie pana nie uznawał,
Nigdy żadnych bóstw świętych. My lepsi niż oni.
Strach przed Zeusem twej głowy pewnie nie obroni
Ani twych towarzyszy; o gniew ten nie stoję;
Jeśli mi chętką przyjdzie zjeść was, zrobię swoje.
A tymczasem mów, kędyś zostawił swą nawę?
Czy blisko, czy daleko? zdaj mi wierną sprawę! —
Chytrze mówił. Jam przecież zrozumiał podrywkę
I naprędce podobnąż ułożyłem śpiewkę:
— Ładowstrząsacz Posejdon, on to mi na skały
Tych brzegów okręt rzucił i strzaskał w kawały,
Bo od morza wichr straszny ciągle na nas pędził.
Mnie tylko i mych druhów od śmierci oszczędził. —
Tom rzekł, a jędzon milcząc jął oczyma strzelać
I ręce wyciągnąwszy tam, gdzie stała czeladź,
Dwóch pochwycił i o ziem cisnął jak szczenięty,
Aż z czaszek mózg na ziemię bryznął rozprysnięty;

On zaś, w sztuki podarłszy ciała, na wieczerzę
Pożarł je jak lew górski, a nawet się bierze
Do trzewiów, szpik wysysa i ogryza kości.
Na ten widok do Zeusa tam na wysokości
Wznosim ręce i stoim jak spiorunowani.
Lecz olbrzym, gdy w kałduna utopił otchłani
Ludzkie mięso i mleko, którym je zalewał,
Jak długi między trzodą legł i odpoczywał.
Wtedy w sierzyste serce myśl wpada mi taka:
Nuż podejdę, a z pochew dobywszy tasaka
W pierś go pchnę, gdzie osierdzie leży przy wątrobie?
Lecz niechałem, o innym myśląc już sposobie,
Gdyż wszyscy byśmy śmierci stali się ofiarą,
Niezdolni tego głazu ruszyć żadną miarą,
Którym on był zawałił otwór do swej jamy.
Więc wzdychając porannej Zorzy wyglądamy.

Kyklop, gdy zórz porannych zabłysła pochodnia,
Rozniecił ogień, doił, jak zwyczaj miał co dnia,
Owce i kozy, matkom podsadzał jagnięta;
Zgoła gdy już robota była uprzątnięta,
Dwóch ludzi znów mi porwał, sprawił do śniadania,
A zżarłszy ich, swą trzodę z jaskini wygania.
Jak nic głaz ów odsunął i znowu zastawił:
Rzekłbyś, że się z pokrywką u kołczana bawił.
I wielkolud gwizdając poszedł z trzodą swoją
W góry. A mnie tysiączne zamiary się roją
Do zemsty; byle pomoc dała mi Pallada!
Z wszystkich jednak najlepszą ta zdała się rada:
Pod obórką znalazłem drzewo jakieś duże,
Z oliwnika ucięte; snadź, nim zeń wystruże
Maczugę, chciał wysuszyć i rzucił ten kawał,
Który nam się na oko tak spory wydawał,
Jak na brzuchatej, gnanej dwudziestoma wiosły
Łodzi z ciężką ładugą bywa maszt wyniosły.

Drąg ten, długości masztu, grubości masztowej
Uciałem był na sążen — zachęcając słowy
Mych ludzi, aby kół ten do gładka siekierą
Ociosali; do czego rąco się zabierą.
Jam zaś koniec zaciosał i w ognistym żarze,
Ażeby hartu nabrał, osmalić go każę.
Po czym ożóg ten w mierzwę przed wzrokiem Kyklopa
Skręłem, albowiem mierzwy pełna była szopa.
Schowawszy, wzywam czeladź, by losem ciągnęła,
Którym z nich padnie ze mną zabrać się do dzieła
I ożóg wbić mu w ślepie, zawiercić co siły,
Gdy spać będzie. I losy na czterech trafiły,
Których sobie życzyłem — ja sam byłem piąty.

O mroku wrócił Kyklop w domowe zakąty,
Kozy swoje i owce wygnał w głąb jaskini,
Matki razem z trykami, co zwykle nie czyni,
I w wewnętrznej zagrodzie nic nie pozostawił:
Coś wietrzył lub bóg który na to go naprawił.
Głaz uchylon, gdy z paszy wracały bydłeta,
Teraz spuścił, i brama szczelnie już zamknięta.
Zasiadł więc i jął kozy i owce beczące
Doić lub pod nie sadzać jagnięta ssać chcące.
Z pracą gdy się uporał prędko, znowu bierze
Dwu naszych i sporządza sobie z nich wieczerzę.

Widząc to, jam się zbliżył doń o kroków parę
I rzekłem, niosąc w ręku wina pełną czarę:
— Pij, Kyklopie! Po mięsie ludzkim wino służy!
Pij duszkiem! — Tego wina miałem zapas duży
Na statku, lecz w rozbiciu dla ciebiem ocalił
Ten bukłak, abyś mojej biedy się uzałił
I odesłał do domu. Lecz cóż! Tobą miota
Gniew taki, że nikomu nie przyjdzie ochota
Z śmiertelnych próg twej jamy przestąpić bezpiecznie.
Oj, Kyklopie! Tyś ze mną obszedł się niegrzecznie! —

Tak rzekłem; on wziął czaszę, wychylił do spodu,
 I smakując, o drugą prosił tego miodu:
 — Nalej jeszcze i gadaj, jak cię zowią, brachu,
 Abym wet za wet mógł cię ugościć w mym gmachu.
 Wiedz jednak, że i nasza ziemia także rodzi
 Winograpy, a boży deszczyk tu przechodzi
 Dość często, więc jeść mamy, ile sobie życzym:
 Lecz ambrozja i nektar przy twym winie niczym! —
 To mówił, a jam pełną podał mu ochotnie,
 I tak trzykroć nalaną pił głupiec trzykrotnie.
 Lecz gdy mocniej ów napój jął mu łeb zawracać,
 Zacząłem pochlebnymi słowy z lekka macać:
 — Chcesz wiedzieć? Więc ci powiem, jakie miano noszę;
 Toż wzajem o gościniec obiecany proszę.
 Nikt — to moje nazwisko; Niktem woła matka,
 Woła rodzony ojciec i woła czeladka. —
 Rzekłem — a na to jędzon odrzekł: — Słuchaj, bratku!
 Nikt zjedzon będzie; jednak zjem go na ostatku,
 A tych tam pierwej pożrę — ot, masz podarunek! —
 Ledwo rzekł, runął na wznak: powalił go trunek.
 Grzbietem tarzał się w kurzu; sen ciężki kamieniem
 Przygniótł go, z paszczy wino lało się strumieniem,
 Mięś kęsy wycharkiwał gardłem pijaczysko.
 Wraz też kół wydobywszy, wsadziłem w ognisko
 Ostrzem, a serca druhów krzepiłem, by który
 W samej chwili działania nie wlaźł gdzie do dziury.
 Już też i kół oliwny, acz mokry, w tym żarze
 Rozgrzał się, i na ostrzu płomień się pokaże.
 Więc wyciągam go szybko; przy mnie moje zuchy
 Stali tuż, i bóg jakiś dodał im otuchy,
 Bo razem pochwyciwszy, Kyklopowi w oko
 Wbili go. Jam na ożóg wdrapał się wysoko
 I kręcił — tak, jak świder okrętową belkę,
 Gdy jeden nim kieruje, a drudzy za szelkę

Z dołu ciągną — on leci pędem wirującym:
Tak i my tym ożogiem jak żar palającym
Wiercim w ślepiu, aż ostrze krwią się zakurzyło;
Rzęsy, brew szczotkowatą zarzewie spaliło,
Wszystkie włókna trzeszczały, skwarząc się w źrenicy.
Jako kowal siekierę okutą w kuźnicy
Kładzie w wodę do hartu, straszny syk powstaje,
Przez co mistrz swej robocie trwałą dzielność daje:
Tak syczało kyklopskie oko pod ożogiem.
Srodze zawył, aż wyciem odtętniła srogiem
Piecзара. My ze strachu wleźli w kąt głęboko.
Kyklop z oka kół wyrwał zbryzgany posoką
I od siebie precz cisnął w zajądłej wściekłości,
I jął na gwałt Kyklopy wołać, co w bliskości
Mieszkali po pieczarach skał wietrznych. Ci, owi
Usłyszawszy krzyk wielki, w pomoc Kyklopowi
Przybiegli, i jaskinię obiegłszy dokoła,
Pytali, co się stało i po co ich woła:
— Polyfemie! co tobie, że w tej nocy ciemnej
Tak wyjesz i nam spędzasz z powiek sen przyjemny?
Czy ci jaki śmiertelnik skoty twoje kradnie?
Czy samego morduje gwałtem albo zdradnie? —
Polyfem na to z jamy tak im odpowiada:
— Nikt mnie zdradą morduje! To nie gwałt, lecz zdrada! —
Oni na to: — Jeżeli ciebie tu w jaskini
Nikt zdradą nie morduje, ni gwałtu nie czyni,
Toś chory z Zeusa woli, nic ci nie pomogę.
Módl się do ojca twego, który włada morzem.
Tak mówili i poszli. Serdecznie się śmiałem,
Że zmyślonym nazwiskiem tak ich oszukałem.
Tymczasem jęcząc z bólu, stękając bez przerwy,
Kyklop wrota namacał, i lekko jak pierwszej
Podniósł głaz, usiadł w bramie i szukał, rękami,
By się który nie wymknął z naszych wraz z owcami.

Miał on mnie za wielkiego głupca oczywiście.
Nuż ja łeb sobie łamać, jak tu znaleźć wyjście,
By mych druhów i siebie wydobyć z tej toni,
A jedna myśl za drugą jak goni, tak goni:
Gra o życie. Jakiegoż zażyć tu fortelu?
Znalazłem go, i lepszym zdał mi się od wielu.

W jamie były tam tryki wełniste, kudłate,
Wypasione a rosłe i kasztanowate;
Te powiązałem wikłą wyjętą z barłogu,
Na którym sypiał Kyklop, wróg ludziom i bogu.
Po trzy związałem z sobą: człeka niósł środkowy,
Dwa boczne miały bronić ukrytej tam głowy;
Trzy zatem niosły druha jednego pod sobą.
Jam zaś sobie upatrzył capa, co ozdobą
Był trzody; temu na grzbiet zarzuciwszy ręce,
Tułowiłem się pod jego wełnisty brzuch skręczę,
A dłoń w kudły-m omotał. Radzi z wynalazku,
Z biciem serca czekamy zórz porannych brzasku.

Gdy już dzień zwiastowały blaski różowawe,
Ruszyły naprzód samce, by lecieć na trawę,
Jarki zaś po obórkach dawały znać bekiem,
Że ich wymiona przez noc powzbierały mlekiem.
Wtedy okrutny jędzon, choć z bólu się wścieka,
Siadł w progu; macał pilnie grzbiet każdego tryka,
Lecz ani się domyślał, żem ja popod brzuchy
Wełnistych tryków moje popodsadzał druhy!
Za trzodą szedł cap z wolna na samym ostatku,
Krom kudłów mnie, człowieka, dźwigał on w dodatku.
Jędzon go, jak poprzednio macając po grzbiecie,
Rzekł doń: — O mój koziołku, nie choryś ty przecie?
Dziś wybiegasz ostatni, a zawsze, bywało,
Tyś pierwszy na pastwisko gnał przed trzodą całą,
Za trawką, kwiatkiem, zawsześ pierwszy szedł do wody;
Przed innymi się śpieszył w wieczór do zagrody,

A teraz ty ostatni! Jakże cię obchodzi
To moje oko, które wydarł mi ten złodziej,
Co mnie winem upoił, ten Nikt z swą hołotą!
Nie ujdzie mi, te pięści łotra jeszcze zgniotą!
Żebyś ty mówić umiał jak ja, capku miły,
Powiedziałbyś, gdzie one zbóje się pokryły.
O, czemuż go nie trzymam! Jakżebym go cisnął
O ziem, aż po tych ścianach mózg by się rozprysnął!
I kalectwo to, które ten Nikt, ten morderca
Zadał mi, stokroć lepsze byłoby dla serca!

Tak rzekł Kyklop i capa wraz puścił na paszę.
Gdy uszedł dobry kawał, zaraz się odpaszę
Od mego capa; również robię i z drugimi.
Więc gdyśmy się ujrzeli naraz bezpiecznymi,
Zajmujemy te spase i udziaste tryki
I pędzim je na okręt krętymi przesmyki.
Widząc nas wracających, z radości aż skaczą
Nasi w nawie, zgubionych za to rzewnie płaczą;
Alem ich wnet uciszył, dając znać na migi,
Że to nie czas, i każę w okręt na wyścigi
Ładować naszą zdobycz wełnistą i dalej
Odbijać precz od lądu. Co gdy wykonali,
Zasiedli długie ławy i robiąc wciąż wiosły
Rozbijali te ciemne fale, co nas niosły.
Więc w odstępnie, że jeszcze głos mógł dolatywać,
Zacząłem z nawy mojej Kyklopa wyzywać:
— Ej, Kyklopie! Nie tchórz to, jak widzisz, niebożę,
Ten, któremuś ty druhów pożarł w ciemnej norze!
Przecież raz na cię przyszło, zbrodniarzu bez sromu,
Coś śmiał podróżnych gości zjadać w własnym domu!
Za to Zeus cię ukarał, karzą inne bogi. —

Na to rozżarł się jeszcze srożej Kyklop srogi:
Sam czub wyniosłej góry urwał; cisnął skałą,
Lecz dalej poza okręt padła — szło o mało,

A byłby koniec rudla strzaskał nam — aż morze,
Które ciśnięta skała do gruntu rozporze,
Buchło w górę bałwanem; a ten nas do lądu
Parł gwałtem, okręt nie mógł przemóc tego prądu.
Alić ja, w garść żerdzisko chwyciwszy ogromne,
Odsadzę się od brzegu, drużynę upomnę,
By się miała do wiosła, bo tu śmierć nas czeka.
Ledwie znak dał, wiosłują potężnie człek w człka.
Gdyśmy się dwakroć dalej na pełne wybili,
Chcę znów łajać Kyklopa, lecz mnie obkoczyli
I za ręce trzymają, i proszą druhowie:
— Szaleńcze! Ty chcesz jątrzyć gbura? Co ci w głowie?
Dopiero pocisk jego nawę naszą pędził
Ku brzegom, gdzie śmierć pewna! Ot-byś nas oszczędził,
Bo gdy jędzon słoweczko choć jedno usłyszysz,
Strzaska belki, lby strzaska twoich towarzyszy
Tą skałą, gdyż w rzucaniu mistrz to doskonały! —
Te mowy mego ducha przecież nie złamały,
Gdyż, zwrócon do Kyklopa, tak mu słowy grożę:
— Kyklopie! Jeśli kiedy człowiek (co być może)
Spyta cię, kto ci oko wybił, kto tak sprawny,
Powiedz mu: Odyseusz, grodoburca sławny,
Co mieszka na Itace, oka mnie pozbawił! —
Tak krzychałem. On wyjąc ze skał do mnie prawił:
— Biada mi! Stara wróżba spełnia się nade mną!
Przed czasy wieszcz tu mieszkał, który przyszłość ciemną
Zgadywał, syn Euryma, Telem jego miano,
A był rosły i piękny; więc się udawano
Do niego, by odkrywał tajniki przyszłości:
Tak wróżbił on Kyklopom do późnej starości.
On i mnie, co się ziszcza, wywróżył dokładnie,
Że jakiś tam Odysej oślepi mnie zdradnie.
Czekałem więc na męża groźnego wejrzenia,
Dużego wzrostu, siły potężnej ramienia —

Aż tu karzeł, nikczemny człeczyna się zjawił,
I ten, winem spoiwszy, oka mnie pozbawił.
Zbliż się tu, Odyseju! Gościńiec dam tobie,
U Posejdona powrót bezpieczny wyrobię!
Posejdon ojcem moim, on z tego się chlubi,
On jeden wzrok mi zwrócić mógłby, gdyż mnie lubi,
On tylko, a nie żaden bóg lub dusza żywa. —
Skończył — jam odparł na to: — O, czemuż mi zbywa
Na tej mocy, bym z ciebie wywlec mógł nikczemny
Duch i żywot i w Hades zapędził podziemny?
Mówię ci szczerą prawdę, jak prawdą jest i to,
Że Posejdon nie wprawi oka, co-ć wybito! —

Jam rzekł, a on wyciągnął do gwiazd obie dłonie
I tak się do mórz władcy modlił: — Posejdonie!
Usłysz mnie, Ziemiotrzęsco, usłysz, czarnogrzywy!
Jeślim syn twój, a tyś jest rodzic mój prawdziwy,
I Ścigaj tego Odysa, zakaz nieść go wodom
Do Itaki, i nigdy niech nie wróci do dom!
A choćby przeznaczenie oglądać mu dało
Ziemie ojców, dom własny i w nim pozostałą
Rodzinę, to najpóźniej, po tułaczce długiej,
Jak nędzarz, bez nikogo z drużyny, bez sługi,
Na niewłasnym okręcie niech wróci do domu
I zastanie we własnym gnieździe pełno sromu! —

Modlił się, i Posejdon dał ucho tym modłom.
Kyklop zaś podniósł większy niż wprzód skały odłom,
Cisnął nim zamasyście co sił, wždy przesadził:
Pocisk padł za okrętem; omal nie zawadził
O rudel, byłby strzaskał sam koniec; wtem morze,
Które ciśnięta skała aż do dna rozporze,
Bałwanem nas na pełne gnało, a tak gnani,
Zabiegliśmy nareszcie do dobrej przystani.

Zawinąwszy więc znowu na ostrów, gdzie łodzi
Naszych reszta została, gdzie czas tęskno schodzi

Mym druhom czekającym powrotu z wyprawy,
Stanęliśmy przy wyspie u piaszczystej ławy,
A wysiadłszy ze statku na pobrażę kręte,
Wysadzamy tam skoty Kyklopowi wzięte
I dzielim, by wziął każdy równą część zdobyczy.
Lecz ogół towarzyszy z góry sobie życzy,
Abym onego capa dla siebie zachował:
Przetom go na wybrzeżu zaraz obiatował
Wszechwładnemu Zeusowi, panu tego świata,
I spaliłem mu łódźwie. Lecz moja obiata
Wzgardzona! Zeus zamierzył pogrążyć w odmęty
I wierną mi drużynę, i lotne okręty!

Na wybrzeżu dzień cały siedzimy do mroku,
To przy mięsnej biesiadzie, to przy winnym soku;
Lecz gdy słońce zapadło, a noc przyszła potem,
Do snu na brzegu morza legliśmy pokotem.
Nazajutrz, wraz z Jutrzenką zbudzony różową,
Idę na okręt, wzywam czeladź okrętową,
By co prędzej od lądu odczepiała liny.
I już nie brak nikogo z mej wiernej drużyny,
Już i ławy zasiadła długimi rzędami,
I rozbijała ciemną toń morza wiosłami.
Stamtąd dalej, wciąż dalej płyniem, nieszczęśliwi;
Trapi nas strata druhów, cieszy, żeśmy żywi”.

Pieśń dziesiąta

Przygody u Ajola, Lajstrygonów, Kirki

„Przybywamy do wyspy Ajolii, zagnani
Wiatrem. Syn Hippodata, Ajol mieszkał na niej.
Był to przyjaciel bogów i od nich kochany.
Pływającą tę wyspę strzegą w okręż ściany
Spizowych wałów, nie mniej i pobrażne skały.

Dzieci miał on dwanaście, które się chowały:
Sześć ślicznych cór i synów też sześciu. Z synami
Pożenił swoje córę, braci ze siostrami.
Więc przy ojcu i matce siedziały te stadła
W wonnych gmachach, gdzie stoły gięły się od jadła
I napitku, a fletni odgłos brzmiał w przysionkach.
Tak we dnie; a zaś w nocy męże przy małżonkach
Śpią w łóżach, zaścielonych pięknymi makaty.
Wszedłem wtedy w to miasto, potem w ich komnaty,
Gdzie przez miesiąc gościłem. Ajol rozpytywał
O Ilion, nasze nawy, czym przygody miewał
W podróży; jam wyprawy opowiadał dzieje,
Wszystkie na lądzie, morzu przebyte koleje.
Wreszcie, gdym o odprawę prosił do podróży,
Nie odmówił i zapas dał na drogę duży,
Toż z dziewięcioletniego byka miech skórzany,
W którym prąd wściekłych wiatrów leżał jak spętany,
Zeus bowiem wszystkie wiatry dał pod jego strażę,
Że gdy chce, je ucisza albo dąć im każe.
Miech ten on sam zawiązał taśmą srebrnolitą,
By wiatr nie mógł się wymknąć szczelinką ukrytą.
Mnie zaś w drogę wiać kazał tylko Zefirowi,
Nieść nawy i podróżnych prosto ku domowi.
Lecz inaczej się stało, gdyż niebezpieczeństwo
Ściągnęliśmy na siebie przez własne szaleństwo.
Dziewięć dni, dziewięć nocy gdy tak fale prujem,
W dziesiątym już i ziemię ojców odgaduję.
Już i ogień strażniczy widać, miga w dali —
Gdy wtem mnie znużonego mocny sen powali:
Sam bowiem ster trzymałem, nie dając nikomu
Wyręczyć się, by pewniej zapłynąć do domu.
Aż tu między drużyną ten, ów podejrzywa,
Że w tym miechu skarb jakiś wielki się ukrywa,
Dany mi od Ajola, że w dom wiozę zbiory.

I takie między nimi były rozhowory:
— Dziwna rzecz, jak on lubion, jak uczczony wszędzie
W każdym kraju i miejscu, gdziekolwiek przybędzie!
Już z Ilionu on wywiózł wielkie kosztowności,
A my, cierpiąc z nim równe trudy i przykrości,
Wracamy do dom z niczym: taka nasza dola!
Teraz znów upominek dostał od Ajola,
Dar przyjaźni. Więc pokąd trwa jego drzemota,
Zobaczmy, ile w miechu ma srebra i złota. —
Tak prawili, i zgubna zwyciężyła rada:
Skoro miech rozwiązali, srogi wichr wypada,
Rwie okręty, zapędza precz na pełne morze,
Daleko od ojczyzny. Wtem oczy otworzę,
Cucę się i niezłomny sercem myślę sobie,
Czy mam skoczyć z okrętu, zginąć w mokrym grobie,
Czy cios ten znieść spokojnie i żyć? Więc zważywszy,
Zniosłem go — i na pokład padłem twarz zakrywszy,
A tak orkanem gnane wróciły okręta
Znów do Ajolii. Nuż w płacz moje niebożęta!
Wysiedliśmy na brzegi i wody nabrano,
Potem tuż przy okrętach obiad zgotowano,
A gdy strawą, napitkiem duch się w nas rozbudzi,
Wziąwszy z sobą keryksa i jednego z ludzi,
Ruszyłem wprost do zamku. Tam widzę Ajola,
Jak siedzi przy biesiadzie i jak go okolą
Grono dzieci i żona. Więc w zamkowe progi
Sunę i w progu siadam. Oni pełni trwogi
Pytają: — Co tu robisz? Jakież cię demony
Trapią? Wszak przez nas hojnie byłeś opatrzony
Na podróż, byś do swojej mógł wrócić rodziny! —
Tak prawią, a ja na to: — Nie z mojej to winy,
Lecz z druhów, jam był usnął, oni mnie zgubili!
W was nadzieja — ratujcie, przyjaciele mili! —
Myślałem, że ich ujmę przez pochlebne słowo,

Lecz milczeli; li Ajol zgromił mnie surowo:
— Precz stąd, precz mi z tej wyspy, poczwaro obrzydła!
Nie godzi się ugaszczać ni brać pod me skrzydła
Takiego, co ścigany zemstą wielkich bógów!
Tyś ich gniewem obciążon: wynoś się z mych progów! —
Rzekł i wzdychającego precz wypędził z domu.
Co zrobić? Płyniem dalej, smętni, pełni sromu.
Wioślarzom dłoń opada, serce im omdlewa,
Widzą błąd swój, pomocy nikt się nie spodziewa.
Sześć dni i tyleż nocy tłuczem się po wodzie,
W siódmym przy lajstrygońskim stanęliśmy grodzie
Lamos, gdzie krzykiem pastuch pastucha ostrzega,
Że wraca lub że z trzodą na paszę wybiega.
Tutaj, kto by spać nie mógł, brałby dwie nagrody,
Raz jako pastuch bydła, znów jak pastuch trzody;
Bowiemienne i nocne blisko leżą pasze.
Znalazły tam wyborną przystań nawy nasze:
Skał niebotycznych ściana przystań tę zamyka
I tylko wąskim wnijściem okręt się przemyka,
Gdzie dwie skały ogromne z dwóch stron w morze wbiegły.
Tam zawinęły nawy i przystań zaległy,
Jedna tuż obok drugiej linami do lądu
Przywiązane: gdyż nigdy nie bywa tam prądu
Wełn wielkich albo małych, wody gładko stoją.
Jam tylko do przystani nie wszedł z nawą moją
I zewnątrz ją upiąłem cumą do opoki.
Potem wdarłem się na wierzch skały, skąd szeroki
Widok był — lecz pustynia przede mną tak dzika,
Że nie ma ani śladu bydła lub rolnika;
Widać tylko, jak z ziemi dym słupem się wije.
Więc wysłałem na zwiady spytać, kto tam żyje?
Jacy ludzie, jedzący chleb z ziarna bożego?
Dwóch wybrałem, keryksa dodałem trzeciego.
Ci poszli i trafili na drogę, po której

Wozy z drzewem spuszczano w miasto z wielkiej góry.
Pod miastem dziewczę oni napotkali młode,
Córę lajstrygońskiego Antifa, jak wodę
Schodziła brać w Artakii szemrzącej krynicy;
Bowiem stąd biorą wodę mieszkańcy stolicy.
Zbliżywszy się więc do niej, witali pytaniem:
Kto tu król i pod czym ten lud panowaniem?
Ona im dwór ojcowski wskazała w oddali.
Tam wszedłszy, w onym domu kobietę zastali
Ogromną jak grzbiet góry — strach padł na nich blady.
Ta, gdy małżonka swego wywołała z rady,
Przyszedł Antif; ci wietrzą, jaki los ich czeka,
Gdyż porwał i od razu zjadł jednego człeka,
Dwaj zaś drudzy uciekli co żywo na nawy.
Antif w mieście narobił zaraz strasznej wrzawy;
Na ten ryk Lajstrygony kupami wielkimi
Wypadli; to nie ludzie, lecz prawie olbrzymi.
Ci lecą z brzegu staczać skał srogie kawały
Na dół, kędy okręty nasze w porcie stały;
I straszny na okrętach zrobił się tam zamęt,
Naw gruchotanie, mężów konających lament.
Wróg ich ciała ponizał jak ryby na tyki,
By pożreć. — A jam podczas tej zabijatyki
Skoczył i miecz od boku wyrwawszy szeroki,
Odciałem linę, którą okręt do opoki
Był przywiązany: na czeladź nagle, aby żwawo
Wiosłowała, bo wszyscy przypłacim to krwawo.
I okręt rącho pomknął — tak śmierci się boją.
Spod wiszarów wywiodłem przecież nawę moją
Na pełne, kędy wróg nas nie oskoczy snadno;
Za to inne okręty wszystkie poszły na dno!
Żeglujemy więc dalej smutni, nieszczęśliwi —
Trapi nas strata druhów, cieszy, żeśmy żywi.
Więc u wyspy Ajai stajem. Mieszka na niej

Kirka, pięknokędziorna, gadająca pani,
Złowrogiego Ajeta rodzona siostrzyca.
Obojgu ojcem Słońce, co ziemi przyświeca,
Matką jej Persa, którą Okeanos rodzi.
Tam cichutko pod brzegi okręt nasz podchodzi
I zawija: bóg któryś użyczył pomocy.
Na brzegu wypocniemy przez dwa dni, dwie nocy,
Bośmy pracą zmęczeni, a niedolą zbici.
Lecz w trzecim, gdy różana Jutrzenka zaświeci,
Biorę oszczep, a mieczem przypasan do boku
Wyszedłem na szczyt skały i patrzę, czy oku
Nie zjawi się człek jaki lub głos jego schwycę.
I kiedym tak z wiszaru patrzył w okolicę,
Ujrzałem, jak słup dymu z ziemi się podnosił
Poza lasem: tam Kirka mieszka, z tegom wnosił.
I zaraz rozważałem w głębi mego ducha,
Czy mam dotrzeć do miejsca, gdzie ten dym wybucha.
Więc gdy się z niepewnymi myślami szamocę,
Stało, że wprzód zajrzę do nawy w zatoce,
By drużynę nakarmić i w kraj wysłać szpiegów.
Z tą myślą gdym do morskich przybliżał się brzegów,
Jakiś bóg się zlitował mego utrapienia
I zesłał mi z ogromnym porożem jelenia,
Co przybiegł, wyskoczywszy z leśnego czaharu,
By w strudze z słonecznego ochłodzić się skwaru.
W lot go też ugodziłem przez sam środek krzyży:
Grot miedziany przepędzon brzuchem wyszedł niżej;
Rycząc wil się, dopóki nie skonał, zabity.
Oparłszy się on nogą, grot, którym przeszyty,
Wywlokłem i rzuciłem tuż obok zwierzyny,
Sam zaś nad strugą gibkiej naciąwszy wikliny,
Ukręciłem powróseł sążnistych kilkoro,
I wiązę srogiej bestii do kupy nóg czworo;
A zarzuciwszy na się, dźwigałem na grzbiecie,

Wspierając krok oszczepem, gdyż ciężar to przecie
Nie lada, aby jeden człowiek mu podołał.
Więc doniósłszy do nawy, towarzyszy-m zwołał
I tak do nich mówiłem:

— Druhowie kochani!

Choć niedola nas głobi, to nikt do otchłani
Hadesa pójść nie pójdzie wpierw, nim go dosięże
Dzień przeznaczeń. Więc ducha nie tracić nam, mężo!
I póki na tym statku co pić i jeść mamy,
Uważajmy, a głodnej śmierci się nie damy. —

Rzekłem, a oni mojej usłuchali mowy.

Na brzegu morskim wszystkie odkryły się głowy,
Podziwiają jelenia tuszę, wzrost wysoki,
A kiedy go na wszystkie oglądnęli boki,
Ręce sobie umyli i strawę biesiadną
Sporządzali. Tak przez dzień, aż gdy mroki padną,
Używamy na mięsie i na słodkim winie.
A kiedy słońce zaszło, ziemię noc obwinie,
Spać się kładziem na brzegu, bitym morską falą.

Nazajutrz, skoro krasne zorze się rozpała,
Zwołuję ich na radę i tak się ozowię:
— Słuchajcie, nieszczęść moich wspólnicy, druhowie
Nikt z nas nie wie, gdzie wieczór, gdzie poranne zorze:
Nikt nie wie, kędy Helios chowa się pod morze
I gdzie wschodzi. Dlatego myślmy o sposobie,
Co począć? Choć sposobu nie widzę na dobie.
Właśnie z szczytu wiszarów widziałem na oczy,
Że to wyspa, w niezmiernej wód morskich roztoczy
Pływająca, nizina równa, pośród której
Widziałem, jak za borem dym wił się do góry. —

Gdym to rzekł, wszyscy smutni i jakby z nóg ścięci,
Gdyż Antif lajstrygoński stanął im w pamięci,
Nie mniej Kyklop łakomy na mięso człowiecze.
Nuże w płacz, łza rześista po twarzach im ciecze;

Lecz te lzy woli mojej złamać nie zdołały.
Wraz pancerną drużynę dzielę w dwa oddziały
I dowódców wyznaczam. Nad jednym oddziałem
Sam byłem, zaś nad drugim Eurylocha dałem.
I losujemy z sobą, wstrząsając spiżowy
Szyszak, z którego wypadł los Eurylochowy.
Ten dwudziestu dwóch wzięwszy, ruszył w drogę dalej,
Płacząc po nas, bo żal im nas, cośmy zostali.
Zamek Kirki znaleźli w dolinie prześlicznej,
Cały z ciosu, wyniesion nad kraj okoliczny;
Lecz wilków, lwów spotkali ćmę pod zamku bokiem:
Kirka je tak przyswoić umiała ziół sokiem.
Toteż one potwory na drużynę naszą
Nie rzuciły się, owszem, kornie się im łaszą,
Jako psy, gdy gospodarz kęski im rozdaje
Po skończonej biesiadzie. Takież obyczaje
Mają tu lwy i wilki, chociaż ich paszczyka
Zawsze straszna, i każdy potwora się lęka.
Wszedłszy zatem w dziedziniec pani pięknowłosej,
Doleciały ich z komnat jakieś dźwięczne głosy:
To śpiew Kirki; śpiewając na krosnach wyszywa
Dzieło cudne: cudowną pracę bogiń bywa.
Wtem Polites do swoich tak rzekł (chłop to dzielny,
Przed innymi miał u mnie szacunek rzetelny):
— Bracia! Tutaj ktoś żyje i przy krosnach śpiewa
Śliczne pieśni, aż echo po zamku odbrzmiewa.
Bogini czy niewiasta — wołajmy, niech gada! —
Tak rzekł, i wołać na nią poczęła gromada.
Jakoż się promieniste otwarły podwoje,
Ona wyszła, w komnaty zaprosiła swoje.
I, głupcy, w próg jej weszli wszyscy, krom jednego
Eurylocha; ten został zwietrzywszy coś złego.
Ona gości swych sadza w krzesła, stół zastawia
Serami, a miód złoty z mąką im przyprawia,

Toż i wino pramnejskie; lecz durzące zioła
Miesza w nie, by o domu zapomnieli zgoła.
Więc gdy zjedli, wypili, Kirka ich dotyka
Różdżką — i do świńskiego zapędza karmnika.
Bowiem łby ich, szczecina, kwiczenie, kształt cały
Były świńskie; li człeczce mózgi im zostały.
Smutnie w chlewach leżącym rzuciła bogini
Żołędź, bukiew, derenie, zwykły karm dla świni.
Euryloch przypadł zdyszan do czarnego statku,
O tym, jaki ich spotkał, donosząc przypadku;
Lecz i słowa wybełtać nie mógł, mimo chęci,
Taki ból gardło ścisnął: łza się tylko kręci
W oczach mu, co świadczyło o mocy cierpienia.
Długo go wypytujęm, wreszcie z osłupienia
Wyszedł i wypowiedział, co ich tam spotkało:
— Cny Odysie! Twej woli zadosyć się stało.
Bór przeszedłszy, w dolinie znaleźliśmy śliczny
Dworzec z ciosu, z widokiem na kraj okoliczny.
Ktoś w nim mieszkał, bo śpiewy przy krosnach słyszano:
Bogini czy niewiasta? Więc na nią wołano.
Wyszła, we drzwiach stanąwszy do komnat zaprasza,
I próg jej przekroczyła głupia gawiedź nasza.
Jam został, gdyż mi w niesmak szły te zaprosiny;
A tak naraz straciłem wszystkich z mej drużyny:
Próżnom czekał i czekał, żaden nie powrócił! —
Skończył, a jam co żywo na siebie zarzucił
Miedny miecz, srebrnokuty, łuk ze strzał sajdakiem.
I każę się tym samym poprowadzić szlakiem.
Ale on się oburącz u kolan mych wiesza
i te lotne wyrazy roniąc z łkaniem miesza:
— O! nie wleczże mnie z sobą, ty boski Odysie!
Czuję, że sam nie wrócisz, że nie uda ci się
I tamtych wyprowadzić. Uchodźmy bez zwłoki!
Uchodźmy, nim nas straszne dosięgną wyroki! —

Tak błagał, a ja tymi słowy go odprowadzę:
— Chcesz zostać, Eurylochu, to cię i zostawię,
Jedź i pij tu przy nawie na lądzie krawędzi;
Ja sam idę, konieczność jakaś mnie tam pędzi. —
Rzekłem, i precz odszedłem od brzegu i łodzi.
Tak idąc, sama droga w dolinę przywodzi,
Gdzie był dwór czarownicy Kirki. Już podchodzę
Pod zamek, kiedy Hermes zjawił się na drodze
Z złotą laską i w kształty młodzieńcze przyodzian;
Wyglądał jak w rozkwicie pierwszym piękny młodzian.
Więc rękę mi podawszy, tymi zagadł słowy:
— Dokąd to, nieszczęśliwcze, dążysz przez parowy
Po nieznanym gościńcu? U Kirki tam siedzą
Ludzie twoi zamknięci w chlewach, z świńmi jedzą.
Czy może chcesz ich odbić? Ej! prędzej być może,
Że nie wskórasz, i z nimi zamkną cię, niebożę.
Lecz nic to! Ja z tej biedy wybawię-ć koniecznie,
Dam ci czar, z którym możesz iść do niej bezpiecznie,
Gdyż moc jego od ciebie oddali cios wszelki.
Jednak wyucz się pierwszej zdrad tej zwodzicielki:
Choć w jadło wmiesza trutkę, choć wino zaprawi,
Przemienić cię nie zdoła, to ziółko cię zbawi
Od zdradzieckich jej czarów. Weź przestrożę drugą:
Gdyby cię Kirka chciała dotknąć różdżką długą,
Dobądź wraz wiszącego u boku bułata,
Rzuć się na nią i pogroź, że ją miecz rozpląta.
Złęknij się i nuż wabić zacznie do łóżnicy —
Ty się nie droż i kładź się w łóżko czarownicy,
Byś i druhów wybawił, i sam był podjęty,
Lecz niechaj wprzód bogom wykona ślub święty,
Że już ci czarodziejskich sideł nie chce stawić,
Aby rozbrojonego męskiej siły zbawić. —

Tak rzekł Hermes i ziółko pokazał mi one
Z ziemi wyrwane, dziwną mocą obdarzone:

Korzonki miało czarne, kwiat białości mleka,
Moly zwie się u bogów. Dotąd nie ma człeka,
Który by je wykopał. Wszystko w mocy bożej!

Po czym Hermes do górnych olimpskich przestworzy
Pognał przez leśny ostrów; jam w zamek się kwapił
I w drodze się myślami sprzecznymi wciąż trapił.
Wreszciem stanął pod bramą wiodącą w mieszkanie
I wołam; snadź ją moje dobiegło wołanie,
Gdyż wyszła i drzwi jasne otwarła przede mną.
Zaprosiła — więc wszedłem, lecz z trwogą tajemną.
Posadziła mnie w krzesło z srebrnymi gwoździemi,
Postawiła podnózek zaraz pod nogami,
W złotej czaszy wyniosła wino zielonkawę.
Już soków czarodziejskich wlała w nie przyprawę,
Częstowała; jam wypił — lecz nie czułem zmiany —
Po czym różdżką mnie dotknie: — Precz, zaczarowany! —
Rzekła — ruszaj do chlewa leżeć na barłogu
Wraz z tamtymi! — Jam na to polecił się bogu,
Miecza-m dobył i obces rzuciłem się do niej,
Grożąc, że ją zabiję. Ona się nie broni,
Tylko z krzykiem przestachu i zgięta we dwoje
Błagała, dłońmi stopy obejmując moje:
— Ktoś jest? Z jakiego ludu? Który kraj cię rodzi?
Dziwno mi, że mych czarów moc tobie nie szkodzi,
Gdyż nikogo z śmiertelnych ten napój nie szczędził,
Ktokolwiek aby kroplę przez zęby przepędził.
O, zaprawdę, ty w piersi masz serce ze spiży!
Czyś ty nie Odys? Pomnę, co mi on bóg chyży
Z złotą laską powiadał, że i tu zawinie
Lotny okręt, że na nim Odysej przybędzie
Wracający spod Troi. Jeśli tak, to schować
Tobie miecz — lepiej w łożu obojgu kosztować
Słodczy i miłością łączyć się wzajemnie,
Bym ufność miała dla cię, a tyś ufał we mnie. —

Tak mówiła — jam na to twardo: — Rzecz nielekka
Żądać, Kirko, miłości ode mnie, od człeka,
Któremuś przemieniła druhów w nierogate,
A teraz mnie samego wabisz w tę komnatę
Do łożnicy, ażebym bezbronny, w pieszczotach
Zbył dzielności, zapomniał o rycerskich cnotach.
Do łożnicy mnie żadną nie wciągniesz potęgą;
Nie dam ci się, bogini! Póki pod przysięgą
Nie zaręczysz, że nic mnie złego tu nie czeka.
Rzekłem, a ona przysięg żądanych nie zwleka...
I kiedy uroczyste śluby bogom czyni,
Wtedy wszedłem w wspaniałą łożnicę bogini.

Na dworze czarodziejki cztery śliczne panny
Kręcą się przy bogini w służbie nieustannej.
Ród ich boski, córami są źródeł i gajów
I świętych wpadających do morza ruczajów.
Jedna z nich krzesła mości, z wierzchu ścieląc cenne
Purpurowe kobierce, a na spód płócienne.
Druga do pysznych siedzeń przysuwa stoliki
Szczerosrebrne, ustawia złociste koszyki —
W krużu srebrnym znów wino miesza trzecia dziewa
I napój weselący po czarkach rozlewa.
Czwarta wodę przyniosła i ogień rozżarzy
Pod trójnogiem, gdzie woda na kąpiel się warzy,
A gdy się ta w miedniku dobrze już zagrzeje,
Nimfa w wannę mnie sadza, strumień wody leje,
Łagodnie mi obmywszy głowę i ramiona,
Aż członkom powróciła krzepkość ich wrodzona.
Po tej łaźni znów miękką oliwą wyciera,
Chlajnę na mnie zarzuci, w chiton mnie ubiera
I prowadzi w komnatę do srebrnego krzesła
Z podnóżkiem i w nie sadza. Teraz znowu wniosła
Służebna na miednicy nalewkę złocistą,
Z której lała na ręce moje wodę czystą.

Gdym się umył, stoliczek gładki mi przystawi,
A za nią i klucznica z Chlebami się zjawi,
Stawia misy przekąsek, jakie ma spiżarnia
I jeść każe. Lecz wstręt mnie do jadła ogarnia,
I w głębokiej zadumie siedzę tak bezwładny.
Kirka zaraz spostrzegła, żem potrawy żadnej
Rękami ani ruszył, tylko w myślach tonę.
Więc zbliża się i słowa mówi uskrzydłone:
— Czemuś to jak mruk siedział u stołu, Odysie?
Tu masz wino, przysmaków pełno w każdej misie,
A tyś nie tknął, i czemu? Porzuć próżną trwogę,
Przysięgłam ci na bogi, więc zdradzić nie mogę. —
Tak mówiła. Jam na to: — Niech cię to nie dziwi,
Kirko, że człek, co w sercu sprawiedliwość żywi,
Za nic strawy nie dotknie i ust nie napoi,
Póki wolnymi braci nie obaczy swojej.
Chcesz-li przeto, bym jadła skosztował i wina,
Wypuść ich, niech tu stanie przede mną družyna. —
Rzekłem; a ona z różdżką czarodziejską w dłoni
Wyszła, pootwierała chlewy i wygoni
Dziewięcioletnie wieprze z każdego karmniku,
Druhy moje; ci Kirkę obiegli wśród kwiku,
Ona zaś do każdego, tak jak stali kołem,
Poszła i czarodziejskim wraz dotknęła ziołem.
Zaraz szkaradnej szczeci zbyły się ich ciała,
Skutku onych uroków, jakie im zadała.
Znów ludźmi są jak pierwiej, tylko odmłodnieli,
Urośli, i na twarzach dziwnie wypięknieli.
Od razu mnie poznali, ściskali za ręce,
I nuż w płacz, lecz z radości po tak ciężkiej męce.
Płacz w zamku się rozlega — Kirka płacze z nimi,
Potem do mnie się zbliża, słowy mówiąc tymi:
— O przemądry Odysie, słuchaj rady mojej!
Idź nad morze, gdzie okręt twój w zatoce stoi,

Niech go zaraz na suche wciągną wysypisko,
Potem w dołach zakopią sprzęt, ładuję wszystką,
W końcu ty z pozostałą czeladzią wróc razem. —

Tak rzekła; jam posłuszny poszedł za rozkazem
Śpiesznie do naszej nawy, co stała w przystani,
I zastałem tam druhów, co stali zebrani
W kupę, i narzekali, że im życie zbrzydło.
Tak w zagrodzie cielęta — kiedy z paszy bydło
Powraca do obory na noc — rwą się z klatek,
Pędzą i przypadają z bekiem do swych matek:
Podobnie moje druhy, skoro mnie obaczą,
Przypadają i do mnie tuląc się, w głos płaczą.
Wždy nie smutku, radości były to oznaki;
Iście, jakby przeniosło ich co do Itaki,
W kraj rodzinny, gdzie każdy rodził się i chował.
Chórem krzyczą, jam ledwo ich słowa zmiarkował:
— O nasz boski! Twój powrót tyle nas weseli,
Jakbyśmy już na naszej Itace stanęli.
Lecz mów! Jaki los spotkał naszych towarzyszy? —

Tak wołali; jam odparł, gdy się zgiełk uciszy:
— Wpierw łódź naszą wyciągnąć na to wysypisko,
Potem w doły pochować, co w łodzi jest, wszystko.
A kiedy się to zrobi, zbierać się bez zwłoki,
Iść za mną, gdyż pójdziemy na dworzec wysoki
Bogini; towarzyszy waszych tam ujrzycie
Jedzących i pijących: wesołe im życie. —

Rzekłem — i na mój rozkaz każdy iść gotowy,
Li Euryloch takimi odwodził ich słowy:
— Gdzie to iść mamy? Jakaż pokusa was pędzi
W zamek Kirki na zgubę? Ona nie oszczędzi
Żadnego; wszystko zmieni w lwy, wilki i wieprze,
Przemienionych wraz zmusi służyć jej w najlepsze,
Obchodzić wkoło zamek, wartować pod bramą.
A czyż tam u Kyklopa w jamie nie to samo

Spotkało tych, co oślep z Odysem tam leżeli?
Przez jego to szaleństwo biedni śmierć znaleźli! —
Skończył, a jam się w duchu łamał z przedsięwzięciem:
Mam-li z pochew obnażyć miecz ostry i cięciem
Łeb mu strącić z tułowia — o, niechajże spadnie,
Choć to bliska krew moja! Lecz tu mnie opadnie
Drużyna; dłoń wstrzymuje i błaga słowami:
— Witeziu! Rozkaż tylko, on nie pójdzie z nami,
Zostawim go przy łodzi na piasek wciągniętej,
A ty prowadź nas, wodzu, w Kirki zamek święty! —
Tak mówili i ze mną ruszyli szeregiem.
Euryloch, nierad zostać sam jeden nad brzegiem,
Poszedł także; snadź zląkł się gniewów moich gromu.
Tymczasem pozostałych druhów w swoim domu
Ugaszczała boginka; do łaźni ich wzięto,
Namaszczono oliwą, pięknie ogarnięto
W chłajny, w chitony. A tak zeszliśmy ich w chwili,
Gdy w biesiadnej komnacie jedli, wino pili.
Po wzajemnych uściskach, gdy każdy przygody
Opowiedział już swoje, nuż płakać w zawody,
Aż zamek się rozlegał wzdychaniem i płaczem.
Wtem bogini się do mnie zbliżyła cichaczem
I rzekła: — Cny Odysie, przebiegły i sławny!
Przestańcież już raz jęczeć, rzućcie płacz ustawny;
Wiem ile bied znieśliście, prując słone wody,
I wiem, jakie na ziemi wróg wam zadał szkody;
A że u mnie nie zbywa na mięsie i winie,
Krzepcie się, a duch dzielny do piersi wam wpłynie.
Taki sam, jak był ongi, gdy ojczyste skały
Żegnaliście. Dziś każdy mdły i osowiały,
Tylko burz, nędz minionych karmi się widziadły,
A wesołości nie zna — cierpienia was zjadły. —
Tak rzekła i skłoniła wszystkich nas ku sobie.
Więc rok cały, jak doba idzie tuż po dobie,

Przy winie, smacznej stawie siedzim tam gościna.
Lecz gdy Hory obiegną krąg roku i miną,
Wiele przeszło księżyców, dni minęło wiele,
Wyzwali mnie na tajne słówko przyjaciele:
— Niebaczny! Mógłżeś zabyć o ojczyźnie drogiej,
Jeśli los ci przeznaczył żywym wrócić w progi
Twego zamku i smugi rodzinne powitać? —
Tą mową męskie serce umieli tak schwytać,
Że gdy z słońca zachodem cień okrył nas szary,
Jam z Kirką wszedł pod pyszne łożnicy kotary
I błagałem pokornie, ściskając kolano:
— Bogini! Spełń raz świętą przysięgę mi daną,
Że do dom nas odprawisz: tęskni mi drużyna;
Dzień w dzień łzami, żałami powrót przypomina,
Ilekoć twarz odwrócisz lub nie jesteś z nami. —
Tak rzekłem, a bogini tę odpowiedź da mi:
— Bystrogłowy Odysie! Nie chcę ja was dłużej
Zatrzymywać u siebie, lecz wprzód do podróży
Innej się przygotujcie: trzeba wam z kolei
Zwiedzić gmachy Hadesa, kraj Persefonei,
Gdzie z duszą tebańskiego pogadasz wróżbity,
Ślepego Tejresjasza — duch to znamienity!
Persefona mu z życiem nie wzięła rozumu,
I on jeden jest mądrym wśród mar czczego tłumu. —
Po tej mowie na serce padł mi smutek wielki;
Siadłem, płacząc, na łóżku, i jak zbawicielki
Wzywam śmierci, niech zaraz wtrąci mnie w noc wieczną!
A gdym łzami ukoił tę boleść serdeczną,
Dopiero się na taką odpowiedź odważę:
— O Kirko! Któż mi drogę przez morze pokaże?
Któż żywy do Hadesu mógł dopłynąć w nawie? —
Takem rzekł, ona na to odparła łaskawie:
— O mój mądry Odysie! Niech cię nie obchodzi,
Kto ma być w tej żegludze przewodnikiem łodzi!

Masz tylko zatknij, podnieś z żaglem białym reje
I czekaj, aż z północy dobry wiatr powieje.
Z nim płynąć! Gdy ocean przemkniesz niezbrodzone,
Natrafisz na brzeg płaski, gdzie gaj Persefony
Pełen olsz, topól gonnych a i wierzb jałowych.
Tam z okrętem na głębiach stań oceanowych,
A sam idź w gmach Hadesa. Podwójnym korytem,
W nurt Acheronu, Pyrflegeton z Kokytem,
Co z Stygu wody bierze, wpadają u skały,
Gdzie z ogromnym łoskotem łączą się ich wały.
Cny Odysie! W pobliżu onej tam opoki
Dół wykopiesz na łokieć długi i szeroki.
Nad dołem czyn obiatę zmarłym: niech weń ścieka
Jedna tam zlewka miodu przasnego i mleka,
Druga wina, a trzecia wody, mąki białej,
Potem ślubuj, by cienie zmarłych cię słyszały:
Że gdy wrócisz, w Itace dasz na stos żertwienny
Jałowicę bez skazy i inny dar cenny;
A na cześć Tejresjasza — że pod nóż ofiarny
Pójdzie najlepszy z trzody baran, całkiem czarny.
A gdy dostojne mary przegłaszczesz zaklęciem,
Zarzniesz im czarną owcę wraz z czarnym koźlęciem,
Łbami ku Erebowi, oblicze zaś swoje
Odwrócisz w górę rzeki; i niebawem roje
Duszynek nieboszczyków zaczną się tam znęcać.
Ty zaś swoją czeladkę masz słowy zachęcać,
Niech w lot obie owieczki miednym nożem ścięte
Oblupi, na stos rzuci i potęgi święte
Hadesa, Persefony wezwie, bijąc czołem.
Ty zaś miecza dobywaj i groź ostrzem gołem
Marom zmarłych, by do krwi nie laży rozlanej
Wpierw, nim przyjdzie Tejresjasz przez cię wywołany.
Wnet też stanie przed tobą, o pasterzu ludów!
Ów prorok, i wywróży, ile jeszcze trudów

Czeka cię, wskaże drogę, usunie przeszkody,
Byś mógł wrócić do domu przez te słone wody. —

Skończyła, a gdy z brzaskiem Zorzy Noc uciekła,
Zaraz mnie w miękką chlajnę i chiton oblekła,
Siebie zaś srebrnolitą przyodziawszy szatką,
Powłóczystą i cienką, spięła kibić gładką
Złotym pasem misternej złotniczej roboty,
I pod zasłoną skryła bujnych włosów sploty.
A jam z izby do izby biegł przez gmach zamkowy,
Śpiącą jeszcze drużynę tymi budząc słowy:
— Wstawajcie wy, słodkimi snami kołysani!
Zbierać się! Taki rozkaz naszej boskiej pani. —

Tak rzekłem, do posłuchu kłoniąc moje chwaty,
Lecz i tu się bez smutnej nie obyło straty,
Gdyż Elpenor, najmłodszy z druhów, dzieciuch prawie
Głowy tępej, a z wrogiem nietęgi w rozprawie
Spać był poszedł osobno na zamkowe szczyty,
Aby chłodu tam zażyć, gdyż winem był spity.
Usłyszawszy on łoskot i zgiełk w dolnym gmachu
Zerwał się i zapomniał w tym pierwszym przestrachu
Znaleźć wschody, zejść po nich bez żadnej mitręgi,
Lecz prosto z dachu skoczył i połamał kręgi —
Dusza poszła do Hadu rozstawszy się z ciałem.
Więc gdy całą drużynę przy sobie już miałem,
Wyruszam i tak mówię idąc: — Przyjaciele!
Nie myślcie, że nam droga do domu się ściele,
Do ziemi ojców. Kirka każe w inne strony
Płynąć nam, w kraj Hadesa, srogiej Persefony,
By tam z duszą pogadać wieszczą Tejresjasza. —

Słyszając to, lamentować pocznie wiara nasza
I nuż tarzać się w kurzu, nuż z głowy rwać włosy.
Ale mnie nie złamały ich płaczliwe głosy.
Więc od nawy stojącej u morskiej przystani
Idziemy wszyscy smutni, ponurzy, spłakani.

Szła i Kirka z koziołkiem i barankiem czarnym,
A wiążąc je u łodzi — sama cieniem marnym
Gdzieś wionęła. Nie dojrzy oko śmiertelnika
Bóstwa, gdy niewidome robi się i znika”.

Pieśń jedenasta

U zmarłych (Nekyja)

„Przybywszy nad brzeg morza łódź tam zostawioną
Spychamy najpierw z brzegu w boską otchłań słoną.
Maszt dźwignion już białymi odął się żaglami,
Więc owce na łódź bierzem, a nareszcie sami
Wsiadamy; zasmuceni lejem łzy żałoby.
Wtem od lądu na okręt nasz błękitnodzioby
Kirka wiatr nam nasłała; żagle już nadyma
Ten przewodnik żeglugi, jak lepszego nie ma.
Rącho też sprzęt zniesiony w nawie porządkujem
I zdani na wiatr dobry i ster, morze prujem
Pełnym żaglem; przez cały dzień szparko się płynie
Do zachodu, gdy szlaki wodne noc obwinie.

Tak dotarłszy do samych oceanu krańcy,
Widzim kraj. Kimmeryjscy siedzą w nim mieszkańcy.
Którzy w mgle i ciemnicy brodzą ustawicznej:
Nigdy bowiem nie spojrzy na nich Helios śliczny,
Ani kiedy na niebo ugwieżdzone wkracza,
Ani kiedy ku ziemi ze szczytów się stacza;
Zawsze też lud ten nędzny w grubej nocy brodzi.

Więc wywłókszy łódź na brzeg, wybieramy z łodzi
Obie owce, i ruszym brzegiem oceanu
W tę stronę, co od Kirki była nam wskazana.
Tam Euryloch, Perimed dzierżą owce obie
Ofiarne, a jam miecza dobył i nim robię
Dół w ziemi, jeden łokieć szeroki i długi;

Dokoła libacyjne zmarłym leję strugi:
Najpierw sam miód i mleko, potem słodkie wino,
W końcu wodę zmieszaną z mąki odrobiną.
I ślubowałem marom zmarłych, że gdy stanę
W Itace, wraz jałówkę dam im nieskalaną
Na żertwę i na stosie spalę coś cennego;
Tejresjaszowi nadto zabiję czarnego
Barana, co rej wodzi w całej mej oborze.
A gdym tak cienie zmarłych przebłagał w pokorze,
Onym owcom pokornym podciąłem gardziele,
I krew w ten dół ściekała. Wnet duszyczek wiele
Tam się złązić poczęło z Erebu otchłani.
Młode pary, toż starce latami złamani,
Panieneczki miłością młodocianą strute,
Widma dzielnych witeziów oszczepami skłute,
Pozabijane w boju, w pokrwawionej zbroi.
Cały ten tłum do dołu ciśnie się i roi.
Wrzeszcząc tak, że aż przestrach błady mnie owionie.
Więc czym prędzej drużynę do pracy nagonię
I każę obie owce, co leżą zarzniete,
Obłupić, dać na ogień, potem strasznie święte
Moce takż Hadesa, jak i Persefony
Błagać. Sam zaś, dobywszy miecz mój wyostrzony,
Wysunąłem się, broniąc marom nieboszczyków
Krwi tej lizać, nim brzmienie wyrocznych tajników
Tejresjasz mi objawi, gdy nań przyjdzie pora.

Lecz pierwsza przysła do mnie dusza Elpenora.
On bowiem nie pogrzebion w ziemi do tej chwili.
W domu Kirki my zwłoki jego zostawili,
Nie oplakane, ani nawet pogrzebione —
Inne sprawy myśl naszą rwały w inną stronę.
Widząc go, jam zapłakał, litością się kruszę,
I zagabąłem tymi słowy biedną duszę:
— Mówże, jakeś się dostał w te ciemne przestwory?

Nogi-ż niosły cię prędzej niż mnie okręt skory? —
Takem pytał; on na to mówił płacząc rzewnie:
— O przemądry Odysie! Jakiś demon pewnie
Zdradził mnie, a zgubiło wino nadużycie,
Żem zapomniał, zaspany na zamkowym szczycie,
Znaleźć wschody, zejść po nich bez żadnej mitręgi,
I prosto-m z dachu skoczył, łamiąc kark i kręgi,
Aż dusza ze mnie poszła w ten mrok hadesowy.
Błagam cię, klnę na wszystkie najdroższe ci głowy,
Na małżonkę, na ojca, co-ć chował i bawił,
Na syna Telemacha, coś w domu zostawił,
Że gdy, jak wiem, opuścisz kraj Persefonei
I powrócisz na nawie do wyspy Eei,
Więc sobie zaraz wspomnij, że tam moje ciało
Nie pogrzebione w zamku Kirki się zostało.
Nie dajże mu się walać, nim odjedziesz w drogę,
Gdyż gniew bogów na głowę twoją ściągnąć mogę.
Przeto spał mnie w tej zbroi, którą się nosiło,
Złóż popioły nad morzem i nakryj mogiłą.
Niech o mnie nieszczęśliwym wieki wspomną sobie!
Zrób to wszystko i zatknij wiosło na mym grobie,
Ktorem z towarzyszami dzierżył, gdym był żywy.

Tak mówił, a jam na to: — O mój nieszczęśliwy!
Wszystko, co tylko żadasz, wypełnię najchętniej. —

W ten sposób rozmawiając, obaj stoim smętni:
Ja po jednej, miecz trzymam i przystępu bronię
Do krwi tej, a duch smutny po drugiej był stronie.

Niebawem cień mej matki ku mnie się pomyka,
Dusza to Antikleji, córki Autolyki.
Żyła ona, gdym z domu szedł pod Ilion święty.
Jej widok łzy wycisnął, tak byłem przejęty,
A jednak ją odpędzam mieczem od rozlanej
Krwi, choć z żalem, nim przyjdzie wieszczek wywołany.

I oto już się dusza Tejresjasza jawi

Z posochem złotym w ręku. Poznał mnie i prawi:
— O synu Laertesa, Odysie, i czemu
Świat rzuciłeś i słońcu uciekłeś jasnemu,
Aby widzieć umarłych i grozy siedlisko?
Zejdź na bok albo miecz swój nastawion spuść nisko,
Niech się krwi tej napiję i przyszłość wygadam. —
Tak rzekł, jam się usunął i do pochew wkładałam
Mój miecz srebrnogwoździsty. Wieszcz czarnej posoki
Napiał się i jął przysze obwieszczać wyroki:
— Cny Odysie! ty wrócić chciałbyś na okręcie
Do domu — lecz bóg jeden stoi ci na wstręcie;
Od gniewu Ziemioburcy nikt się nie wymiga:
Tyś mu syna oślepił — więc zemstą cię ściga.
A jednak wrócisz kiedyś w domowe pielesze;
Hamuj tylko sam siebie i druhów twych rzeszę,
Bo gdy przez rozhukane burzą morskie szlaki
Przybijesz łodzią swoją do wyspy Trinakii,
Ujrzysz tam jałowice tuczne na rozłogu,
Pasące się na chwałę słonecznemu bogu.
Jeślibyś je oszczędził, pomny mej przestrogi,
Może byś wrócił kiedy z trudem w ojców progi.
Lecz jeśli nie oszczędzisz, zginą twoi męże,
Zginie okręt, acz ciebie zguba nie dosięże.
Przecież późno, jak nędzarz wrócisz, bez drużyny,
Cudzym statkiem, a w domu zastaniesz ruiny,
Zuchwalców, co twe mienie i dostatek trwonią,
Co za twoją małżonką podarkami gonią.
Lecz ty przyjdiesz, ukrócisz harde zalotniki:
Naprzód chytrym fortem pomieszasz im szyki,
Potem miecz twój w krwi gachów po jelce się zboczy.
Co gdy spełnisz, weź wiosło, idź z nim w świat za oczy
Szukać ludzi, którzy nic o morzu nie wiedzą,
Którzy nieosoloną strawę zwykle jedzą,
Długowioślanych łodzi też nie znają wcale

Ni wiosła, istnych skrzydeł muskających fale.
Lecz abyś się nie zmylił, określę dokładnie:
Jeśli ktoś w obcej ziemi, widząc cię, zagadnie,
Że na barkach łopatę dźwigasz, złóż to brzemię
I wygładzone wiosło natychmiast wbij w ziemię,
A sam do Posejdona módl się; mórz władyka
Niech ma obiatę z kozła, toż z wieprza i byka.
Po czym wrócisz i bogom dasz hojne ofiary,
Zamieszkującym niebios niezmierne obszary,
A wszystkim po kolei. Na koniec przez morze
Przyjdzie śmierć, aby lekko, gdy starość cię zmoże,
Zabrać z sobą, z pośrodku narodu i drużby
Przez cię uszczęśliwionej. Niemylnie to wróżby! —

Skończył wieszcz, a jam na to odrzekł: — Starcze miły,
Taki los już mi pewnie bogi naznaczyły;
Lecz powiedz, szczerzej prawdy dowiedzieć się muszę:
Tam oto mej nieboszczki matki widzę duszę,
Siedzącą nad krwi strugą: milczy, i synowi
Ani w oczy popatrzy, ani słowa powie.
Cóż robić, o mój królu, żebym był poznany? —

Powiedziałem, a na to rzekł wieszcz wywołany:
— Jak zrobić? — Rzecz to łatwa; zaraz dam ci sposób:
Pozwól tylko tym marom nie żyjących osób
Krwi tej liznąć, a każda powie, co ma na dzie;
Lecz gdy wzbronisz, zamilknie i w głębiach przepadnie. —

Tak mówił duch Tejresja i gdy mi nawróżył,
Znowu się w ciemne gmachy Hadesu zanurzył.

Jam został sam nad dołem; minął czas niedługi,
Aż przyszła matka moja pić z tej krwawej strugi,
Poznała mnie i smutną powitała mową:
— Synu! Jakżeś się dostał w tę noc hadesową,
Kiedyś żyw? Wam żyjącym strach patrzeć na one
Srogie rzeki wałami wzdętymi pędzone!
Najbardziej na Okean, którego nie zbrodzi

Nikt a nikt pieszo, chyba w wydrażonej łodzi.
Czyś ty się tu zabłąkał, wracając ze swymi
Na okręcie spod Troi drogami błędnymi?
Czy dotąd nie widziałeś ni domu, ni żony? —
Tak pytała; jam na to, do głębi wzruszony:
— O matko! Jam z potrzeby wszedł w te kraje blade,
By ducha Tejresjasza zapytać o radę.
Jeszcze ani w Achai nie był, ni w Itace,
A tylko na włóczędze ciągłej żywot tracę,
Odkąd z Agamemnonem pod tabuną Troję
Wyszedłem staczać krwawe z Trojanami boje.
Lecz mów mi szczerą prawdę, o matko kochana!
W jakiż sposób napadła cię śmierć nieprzespana?
Zjadła-ż ciebie choroba? Czy łuczniczka ona,
Artemis, lekką strzałę wbiła ci do łona?
Mów o ojcu, o synu moim, co zostali:
Czy godność moją dzierżą, czyli też ją zdali
Komu z mężów, zwątpiwszy, czy żyję na świecie?
Powiedz, co tam małżonka moja myśli przecie?
Siedzi-ż jeszcze przy synu i z nim gospodarzy?
Czy poszła za którego z achajskich mocarzy? —
Tak pytałem, a matka rzekła w odpowiedzi:
— Ona zawsze stateczna sercem, dotąd siedzi
W zamku twym, gdzie dni wszystkie wśród tęsknej żałoby
Płyną jej, a na płaczach schodzą nocne doby.
Godności twej nikt nie wziął, a królewskie włości
Telemach zawsze trzyma, uprawia w cichości;
Czasem na ucztę sprasza, jak czynić należy
Temu, który najwyższą władzę w kraju dzierży,
A sam bywa zapraszany. Rodzic twój na łanie
Osiedł sobie i w mieście nigdy nie postanie.
Łoże jego nie świeci makatą tam żadną
Ni chlajnymi; na zimę ma izbę czeladną,
W której sypia; zazwyczaj na ziemi w popiele

Kładnie się przy ognisku i łachman podściele;
W łagodniejsze zaś lato i jesień owocną
Rad chodzi po winnicach sypiać porą nocną,
Kędy sobie ze suchych liści łoże mości.
A nim zaśnie, wciąż дума o losów srogości
Sprzysiężonych na ciebie, i w serce się wpija
Nowy ból, a lat ciężar do reszty zabija.
Tak i mnie schnącą z żalu śmierć w końcu zabrała.
Synu! Mnie nie zabiła Artemidy strzała,
Co tak niespodziewanie i lekko przeszywa;
Mnie nie zjadła choroba, co duszę wyrывa
Z ciała bólem żartego, tylko, drogie dziecko,
Ciągła tęskność po tobie wyssała mi życie. —
Tak rzekła. We mnie drżała chęć niepowściągniona
Marę matki nieboszczki pochwycić w ramiona:
Trzykroć chciałem ją objąć myśląc, że przygarnę,
Trzykroć umkła mi z ręku i znikła jak marne
Senne widmo, a serce i rwie się, i goni
Tym gwałtowniej. Więc rzekłem tymi słowy do niej:
— O matko! Nie broń-że mi rozkoszy uścisku!
Czemuż się nie uściskać w tym cieniów siedlisku!
Niechby serca strapione w łzach zmieszanych razem
Ulgę sobie znalazły. A może obrazem
Złudnym tak Persefona przede mną majaczy,
Bym poznał całą bezdeń mej nędzy tułaczey? —
Rzekłem, a matka słowy zakwili tkliwemi:
— Synu! Najnieszczęśliwszy z ludzi na tej ziemi!
Nie zwiodła cię tym widmem groźna Persefona,
Lecz takim jest człek każdy, gdy życia dokona,
Kiedy ciała i kości z sobą nic nie sprzęga;
Wszystko strawi płomieni niszcząca potęga,
Odkąd z białymi kośćmi życie się rozbrata,
A dusza, jak sen lekka, w otchłanie ulata.
Teraz na świat powracaj i w pamięci żywej

Chowaj to! Kiedyś żonie opowiesz te dziwy. —
Gdyśmy tak rozmawiali, przyszły z różnej strony
Dusze niewiast, wypęzłe z krain Persefony,
Wszystko żony i córki mężów wielkiej sławy.
Cienie te obstały dokoła dół krwawy.
Widząc to przemyśliam, jak pytać po jednej,
I na trudność ten sposób zdał się odpowiedny,
Żem wydobył miecz długi, wiszący u boku,
I wzbronilem duszyczkom pić we krwi potoku.
Więc po jednej puszczałem, o miano rodowe
Pytając. Takem poznał te matry grobowe.
Pierwsza pomknęła na mnie Tyro urodziwa,
Zacnego Salmoneja córką się nazywa,
A Kreteja małżonką. Ta czasy dawnymi
Kochała się w Enipie, z wszystkich rzek na ziemi
Najpiękniejszej, i często biegła na wybrzeże
Enipu. Więc Posejdon na się postać bierze
Tego bożka i w rzeki wirowym zakręcie
Napadł ją — ona w boskie gdy wpadła objęcie,
Z obu stron buchła w górę fala purpurowa
I wzdąwszy się sklepieniem przed ludźmi ich schowa.
Z miłosnego uścisku gdy panna się cuci,
Dłoń jej ściska i takie słowa bożek rzuci:
— Chwała ci za ten uścisk rozkoszy jedyny.
Rok nie przejdzie, a dzielne urodzisz mi syny.
Z niebiany dzielić łożę jest błogosławieństwem.
Opiekuj się jak matka tych chłopiąt maleństwem,
A teraz idź do domu, nie mów nic przed nikim,
Żeś była z Posejdonem, wielkim mórza władcą! —
Rzekł i wskoczył, a fala nakryła go wzdęta.
Tyro zaszedłszy w ciążę powiła bliźnięta:
Peliasa i Neleja. Tak jeden jak drugi
Wyszli z czasem na dzielne Kronionowe sługi.
Pelias siedział na Jolku, sławnym z owiec chowu,

A Nelej na Pylosie. Innych synów znowu
Powiła Kretejowi ta królewska żona,
Jak Ajsona z Feresem, toż Amytaona.

Po niej jam Antiopę ujrzał krasawicę,
Chełpiącą się, że z Zeusem dzieliła łożnicę,
Że dała mu Amfiona i Zeta, co z czasem
Siedmiobramny gród Tebów wzniesli, murów pasem
Obwiedli; gdyby bowiem murów tych nie było,
Nie mogliby obronić Tebów własną siłą.

Po niej przyszła Alkmena, żona Amfitriona,
Którą Zeus pochwyciwszy w miłosne ramiona,
Spłodził z nią Heraklesa, męża serca lwiego.
Jawi się i Megara, córka zuchwałego
Krejona, za mąż dana Amfitryjonidzie,
Co słynął niezłomnością.

Wraz i matka idzie

Edypa, Epikasta, sławna strasznym czynem,
Gdyż w obłędzie dzieliła łóżę z własnym synem,
Co ojca swego zabił. Bóstwa im na psotę
Przed ludźmi kazirodną wykryły sromotę.
Choć Edyp w pięknych Tebach Kadmejami rządził
Wyrok bogów na pasmo zgryzot go osądził.
Ona zaś w Hades poszła, gdy z rozpaczey wielkiej
Uwisła w zadzierzgniętym powrozie u belki,
A tak na syna głowę zwała te nędze,
Jakich skrzywdzonej matce dostarczyły jędze.
Widziałem także Chloris, piękność znamienitą,
Drogimi podarkami Neleja podbitą.
Ona z cór Amfionowych, który w Orchomenie,
Grodzie Miniów panował, najmłodsze stworzenie;
Jako pani Pylosu, a Neleja żona
Powiła mu dzielnego Nestora, Chromiona,
Potem Periklimena. W końcu przyszła Pera,
O którą rój sąsiednich kniaziów się napiera,

Lecz Nelej li takiemu da ją, jeśli jaki
Znajdzie się, co u króla Ifikla z Filaki
Stado krów krętorogich uwiedzie spod straży —
Sęk twardy, jednak pewien wieszczek się odważy
I rusza — ale bóstwa snadź mu nie sprzyjały,
Gdyż schwytan przez pastuchy jęczał czas niemały
W więzach — i tak dni wiele przesiedział zamknięty.
Aż gdy rok dobiegł kresu, kazał zdjąć mu pęty
Król Ifiklos w nagrodę, że wieszczek objawił
Przyszłość mu. Snadź tak Kronion wolą swoją sprawił.
Po niej żona Tyndara Leda się zjawiała.
Ta mężowi dwóch dziarskich chłopaków powiła:
Kastora, co najdziksze ujeżdżał rumaki,
Polydeuka, co bił się sławnie na kułaki.
Obadwaj dotąd żyją w karmiącej nas ziemi,
Gdyż pod ziemią uzacnił ich Zeus przed innymi.
Dzień przeżywszy mrą w drugim, i tak wciąż kolejną
Mrą i żyjąc, jak bogi w chwale swej jaśnieją.
Ifimedę Aleja żonę też widziałem —
Pyszną, że się Posejdon kochał w niej z zapalem —
Dwa syny mu powiła, lecz ci zmarli młodo:
Otosą i Efialtą, głośnych swą urodą,
Gdyż ród ludzki przerośli ciał swoich długością,
A krom Oriona nikt im nie sprostał pięknnością;
W dziewięciu bowiem leciech mierzyły ich bary
Dziewięć łokci, a znowu dziewięć sążni miary
Miał z nich każdy co najmniej od czuba po stopy.
Nie darmo samym bogom groźnymi te chłopcy
Stali się, chcąc przebojem w olimpijskie progi
Wtargnąć i roznieść wojny, mordy i pożogi —
I spełniliby, gdyby nie ich wiek zielony...
Lecz syn Zeusa z prześlicznej Lety urodzony
Obu grotem ustrzelił, nim jeszcze puch młody
Zasiał się i zacienił im skronie i brody.

Po niej nadeszła Fedra, Prokris i Ariadna,
Ta zgubnego Minosa córa dziwnie ładna,
Którą ongi Tezeusz, gdy z Krety ostrowu
Chciał do Aten uwozić, zbył swego połowu,
Gdyż na wysepce Dii Artemis ją grotem
Swym ubiła, jak świadczył Dyjonizos o tem.

Więc Majra i Klymene, toż pełna sromoty
Przyszła i Erifyle, co za stroik złoty
Sprzedała swego męża.

Już mi niepodobna
Wszystkie zwać po imieniu, opisać z osobna
Te sławnych bohaterów i dziewczki, i żony,
Bo i nocy by brakło, zwłaszcza że spóźniony
Czas nagli do spoczynku; a czy się położę
Tam w łodzi, z towarzyszmi, czy gdzie tu, w komorze,
Łasce waszej i bożej podróż mą oddałem”.

Skończył, a w zgromadzeniu naraz oniemiałem
Nastąpiła uroczysta cisza w izbie ciemnej.
Wtem ozwał się Arety głos białoramiennej:
„Jakże wam się wydaje mąż ten, o Feaki?
Przy tym wzroście i kształcie ciała rozum taki!
On gość mój — ależ wolno uczcić go każdemu.
Po cóż naglić z odprawą? Lepiej potrzebnemu
Tułaczowi nie skąpić, kiedy z łaski nieba
Każdy z was chowa skarby większe, niż potrzeba”.

Na to do zgromadzonych starzec siwogłowy
Echeneos się zwrócił i rzekł tymi słowy:
„Mężowie! Do serc waszych mowa ta przypada;
Mądrze radzi królowa, słuchać ją wypada,
Lecz prawo do rozkazu służy li królowi”.

Na to mu Alkinoos tym słowem odpowie:
„Com przyrzekł, to i spełnię, pókim żyw i czuję,
I póki tym żeglownym Feakom panuję.
Lecz gość nasz, choć mu do dom tak śpieszno, niech z nami

Choć do jutra zabawi; ja się z podarkami
Tymczasem dlań uwinę. Na jego odprawie
Nam tu wszystkim zależy, najwięcej mej sławie,
Jako temu, co włada i stoi na czele”.

Na to odparł mu Odys obfity w fortele:
„O potężny Alkinie, królu pełny chwały!
Choćbyście mnie zmusili siedzieć tu rok cały,
Byłem powrót miał pewny, sute opatrzenie,
Przystalbym. To by nawet podniosło znaczenie
Wracającego do dom, a z mieszkciem niepróżnym.
Nie umiano by sobie rady dać z podróżnym
W Itace: z taką cześcią byłbym tam witany”.

Na to Alkin: „Odysie! Choć jak gość nieznany
Wszedłeś tu, jednak sądząc z postaci i twarzy,
Nie patrzysz na oszusta z rzędu tych nędzarzy,
Jakich po chleborodnej ziemi moc się kręci,
I trzeba czy nie trzeba, kłamią bez pamięci.
Lecz ty i słowem wdzięczny, duszą nieobłudny,
Wieszczą krojem w powieści opowiadasz cudnej
Wojsk argejskich niedolę i twą osobistą.
Otóż wyznaj mi szczerze, niech wiem prawdę czystą:
Czy ci się oni boscy męże pokazali,
Coś z nimi szedł pod Ilion, co tam głowy dali?
Teraz noc długa, bardzo długa — a do spania
Jeszcze nie czas, więc ciągnij swe opowiadania
I do boskiej Jutrzenki; mnie to nie unuży,
Choćbyś przygód swych powieść przewlókł jak najdłużej”.

Na to odrzekł mu Odys: „O królu Alkinie!
Bohaterze, którego sława wszędy słynie!
Jest czas i na gawędy, jest czas i na spanie;
Lecz gdy chcesz, abym dalej mówił, niech się stanie
Tobie gwoli: opowiem ową dolę smutną
Mych przyjaciół, co śmiercią zginęli okrutną,
Bo choć uszli pod Troją krwawego pogromu,

Śmierć znaleźli z rąk niewiast z powrotem do domu.

Owoż, gdy na skinienie groźnej Persefony
On tłum cieniów niewieścich zniknął rozpierzchniony,
Widziałem, jak Atrydy duch przyszedł posępny,
A z nim pomknął i orszak duchów nieodstępny
Tych wszystkich, co w Ajgista zamku dali głowy.
Ledwo krwi się tej napił cień Agamemnonowy,
Wraz mnie poznał, w głos łzami zaszlochał rzewnymi,
Ręce ku mnie wyciągnął, chcąc przygarnąć nimi;
Lecz darmo! Już z nich siła życia uleciała,
Dająca niegdyś gibkość członkom jego ciała!
Na ten widok serdeczne łzy mi się polały
I usta moje tymi słowy go witały:

— Sławny synu Atreja, o Agamemnonie!
Któż cię wtrącił w te śmierci nieprzespane tonie? —
Czy Posejdon cię zabił wśród morskiej przeprawy,
Nasylając orkany i wichry na nawy?
Czyliś na łądzie zabit od wrażych warcholów,
Gdyś im zajmował stada baranów i wołów?
Czy gdy w żon swych i grodu stawali obronie?

Takem mówił. On na to odpowiedział: — O nie!
Nie, Laertio Odysie, w fortele obfity,
Jam z ręki Posejdona nie zginął zabity,
On nie nasłał orkanów ni wiatrów, gdym płynął,
Anim od wrażych ludzi na łądzie nie zginął:
Jeno Ajgist, ten współnik mej występnej żony,
Śmierć mi zadał. W gościnę przezeń zaproszony,
Byłem zabit na godach jako wół u żłobu.
Moich zaś towarzyszków, również bez sposobu
Obrony, zarzynano jakby wieprzów trzody,
Które w gościnnym domu zwykle rzną na gody
Czy weselne, czy inne, czy na wielkie święto.
Musiałeś nieraz widzieć, jak to ludzi rżnięto
W pojedynkach lub w bitew zaciętych natłoku,

Ale wszystko to niczym przy onym widoku,
Kiedy to wkoło stołów zastawnych i kruży
Wiliśmy się po ziemi w krwi czarnej kałuży.
Wtenczas srodze mnie przeszył jęk córki Pryjama,
Kasandry: Klytajmestra dławiała ją sama
Przy mnie, już konającym. Jam wzniosł ręce obie
I za miecz schwycił; ona wydarła, i sobie
Precz poszła. Nawet powiek moich nie przywarła,
Gdym skonał, ani szczęk mych, otwartych do garła!
Nie wiem, czy obrzydliwsze na świecie jest zwierzę
Nad kobietę, gdy w taką zbrodnię się ubierze,
Jak w oną, na małżonku własnym dokonaną.
Jam marzył, że gdy wrócę, radość niespodzianą
Sprawię dzieciom, czeladce, wszystko mnie powita.
Alić ta przeniewiercza zbrodniarka kobieta
Nie tylko sama siebie, lecz rodzaj niewieści
Zbzechceściła, te nawet, co warte są cześci! —
Skończył, a jam mu na to: — Och! Sroży się, sroży
Od dawna nad plemieniem Atreja gniew boży!
Zeus za narzędzie zguby niewiastę obiera —
Wszak przez oną Helenę tylu już umiera,
A przez tę Klytajmestrę i tyś żywot stradał! —
Tak rzekłem. On mi na to znowu odpowiadał:
— O, nigdy nie poddawaj się pod rząd kobiecy!
Z czułości jej nie zwierzaj żadnej tajemnicy!
Udziel coś, a rzecz ważną w sobie zamknij szczelnie.
Lecz ciebie twa małżonka nie zdradzi bezczelnie,
Bo szlachetność i zacne mieszkają pochopy
W sercu Ikariosowej córy, Penelopy.
Kiedyśmy szli na wojnę, tyś ją kobiecina
Młodą w domu zostawił, u piersi z chłopczyną,
Który dziś już w poważnych mężów wstąpił grona.
Ojciec go wracający przycisnie do łona
I syn szczęśliwy ojcu rzuci się w objęcia!

Mnie nawet żona moja widokiem dziecięcia
 Oczu napaść nie dała, zgładziła mnie wprzód!
 Ale powiedz mi szczerze, szczerze, bez obłudy!
 Czyś co o mego syna nie zasłyszał losie,
 Bądź w Orchomenie, bądź też w piaszczystym Pylosie,
 Bądź w Sparcie na Atrydy Menelaja dworze?
 Gdyż mój Orest na ziemi żyw jeszcze w tej porze. —
 Tak pytał; jam mu na to: — Atrydo! Daremnie
 Chcesz mnie zbadać, gdyż nic się nie dowiesz ode mnie:
 Bo nie wiem, a na próżno gadać nie przystało. —
 Gdy nas dwóch tak na przemian z sobą rozmawiało,
 Mieszając w nasze smutki łzę rzewną co chwila,
 Pomknęła ku nam dusza Pelida Achilla,
 Za nią dusza Patrokla z Antilocha duszą,
 Wreszcie Ajas, co kształtem i olbrzymią tuszą
 Wszystkie gasił Danaje — Achilla nie liczę.
 Owóz duch Ajakidy od razu oblicze
 Poznał moje i taką powitał mnie mową:
 — Laertiado Odysie! O zuchwałą głowo!
 Na jakież czyn się zrywasz, większy niżli wszystko,
 Coś zrobił! Po co wszedłeś w to zmarłych siedlisko,
 Gdzie z ludzi tylko cienie mdlawe i bezwiedne?
 Tak mówił, jam mu słowo posłał odpowiednie:
 — O Achillu! Ty chwało i ozdobo nasza!
 Przyszedłem tutaj gwoili wieszczu Tejresjasza,
 By wróżył, czy rodzinną Itakę zobaczę!
 Dotąd bowiem wciąż życie pędziłem tułacze,
 I nogą nie postawszy w Achai ni w domu.
 Lecz z twym szczęściem, Achillu, czy można się komu
 Równać z nas? Jak bóg czczony byłeś ty na ziemi,
 A dziś, będąc w Hadesie, trzęsiesz umarłemi;
 Przeto nie masz ty czego na swój zgon narzekać. —
 Rzekłem; on z odpowiedzią nie dał na się czekać:
 — Odysie! Ty chcesz w śmierci znaleźć mi pociechę?

Wolałbym do dzierzawcy iść pod biedną strzechę
Na parobka, i w roli grzebać z ciężkim znojem,
Niż tu panować nad tym cieniów marnych rojem!
Lecz mów mi, co słyszałeś o grackim mym synie:
W domu-ż siedzi, czy w boje chodzi, męstwem słynie?
Toż mów, jakie o wielkim Peleju masz wieści?
Czy Myrmidony zawsze chowają go w cześci?
Czy Hellada i Ftyja czci mu swej uwleka,
Że stary, a na ręce i nogi kaleka?
O, czemuż ja nie taki, jak niegdyś bywało,
Gdym żył i na trojańskim polu błyszczał chwałą,
I w obronie Achiwów wycinał narody!
Obym na jedną chwilę znów silny i młody
Stał się i naraz w domu zjawił się rodzica!
Starłaby tych zuchwalców synowska prawica,
Którzy śmieli królewskiej uwłaczać mu cześci! —

Tak Achilles. Jam na to: — Żadnej, żadnej wieści
Nie miałem o Peleju; ale słuchajże mnie,
Opowiem ci o synu twym Neoptolemie
Wiele rzeczy ciekawych, których byłem świadkiem,
Gdyż ja sam go przywiozłem własnym moim statkiem
Ze Skyros do pancernych Achiwów pod Troję.
Tam on w radach wojennych zwykle słowo swoje
Rzucał pierwszy; przemawiał i mądrze, i zdrowo;
Li Nestor go pobijał lub ja sam wymową.
A gdy przyszło na miecze rozprawiać się krwawo,
Nigdy nie został w tyle pomiędzy czerniawą,
Ino szedł naprzód, męstwem nad innych górował;
Siła też wrogów w boju obalił na pował.
Wszystkich tych nie policzę, z nazwisk nie wymienię,
Których, broniąc Danajów, posłał między cienie.
Li wspomnę Eurypyła, co go miednym grotem
Przebódł wskroś, bohatera, z nim dużo pokotem
Ktejców o ziem powalił — sprawka to kobieca;

Nigdy nie widział człeka wabniejszego lica
Niż Eurypyl; li Memnon piękniejszy od niego.
Potem kiedyśmy w konia wleźli drewnianego,
Co go Epej wyciosał, a mnie dozór dano,
Kiedy ma być zamkniętą, kiedy otwieraną
Ta kryjówka, mieszcząca książęta i wodze,
Niejeden tam z Achiwów na los płakał srodze
I dygotał ze strachu, lecz u twego syna
Nie widziałem łzy jednej; nic go nie ugina,
Bo ni razu z bojaźni nie zbladł mu rumieniec.
Przeciwnie, nieraz prosił mnie ten zapaleniec,
Bym go puścił z kryjówki; za oszczep miedziany,
Za miecz chwycił i rwał się wysiekać Trojany.
W końcu, gdyśmy Pryjamów wzięli gród wysoki,
On łupów i podarków nawiąawszy w troki,
Oddalił się na okręt, i żadną już strzałą
Ani mieczem draśnięty, z walk tych wyszedł cało,
Co dziw! Bo Ares w bitwie ślepe sypie cięcia! —

Rzekłem, a duch Achilla, ajackiego księcia,
Na asfodelu mroczną łakę się oddalił,
Uradowan, że syna męstwo tak wychwalił.

Inne zaś, co tam były, nieboszczyków cienie
Stały smutne, na swoje płacząc przeznaczenie;
A tylko cień Ajasa, syna Telamona,
Stał podal. Jego postać srodze zachmurzona
Przez to, że go w zapasach przemógł i nagrodą
Wziął zbroję Achillesa, którą głosów zgodą
W dank dali mi Trojańce i Pallas-Atene,
A Tetys przeznaczyła za zwycięstwa cenę.
Było lepiej mi nigdy zwycięzcą nie zostać,
Niżby miała pod ziemię pójść ta wielka postać
Ajasa, co nad Greków wzrósł takimi czyny,
Że tylko go Achilles prześcigał jedyny.

Więc zagabłem Ajasa, witając serdecznie:

— O synu Telamona! A czybyś miał wiecznie
Gniewać się i po śmierci o zbroję, coś stracił,
Którą tylu klęskami Grek potem opłacił?
Bo z tobą, kiedyś runął, ty baszto warowna!
Jak po śmierci Achilla, żalność niewymowna
Ogarnęła Achiwów: wciąż płaczą za tobą!
Wszystkiego Zeus nawarzył; on to swoją złością
Trapił wojska danajskie i ciebie tu wpędził.
Lecz zbliż się do mnie, królu! Rad bym pogawędził,
Zbliż się, już byś to z serca stary gniew wyrzucił! —

Rzekłem; on milczał. Po czym k'Erebu się zwrócił
I odszedł, ginąc w tłumie martwych nieboszczyków.
Może byłbym od niego dobył co z tajników
Lub wzajem on ode mnie, lecz właśnie pragnąłem
Poznać dusze, co przyszły i stały nad dołem.

Syn Zeusa, boski Minos, wpadł w oko najpierwej.
Siedzący z złotym berłem sądził on bez przerwy
Dusze zmarłych. Te stojąc, siedząc z obu boków
W bramie gmachu Aisa, słuchały wyroków.

Po nim znów olbrzymiego Oriona ujrzałem.
Na łące asfodelu pędził on nawałem
Zwierzynę wszystką, jaką w kniejach pozabijał,
Gdy żył i w rękę pałką spiżową wywijał.

Widziałem i Tityosa, syna Gai świętej —
Zalegał dziewięć stajen leżąc rozciągnięty.
Dwa sępy, jeden z prawej strony, drugi z lewej,
Choć ich spędzał, spod skóry darły z niego trzewy.
Kara za Leto, Zeusa boską nałożnicę,
Którą on był znieważył, gdy ta okolicę
Panopej przechodziła, do Pyto w podróży.

Widziałem i Tantala. Staw widziałem duży,
Kędy stał zanurzony aż po samą brodę.
Choć pić chciał, nie mógł ust swych zanurzyć w tę wodę,
Bo ilekroć się schylił, by jej nabrać usty,

Tylekroć uciekała, ino się grunt pusty
Został pod nim, wysuszony przez duchy złowrogie.
Nad nim i drzew gałęzie wisiały rozłogie,
Pełne jabłek rumianych, słodkich fig i gruszek,
Toż granatów, oliwek, lecz byle staruszek
Wspiął się, aby rękami uszczknąć owoc który,
Wichr się zrywał, gałęzie podbijał do góry...

Szyfa takżem widział, i to w strasznych mękach;
Ogromną bryłę skały dźwigał on na rękach
I wtaczał ją na górę z mordęgą niemłą,
Podsadzając się pod nią, a gdy się zdawało,
Że ją wtoczył już na szczyt, skręcała się skała
I z łoskotem piorunu znów na dół spadała,
A on znów ją pod górę wtaczał. Krwawym potem
Członki jego okryte, twarz kurzem i błotem.

Po czym Heraklesowe widmo tuż przy dole
Stańło, on sam bowiem siedział w bogów kole
Na niebiańskiej biesiadzie z Hebą na pieszczocie.
Wkoło widma, mar roje, ni to ptaków krocie
Spłoszonych, wciąż szeleszczą... On jak noc ponury
Stał z łukiem i napinał bełt nastrzępion pióry,
Groźnie patrząc i gotów grot miotać za grotem,
Przez pierś jego pas wisiał rzemienny, a złotem
Rzniętym w cudne figury zdobny i łyszczący:
Był tam niedźwiedź, odyniec, lew groźnie patrzący,
Toż szermierki i bitwy, rzezie krwi niesyte,
Dość, że kto dzieło takie stworzył znamienite,
Niech się już o piękniejsze nie kusi daremnie!
Herakles wraz mnie poznał, gdy się wpatrzył we mnie,
I tak do mnie przemówił jego cień markotny:

— O synu Laertesa, Odysie obrotny!
Czy i ciebie tak samo okrutny los gniecie,
Jak mnie nękał, gdym jeszcze na jasnym żył świecie?
Syn ja Zeusa, a nędze były mym udziałem,

Wysługiwać się chłopu podłemu musiałem,
Który mnie robotami obarczał twardymi:
Kazał mi po psa chodzić aż tutaj w głąb ziemi,
Myśląc, że w drodze zginę od samego strachu.
Jam przecież wyprowadził psa z Aisa gmachu,
Bo Hermes i Pallada szli tam razem ze mną... —
Rzekłszy to zaraz odszedł w Hadesu głąb ciemną.

Jam został oczekując, czy się nie pokaże
Kto z dawnych bohaterów lub też inne twarze,
Z którymi by się rada spotkać dusza moja;
Pragnąłem Tezeusza, a z nim Pejritoja.
Lecz się zaczęły ściągać takie mar gromady,
A i z takim łoskotem, że mnie lęk zdjął blady;
Bałem się Persefony, czy ta z swej czeluści
Potwornego łba Gorgi na mnie nie wypuści.
Więc-em pobiegł na okręt, napędził drużynę,
By wsiadała, cumową odczepiła linę.
Ta, rozkazom posłuszna, rzuciła się w pędy
I przy wiosłach ław długich wnet zasiadła rzędy;
A okręt zrazu prądem mknął po oceanie,
Potem z wiosł pomocy — w końcu wiatr powstanie”.

Pieśń dwunasta

Syreny, Skylla i Charybda, bydło Heliosa

„Skoro okręt nasz prądy oceanu minął
I na bezkresny przestwór wód morskich wypłynął,
Pędzim k'wyspie Ajai, gdzie Eos się rodzi,
Gdzie mieszka z swym orszakem i gdzie Helios wschodzi;
A stanąwszy u brzegu przy piaszczystej ławie,
Wysiadamy z okrętu, znużeni w przeprawie,
Spać się kładziem i śpimy do jutrzeńki świtu.

Rankiem, gdy zrumieniła Eos strop błękitu,

Pchnąłem do zamku Kirki część druhów, by zwłoki
Elpenora przynieśli tu nad brzeg zatoki.
Potem drzew naścinawszy na wzgórku nad morzem
Ze łzami i żałami na stosie go złożem.
A gdy trupa i oręż ogień strawił razem,
Sypiem nad nim mogiłę, nakrywamy głazem,
A na wierzchu mogiły zatykamy wiosło.
Wszystko, cośmy zrobili, prędko się doniosło
Do Kirki. O powrocie już uwiadomiona,
Sama wnet przyszła strojna; za nią panien grona
Niosły czerwone wino, kołacze, mięsiwa.
Bogini przystąpiwszy, do nas się odzywa:
— Wy żywi, a w umarłych chodziliście kraje!
Śmierć dwukrotna! Na jednej inny poprzestaje.
Oj, wy śmiałki! A nuże, syćcie wasze głody,
Godujcie; za to jutro, gdy wstanie dzień młody,
Dalej w drogę! Ja sama powiem, jak i kędy,
Byście znów przez szaleństwo nie popadli w błędy
Ani w niebezpieczeństwo na wodzie lub ziemi —
Rzekła i nam dodała serca słowa temi.
Jakoż przez ten dzień wszystek, nim słońce zapadło,
Wyprawiliśmy stypę: piło się i jadło.
Lecz kiedy już wieczorna nadeszła godzina,
A spać legła przy cumach korabnych drużyna,
Wtenczas z sobą mnie na bok odwiodła bogini,
Usiadła na trawniku, jam też siadłszy przy niej,
Opowiadał jej całą podróż szczegółowie.
Na co mi boska Kirka w tych słowach odpowie:
— Kiedyś tak wszystko sprawił, posłuchać ci zda się,
Co powiem i co bóg sam przypomni ci w czasie.
Ty w kraj Syren zajedziesz, czarownic, co zdradzą
Tych wszystkich, jacy tylko o nie tam zawadzą.
Szaleniec, kto się zbliży i Syren tych śpiewy
Usłszy! On nie ujrzy nigdy, póki żywy,

Ni małżonki, ni dziątek, ni ziemi rodzinnej:
Tak go szcaruje śpiew tych Syren słodkopłynny,
Które siedzą na łące, a wkoło nich gnaty
Ludzkie leżą stosami i ciał wyschłych szmaty.
Ty je mijaj, i zalep uszy towarzyszy
Woskiem miodnego plastru! Niech żaden nie słyszy
Głosu ich; lecz jeżeli sam byłbyś ciekawy
Posłuchać, to powrozem każ do masztu nawy
Przywiązać się a mocno, za nogi i ręce,
A wtedy się przysłuchaj dwóch Syren piosence.
Lecz gdybyś się wyrywał, wołał, by zdjąć pęty,
To masz być jeszcze mocniej powrozem ściśnięty.

Gdy tak szczęśliwie miniesz Syrenie pobrzeże,
Nie wytykam ci drogi. Czy okręt obierze.
Drogę w prawo lub w lewo, sam rozważysz sobie,
Która lepsza. Ja tylko opiszę ci obie:
Na jednej z wód wylażą skał stromych urwiska,
Wzdęty wał Amfitryty o nie się rozpryska.
Skały te zowią bogi w swej mowie: *błędnymi*...
Żaden ptak ni gołąbka nie przemknie nad nimi
Z ambrozją, którą niesie dla ojca Kroniona,
Żeby od gładkiej skały nie była schwycona,
Lubo Zeus, gwoli liczby, zawsze nową stwarza.
Tutaj niechybna zguba czeka na żeglarza:
Ciała ludzkie i belek okrętowych szczęty
Schłoną albo płomienie, albo mórz odmęty.
Jeden li tylko okręt Argo, sławion wszędy,
Gdy wracał od Ajeta, mógł się przemknąć tędy —
Lecz te rafy i Argo by nie oszczędziły,
Gdyby nie pomoc Hery — Jazon był jej miły.

Dalej są dwie opoki: jednej szczyt się jeży
Aż w niebiososa, a na nim gruby obłok leży,
Co nie znika ni latem, ni czasu jesieni;
I ten szczyt się nie złoci od słońca promieni.

Nań się wdrapać lub zejść zeń — nie w ludzkiej to sile,
Choćby kto rąk dwadzieścia a i nóg miał tyle;
Głaz bowiem jak ociosan, gładki z każdej strony.
We środku ma jaskinię; otwór jej zwrócony
Ku ciemnościom Erebu. Więc oną jaskinię
Okręt twój, Odyseju, niechaj tak ominie,
By z pomostu w ten otwór żadna nie doniosła
Strzała, ciśnioną ręką łucznika z rzemiosła.
W tej jamie Skylla siedzi, słysząc ją z daleka;
Skomli jakby miot szczeniąt i jak one szczeka.
Okropna to poczwara, i nikt jej widoku
Nie zniesie; sam bóg nawet nie dotrzyma kroku.
Łap dwanaście szkaradnych jest u tej bestyi,
I sześć szyj wyciągniętych, a na każdej szyi
Łeb sprośny, w paszczy zębów trzy rzędy, a przy tym
Gęstych, a chropoczących przeraźliwym zgrzytem.
Zwykle na dnie pieczary leży tułów spory,
A lby tylko wystawia z głębi onej nory,
I łapczywie czatując w paszczę swoje chwyta
Delfina, psa i wszystko, co ma Amfitryta
W swoim państwie podwodnym, wszystko, co się zdarzy,
Nie pochłubił się dotąd nikt z tylu żeglarzy,
By nie miał od niej szkody; każda jej paszczeka
Zwykle z łodzi unosi jednego człowieka.
Blisko od niej zobaczysz drugą taką skałę,
Lecz niższą, bo przerzucisz przez nią każdą strzałę.
Jest tam figowe drzewo ze skały zwieszone,
Pod nim groźna Charybda łyka morze słone;
Trzykroć w dzień je wyrzuca, trzykroć wciąga w siebie.
A gdy wciąga, o! niechże nie będzie tam ciebie!
Już by i sam Posejdon nie mógł cię ratować.
Pamiętaj, Odyseju, łódź swoją sterować
Najbliżej popod Skyllę, gdyż większym jest zyskiem
Sześciu ludzi utracić niż zginąć ze wszystkiem. —

Skończyła, a jam na to tak jej odpowiedział:
— Boginio! chciej odsłonić prawdę! Niechbym wiedział,
Czy uchodząc Charybdy łakomego garła,
Mógłbym Skyllę ukarać, że moich pożarła? —

Tom mówił, a bogini rzekła tymi słowy:
— Ty byś i Skyllę wyzwąć na rękę gotowy;
Ty byś się porwał, śmiałku, i na same bogi.
Bo przecież nieśmiertelnym jest ten potwór srogi:
Nie da on ci się zabić, i nic go nie złamie.
Jeden środek: uciekać: na nic silne ramię...
Jeśli staniesz pod skałą, by wydać bój Skylli,
Ona sześć łbów powtórnie z czeluści wychyli
I drugich sześciu porwie. Śpiesznie więc przepływaj
Koło niej, a boginkę Kratais przyzywaj,
Matkę Skylli, co życie dała tej szkaradzie.
Ta ją wstrzyma, i odtąd nie będzie na zdradzie.
Dalej ostrów Trinakii trafisz: tam na łące
Do boga słonecznego stada należące
Pasą się; jest stad siedem owczych, siedm wołowych,
A w każdym po pięćdziesiąt; nigdy liczba owych
Nie zwiększa się, nie zmniejsza. Dwie nimfy je pasą:
Lampetia z Faetusa, obie cudne krasą.
Helios je miał z Neajrą. O swe córki dbała
Matka, gdy już podrosły, daleko wysłała
Aż na ostrów Trinakii, by trzody ojcowskie
I woły ciężkorogie pasły dziewy boskie.
Jeśli, na powrót pomny, oszczędzisz te trzody,
To wrócisz, chociaż nędzarz, do swojej zagrody.
Lecz jeśli je naruszyysz, twój okręt z drużyną
Zginać musi — ty ujdiesz, ale cię nie miną
Nieszczęścia, i choć wrócisz do dom i rodziny,
To późno, biedny bardzo, sam jeden, jedyny. —

Tak mówiła. Wtem jutrznia zabłysła na niebie.
Kirka mnie pożegnawszy odeszła do siebie;

Ja na okręt zwołałem czeladź rozpierzchnioną,
Kazałem, by od brzegu liny odczepiono.
A gdy wszyscy zasiedli rzędem długie ławy,
Wiosłami pruć zaczęli morski nurt słonawy.
Wtem od ziemi na okręt nasz modrawodziobny
Wiatr pociągnął, nasłany od Kirki nadobnej,
Pięknowiącej bogini, przewodnik żeglugi.
Ład zrobiwszy na nawie, płyniemy czas długi
Milczący, nieruchomi, na wiatr i ster zdani.
W końcu tak się ozwałem:

— Druhowie kochani!

Nie jednemu ni kilku zwierzam się wybranym
Z przeznaczeniem, od Kirki mnie przepowiedzianym,
Lecz wszystkim chcę obwieścić, jaką przyszłość wróży;
Czy zginiem, czy szczęśliwie powrócim z podróży?
Najpierw radzi bogini na śpiewy zwodzące
Głuchym być owych Syren, co siedzą na łące.
Mnie jednemu li wolno słuch mieć dla ich śpiewu,
Lecz trzeba mnie przywiązać k'masztowemu drzewu
I spętać powrozami za nogi i ręce,
Bym nie drgnął; lecz jeżeli owe więzy skręcę
Lub zawołam: Puszczajcie! — odmówcie posłuchu
I mocniejszymi pęty skrępujcie co duchu. —

Tak więc część przepowiedni zwierzyłem drużynie.
Okręt nasz, gnany wiatrem, pod ostrów podpłyne
Dwóch Syren, a wtem naraz wiatr ucichł i wodne
Fale się wygładziły jak niebo pogodne:
Któryś bóg je uciszył. Poskoczyli nagle
Towarzysze na nogi, aby zwinąć żagle
I na dnie łodzi złożyć; po czym rozbijano
Nurt wiosłami, aż morze pokryło się pianą.
Jam wtedy miednym nożem krąg wosku na części
Krajał drobno i gniótł z nich gałki w silnej pięści;
Wosk prędko stał się miękki, już samym gnieceniem,

Już rozgrzany gorącym Heliosa promieniem;
Co zrobiwszy, każdemu zalepiłem słuchy.
Potem do mnie się wzięto; związali mnie druhy
Do masztu powrozami za nogi i barki
I wzięwszy się do wiosła, gnali okręt szparki.
A gdyśmy się zbliżyli do wyspy tej brzegu,
Syreny, widząc nawę gnaną w pełnym biegu,
Pieszczonymi głosami śpiew zawiodły taki:
— Zbliż się, chlubo Achiwów, Odysie z Itaki!
Zbliż do lądu! Posłuchaj, jak śpiewamy cudnie!
Nikt tu jeszcze na czarnym nie przemknął się sudnie,
Żeby się nie zatrzymał na dźwięk naszych pieni;
Owszem, wszyscy śpiewaniem tym rozweseleni,
Oświeceni mądrością płyną sobie dalej.
Wiemy, co niegdyś Grecy, Trojanie doznali
Nieszczęść, z bogów naprawy, na Ilionu polach,
Wiemy o wszystkich ziemskich dolach i niedolach. —
Tak śpiewały, a we mnie już żądza się budzi
Słuchać jeszcze tych śpiewów; więc mrugam na ludzi,
By przyszli mnie rozpętać. — Okręt pędzi chyżo.
Wtem Euryloch, Perimed do mnie się przybliżą
I przywiążą do masztu silniej powrozami.
Tymczasem wyspa Syren została za nami,
Już ich głosu i śpiewu prawie nikt nie słyszy.
Więc воск z uszu odlepił każdy z towarzyszy,
A i mnie z onych pętów też oswobodzili.

Minąwszy zatem wyspę, ujrzałem w tej chwili
Jakby dym i wełn wielki łamiący się z grzmotem,
Aż z rąk wiosła wypadły ze strachu i potem
Same biły się z falą; a nawa jak wryta
Wraz stanęła, bo nikt się do wiosła nie chwytą.
Widząc to, cały pomost przebiegłem i mową
Taką cucilem martwą czeladź okrętową:
— Bracia! Tyle już nieszczęść przeszliśmy i znamy!

Nic tu nie ma gorszego niż wtenczas wśród jamy
Kyklopskiej, kiedy kamień zawalił nam wniście.
Jednak stamtąd — pamięta każdy oczywiście —
Jakem wywiódł was głową chytrą a przezorną.
Nuże, chłopcy! Co każę, wykonać mi sferno!
Wszyscy niech chwycą wiosła, rzędem zajmą ławy
I wiosłują co siły. Może Zeus łaskawy
Sprawi, że nas ucieczka od śmierci uchroni.
Ty zaś, sterniku, który ster nawy masz w dłoni,
Omijaj — a przestrozę wyryj sobie w głębi —
Owe dymy i wiry, gdzie morze się kłębi,
A bierz się popod skałę, bo gdybyś przypadkiem
Skręcił tam, koniec z nami byłby i ze statkiem. —

Skończyłem. Oni rozkaz natychmiast spełnili;
Lecz o nieuniknionej nie rzekłem nic Skylli,
Aby drużyna moja, gdyby śmierć spostrzegła,
Zbiwszy się w trwożną kupę, wiosła nie odbiegła.
Już też i ja, niepomny na rozkaz surowy
Dany od Kirki, chciałem na bój być gotowy.
Jakoż zbroję-m wdział na się, dwa oszczepy w obie
Ręce-m wziął, i stanąłem na okrętu dziobie,
Pewien, że potwór, z skalnej wypadłszy komyszy,
Stąd zacznie mi porywać moich towarzyszy.
Lecz nigdzie go nie zoczył, choć w szczelinach skały
Aż do znużenia oczy go moje szukały.

Pod strachem wpłynęliśmy w przesmyk, gdzie szła droga:
Tu nam groziła Skylla, tam Charybda sroga,
Co bezdenną paszczką słoną wodę żłopie,
A kiedy ją wyrzuca, jak w kotła ukropie
Kipiała ona kołbań i białymi piany
Po szczyt obryzgiwała obu skał tych ściany;
A znów gdy słoną topiel wciągała do garła,
Skały się trzęsły, kołbań do dna się rozwarła,
Aż widać było mułu czarnego pokłady.

Struchleli na ten widok; przestrach zdjął ich blady,
Bo już śmierć nieochybna przed oczami stała.
Wtenczas Skylla wypadłszy sześciu nam porwała
Z nawy, a wszystko chłopcy i silne, i żwawe.
Owoż gdym się obejrzał na druhów i nawę,
Ujrzałem ręce, nogi w powietrzu drgające
Nad sobą, i ich głowy na mnie wołające:
— Odysie! raz ostatni wyjękli biedacy.
Na brzegu z długą żerdką siedzący rybacy
Rybm zdradliwą pastwę rzucają do toni,
Wbitą na róg wołowy; rybki idą do niej
I trzepocące na brzeg porwane są wędką:
Z takim oni trzepotem śmigli w otwór prędko,
Gdzie ten smok żreć ich począł, a w najsroźszej męce
Krzyżąc, do mnie błagalnie wyciągali ręce.
Nigdy okropniejszego nie spotkał widoku
W burzach morskich i w przygód przeróżnych natłoku.

Wymknąwszy się z Charybdy i Skylli przesmyku,
Przybyliśmy do wyspy bożej, gdzie bez liku
Heliosowego bydła na łąkach się pasa;
Moc owiec i jałowic rogatych tam hasa,
Że kiedym był na morzu podał, już się dało
Słyszeć, jak tam w zagrodach to bydło ryczało.
Zaraz na pamięć przyszły i te słowa wieszcze
Wróżbity Tejresjasza, nie mniej inna jeszcze,
Od ajajskiej bogini dana mi przestroga,
Abym unikał wyspy słonecznego boga.
Więc ze ściśnionym sercem rzekłem: — Przyjaciele!
Uważajcie, co powiem, wróżby wam udzielę,
Którą duch Tejresjasza dał mi, a i onych
Rad dobrych, od ajajskiej Kirki udzielonych,
Żeby z dala omijać dla nas niebezpieczny
Ostrów, gdzie stada swoje trzyma bóg słoneczny:
Jakieś bowiem nieszczęście wielkie nas tam czeka.

Więc, chłopcy, opłyniemy ten ostrów z daleka. —

Tak rzekłem; oni smutnie pozwieszali głowy;
Lecz Euryloch gniewnymi napadł na mnie słowa:
— Okrutny! Puszysz siłą: ciebie z nóg nie zwali
Trud żaden, członki twoje ukute ze stali.
Przeto drużynie, zbitej pracą i niewczasem,
Nie dasz wysiąść, pokrzepić się snem i popasem
Tam, na ziemi oblanej wodą, i w uporze
Każesz ominąć wyspę, aby w nocnej porze
Tłuc się po mglistym morzu, nie wiedzieć gdzie, po co?
Przecież najsroższe wichry najzwyczajniej dmą nocą,
Gdzież się skryjem? Jak pewnej możemy ujść śmierci,
Jeżeli burza przyjdzie, a nawą zawierci
Bądź Not wściekły, bądź Zefir? W takiej zawierusze
Wbrew bogów woli giną okręty i dusze.
Poddamy się więc nocy, nie będzie na zdradzie;
Wieczere przyrządzimy tutaj na pokładzie,
A rano znowu wsiędziem pruć bezbrzeżne wody. —

Rzekł Euryloch i drudzy przykłąśli do zgody.
Lecz jam zwietrzył od razu, że bies sprawę gmatwa;
Więc rzekłem: — Eurylochu! Zaprawdę, rzecz łatwa
Przemóc mnie, kiedy wszyscy idą na przekorę.
Dobrze, lecz wprzód przysięgę od was tu odbiorę,
Że jeśli na tej wyspie na stada traficie
Jałowic albo owiec, ni jawnie, ni skrycie
Nikt się na nie nie targnie. Głód nas tu nie zmorzy:
Kirka nas opatrzyła w żywność z łaski bożej. —

Rzekłem, oni przysięgę świętą wykonali,
Że bydła nie tkną. Zatem nie płynąc już dalej,
Zawinęliśmy w przystań wydrążoną nawą
Nie opodal wód słodkich, i drużyna żwawo
Wyskoczyła, wieczere na brzegu przyrządza.
A gdy się już nasyci zgłodniała ich żądza,
Nuż opłakiwać pamięć drogich towarzyszy,

Których Skylla wciągnęła do swoich komyszy;
Aż nareszcie, splakani, krzepiącym snem zasną.

Trzy części nocy przemkło i gwiazdy już gasną,
Gdy oto chmurowładny Zeus wzbudził wichurę,
Pędzącą zewsząd chmury, że aż w jedną chmurę
Łądz zawinął i morze, i spadła ciemnica.
O świcie, gdy Jutrzenka wstała krasnolica,
Wciągnęliśmy łódź naszą w wydrażenie skały,
Gdzie nimfy swoje płasy i zebrania miały,
Po czym zwoławszy swoich, rzekłem do gromadki:
— Dość żywności i wina jest tu, moje dziatki.
Przeto wara od bydła! Nuż lichy się czepi!
Tych jałowic i owiec nie tykać najlepiej,
Bo to własność Heliosa te stada na łące;
Groźny pan, słuch ma dobry, oczy wszechwidzące. —

Rzekłem; oni uznali moc mego zakazu.
Odtąd Not cały miesiąc dał nam, i ni razu
Inny wiatr okrom Eura i Nota nie wiewał.
Więc dopóki zapasy każdy rad spożywał,
To i bydła nie tykał, bo i nie czuł głodu;
Lecz gdy żywność w okręcie wybrano do spodu,
Rozbiegły się po wyspie zgłodniałe biedaki
Łowić, co do rąk wpadło, czy ryby, czy ptaki.
Jam rad samosam chadzał, modły gorącemi
Prosić bogów o powrót rychły do mej ziemi.
A gdym raz się od moich odbił i w ustronie
Zaszedł ciche, umyłem, jak się godzi, dłonie,
I do bogów olimpskich pobożniem się korzyłem,
A te mi sen zesłały, i sen mnie był zmorzył.

Wtenczas właśnie Euryloch nawiązał sieć zdrady:
— Towarzysze niedoli! — rzekł. — Słuchać mej rady!
Zaprawdę, śmierć dla człeka każda niedogodna,
Lecz żadna tak okropna nie jest, jak śmierć głodna.
Dalej więc! co najlepsze byki z paszy spędźmy

I bogom nieśmiertelnym obiatę poświęćmy.
A kiedyś, do Itaki gdy wrócim ojczystej,
Cześć powinna odbierze ten bóg promienisty,
Chram mu wzniesiem, ozdoby sprawim złotolite.
Lecz jeśli się pogniewa o bydło pobite
I nasz okręt wraz z nami na zgubę przeznaczy,
A bogi mu pomogą, to wołałbym raczej
Od razu morską wodą zalać sobie duszę,
Niż w tej pustce na długie skazać się katusze. —

Skończył; oni zgodnymi wtórząc mu okrzyki
Nuż spędzać Heliosowe na obiatę byki,
Które w pobliżu nawy chodziły po trawie,
Szerokolebne, z wszystkich najpiękniejsze prawie.
Spędzone otoczyli, bóstw potęgi święte
Wezwali, mietli listki na dębie uszczknięte,
Gdyż jęczmienia nie mieli. Owoż gdy skończono
Modły, bydła nabito, ze skór obłupiono;
Wycięte udźce, tłuszczem dwukrotnie spowite,
Nieociekłymi ze krwi mięsami nakryte,
Wraz z trzewiami w ofiarnym skwarzyli płomieniu,
Lecz że wina zabrakło, wody k'pokropieniu
Użyto. Więc na stosie gdy udźce zgorzały,
Resztę mięsów na mniejsze krajano kawały
I wkładano na różny.

Wtem z drzemoty mojej
Zbudziwszy się, poszedłem ku morskiej ostoji,
A zbliżając się k'nawie dwakroć owioślonej,
Zalatywał mnie dymek ofiary spalonej.
Struchlałem i tę skargę zaniósłem do nieba:
— Ojczy Zeusie! Wy, bogi! Zguby mej wam trzeba,
Że mnie snem zmorzyliście, aby ci niegodni,
Nie widząc mnie, bezecnej dokonali zbrodni. —

Wtem Lampetia w powiewnym wionęła rańtuchu,
Do Heliosa wiadomość zanosząc co duchu

O bykach porzezanych. Wstrząsł się Promienisty
I wołał wrząc od gniewu: — Zeusie wiekuisty!
I wy wszyscy bogowie! Mścijcie się okrutnie
Na drużynie Odysa! Zuchwale te trutnie
Wycięli moje stada, na które patrzałem
Z lubością, gdy na gwiazdne błękity wjeżdżałem
Lub gdym z niebios się staczał ku ziemskiej krawędzi.
Jeśli kara za rozbój łotrów tych oszczędzi,
Zejdę w mroki Hadesu świecić nieboszczykom! —
Na to Zeus, chmur i wiatrów przewodzący szykom:
— Heliosie! Świeć jak zawsze bogom tu na niebie,
I ziemi, która ludzi wykarmia przez ciebie,
Wnet ja na ten ich okręt piorun cisnę z góry
W mórz środkowiu i okręt strzaskam w drobne wióry! —
Rzecz tę wiem od Kalypsy, onej krasawicy,
A jej z tym się Hermejas zwierzył w tajemnicy.
Przyszedłszy więc do nawy i morskiego brzegu,
Jąłem ostro strofować wszystkich po szeregu.
Lecz cóż począć? Porzniete leżały bydlaki!
Niebawem i złowróźbne zjawiły się znaki:
Skóry same pełzają, na rożnach mięsiwa
Ryczą, a i surowe rykiem się odzywa.
Sześć dni tak używali na mięsie zbytniki,
Heliosowi najlepsze pozjadawszy byki.
Lecz Zeus Kronion gdy zesłał siódmy dzień z kolei,
Nagle wiatr ustał, sroziej nie było już wiei.
Wsiadamy więc, sterujem na morze otwarte,
Maszt już dźwignion i jasne żagle rozpostarte.
Gdy za nami Trinakii został smug zielony,
Nie widzimy nic krom nieba i wód z żadnej strony.
Wtedy Zeus ciemnomodrym nad nimi obłokiem
Zwiesił się, i noc była na morzu głębokiem.
Okręt ledwo się ruszał. Zachodni wiatr zadał
Wściekłym gwizdem i zmaćił do dna wody padół;

On to liny masztowe zdarł jednym napadem,
I maszt się zwałił; w środek posypał się gradem
Wszystek sprzęt; maszt o tyły okrętu zawadził,
Łeb strzaskał sternikowi, z pomostu go zsadził,
Że jak nurek w głąb pornał, a zgniecione ciało
Duch opuścił. — Wtem nagle nad nami zagrzmiało!
Piorunem Zeus padł w okręt z łoskotem; wstrząśnięcie
Od góry aż do spodu czuć było w okręcie,
Toż siarki zapach. Wszystka z pomostu drużyna
Zmieciona, wpadła w morze; szamocąc się wspina,
I znowu się zanurza, niby morskie wrony.
Bóg im nie dał powrócić, żywot ich skończony!
Jam biegał po okręcie, póki bałwan wielki
Nie odarł żebr do spodniej przyprawionych belki,
Która sama bujała, aż drzewo masztowe
Spadło na nią. Przy maszcie linę surowcowę
Postrzegłszy, maszt ten z wręgą do kupy związałem,
Wsiadłem okrak, i wzdętym falom się oddałem.

Wkrótce już wiatr zachodni stracił pęd gwałtowny,
Lecz wtomiast Not się zerwał; mnie strach niewymowny
Ogarnął, bym w Charybdy nie wpadł wir bezdenny.
Tak płynąłem noc całą, aż póki brzask dzienny
Nie odkrył tu Charybdy, a owdzie skał Skylli.
Charybda słone morze łykała w tej chwili,
Co widząc, figowego jałem się konaru.
Uczepion jak nietoperz, nie mogłem z wiszaru
Nóg oprzeć ani ciała ulżyć oczywiście,
Bo korzenie daleko, a gałęzi kiście
Szły w górę — całą kołbań ocieniała figa.
Więc wisiałem czekając, pokąd nie wyrzyga
Wir na powrót tej wręgi, a czekałem właśnie
Niecierpliwie i długo, jak ten, który właśnie
Sądził między młodzieżą zebraną w agorze
I głodny śpieszył do dom o wieczornej porze:

Tyle zeszło, nim wręgę kołbań wyrzuciła.
Zebrawszy się więc w kupę, skoczyłem co siła
I padłem tuż przy drewnach, które woda niosła;
A dosiadłszy ich, rąk mych użyłem za wiosła.
Lecz Skyllim już nie spotkał — o dzięki wam, bogi!
Inaczej nigdy śmierci nie uszedłbym srogiej.

Tak dni dziewięć się tłukłem, aż dziesiątej nocy
Przybiłem do Ogygii przy boskiej pomocy,
Gdzie mieszka pięknowłosa Kalypso, bogini.
Gościnnie tam przyjęty, długom bawił przy niej.
Lecz po co opowiadać przygody wam znane,
Wczoraj w tej tu świetlicy już opowiadane
Tobie i twej małżonce? Mam nieco odrazy,
By jedną rzecz, już znaną, powtarzać dwa razy”.

Pieśń trzynasta

Odyseusz odpływa od Feaków i przybywa do Itaki

Tak opowiadał Odys. Słodkie zachwycenie
Oniemiało siedzące w izbie zgromadzenie;
Li Alkinoj głos zabrał i rzekł tymi słowy:
„Jeśliś raz nogą wstąpił w zamek mój spiżowy,
Tuszę, że już nieszczęście nie dojmie ci chłostą,
Bez burz groźnych i przygód do dom wrócisz prosto.
Wy zaś, sąsiedzi moi, co o każdej porze
Przywykliście na moim gromadzić się dworze,
By słuchać piewców pieśni, pić wino czerwone,
Posłuchajcie, co powiem: w skrzyni tej złożone
Mieszczą się dla naszego gościa piękne szaty,
Misterne złote sprzęty i inny bogaty
Dar, zniesiony przez różne feackie panięta.
Lecz nie dość — niech on szczodrość naszą popamięta:
Każdy da mu kociołek i trójnóg w dodatku,

Zresztą lud nam powróci koszt tego wydatku,
Gdyż na jednego ciężar byłby to niemały”.

Te słowa Alkinoja w myśl wszystkim trafiały.
Więc każdy na spoczynek pośpieszał do siebie,
Lecz gdy Eos różana zabłysła na niebie,
Każdy śpieszył na okręt i niósł miedne sprzęty,
Które sam Alkinoos w mocy swojej świętej
Przyjmował i pod ławą ustawiał w rząd długi,
By zawadą nie były flisom do żeglugi.
Potem poszli na zamek godować u stołu;
Alkinoj kazał zarznąć na ofiarę wołu,
Aby dla gościa zjednać chmurnego Kroniona
Spaliwszy lędźwie, stypa suto obchodzona
Wesoło się odbyła, gdyż z ust Demodoka
Pieśń zabrzmiała, natchnieniem i myślą wysoka.
Lecz Odys często okiem na słońko spoglądał,
Czy nie zaszło, gdyż bardzo domu już pożądał.
Jak oracz, który chodząc za pługiem dzień cały,
Popędza czarne ciolki, a patrzy zgłodniały
W słońce i rad, gdy zniknie za krańcem zachodnim,
Pośpiesza na wieczerzę, aż nogi drżą pod nim:
Tak i Odys rad wielce był z słońca zachodu
I wraz do zebranego zwrócił się narodu,
A właściwie do króla mówił słowa temi:
„Sławny królu Alkinie! Okraso tej ziemi!
Libację odprawivszy, puśćcie mnie już w drogę
I żegnajcie! Mam wszystko, czego pragnąć mogę:
Pewny odwóz, cennego mnóstwo podarunku,
Snadź niebo błogosławi, bym już bez frasunku
Wierną żonę obaczył i przyjaciół drogich,
A wy, których zostawiam, doznajcie chwil błogich
Przy małżonkach i dziatwie! Wszystko niech wam płuży:
Pomyślności tej wyspy niech nic nie zachmurzy!”

Tak rzekł witeź. Tę mowę wszyscy mu chwalili,

Mówiąc, że go odprawić wypada tej chwili.
Więc keryksa wezwała święta moc Alkina:
„Pontonoju! W te kruże namieszasz nam wina
I podasz je każdemu. My Zeusa na niebie
Wezwiem, gością wyprawim, niech wraca do siebie!”

Tak kazał, a Pontonój w krużach pomieszane
Wino czerpał, roznosił, a kniazie zebrane
Nie ruszając się z miejsc swych, bóstwom, co mieszkają
Na niebie, cząstkę wina z pucharów strząsają.
Po czym wstał boski Odys z pucharem bliźniakiem
I kładąc go Arecie do rąk, słowem takim
Do królowej przemówił: „Królowo! żyj w zdrowiu,
Póki śmierć przeznaczona ludzkiemu pogłowi
Na starość cię nie zmoże. Żegnaj mi, królowo!
Opływaj zawsze w szczęście i słodycz domową
Razem z dziećmi, z twym ludem, małżonkiem królewskim!”

Rzekł witeż i za progi odszedł krokiem rześkim.
Alkinoj pchnął keryksa w trop za odchodzącym,
By nie błądził za statkiem u brzegu stojącym.
Areta zaś wysłała trzy służebne dziewczki:
Jedna niosła wyprany chiton i odziewki,
Druga niosła zamkniętą z podarkami skrzynię,
Trzecia nie zapomniała o jadłach i winie.

A gdy przyszli do statku u morskich wybrzeży,
Przewoźnicy te dary mieszczą jak należy
W wnętrzu statku: toż napój i żywność zniesiono;
Posłanie dla Odysa także wymoszczono
Z wojłoków, prześcieradeł, na pokładzie statku,
Przy rudlu, by spokojnie mógł spać. Na ostatku
On wszedł i na posłaniu milcząc się położył.
Każdy flis zajął ławę, wiosło do rąk włożył,
Przewleczoną przez kamień już odjęto linę,
I wiosła wraz zaczęły pruć morską głębinę.

Odysowi sen słodki wnet spadł na powieki,

Sen, jak śmierć nieprzespany, lecz przyjemnie lekki.
A jako na równinie czwórka dziarskich koni
Sadzi w górę kopytem, gdy ją bicz pogoni,
I w okamgnieniu znika w szerokim przestworze —
Tak ich okręt się wspinał, dziobem porąc morze
Kipiące spiętrzonymi bałwanami wokół
I pędził takim lotem, że nawet i sokół
Nie byłby go dogonił, choć najchyźszy z ptaków.
Niósł tego po mórz toni ów okręt Feaków
Męża mądrości bożej do ojczyzny drogiej,
Którego uporczywie nękał los złowrogi
W tylu bojach i w długiej tułaczce po wodach.
Spał teraz i zapomniał o swoich przygodach.
Z zejściem gwiazdy, świecącej najjaśniej w błękicie,
Co zwykle rannej Eos zwiastuje przybycie,
Dobijali do wyspy nad samym świtanem.

Pod Forkysa, morskiego starucha, wezwaniem
Jest tam przystań w Itace: dwie groźne opoki
Sterczą u wnijsia, niby wrota tej zatoki,
Odpierające fale, które burza pędzi
W przystań; więc tuż u cichej wybrzeża krawędzi
Nie cumowanych łodzi stoi rząd spokojny.
Wyżej, gdzie brzeg, tam rośnie oliwnik w liść strojny;
Jest i ciemna pieczara oliwnika blisko:
Boginek Najadami zwanych w niej siedlisko.
Wewnątrz dzbany i garnki dwuuszne tam stoją,
Pszczoły w nich robią miody, jak w ulach się roją.
Są i narzędzia tkackie, kamienne warsztaty:
Boginki purpurowe na nich dzieją szaty;
Środkiem bije źródło żywy; po bokach dwa wchody:
Jeden, północny, ludziom służy do wygody;
Od południa — ten święty; stopa śmiertelnika
Przestąpić go nie może, bogom się odmyka.

W tę przystań, przewoźnikom znaną, łódź gdy wpadła

Rozpędzona, połową tułowiu aż siadła
Na brzegu, tak ją parła wioślarzów tych siła.
Teraz, gdy z ław drużyna na brzeg wyskoczyła,
Nuże Odysa dźwigać z nawy, na pościeli
Purpurowych kobierców, prześcieradeł bieli;
I złożywszy na piasku w śnie pogrążonego,
Znosiła potem dary, zebrane dla niego
Przez feackie panięta z natchnienia Ateny.
Więc pod pniem oliwnika sprzęt niemalej ceny
Złożono podal drogi, by kto przechodzący
Nie wziął czego, nim Odys przebudzi się śpiący,
Po czym nazad odbili.

Lecz u Posejdona

Dawny gniew na Odysa zawrzał w głębi łona,
Więc rzekł, wolę Zeusową badając w tym względzie:
„Czyż ja, ojcie Kronidzie, tutaj w bogów rządzie
Mogę cześć mieć, jeżeli człek o mnie nie stoi,
Jak te Feaki? Ród to przecie ze krwi mojej.
Jam tuszył, że ten Odys nacierpi się dużo,
Nim wróci do ojczyzny, a byłbym go burzą
Niejedną bił w przeprawie do domu z powrotem.
Wszakżeś sam na to przystał i sam radził o tym!
A oni go przewieźli śpiącego okrętem
Bezpiecznie do Itaki, opatrzyli sprzętem
I złotym, i spiżowym i cienkimi szatki!
Większe ma, niżby z Troi wywiózł był dostatki,
Gdyby z łupem tam wziętym powrócił bez szkody”.

Na to odrzekł mu władca chmur i niepogody:
„O mój ty ziemioburco! Mówisz nie do rzeczy,
Nikt tu z niebian powinnej czci tobie nie przeczy.
Bo któż by śmiał ujmować czci najstarszej głowie?
Lecz jeśli z sił swych butni jacyś tam ludkowie
Robią-ć ujme — do zemsty masz otwarte pole:
Jak czujesz i jak sam chcesz, ukarż ich swawolę”.

Na to znowu Posejdon: „O mój chmurowładny!
Co mówisz, ja bym zrobił bez odwłoki żadnej.
Wždy nie chciałbym zasłużyć na gniew twój, bo groźny.
Więc tylko wracający ten okręt przewoźny
Feacki na otwartym morzu tak uderzę,
Że to im chęć przewózki na zawsze odbierze.
W końcu miasto ich zamknę w krąg wielkimi góry”.

Odparł mu na to Kronion gromadzący chmury:
„Kochanku! Myśl ta dobra zda się mnie samemu.
Z miasta patrzeć tam będą ku wracającemu
Z Itaki okrętowi... Ty go zamień w skałę,
Kształtu nawy, czym sprawisz zdziwienie niemałe,
A w końcu gród im opasz stromych gór łańcuchem”.

Na te słowa Posejdon ziemioburca duchem
Biegł do Scherii feackiej i tam zaczajony
Czekał, aż ku brzegowi wiosłami pędzony
Okręt się zbliżył — wtedy Posejdon wyskoczył,
Palnął weń pięścią z góry, na dno morskie wtłoczył —
Już w skałę obrócony... a sam pognał dalej...

Na brzegu między sobą wtenczas rozprawiali.
Feakowie. Z nich każdy wiosłem sławnie włada.
Więc ten i ów tak mówił do swego sąsiada:
„Biada nam! Ktoś nasz okręt wstrzymał w pełnym biegu,
Jak wracał, w żywe oczy widzieliśmy z brzegu!”
Tak pytali nie wiedząc, z jakiego powodu,
Aż król do zebranego przemówił narodu:
„Biada mi! Dziś się spełnia los przepowiedziany.
Wiem od ojca, że Posejd, na nas rozgniewany
Za przewożenie ludzi bezpiecznymi nawy,
Ma kiedyś wracający z podobnej wyprawy
Okręt nasz na błękitnociemnej wód roztoczy
Zatopić, a to miasto górami otoczy.
Tak przepowiedział rodzic — więc wszystko się stanie!
A zatem radzie mojej dajcie posłuchanie:

Nie przewoźmy nikogo, choćby w nasze bramy
Jaki tułacz zawitał. Na ofiary damy
Posejdonowi byków dwanaście bez skazy.
Może się ulituje, zapomni urazy
I miasta nam grzbietami gór nie pozamyka”.
Tak rzekł, i każdy w strachu na ofiarę byka
Przysłał i wszyscy stojąc dokoła ołtarza
Błagali Posejdona, wielkich mórz mocarza,
Za ludu feackiego władcą i książęciem.

Właśnie Odysej ze snu zerwał się ocknięciem
Na rodzinnej swej ziemi, lecz jej nie poznawał,
Bo odkąd ją opuścił, ubiegł czasu kawał.
Przy tym mgłą był opasan, którą nań nasłała
Atena, Zeusa córka — ta bowiem go chciała
Zmienić do niepoznania, podmówić, by ani
Żona go nie poznała, ni własni poddani,
Póki by nie ukarał gachów za ich gwałty.
Więc w oczach jego wszystko brało inne kształty,
Tak wijące się ścieżki, jak szklące zatoki,
Tak drzewa gęstolistne, jak strome opoki.
On zerwawszy się patrzeć w swe ojczyste smugi,
Wzdychał ciężko, po bokach dłonią raz i drugi
Macnął się, i tak mówił słowy żałosnymi
„Biada mi! Gdzie, do jakiej dostałem się ziemi?
Czy tu mieszka dzicz sama, żyjąca z grabieży?
Czy też naród gościnny, który w boga wierzy?
Gdzie podziąć moje skarby? Gdzie i mnie samemu
Schronić się w tej nieznanej krainie? O, czemu
Od Feaków odszedłem! Tam inny król może
Byłby mi dał przytułek gościnny w swym dworze
I odesłał do domu. Gdzież ten skarb podzięję?
Tu przecież nie zostawię, skradliby złodzieje...
Ty ich ukarż, o Zeusie! Obrońco jedyny,
Co patrzysz w ludzkie sprawy, a karzesz ich winy!

Lecz trzeba się obliczyć, czy nie zachwycili
Co z mych skarbów, gdyż z łodzią tak prędko odbili”.

Tak mówił i rachował złoto i nalewki,
I trójnogi, i cienko tkane przyodziewki:
Nic nie brakło. Więc smutny i jak błędny chodził
Ponad morzem, wciąż wzdychał i płaczem zawodził
Po ojczyźnie.

Wtem drogę zaszła mu Pallada:

Miała postać mołojca, pastuszka od stada,
Wątlawa, niby rodu królewskiego dziecię;
Dwakroć ją owijało na barkach okrycie,
W rękę oszczep, na nogach zaś miała postoły.
Odys do niej się zbliżył, spotkaniem wesoły,
I młodzieńca lotnymi słowy zagabywa:
„Witam cię, o mój miły! Pierwsza duszo żywa,
Którą tutaj spotykam. Nie bądźże mi wrogiem:
Broń mnie i mego mienia! Tyś mi niemal bogiem;
Tak cię błagam, kolana ściskam twe w pokorze!
Chciej powiedzieć otwarcie, jeśli to być może:
Jaki lud tutaj siedzi? Jak się ten kraj zowie?
Czy na jakim górzystym jestem tu ostrowie?
Czy na lądzie, co w morze językiem się wrzyna?”

Na to mu odpowiedział on piękny chłopczyna:
„Lub niemądryś, lub bardzo przychodzisz z daleka,
Że się o kraj ten pytasz. Przecież nie ma człeka,
Co by o nim nie wiedział. Kraj to wcale znany,
I tym, którzy mieszkają tam, od wschodniej ściany,
I tym, co od zachodu, gdzie słońce zagasa.
Kraj to skalny, rumakiem nikt tu nie pohasa.
A choć równin tu nie ma, urodzajna gleba
Daje wyborne wino i dostatek chleba,
Bo rosy są obfite, ziemię deszczyk zrasza,
A dla bydła i kózek wyborna tu pasza;
W lasach drzewo wszelakie, zawsze szumią źródła.

Sława tej tu Itaki dobiega pod Troję,
A mówią, że ta Troja bardzo stąd daleko!”
Gdy skończył, wraz na sercu zrobiło się lekko
Odysowi, że stanął na ziemi ojczystej,
O czym miał z ust Ateny dowód oczywisty;
A więc lotnymi słowy tak ozwał się potem,
Lecz prawdy nie powiedział, gdyż chytrym obrotem
Chciał jej oczy zaproszyć, wykrętnik przebiegły:
„Daleko stąd, za morzem, na Krecie rozległej
Słyszałem o Itace. Teraz tu przybyłem
Z skarbami, drugie tyle dzieciom zostawiłem,
Zmuszon uchodzić, bowiem przeze mnie zabity
Był syn Idomeneja, biegun znamienity,
Orsiloch, który sławnych szybkobiegów Krety
Zwycięzał nóg chyżością w wyścigach do mety.
Chciał mnie on z moich łupów wziętych w Troi grodzie
Obedrzeć — jam ich gwoli na ziemi i wodzie
Przecież tyle napaści, tyle burz wytrzymał!
Mścił się, żem z jego ojcem pod Troją nie trzymał
Jak sługa i że na bój sam z drużyną chodzę.
Otóż z drugim, gdy z pola powracał, przy drodze
Zasiadłem, i w pierś wbiłem miedny grot oszczepu.
Nikt nas żywy nie widział, bo już z niebios sklepu
Noc się czarna spuściła; zabiłem go skrycie.
A kiedym mu tak grotem miednym wywlókł życie,
Wprost na okręt Feników poszedłem, co stali
W porcie, i ubłagałem, że mnie obiecali
Za dobry okup przywieźć bądź na brzeg pyłoski,
Bądź pod Epejów rządy do Elidy boskiej.
Alić na ich zmartwienie, burzą napadnięci,
Szlak zgubili, lecz zdradzić nie mieli mnie chęci.
Więc zbłąkani, przybyli z trudem w porze nocnej
W tę przystań, a choć wszystkim dokuczał głód mocny,
Nikt wieczerzy nie warzył, bo skoro wybiegli

Na ląd wszyscy z okrętu, zaraz do snu legli;
Jam zmęczon usnął także, snem przyjemnym zdjęty.
Oni tymczasem z nawy wynieśli mi sprzęty
I na piasku, gdzie spałem, złożyli, a potem
Okrętem do Sydonu odbili z powrotem.
Sam zostałem i żalność zdjęła mnie głęboka”.

Uśmiechnęła się na to Pallas sowiooka:
„Ej! byłby to nie lada gracz, skryty a szczwany,
Kto by cię wywiódł w pole! Sam bóg od wygranej
Odstąpiłby zapewne. Porzuć te wybiegi!
Nie kryj się, kiedyś wrócił na ojczyste brzegi,
I nie kłam! Tyś to lubił od małego chłopca.
Lecz dajmy temu spokój; sztuka to nie obca
Nam dwojgu. Ty dowcipem i wymową płynną
Najpierwszyś między ludźmi; jam u bogów słynną
Z przebiegłości; a jednak córę Kronionowej,
Ateny, tyś nie poznał, choć nieraz twej głowy
W niejednej niebezpiecznej broniła przygodzie:
Przez nią miłość zyskałeś w feackim narodzie.
I dziś przyszedł, już aby pomówić, co z tymi
Skarby zrobić, od paniąt feackich danymi
Tobie na drogę do dom, z mojego natchnienia,
A oznajmić ci przy tym, jak wiele zmartwienia
Czeka cię w zamku twoim. Przecierp te boleście
I nie zwiierz się nikomu z mężów lub niewieście,
Żeś z tułaczki powrócił. Znoś, choćby najciężej
Znieść ci przyszło, obelgę każdą od tych męży”.

Na to przebiegły Odys:

„Żaden człowiek żywy

Nie poznałby cię, bóstwo, choć jak przenikliwy!
Bowiem często odmienną postać bierzesz na się.
Wiem jednak, że łaskawą byłeś mi w tym czasie,
Gdym z Argiwami mury Ilionu szturmował;
Lecz gdyśmy gród Pryjamów zburzyli na pował,

A z powrotem bóg nasze porozpraszał łodzie,
Nigdy cię już nie widział i w żadnej przygodzie
Nie przysłaś na mój okręt pomóc mi lub bronić...
Więc mi przyszło z rozpaczą w sercu światem gonić,
Póki bóstwa się doli mojej nie użalą!
Raz tylko u Feaków, gdzieś był rzucon fala,
Słowyś mnie pokrzepiła i do ich stolicy
Prowadziłaś mnie sama... Na imię rodzicy
Twojego cię zaklinam! Powiedz, bo nie wierzę,
Żem już w skałach Itaki! Pewnie to wybrzeże
Jakie inne, ty sobie żarty stroisz ze mnie,
Puszczasz tuman i chcesz, bym uwierzył daremnie.
Mów, mów! czy już na ziemi stanąłem rodzinnej?”

Na to Atene: „Zawsześ ten sam a nie inny:
Niezmienny i stateczny; dlatego przy tobie
Jestem w każdym nieszczęściu i o każdej dobie,
Boś mężny i ostrożny, a rozum masz duży.
Kto inny wracający z tak długiej podróży
Jakżeby do dom spieszył, do żony, do dziatki —
A ty nie pytasz nawet o ich los i statek,
Pierwej nim się przekonasz o małżonki cnocie,
Która na zamku siedzi samotna w tęsknocie
I łzami się zalewa dzień i noc nieboga,
Nigdy też nie wątpiłam, czując, że ta błoga
Chwila przyjdzie, gdy wrócisz, lecz sam, bez drużyny.
Zerwać zaś z Posejdonem nie chciałam z przyczyny,
Że to brat mego ojca. Gniewem on zażarty
Przeciw tobie za syna, i wzrok mu wydarty.
Pójdź! Pokażę-ć Itakę, abyś nabrał ducha:
Tu zatoka Forkysa, morskiego starucha,
Na jej krańcu oliwnik rozłożysty, stary.
Stamtąd blisko jest wejście do miłej pieczary
Poświęconej boginkom zwanym Najadami.
W tej pieczarze ty ongiś czciłeś obiatami

Hojnymi te boginki... A tam patrz, wysoki
Neriton, co obrosłe lasem dźwiga boki”.

Rzekła i mgły rozwiała: świat widny był wkoło.
Boski tułacz na kraj swój poglądał wesoło,
Całował żywicielkę ziemię, i do góry
Wzniósłszy ręce, modlił się:

„O Zeusowe córki!

Boginki tego źródła! Już wierzyć przestałem,
Że was kiedy obaczę! A więc sercem całem
Witajcie! Wnet ja dary złożę wam ofiarne,
Jeśli zwycięska Pallas odwróci dni czarne,
Życ pozwoli i syna widzieć mi pozwoli!”

Na to rzekła Atenea: „Niech cię już nie boli
Głowa o to! Troskami nie obciążaj duszy!
Wzdy prędko skarby twoje, gdzie ich nikt nie ruszy,
W cieniu świętej jaskini ukryć nam wypada,
A co dalej masz począć, wynajdzie się rada”.

Taki rzekła Atenea i pod sklepy ciemne
Weszła, by zbadać wewnątrz przechody tajemne.
Więc Odysej przynosił tam feackie dary:
Szaty cienkie, spiż trwałe, też złote puchary
Na schowek; po czym córą egidnego boga
Odłamek skały wnijście zamknęła od proga.

A tak siadłszy oboje w oliwnika cieniu,
Radzili o zupełnym gachów wytępieniu.
Pierwsza Atene wszczyła takie rozhowory:
„Boski synu Laerta! Myślże od tej pory,
Jak masz położyć rękę na wszetecznych gachach,
Co lat trzy gospodarzą jak chcą w twoich gmachach,
A żonę twą ślubnymi podarkami kuszą.
Ona zaś, lubo w tobie żyje całą duszą,
Wszystkim robi nadzieję, każdemu swą rękę
Obiecuje, lecz w sercu inną ma piosenkę”.

Na to Odys rzekł do niej: „O, biada mi! biada!

We własnym moim domu czyha na mnie zdrada!
Jak Atryd Agamemnon padłbym tam zabity!
Dzięki tobie wiem wszystko, i zamach odkryty.
Teraz radź: jaką gachom mam wymierzyć karę?
Stój przy mnie, krzep mi ducha i obudzaj wiarę,
Jak ongi, gdyśmy Ilion burzyli. O, gdyby
Takeś mi pomagała, mógłbym bez pochyby
Na trzystu nawet wrogów rzucić się bezpiecznie!
Z twą pomocą, o święta, wygram ostatecznie”.

Na to rzekła Atene o błyszczącym oku:
„Pomoc dam, zawsze znajdziesz mnie przy swoim boku,
Gdy się weźmiesz do sprawy. Już dziś widzieć mogę,
Jak niejeden krwią zbryzga i mózgiem podłogę
Z tej zgrai, co twe mienie i dobytek trwoni,
Lecz wprzód zmienię twą postać, aby nikt, ni oni
Nie poznali, kto jesteś: skurczę piękne członki,
Z głów postrącam ci jasnych kędziorów pierścionki,
Na grzbiet łachman narzucę, byś pozór miał wstrętny,
Ten wzrok, taki iskrzący, zmienię w mdły i smętny.
I staniesz przemieniony przed tą gachów zgrają,
Ni cię żona, ni syn twój, ktoś jest nie poznają.
Naprzód jednak Eumaja masz widzieć, pastucha;
On trzody świń twych pasie, człek dobrego ducha,
Przywiązany, o tobie zawsze rad wspomina,
Kocha Penelopeję i twojego syna.
Znajdziesz go, jak tam pasie trzodę świń niemałą
U źródła Aretusy, pod Koraksu skałą,
Gdzie to pożywna żołądź i czarne są wody,
Od których porastają w słoninkę te trzody.
Wkręć się tam, zaprzyjaźnij i pytaj o wszystko.
Ja do Sparty, gdzie dziewcząt uroczych siedlisko,
Pośpieszam; twego syna stamtąd tu nagonię:
U Menelaja bawi on w Lakedajmonie,
Myśląc, że się o tobie coś pewnego dowie”.

Na to przebiegły Odys bogini odpowie:
„Czemuś mu nie odkryła, coś wiedziała przecie?
Czy żeby na nieszczęścia narazić mi dziecię
I włóczęgę, gdy w domu zgraja go objada?”

Na to błyszczącooka odparła Pallada:
„Nie trujże sobie serca turbacją daremną;
On tę podróż w kraj cudzy odbywał wraz ze mną.
Chciałam, by sławy nabył. Nic mu nie zagraża,
Siedzi w zamku Atrydy, swego gospodarza,
I w rozkoszach opływa. Jest wprawdzie zasadzka:
W ciemnej łodzi na niego czyha młódź junacka
I w powrocie do domu ma go zamordować,
Ale nic z tego; pierwszej przyjdzie nam pochować
Pod ziemię niejednego z tych gachów zbytnika”.

Rzekło bóstwo, i z lekka różdżką go dotyka:
W mig się członki skurczyły, postać w dwoje zgięta,
Płowy włos spadł ze skroni, skóra obwiśnięta
Na wychudłych pischcelach, jak u starców bywa,
A iskrzące się piękne oko we mgle pływa.
Miasto szat chiton został z siermięgą na grzbiecie,
Brudne, dziurawe, w dymie wędzone rupiecie.
Ogromną także skórę jelenią, bezwłosną,
Zarzuciła bogini na tę postać sprośną;
Dała kostur, biesagi, z plecionym rzemieniem,
Do noszenia, lecz zdarte już długim noszeniem.

Po tej zmowie oboje poszli w swoje strony:
Pallas po Telemacha do Lakedajmony.

Pieśń czternasta

Odyseusz u Eumajosa

Odysej od przystani piał się ścieżką w górę
Przez wyżyny lesiste, aż do miejsca, które

Wskazała mu Atena, gdzie ów pastuch siedzi,
Dbalszy o pańskie dobro niż reszta gawiedzi.

Zastał go, jak na progu siedział wśród zagrody,
Która tu zbudowana dla trzodnej wygody
Na wyżynie, skąd patrzy naokół widziana;
Wybudował ją pastuch pod niebytność pana,
Bez wiedzy Laertesa, bez pani rozkazu.
Wzniósł mury, ogrom głazu stosując do głazu,
Otarcił, a wańczosy wkoło dębowemi
Obwiodł, jeden przy drugim wbijając do ziemi,
W środku obejścia chlewów dwanaście zbudował
Obok siebie, w nich na noc trzodę pilnie chował.
Pięćdziesiąt ryjów w każdej zamykał oborze,
Zwykle same maciory; wieprze śpią na dworze,
Lecz ich szczupło, gdyż liczbę zmniejszały codziennie
Szumne gachów biesiady, na które niezmiennie
Musiał dostarczać wieprzów z najgrubszą słoniną —
Więc sztuk trzysta sześćdziesiąt w zapasie miał ino;
Przy nich zaś na podwórzu odprawiały wartę.
Ręką jego karmione cztery psy zażarte.

Właśnie krajał on sobie z byczej tęgiej skóry
Chodaki, a pastuchów tu i owdzie w góry
Powyprawiał: trzech poszło paść nierogaciznę,
Czwarty pognął do miasta jakby za pańszczyznę
Wypasionego wieprza dla zamkowej rzeszy;
Przysmak ten serca gachów nie lada ucieszy.
Wnet Odyseja czujne sobaki spostrzegły
I szczekając opadły; lecz on człek przebiegły:
Od razu siadł na ziemi, kij na bok odłożył.
Jeszczeż by tej obelgi na śmieciach swych dożył!
Kiedy widział to pastuch, poskoczył za wrota
Tak żywo, że mu z ręki wypadła robota,
I nuż krzyczeć, kamieniami odpędzać sobaki.
I odpędził, a gościa przyjął w sposób taki:

„Co tylko cię nie zjadły te psiska, mój dziadku!
Oj! Byłoby zmartwienie, a i wstyd w dodatku,
Jakbym nie dość goryczy miał w sercu znękanem!
Małoż człek się napłacze za zginionym panem?
A tu co dzień najtłustsze posyłaj im świnie
Na stoły, kiedy tamten gdzieś tam z głodu ginie
I tuła się w obczyźnie między ludem dzikim,
Jeśli żyw i słonecznym cieszy się promykiem.
Pójdź więc za mną, mój dziadku, do chaty was proszę,
Abyś chlebem i winem skrzepił się po trosze,
A powiedz mi, skąd jesteś, jakieś przeżył straty?”

Rzekłszy to, boski pastuch powiódł go do chaty,
Posadził, z chrustu wiązki zrobiwszy podnóże,
Na rozciągniętej koziej od sypiania skórze,
Szerokiej i kosmatej. Odys się ucieszył
Z gościnnego przyjęcia i ze słowem śpieszył:
„Przyjacielu! Zeus da ci, da każdy bóg inny
Wszystko, czego sam pragniesz, żeś taki gościnnie!”

A tyś mu, Eumaju, odparł słowem takim:
„Grzech byłby i biedniejszym niżli ty żebrakiem
Gardzić i w próg nie puszczać. Tułacz czy ubogi,
Jest pod Zeusa opieką. Datek, choć niedrogi,
Lecz szczery, nam przystoi, otrokom służebnym,
Drżącym ciągle, a zwłaszcza pod jarzmem haniebnym
Tych młokosów. Tamtemu nie dali niebianie
Wrócić do dom. U niego miałem zachowanie:
On byłby mnie osadził na chlebie łaskawym,
Jaki dobrzy panowie dają sługom prawym —
Chatę, kawałek ziemi i żonę serdeczną
Za ich pracę; a pracę bóg wspiera stateczną,
Jak i mnie powierzona zawsze błogosławił.
Pan mój pewnie nie z próżnym byłby mnie zostawił —
Lecz zginął! Niechby raczej przepadł ten ród wraży
Heleny! Przezeń tylu padło już mocarzy!

Bo i on poszedł krzywdy Atrydowej mścić się
Pod Ilion koniorodny, z Trojanami bić się”.

Rzekłszy to objął chiton kawałkiem rzemyka,
I tak do prosięcego poskoczył chlewika,
Wybrał parę i zarznął, jak trzeba przyładził,
Osmalił i pokrajał, i na różny wsadził.
A upiekłszy nad ogniem, gdy mięso skwarczało,
Podał. Odysej mąką posypał je białą,
On zaś w kubek drewniany nalawszy mu wina,
Siadł naprzeciw i gościa jeść prosząc, rzecz wszczyna:
„Jedz, mój gościu, prosiątko — nie stać nas na lepsze.
Na dwór pański dla gachów idą karmne wieprze.
Te gachy zatwardziałe boga się nie boją,
Uwzięli się bezprawia broić i wciąż broją.
Czyż niebo może patrzeć na takich zbytników?
Wszak i napadających na brzegi łotrzyków,
Chociaż Zeus na ich sprawki pogląda przez szpary,
Gdy do dom zrabowane uwożą towary —
Nieraz myśl o odwecie naprawdę zatrwoży.
Ale ci choć ich przestrzegł zapewne głos boży
O karze, jaka spadnie na te dziewosłęby,
Najechawszy dom cudzy, łakomymi gęby
Chłoną wszystkie zasoby, dobytek domowy;
I dzień, noc, które z łaski miewamy Zeusowej,
Nie jedną, nie dwie obiat sprawia ta drużyna;
Na te hulanki nie wiem skąd już starczy wina.
On przecież na dziedzictwie siedział tu niemalym,
Możniejszym był od władców, co na lądzie stałym
I na Itace siedzą. Na jego majątek
Takich panów by trzeba w kupę zbić dziesiątek.
Zaraz ci to wyliczę: w stepach się wypasa
Aż dwanaście stad wołów, tyleż kóz tam hasa,
Świń tyle, owiec tyle, pod okiem najętych
Lub poddańczych skotarzy. Tu zaś razem wziętych

Mamy trzód jedenaście kozich na ostrowie.
Pasą je z poczciwości znani pastuchowie;
Lecz z nich każdy codziennie daje na ich gody
Najlepszą, najtłuściejszą sztukę z całej trzody.
Ja zaś tu świnie chowam, nie leniąc dozoru,
I co najtłustsze wieprze odstawiam do dworu”.

Tak rzekł — a on łakomie mięsiwa zajadał,
Pił wino, milczał; gachom śmierć już zapowiadał.
Lecz gdy się już nasycił, winem skrzepił ducha,
Kubek, co sam zeń pijał, nalał mu pastucha
I podał napełniony, a Odys takowy
Wdzięcznie przyjął i tymi przemówił doń słowy:
„Któż to był, co cię kupił? Powiedz, przyjacielu!
Kto ten pan tak potężny, bogatszy od wielu,
Co za cześć Atrydową zginął, jak słyszałem
Z ust twych? Bardzo być może, że takiego znałem.
Nazwij go: bóstwa w niebie, wiedzieć muszę przecie,
Czym go spotkał! Jam dużo włóczył się po świecie”.

Na to mu odpowiedział pastuch, wódz pasterzy:
„Nie myśl, starcze, że żona albo syn uwierzy
W to, co o nim donoszą przybłędy podróżne;
Tacy bowiem za kłamstwa i pochlebstwa próżne
Chcą gościnne przyjęcie wyłudzić w swej biedzie.
Toż gdy który włóczęga do Itaki przyjdzie,
Prosto sunie do pani i bajki jej gada;
Ona go podejmuje, o szczegóły bada,
Wzdycha za każdym słowem, łzy jej strugą cieką,
Jak zwyczaj u żon, którym mąż zginął daleko.
I ty mógłbyś jej bajkę zanieść tak uwitą,
Za co by cię chitonem i chlajną okryto.
Ależ on, jej małżonek, dawno już umarły,
A psy i ptaki ciało z kości mu obzarły
Lub zjadły ryby morskie, a kilka piszczeli,
Na brzeg rzuconych, gdzieś tam na piasku się bieli.

Nie ma go! Swych przyjaciół zostawił w żałobie,
Mnie w największej! Bo gdzież bym znalazł pana sobie
Tak dobrego? Chociażbym szukał w okolicach,
Choćbym i do dom wrócił, osiadł przy rodzicach,
Gdziem się rodził, gdziem pod ich okiem się wychował!
Toć nie żał mi ich tyle, acz bym się radował
Witać ich i rodzinną obaczyć krainę;
Lecz tylko po Odysie z tęsknoty aż ginę.
Nawet lękam się jego wymawiać nazwisko,
Tak zawsze dla mnie dobre było to panisko;
Tylko zwę go mym drogim, choć nie jest tu z nami”.

Na to tułaczy Odys odparł mu słowami:
„Przyjacielu! Trwasz, widzę, w zwątpiałym uporze,
I nawet nie przeczuwasz, że on wrócić może.
Lecz jam gotów przysięgą za prawdę zaręczyć:
Odys wróci! Wiadomość masz mi tę odwdzińczyć,
Skoro tylko on w domu własnym stanie nogą:
Odziejesz mnie chitonem i chlajną chędogą.
Lecz wziąć bym nie wziął naprzód, acz jestem człek biedny,
Albowiem w oczach moich frymark to ohydny
Tych oszustów, co z biedy kłamią jak najęte!
Świadkiem Zeus mi i bogi, ten stół i to święte
Ognisko Odysowe, przy którym się chronię,
Że wszystko się to spełni, co ci tu odsłonię:
W tym roku niezawodny powrót Odysowy!
Ledwie miesiąc ten przejdzie, a nastanie nowy,
Wróci do dom, ukarze szajkę rozwydrzoną,
Co się znęca nad synem jego i nad żoną”.

Tyś, pastuchu Eumaju, tak mu odrzekł na to:
„Nie ucieszysz się, starcze, za tę wieść zapłatą,
Bo Odys już nie wróci! Winem się pokrzepiaj,
A mówmy o czym innym — i już nie zaczepiaj
O niego, gdyż mi serce od żalu się ściska,
Jeśli kto mego pana wspomni choć z nazwiska.

Dajmy pokój przysięgom! Czyż nie życzę sobie,
By on wrócił? Toż życzy i żona w żałobie,
Życzy stary Laertes, życzy syn sierota.
Oj! Ten śliczny Telemach to moja zgryzota!
Bogi mu jakby drzewku w górę porósć dały;
Jam marzył, że ojcowskiej dopędzi on chwały,
Że wzrostem i powagą zrówna mu oblicza.
Lecz czy kto z ludzi, czy też jakaś tajemnicza
Władza miesza mu rozum: wyrwało się chłopię
Szukać ojca w Pylosie, kiedy tu na tropie
Stoją gachy czatując, gdy powróci z drogi,
By boski szczep Arkejsja wyciąć co do nogi.
Lecz dość tego — a chłopię czy głową nałoży,
Czy też ujdzie, od woli zawisło to bożej.
Mów mi raczej, mój dziadku, coś o twojej nędzy,
A szczerze opowiadaj, bym wiedział co prędejsz:
Ktoś jest? Z jakiego kraju? Skąd twój ród pochodzi
Z kimeś tu do Itaki przybył? W jakiej łodzi?
I z jakiego narodu byli te flisaki?
Bo przecież przyjść nie mogłeś pieszo do Itaki!”

Na to rzekł mu Odysej, do wybiegów wprawny:
„Wszystko to ci opowiem szczerze, w prawdzie jawnej.
Lecz choćby zapas jadła mieć tu na czas długi,
Huk wina, a robotę dzienną zdać na sługi,
A tu siedzieć przy stole w tym cichym szalasie:
Przeminąłby rok cały, i jeszcze w tym czasie
Nie skończyłbym powieści o nędzach tej doli,
Pod jaką dusza moja jęczy z bogów woli.

Z rozległej jestem Krety. Rodzic mój imiona
Znaczne miał; wielu synów powiła mu żona,
I po pańsku się chował szczep ten pracowity
W domu jego. A jam zaś rodził się z kobiety
Kupnej, lecz Hylakowy Kastor, co mnie spłodził.
Równie z prawymi syny ze mną się obchodził.

Lud wielbił go jak boga, kochał bez wyjątku
Gwoli władzy i synów dziarskich, i majątku.
Ale prędko go zmiotła w Hadesu krainy
Śmierć okrutna. Więc butne zaraz potem syny
Los rzucili o podział puścizny ojcowskiej.
Mnie się mało dostało: dom z kawałkiem wioski.
Mimo to wziąłem żonę z bogatego rodu.
Podbitą cnotą moją, bom karny był z młodu
I do boju zuch wielki. Lecz przeszło to wszystko!
Dziś jestem, jakbyś patrzył na gołe ściernisko.
Tak nędza mnie zgłębiła i dziś jeszcze gnębi.
Wprawdzie Ares z Ateną męstwo w ducha głębi
I moc dzielną mi dali. Nieraz, gdym dobrany
Huf zasadził, by napad zrobić niespodziany,
To nigdy nie powstała w duszy myśl o śmierci,
Ino pierwszy-m wypadał i rąbał na ćwierci
Każdego, kto przede mną uciec był niezdolnym!
Bitwy-m lubił, lecz za to gospodarstwem rolnym
I domem się brzydziłem i dzieci wychowem,
A tylko na pokładzie żyłem okrętowym,
W bitw zgiełku, świstu grotów i kopij warczących
I innych okropności zgrozą przejmujących.
Lecz darmo! Tom ukochał, co bóg wlał do duszy —
Ten to lubi, a inny czym innym się puszy.
Dobrze wprzód, nim Achiwy wyciągli pod Troję,
Dziewięć razy wodziłem zbrojne nawy moje
Na ludy oddalone, i z łupem wracałem.
Biorąc zeń co najdroższe, i potem znów brałem,
Co losem przysądzono. A tak rosłem w mienie,
Żem u wszystkich na Krecie był we czci i cenie.
Lecz gdy Zeus nas do onej pobudził wyprawy,
W której to tylu mężów znalazło zgon krwawy,
Mnie kazano pod Ilion prowadzić okręty
Z królem Idomenejem; chciałem przez wykręty

Wyprosić się, lecz ludu zląkłem się wyroków.
My Achiwi tam dziewięć biliśmy się roków;
W dziesiątym, Pryjamowe rozwaliwszy grody,
Gdyśmy do dom wracali, uniosły nas wody
I w tę, i ową stronę z bożego zrządzenia.
Mnie zaś Zeus na najsroźsze zachował strapienia.
Bom ledwo miesiąc w domu przy dzieciach, małżonce
I mych skarbach zabawił, już przygód łaknące
Serce mnie do Egiptu rwało. W ziemi one
Chciałem wpaść wzięwszy druhów i łodzie wiosłone.
Więc zbroję dziewięć statków, lud się do mnie garnie.
Sześć dni tym ochotnikom otwarłem spizarnię,
Częstowałem ich hojnie, a porżnięte woły
Szły bogom na ofiarę i dla nich na stoły.
W siódmym, od brzegów Krety gdy odbiły łodzie,
Z dobrym wiatrem północnym suniem się po wodzie
Lekko, jak gdyby z prądem, że się w żadnym sudnie
Nic nie psuło, a zdrowie ożywiało cudnie
Gnanych wiatrem pomyślnym i ręką sternika.
Po dniach pięciu egipska witała nas rzeka.
W nią wpłynąwszy jam kazał zastanowić nawy,
A dziarskim towarzyszom tej naszej wyprawy
Kazałem naw pilnować i trzymać się brzegów,
Na wzgórza zaś pobliskie wysłałem był szpiegów.
Ale ci nieposłuszni w ślepej zuchwałości
Napadli na egipskich kilka pięknych włości,
Żony w jeństwo pobrali z dziatwą niedoroślą,
A mężów w pień wysiekli! Gdy się to doniosło
Do miasta, rankiem tłumy i konno, i pieszo
Migocąc miedną zbroją na ratunek spieszą
I okrywają pola... Kronion gromowładny
Zesłał na mą drużynę popłoch bezprzykładny,
Żaden bowiem wrogowi już nie stawiał czoła.
Więc włóczyniami wykluto ściśniętych dokoła,

Innych żywcem pojmanych w jarzmo powleczone,
Mnie zaś Zeus taką myślą zapalił szaloną —
(O losie! Niechbym raczej głowę był położył
Tam w Egipcie, a nieszczęść późniejszych nie dożył!),
Że zaraz pięknie kuty szłem mój z głowy zdjąłem,
A cisnąwszy z bark tarczę o ziem z włócznią społem,
Szedłem wprost do rydwanu króla i kolana
Objąwszy całowałem. Serce tego pana
Wzruszyło się, przebaczył, wziął do wozu swego
I od wrogów zasłaniał mnie szlochającego,
Gdyż każdy we mnie mierzył grotem nastawionym,
Chcąc zabić — taka wściekłość była w tłumie onym.
On mnie bronił, bo wiedział, że Zeus nie przebacza
Żadnej krzywdzie spełnionej na głowie tułacza.
Siedm lat tam przesiedziałem. Hojne zewsząd datki
Tak płynęły, że prędko urosłem w dostatki.
Lecz gdy się na rok ósmy z kolei zabrało,
Przyszedł do mnie Fenijczyk, szalbierz jakich mało,
Który już niejednego obdarł aż do nici,
I namówił na podróż z sobą do Fenicji,
Gdzie ów oszust miał własny dom i posiadłości.
Jakoż rok korzystałem z jego gościnności,
Lecz gdy się wypełniły dni, miesiące roku,
A rok drugi się zaczął w Hor krążącym toku,
Do Libii mnie pociągnął ze sobą na nawie,
Chytrze zwąc pomocnikiem w towarów dostawie,
A właściwie chciał za mnie wziąć tam okup suty.
Wsiadłem z nim mimo woli podejrzeniem truty.
Szedł nasz okręt północnym wiatrem żartko gnany
Ponad Kretą. Lecz zdrajca wnet będzie skarany,
Gdyż ledwie z oczu zginął wyspy smug zielony,
Nic nie widzimy krom nieba i wód z żadnej strony.
Wtedy Zeus ciemnomodrym nad nami obłokiem
Zwiesił się i noc była na morzu szerokim,

A wtem piorun Zeusowy padł w nawę, wstrząśnięcie
Od góry aż do spodu czuć było w okręcie,
I woń siarki — aż wszystka z pomostu drużyna
Zmieciona wpadła w morze, szamocząc się wspina
I znowu się zanurza niby morskie wrony —
Bóg im nie dał powrotu — żywot ich skończony.
Wtenczas Kronion, gdym biegał wystraszony i zbladły,
Dał mi maszt zdruzgotanej nawy, w morze spadły,
Pochwycić, bym od pewnej ratował się zguby.
Wsiadłem nań, i tak prulem wzdętych fal przeguby
Przez dni dziewięć; dziesiątej nocy wyrzucony
Byłem na brzeg tesprocki przez bałwan spiętrzony.
Gdzie Fejdon, król Tesprotów, miał o mnie staranie
Za darmo. Syn to jego znalazł mnie był w stanie
Omdlałym i skostniałym; zajął się rozbitkiem,
W dom ojca zaprowadził, i gościnnym zbytkiem
Podjąwszy, obdarował szatkami pięknymi,
Też chitonem i chlajną. Otóż w tej tam ziemi
Słyszałem o Odysie. Fejdon utrzymywał,
Że go wracającego do dom podejmywał.
On mi nawet pokazał jego skarb niezmierny,
Złoty, miedny, żelazny, roboty misternej,
Dany mu do schowania: a tyle tam było,
Że i dziesięć pokoleń z tych bogactw by żyło.
Sam zaś Odys, jak twierdził, odszedł do Dodony,
Ażeby się dowiedzieć, co dąb poświęcony
Kronionowi o losach jego mu nagada:
W jaki sposób, w Itace stanąć mu wypada?
Czy ukradkiem, w przebraniu? Czy w własnej postaci?
Otóż raz mi się Fejdon zaklął przy libacji,
Że okręt gotów stoi, gotowe flisaki,
Co Odysa przywiozą prosto do Itaki.
Lecz jam wprzód wyjechał. Właśnie w te tu strony
Na pszeniczny Dulichion statek wyprawiony

Miał mnie odwieźć do króla Akasta; wyraźnie
Tak nakazał flisakom, lecz ci nieprzyjaźnie
Naprzeciw mnie stanęli, chcąc zniszczyć ze szczętem:
Bo gdy się oddalili od brzegów okrętem,
Nuż grozić mi niewolą! Był to bunt otwarty;
Wnet też byłem z chitonu i chłajny obdarty.
Ten łachman i opończę na grzbiet mi rzucono,
Jak widzisz, połatana i podziurawiona.
Pod wieczór do itackich przybywszy wybrzeży,
Byłem związany w okręcie przez onych szalbierzy
Powrozami, zaś oni na brzegi wysiedli
I wieczerzę naprędce uwarzoną jedli.
Lecz bóg mi dał rozwiązać z łatwością te pęty.
Przytwardziwszy do głowy ten łachman zwinięty,
Zsunąłem się po gładkim rudlu w samo morze
I zaraz się piersiami na wodzie położyę,
I wiosłując rąk dwojgiem; gdym upłynął kawał
I okręt już daleko za mną pozostawał,
Rzuciłem się do lądu zarosłego lasem
I przycupłem; a oni biegali tymczasem
Szukać mnie, zadyszani, lecz się wnet spostrzegli,
Że na darmo, bo nazad do nawy pobiegli,
Aby odbić. Bogowie czuwali nade mną:
Skryli mnie i w tę ustronń zawiedli przyjemną,
Gdzie mądry człowiek mieszka w wieśniaczym szałasie.
Widzę z tego, że życie moje na coś zda się”

Na to mu pastuch Eumaj: „Gościu nieszczęśliwy!
Powieść twoja w mym sercu wzbudziła ból żywy!
Ileż cierpień w tułactwie swoim doświadczyłeś!
Przecież w jedno nie wierzę, i w tym się zmyliłeś,
Coś mówił o Odysie. Starcze! Co-ć się roi,
Że kłamiesz tak bezwstydnie? Wiem ja, jak rzecz stoi
Z powrotem mego króla: ściga go gniew bogów.
Dlatego i pod Troją nie padł z ręki wrogów,

Ani na rękę krewnych w powrocie z wyprawy,
Gdyżby mu Achiwowie wzniesli pomnik sławy,
A na syna by takie zaszczyty stąd spadły...
Lecz on zniknął bez sławy, Harpie go ukradły!
Ja tu siedzę z mą trzodą, w mieście gościem rzadkim
Bywam, cna Penelopa chyba mnie przypadkiem
Każe wołać do siebie, zwłaszcza gdy się zdarzy
Poseł z wieścią; takiego i młodzi, i starzy
Obsiadają dokoła, pytają o wszystko:
Tak ci, którym na sercu stracone panisko,
Jak owi, którzy radzi mienie jego trwonić.
Lecz mi zbrzydło już dłużej za wieściami gonić,
Odkąd jeden Etolczyk zwiódł mnie tak niegodnie:
Włóczęga ten, gdzieś krwawą popełniwszy zbrodnię,
Zabiegł do mej zagrody. Przyjąłem uczciwie,
A on mi rozpowiadał, że Odysej żywie,
Że na Krecie go widział u Idomeneja,
Jak łódź naprawiał, którą strzaskała mu wieja,
Że zapewne tu stanie na jesień lub lato
Nawą pełną drużyny i w skarby bogatą.
Przeto, starcze, jeżeli bóg cię tu sprowadził,
Niechbyś pochlebnym kłamstwem uszu mi nie gładził.
Nie za to też zyskałeś cześć i miłość moję,
Lecz żeś biedny, że Zeusa rozgniewać się boję”.

Na to te słowa wyszły z ust Odyseusza:
„Zaprawdę, w tobie siedzi podejrzliwa dusza.
Jeśli u ciebie niczym przysięga i słowo,
Więc taką między sobą zwiążem się umową
A na świadków przyzywam tu olimpskie bogi:
Że jeśli twój król wróci i wstąpi w te progi,
Ty mnie w chiton i chlajnę przyodziejesz piękną
I wyślesz na Dulichion, dokąd mi tak tęskno;
Przeciwnie; jeśli król twój nie ma już powrócić,
Kazesz mnie swym pastuchom z szczytu skały zrzucić

Na postrach dla włóczęgów za język ich lżywy”.

Na to odrzekł Eumajos, świniopas pocziwy:
„Gościu mój! Tożbym sobie na imię zarobił
I na cześć między ludźmi! Tożbym sam się dobił,
Gdybym cię w dom przyjąwszy serdecznie, gościnnie,
Potem dał zabić, życia zbawił cię niewinnie!
Mógłżebym czystą myślą modlić się Kronidzie?
Lecz oto czas wieczerzać — wnet czeladź się znidzie
I razem w tym szalasie zasiądzem do stołu”.

Takie z sobą rozmowy toczyli pospołu.

Pastuchy z chlewną trzodą nadeszli po chwili
I zaraz ją do chlewów na noc zapędzili:
I po obórkach pełno rehtania i kwików.
Po czym Eumajos do swych tak rzekł pomocników:
„Co najspańszą świnkę wybierzcie mi, chłopcy!
Użyjem i my sami, użyje gość obcy.
Czy mało namartwiły nas te kływe wieprze,
Gdy pracę naszą tamci zjadali w najlepsze!”

Rzekł, i srogą siekierą jął rąbać polana.
Pięcioroczna karmna locha do izby przygnana
Stanęła przy ognisku. Pastuch o ofierze
Nie zapomniał dla niebian: pobożnym był szczerze.
Jakoż z łba świni wyrwał szczeń i w ogień rzucił
Dla bogów, i z modlitwą do nich się obrócił
Prosząc, by Odys z długiej powrócił podróży.
Po czym wziął odszcypany dębu kawał duży,
Palnął w łeb i powalił, zaraz ją dorznięto,
Rozpłatano, a pastuch w skórę obrośniętą
Tłuszczem kładł pierwociny mięsów z różnych części,
Zawinał, i jęczmienną mąkę sypiąc z pięści,
Dał resztę wziąć na rożny i upiec na żarze.
Gdy pieczeń na stolnicy złożyli kucharze,
Przystąpił cny świniopas sam krajać mięsiwa,
Bo chce być sprawiedliwym i zawsze nim bywa:

Więc w siedm części pokrajał; modlitwy odprawił
I dla Nimf i Hermesa część jedną odstawił,
Resztę dla biesiadników, zaś w jednym kawale
Grzbiet wieprzowy gościowi wydzielił wspaniale
I uradował pana swego tym przysmakiem.
Więc zwrócił się doń Odys i rzekł słowem takim:
„Oby Zeus cię ukochał jak ja, dobry człecze,
Że mną biednym nie gardzisz!”

Na to mu odrzecz

Boski pastuch Eumajos: „O gościu mój biedny,
Pożywaj, na co stać nas; to nasz chleb powszedny.
Bóg daje i bóg bierze podług woli swojej;
Na jego wszechmocności przecież ten świat stoi”.

Rzekł i mięs pierwociny spalił; winem zlanem
Bogi uczcił i wino postawił ze dzbanem
Przed grodoburcą, który swej misy pilnował.
Chleby krajał Mesaulios. Eumajos go chował
Kupionego za własne, w króla niebytności
Bez wiedzy Laertesa i samej jejmości,
A kupił go od Tafiów za część swego mienia.
Teraz do gotowego zasiedli jedzenia.
A gdy jadłem, napitkiem się już nasycono,
Mesaulios sprzątnął chleby, a biesiadne grono
Syte mięsem i chlebem do snu się zabrało.

Noc była bezksiężycna, czarna, z góry lało
Dżdżem ulewnym, wilgotne świstały zefiry.
Odys chcąc wypróbować, czy pastuch dlań szczery,
Czy własną da mu chlajnę, lub też każe komu,
By mu swojej odstąpił, jak grzeczny pan domu,
Rzekł: „Słuchaj, Eumajosie, i wy kłońcie uszy!
Coś o sobie opowiem. Gdy kto łeb zaproszy,
Choć rozumny, to gotów głośno wyśpiewywać
I śmiać się do rozpuku, skakać, wygadywać,
Aż z ust wymknie się wróbel, a powróci wołem.

Lecz mnie skończyć wypada, kiedy raz zacząłem.
Oj, czemuż ja nie młody, i nie zuch ten samy,
Jak wtenczas, gdym się skradał pod Ilionu bramy!
Hufce Odys prowadził z Menelajem razem,
I ja trzeci, co za ich stało się rozkazem.
Podkradłszy się pod miejskie warownie wyniosłe,
Obsaczamy je wkoło, a w bagna zarosłe
Trzcina ułożył się każdy, w pancerz swój zakuty.
Nadeszła noc burzliwa, Boreasz dął luty
I mroził aż do kości; śnieg płatami padał
I na pawężach naszych biały szron osiadał.
Inni, oprócz chitonów chlajnymi okryci
Pod pawężmi na grzbietach, spali jak zabici.
Jam zaś chlajnę, niebaczny, zostawił w obozie
Towarzyszom, nie myśląc o tym nocnym mrozie,
I wyszedłem z pawężą, jasnym pasem spięty.
Lecz już o trzeciej straży tak byłem zziębnięty,
Żem trącił Odyseja, śpiącego koło mnie,
Łokciem, a on, obudzon, słuchał mnie przytomnie.
— Boski Odysie! — rzekłem — źle się ze mną dzieje,
Przyjdzież ciemność nałożyć, od zimna drętwieję.
Nie mam chlajny, bies jakiś skusił mnie zapewne,
Żem wybrał się tak lekko, więc i duszę ziewnę. —
Rzekłem, a on wnet skoczył po rozum do głowy,
Jako zawsze do rady i boju gotowy;
Więc nachylon, te słowa szepnął mi do ucha:
— Nie gadaj! nuż cię który z Achiwów podsłucha! —
I na rękę się wsparłszy: — Towarzysze mili! —
Wołał głośno — proroczy sen miałem w tej chwili:
Od okrętów my naszych poszli za daleko.
Niechże który ochotnik kopnie się, a lekko,
Spytać Agamemnona, narodów pasterza,
Czyby nie mógł nam więcej przysłać tu żołnierza? —
Na to podniósł się Toas, syn Andrajmonowy,

I na ziemię zrzucając swój płaszcz purpurowy
Poskoczył do okrętów. Jam porwał płaszcz jego,
Okrył się nim, i spałem aż do dnia białego. —
Gdybym tak jak i ongi młody był i żwawy,
Pewnie by na mnie pastuch więcej był łaskawy
I dał chlajnę przez pamięć i cześć bohatera.
A żem nędzarz, więc każdy mną dziś poniewiera”.

Na to pastuch Eumajos odparł: „W tej powieści,
Mój staruszk, niemało dobrego się mieści:
W niczem-eś nie przesadził, a dopiąłeś celu.
Więc okrycie tu u nas znajdziesz, przyjacielu,
I resztę, co-ć potrzebnym w twoim biednym stanie
Na tę noc; ale jutro chodź sobie w łachmanie,
Bo chlajnow i chitonów zapas tu nieduży,
Zbytnich nie ma: każdemu jeden tylko służy.
Lecz jeśli syn Odysów wróci tu dostojny,
O chlajnę i o chiton możesz być spokojny,
On cię nawet odeśle, gdzie zechcesz, nieboże”.

Rzekłszy to wstał i zaczął słać dla niego łoże
Przy ognisku, rozpostarł kozie i baranie
Skóry, a gdy Odysej legł na to posłanie,
On mu dał do nakrycia swą chlajnę kudłatą
I zawieszistą, która służyła mu na to,
Że się nią przyodziewał zawsze w zmiennej porze,
Gdy słońce albo zimny wichor dął na dworze.

Spoczął tedy Odysej. Przy nim tuż na ziemi
Pokładli się parobcy, ale pasterz z niemi
Spać nie myślał: o trzodę swoją on troskliwy,
Wybierał się do obór. Odys był szczęśliwy
Z tego sługi, co chociaż w domu pana nie ma,
Dba o jego dobytek i taki ład trzyma.
Więc się zbierał, miecz ostry przewiesił z ramienia,
Wdział chlajnę, która chroni go od przeziębienia,
Na tę jeszcze zarzucił skórę z dużej kozy,

W dłoń wziął oszczep i ludziom, i psom do pogrozy,
I wyszedł spocząć bliżej białokływej trzody,
Pod wiszarem ustronnym, czasu niepogody.

Pieśń piętnasta

Telemachos przybywa do Eumajosa

Poszła Pallas-Atene w gród Lakedajmony,
Kędy syn Odyseja siedział zabawiony,
Naglić go, bo mu do dom wracać wielka pora.
Zastała Telemacha, jak z synem Nestora
Spali obaj w przysionkach Menela teremu.
Li Pejsistrat wczasowi poddał się sennemu,
Bo Telemach już nie spał. On przez całe noce
Nie sypia, tak się myślą o ojcu kłopoce.
Więc Atene doń rzekła, stając u wezglowi:
„Nie siedź tu, Telemachu, i śpiesz ku domowi!
Odbiegłeś od majątku, w zamku twoim siedzą
Wyuzdane zuchwalce, a nuż wszystko zjedzą
I mieniem się podziela? Wrócisz poniewczasie!
Więc Menelę grzmigłosa błagaj, niech nie pasie
Dłużej cię, a odsyła, byś mógł zastać doma
Matkę cną, gdyż jej własny ojciec się nie sroma,
Toć i bracia, nastawać na nią, by wybrała
Na męża Eurymacha, któremu stąd chwała,
Że hojny i od innych bogatsze wniósł wiano.
Nie dajże, by ci z domu jaki skarb zabrano;
Wiesz przecie, co niewiasta w sercu swoim chowa:
Z kim pójdzie, temu wszystko oddać już gotowa,
A o dziatwę swą pierwszą i o nieboszczyka,
Miłego niegdyś, nie dba, serce im zamyka.
Przeto wracaj ład zrobić, zdać rządy domowe
Na wiernej i roztropnej służebnicy głowę,

Nim z ręki bożych weźmiesz zacną połowicę.
Lecz jeszcze mam ci zwierzyć jedną tajemnicę:
Zasiedli na cię z gachów najtęższe junaki,
W cieśninie, która dzieli Samos od Itaki,
I chcą cię w drodze zabić, nim do dom powrócisz.
Lecz ty podal od wysep łódź swoją odrzucisz,
A nocą płynąć będziesz. Bóg, który cię broni
I strzeże, dobrym wiatrem żagiel twój pogoni.
Wszakże dotarłszy brzegów itackich już blisko,
Odeślij łódź do miasta i drużynę wszystką,
A sam do Eumajosa udaj się, pastucha,
Co trzodę twoją pasie, człek dobrego ducha.
Tam noc spędzisz, a jego wyprawisz w te tropy
Z wiadomością od ciebie do cnej Penelopy,
Żeś już wrócił z Pylosu i cało, i zdrowo”.

Tak rzekła i na górę poszła Olimpową.
Wtem Telemach obudził uśpionego błogo
Pejsistrata, i mówił trącając go nogą:
„Zbieraj się, Nestorydo, i śpiesz do kolasy
Zaprząć konie! Przed nami droga, nie wywczasy”.

Na to mu odpowiedział Nestoryd: „Co? Tobie
Chce się jechać? Lecz z jazdy ponoś nic na dobie;
Któż wyjeżdża w noc ciemną? Czekaj blasku zorzy,
Niech pierwiej podarunki w rydwanik nam włoży
Menelaj, syn Atreja — z męstwa świat go sławi —
Niech nas grzecznymi słowy pożegna, odprawi;
Przybysz bowiem rad chowa pamięć gospodarza,
Co go przyjmie gościnnie i hojnie obdarza”.
Rzekł, i rychło Jutrzenka w złotym błyska stroju.
Nadszedł też Menelaos, on grzmiący głos w boju,
Co z łoża od kędziornej Heleny wstał boku.
Gdy go zoczył Telemach, jął w jednym poskoku
Nadziewać na się chiton świetny, a ramiona
Okryła mu szeroka szata narzucona.

Potem wyszedł młójec na jego spotkanie,
I syn Odysa mówił, gdy przy nim już stanie:
„Atrydo Menelaju! Boski władco rzeszy!
Odeślij mnie do ziemi ojców! Mnie się śpieszy:
Pragnąłbym dzisiaj jeszcze puścić się w tę drogę”.

Na to odparł Menelaj: „Zaprawdę nie mogę
Zatrzymać cię dłużej, Telemachu, u mnie,
Gdy tak tęsknisz do domu. Wiem, jak nierozumnie
Robią ci gospodarze, co męczą swych gości
Zbytkiem przynuk lub zbytkiem jawnej oziębłości.
Środek dzierzę, gdyż jedno i drugie niemile:
Czy kto gościa wypędza, czy trzyma na siłę.
Chce gość jechać — odsyłam, chce zostać — więc goszczę.
Czekajże, niech ci wprzód kolasę wymoszczę
Pięknymi podarkami, abyś patrzył na nie,
A niewiastom rozkażę przyrządzić śniadanie.
Sute, z wszystkich zapasów, w jakie dom obfity.
Cel podwójny osiągnę, bo uczczę zaszczyty,
A i ciało nakarmię. Potem już możecie
Jechać sobie i brodzić po bezbrzeżnym świecie”.

Na to taką odpowiedź dał młójec hoży:
„Atrydo Menelaju, wychowanku boży!
Śpieszy mi się do domu, bo gdy odjeżdżałem,
Nikt nie był, aby oko miał nad mieniem całem.
A nuż syn szukający ojca sam przepadnie?
Lub w zamku kto tymczasem skarb mi jaki skradnie?”

Na te słowa Menelaj, głosem w boju grzmiący,
Kazał żonie i dziewczek czeredzie służącej
Spiesznie stoły zastawić domowym zapasem.
I Boetycz Etonej zjawił się tymczasem,
Tylko co z łóżka wstawszy; mieszkał on tuż blisko.
Jemu kazał Menelaj rozpalić ognisko
I piec mięso; ten rozkaz prędko był spełniony.
Po czym zszedł do skarbcza, który był sklepiony;

Lecz nie sam, bo z Heleną szedł i z Megapentem.
Gdy w sklep weszli, kosztownym zapełniony sprzętem,
Atryd wybrał podwójny puchar z tych, co stały,
A Megapencie kazał krater srebrny cały
Nieść w ręku, zaś Helena szła skrzynie otwierać,
I w szatach przez się dzianych jęła tam przebierać.
Z tych jedną wydobyła: szata to fałdzista,
Połyskująca ni to gwiazda promienista;
Leżała też na spodzie. Po czym wszyscy troje
Do Telemacha poszli przez świetlic podwoje,
A stanąwszy już przed nim, rzekł płowy Menela:
„Niechaj ci, Telemachu, w powrocie udziela
Swej opieki Zeus Kronid, piorunny mąż Hery!
Tymczasem z mego skarbca ten podarek szczery
Racz wziąć, co najpiękniejszy i najdroższy miałem.
Także kruż cudnie rzeźbion dla ciebie wybrałem.
Srebrny z złotym okrajkiem, Hefajst go wykował,
A Fajdim, król Sydońców, niegdyś mi darował,
Gdym z powrotem doń wstąpił. Więc niechże ci służy!”

Po tych słowach Atryda dał mu puchar duży,
Podwójny, a Megapent wniósł on srebrnolity
Kruż, i przed nim postawił. Helena płaszcz szyty
Ręką swą wniosła także, krasą nieźrównana,
I — „Przyjm darem ode mnie — rzekła do młodziana —
Tę szatę z rąk Heleny; chowaj ją starannie
Do wesela, gdy staniesz przy wybranej pannie.
Tymczasem daj ją matce, ona ci przechowa.
A teraz zdrów mi bywaj! Droga twoja głowa
Szczęśliwie niech powraca w ojców swoich progi!”
Rzekła — a on z radością przyjął ten dar drogi.

Wnet Pejsistrat, podarki pozbierawszy liczne,
W kolasie je ustawił, dziwiąc się, jak śliczne.
Zaś płowy Menelaos do gotowej sali
Wszystkich z sobą zaprosił. Gdy pozasiadali

Zastawione tam rzędem ławice i krzesła,
Zaraz jedna z służebnic złoty dzbanek wniosła
Z wodą do rąk; tę lała im do misy srebrnej;
Przed każdym postawiła stoliczek potrzebny.
Poważna też szafarka z zapasy różnymi
Przysła, i te przysmaki stawiała przed nimi.
Syn Boetów pokrajał i rozdał pieczone,
Megapent zaś lał wino w puchary złociste.
Więc do mis się rzucono po niedługiej chwili;
A gdy głód nasycili, pragnienie zgasili,
Jął Telemach z Nestora synem jarzmo wkładać
Na rumaki i w krasną kolasę już wsiadać,
A wsiadłszy, ruszył w bramne sklepienie dudniące.
Atryd sam odprowadzał te odjeżdżające
Goście z kielichem w ręku po brzegi nalany,
By odjezdną libację spełnić roztruchaniem.
Więc zachodząc im drogę, rzekł: „Bywajcie zdrowi,
Mołojcy! A pokłońcie się tam Nestorowi
Ode mnie: on był dla mnie jak ojcem rodzonym,
Gdyśmy się tam, Achiwi, bili pod Ilionem”.
Na to odparł Telemach: „O ty mężu boży!
Co każesz, to się wszystko dokładnie przedłoży,
Skoro na miejscu staniesz. Obym tak z powrotem
Mógł ojca zastać w domu i mówić mu o tem,
Jak mnie tu ugościło przyjęcie łaskawe,
Jak sute upominki dano na odprawę!”
Gdy to mówił, wtem orzeł mignął z prawej strony;
Dużą, białą gęś dworską pochwycił on w szpony
I z nią leciał, a za nim z wraskiem tuż, tuż goni
Zgraja chłopów i kobiet. Orzeł blisko koni
Skręcił w prawo i wionął. Widok niespodziany
Ucieszył i otuchą nappełnił młodziany,
Aż Menele Pejsistrat zagabnął słowami:
„Pomyśl-no, władco ludów, czy znak ten za nami,

Czy za tobą, i komu wróżbę niebo zsła?”

A właśnie go ta wróżba już zastanowiła,
Bo myślał, co by wnosić miał z tej tajemnicy,
Gdy go ubiegł w tym dowcip pięknej połowicy:
„Wieszczę wam! Posłuchajcie, co mi wlali w duszę
Bogowie, a co wkrótce spełni się, jak tuszę:
Orzeł po łup przyleciał i gęś uniósł białą
W te skały, gdzie i gniazdo ma, i dziatwę małą;
Tak Odysej po długiej tułaczce i biedzie
Kiedys w próg swego zamku jako mściciel przyjdzie,
Lub już przyszedł i gachom śmierć już zapowiada”.

Więc Telemach jej na to: „Oby ten, co włada
Niebem, Hery małżonek piorunny, to sprawił!
Niech się ziści, a będę cię jak bóstwo sławił!”
Rzekł i zaciął rumaki; lotnymi kopyty
Wpadły w miasto, po równi cwałują odkrytej
Przez dzień cały; gdy ciemny mrok poczerzył szlaki,
Do zamku Dioklesa przybyli junaki.
Ojcem jego Orchiloch, syn Alfeuszowy.
U Diokla tam w Ferach i nocleg gotowy
Znaleźli, i gościnne przyjęcie im dano.

Ze wschodzącą nazajutrz Jutrzenką różaną,
Zaprząwszy, jadą dalej w przekrasnej kolasie
Przez bramę, aż w przysionkach turkot rozlega się.

Tak pędząc, wóz ich prędko tę drogę przemierzył
Do Pylos. Wtem Telemach druhowi się zwierzył:
„Nestorydzie! Mam prośbę, lecz chcę wiedzieć, czy mi
Jej nie odmówisz? Wszak my z dawna pobratymi
Przez ojców naszych przyjaźń; równe nasze lata,
A ta podróż tym ściślej jeszcze nas pobrata.
Otóż wstrzymaj wóz, proszę, gdzie okręt mój czeka;
Tam wysiądę. Twój stary — sprawa z nim nielekka —
Gotów by mnie nie puścić, gościć bez ustanku,
Kiedy mnie tak się śpieszy; zrób to, mój kochanku!”

Rzekł, a Nestoryd w duchu już wszystko obliczył,
Aby spełnić najlepiej, co sobie druh życzył.
I ta rada najlepszą zdała się w tej mierze,
Że skręcił zaraz końmi nad morskie wybrzeże
I na pokład okrętu jął wynosić dary
Dane od Menelaja, te złote puchary
I te szaty, a nagle rzekł skrzydlate słowo:
„Śpiesz na okręt i zbieraj czeladź okrętową;
Zwiń się, nim w zamku stanę i ojcu zdam sprawę.
Już czuję, jaką przyjdzie odbyć z nim przeprawę:
Starzec to popędliwy; sam on tutaj wpadnie,
Naciśnięty przez niego nie wymkniesz się snadnie.
Już go widzę, jak przyjdzie i zmiesza ci szyki”.

Powiedziawszy to, zaciął grzywiaste koniki,
Przez gród Pyłu przejechał, stanął przed mieszkaniem.

Telemach zaś na swoich wołał z naleganiem:
„Ładzić nawę, a żywo, towarzysze mili!
Wsiadać i dalej w drogę, nie traćmy ni chwili!”

Posłuszni, rozkaz jego wykonali pędem,
Do wiosł się rzucili i zasiedli rzędem.

Gdy był gotów, na tylnym okrętu pokładzie
Jął odprawiać ofiarę Atenie Palladzie.
Wtem stanął przed nim jakiś przychodzień z daleka,
Z Argos, skąd aż tu uciekł, zabiwszy tam człeka.
Wieszczkiem był i potomkiem po Melampie owym,
Co ongi mieszkał w Pyłu, słynnym owiec chowem,
Bogaczu, co rozliczne dwory miał i włości,
Lecz się przeniósł gdzie indziej, gwoli zuchwałości
A i pychy Neleja, gdyż ten pan zuchwały
Zagabił mu majątek i trzymał rok cały.
On tymczasem na zamku Filaka zamknięty
Srodze cierpiał, dźwigając sromotne tam pęty,
Przez córę Neleusa i zaciekłość oną,
Jaką mściwa Erynną zatrula mu łono.

A jednak uszedł Kery — bowiem z łak Filaki
Woły pognął do Pylos i zemścił się taki
Na Neleju, za pychę jego — i dla brata
Przyprowadził małżonkę. Sam w inny kąt świata
Poszedł i osiadł w Argos koniorodnej ziemi,
Gdzie los go zrobił władcą nad ludy licznymi,
i Tam pojął sobie żonę, zamek wybudował,
Dwóch synów, Antifata, Mancja się dochował.
Antifat Oiklesa spłodził, a ten synem
Szczyił się Amfiarajem, który trząsał gminem;
A choć go Zeus egidny i Feb swą miłością
Darzyli — on się przecież nie cieszył starością,
Lecz zmarł w Tebach z powodu przeniewierstwa żony.
Alkmeon i Amfiloch z niego był zrodzony,
Mancjos miał Polifejda synem i Klejtosa;
A tego mu porwała różana Eosa
Gwoli jego krasoty, by zasiadał z bogi.
Polifejdzie Apollo nadał przymiot drogi
Wieszczenia — i był wieszczem między żyjącymi
Pierwszym po Amfiaraju, gdy zeszedł z tej ziemi;
Potem do Hyperei przeniósł się z powodu
Wśni z ojcem — i z wieszczb swych słynął wśród narodu.
Był to właśnie syn jego zwan Teoklimnesem,
Który do Telemacha przystąpił obcesem,
Gdy ten stojąc u burty lał z wina obiatę,
Zagabł go ów i słowa posłał mu skrzydlate:
„Mój druhu! Ty, jak widzę, ofiarą zajęty;
Więc, zaklinam cię na nią i na cel jej święty,
Na twoją głowę własną i czeladzi twojej,
Że mi odpowiesz prawdę szczerą, jak przystoi:
Ktoś jest? Z jakiego kraju? Rodzina twa jaka?”
Więc otrzymał odpowiedź wraz od Telemaka:
„Cudzoziemcze! Usłyszysz mowę niekłamaną:
Itaka mą ojczyzną, Odys — ojca miano.

Oby żył! Lecz on dawno smutną śmiercią zginął!
Przetom go na okręcie tym szukać popłynął,
By się zwiedzić o losie drogiego rodzica”.

Na to mu Teoklymen rzekł pięknego lica:
„I jam tułacz bez ziemi, bom w rodzinnej stronie
Zabił kogoś, co w Argos hodującym konie
Miał krewnych i przyjaciół, używał czci wielkiej;
Więc uchodząc odwetu ich ręki mścicielki,
Tu zabieglem, na żywot już skazan tułaczy.
Błagam cię, weź mnie z sobą, a błagam w rozpaczy:
Zabiją mnie — co tylko nie widać pogoni”.

Na to roztropny młodzian: „O, niechże bóg broni,
Abym cię z łodzi wypchnął! Gdy chcesz z nami płynąć,
Wsiadaj! Dzieląc się z tobą, nie damy ci zginąć”.

Tak witając przybysza, wziął mu z rąk spiżowy
Oszczep, i ten na pomost złożył okrętowy;
Sam potem wszedł do środka nawy owioślonej,
Siadł u burty, a przy nim usiadł zaproszony
Teoklymen. Już jedni łódź odcumowali,
Drudzy ład robiąc wewnątrz nawy się krzątali;
Telemach ich naganiał, więc robią, co każe.
Sosnowy maszt zatknawszy w drążonym ligarze,
Wyprostowali, w mocne ujęli go sznury,
I na rzemieniach żagle podciągli do góry.
Zaraz im wiatr pomyślny zesłała Pallada:
Z szumem lecąc z obłoków, wiatr na okręt wpada,
Po słonej go powierzchni pędzi jak w zawody,
Że wnet Kruny ominą i Chalkisu wody.

Słońce zgasło, dokoła szlaki poczerniały —
Telemacha do Fejów wiatry już zagnały.
Stamtąd mijając Elis, gdzie władną Epeje,
Mknął ku koleczastym wyspom, a w duchu truchleje,
Myśląc, czy śmierci ujdzie, czy głową nałoży.

Podczas siedział Odysej, a z nim pastuch boży,

W zagrodzie; wśród czeladzi wieczerzą się krzepił.
Gdy zjedzono, wypito, witeź znów zaczepił
Słówkiem, by Eumajosa doświadczyć w potrzebie,
Azali go jak gościa dłużej tu u siebie
Zatrzyma, czy do miasta odprawi dla zbytu.
„Czy wiesz co, Eumajosie? — rzekł. — Jutro do świtu
Zbieram się iść do miasta po żebranym chlebie;
Nie chcę dłużej ciężarem być dla was i ciebie.
Tylko radą mnie opatrz i daj mi na drogę
Przewodnika, gdyż w mieście sam sobie pomogę.
Łącząc tędy owędy po prośbie, obaczę,
Czy w zysku da kęs chleba rzemiosło żebracze.
Nawet w zamek Odysa chciałbym się odważyć,
Z Penelopą o różnych wieściach coś pogwarzyć,
Zetknąć się też i z pyszną rzeszą zalotniczą:
Z mnóstwa potraw na stole może coś użyczą.
Jeśli służby mej zechcą, najzręczniejsze się sprawię.
Ależ słuchaj! I dobrze rozum, co-ć wyjawię:
Oto z łaski Hermesa, co wdziękiem pięknoty
I pomyślnością ludzkie zwykł wieńczyć roboty,
Nie sprostą mi nikt w służbie pilnej — to rzecz pewna:
Umiem ogień rozpalić, suche łupać drewna,
Łać wino, mięso krajać i obracać różny —
Zgoła wszystko, co od sług wymaga pan możny”.

Zmartwion tym, wraz mu odrzekł boski nasz pastucha:
„Gościu mój! Jakaż znowu ugryzła cię mucha,
Że się chcesz na niechybne nieszczęście narazić?
Po cóż ci między gachy wyuzdane włożyć,
Których gwałty już biją w nieb żelazne stropy!
Oj! Nie takie im służą przecie, jak ty, chłopcy,
Jedno w chlajny, chitony przystojne ubrane,
Młodziki gładkolice, wonne, uczesane:
Tacy służą do stołów toczonych, chędogich,
Gnących się od win, mięsów i od chlebów mnogich.

Zostań z nami, twa bytność nikomu nie wadzi,
Ani mnie, ni żadnemu z naszej tu czeladzi:
Niech tylko syn Odysa jedyny powróci,
Chlajnymi, chitonami całego zarzuci,
I odeśle, gdzie sercem pragniesz być i głową”.
Na to cierpicieł Odys odrzekł taką mową:
„Obyś ty, Eumajosie, był tak miły bogu,
Jak mnie jesteś, za litość nad nędzą w barłogu
I przytułek mi dany! Los różnie uciska,
Lecz najsrożej, gdy człeku nie da przytuliska,
A wzgardę, ponieważ co dzień musi przeżyć,
By tylko krzyk głodnego żołądka uśmierzyć!
Lecz gdy chcesz, bym na jego poczekał przybycie,
To mi też coś o ojcu i matce powiecie
Odyseja; on ponoś, wychodząc na boje,
Już dobrze podstarzałych zostawił oboje,
Żyją-ż oni? Słoneczne świecą-ż im promienie?
Czy zmarli, hadesowe zamieszkują cienie?”

Wódz pasterzy, Eumajos, tak mu odpowiedział:
„Z ust mych prawdę usłyszysz, wszystko będziesz wiedział.
Laertes dotąd żyje, choć boga wciąż prosi,
By śmierć zesłał na niego; życia już nie znosi,
Odkąd utrata syna serce mu rozdarła
I odkąd mu małżonka, cna pani, umarła.
Z płaczu przyszła nań starość wczesna i przygniata;
Ona także z tęsknoty po synie ze świata
Zesła śmiercią okropną. O! Niech tak nie kończy
Nikt dobry, kto mnie kocha, z kim przyjaźń mnie łączy!
Dopóki ona żyła, choć smutkiem przybita,
Dopóty wszystkim dla mnie była ta kobieta.
Szukałem jej, rozmawiał — bom chował się przecie
Z długoszatną Ktimeną jak własne jej dziecko,
Z tą ostatnią jej córką, panną urodziwą;
I była ona matką dla mnie nie mniej tkliwą.

Ktimena gdy dorosła, jam chłopak był jary —
Wydano ją do Same, a bogate dary
Wzięto za nią. Wraz matka chiton mi chędogi
A i chlajnę sprawiwszy, toż sandał na nogi,
Wysłała na wieś, coraz kochała mnie czulej.
Dziś już nie mam nikogo, nikt mnie nie przytuli!
Za to pracy mej jakoś błogosławią nieba:
Mam co jeść i pić, gościa przyjmę jak potrzeba,
Lecz od mojej dziedziczki nic mi już nie spadnie,
Ani datek, ni słowo, odkąd domem władnie
Ta zgraja najeźdźników. A sługom tak miło
Mówić z panią czasami, jak to dawniej było,
Przetrącić coś z jej łaski, zapasik wziąć w pole,
Bo to zniewala sługi i słodzi ich dolę...”.
Na to przemyślny Odys rzekł mu: „Czy być może!?
Toś ty dzieckiem był wtenczas, kiedyś tu niebożę
Odbił się od rodziców, od rodzinnej ziemi?
Ależ jak się to stało? Proszę, powiedz-że mi!
Czy miasto, gdzie rodziców miałeś i rodzinę,
Wrogowie najechawszy zburzyli w perzynę?
Czy cię od krów i owiec rabusie porwali
I zawłókszy na okręt aż tutaj sprzedali
Komuś, który za ciebie zapłacił sowicie?”

Na to pastuch Eumajos: „Kiedy tak prosicie,
Gościu mój, to odpowiem na pytanie wasze.
Siedźcie sobie, a pełną wychylajcie czaszę.
Noc długa i wywczasu może kto chce zażyć —
A kto nie chce, przyjemnie może noc przegwarzyć.
Nikt cię tu nie przymusi do spania — sen długi
Wadzi zdrowiu. A jeśli tam jeden lub drugi
Kwapi się już do łóżka, to niech się położy.
Za to jutro o rannej zbudziwszy się zorzy,
Po śniadaniu, wraz trzodę na paszę wywiedzie.
My zaś sobie tu w dwójkę zasiadłszy, sąsiedzie,

Jeść będziem i popijać, i szukać osłody
W zwierzeniach się z niejednej minionej przygody.
Bo taki, co się tułał i nędz zaznał wiele,
Lubi czasami grzebać w tych cierpień popiele.
A więc ci to opowiem, o coś pytał, druhu.
Jest wyspa Syria, może wiesz o niej z posłuchu,
Leży w górze Ortygii, na słońca zwrotniku,
Niewielka, ale żyzna. Owiec tam bez liku
I bydełka, i winnic, i zboża się chowa,
Głód nie znany i nigdy zaraza morowa
Biedne ludzie nie trapi, lecz gdy wiek zgrzybiały
Przyjdzie na nich, Artemis ze swoimi strzały,
Toż Apollon ów łucznik pojawia się boży,
Strzelają i strzał cichy nieznacznie umorzy.
Na wyspie dwa są miasta, kraj ma dwie połowy,
Nad obiema był królem syn Ormenidowy
Ktesios, mój ojciec, bogom z wejrzenia podobny.
Raz więc okręt Feników, a lud to sposobny
Do żeglugi, lecz chytry, przywiózł był towary
Świecideł rozmaitych. W domu zaś mój stary
Miał Fenijkę wysmukłą i ładną kobietę,
Ręcznych robót świadomą. Feniki te skryte
I chytre ją uwiodły. Jeden z nich, gdy prała,
Przyczepił się tam do niej. Miłość się wplątała.
Bo na miłość niewiasta najłatwiej się łowi,
Choćby która i wstrętną była niewstydomi.
Więc ją pytał: — Skąd rodem? Z jakiej okolicy? —
Ona mu opisała dom swego rodzicy:
— Miejscem moim rodzinnym Sydon śpiżolśniące,
Arybas ojcem, skarbów liczy na tysiące.
Lecz mnie Tafijskie skradli, gdym biegła przez pole,
Łotrzyki, tu przywieźli, sprzedali w niewolę
Do domu mego pana, za pieniądź gotowy. —
Na to rzekł ów, co skryte miewał z nią rozmowy:

— Może byś chciała z nami wrócić, panno miła,
Byś rodziców i gniazdo własne obaczyła?
Bo rodzice twe żyją i w dobrym są stanie. —
Niewiasta tę odpowiedź dała na pytanie:
— Zgoda, byle mi twoi poprzysięgli święcie,
Że mnie do dom odstawią całą na okręcie. —
Rzekła, oni przysięgli, że ją tam odwiozą,
Wszyscy najświętszych ślubów związali się grozą,
A ona znów związała ich takimi słowy:
— Milczeć! Niech nikt z załogi nie śmie okrętowej,
Choć słówkiem mnie zaczepić, czyli mnie tam w mieście,
Czy przy krynicy spotka, czy gdzie bądź nareszcie,
Bo mógłby kto podpatrzyć i donieść do dworu,
A starzec podejrzliwy chwyci się pozoru,
Uwięzi mnie, wam zada co najsroźsze kary,
Sza! zatem, a tymczasem skupujcie towary,
A okręt nasz ładugę swoją już dostanie,
Niech który tę wiadomość da mi niemieszkanie,
Ja zaś schwyce co tylko znajdzie się pod ręką,
Za przewóz wam zapłacę lepiej niż podzięką,
Bo przy mnie syn się chowa mojego tam pana,
Wcale bystra chłopczyna, do mnie przywiązana,
Pójdzie ze mną na okręt — możecie zań duży
Okup dostać, gdziekolwiek trafi się w podróży. —

Tak rzekła i do dworu odeszła z powrotem.
Fenicjanie rok jeszcze siedzieli tam potem,
Skupując do okrętu zewsząd towar mnogi.
A gdy statek ładowny gotów był do drogi,
Zaraz jeden z nich przyszedł do onej kobiety
Na dwór mojego ojca, człek w ciemię nie bity.
Bo naszyjnik wziął z sobą złoty, bursztynowy.
Zbiegły się wraz z mą matką wszystkie białogłowy
Oglądać, obmacywać misterne noszenie,
A nareszcie targować. Wtem on dał skinienie

Umówione i odszedł wprost do nawy swojej,
Ona zaraz mnie wzięła, wywiodła z pokoi,
Lecz w przysionku spostrzegłszy złote roztruchany,
Gdyż był tam do biesiady stół przygotowany
Dla gości, co z mym ojcem poszli na agorę —
Więc w zanadrze schowała trzy puchary spore
I wyszła, a ja za nią biegłem niemyślący.
Helios zgaśł, szlaki szernił mrok już padający,
Gdyśmy się do nadmorskiej przystani dostali,
Gdzie Feniki z ładownym okrętem czekali
Gotowi do wyjazdu na mokre przestworze.
Nas zabrawszy wiatr dobry wyniósł ich na morze
Zesłany od Kroniona. Tak sześć dni i nocy
Płyniem, lecz gdy dzień siódmy nastał z bożej mocy,
Artemis białogłową oną strzałą zdraǳną
Przeszła, aż z łoskotem padła w okręt na dno
Jak rybitwa. Z pomostu zrzuceno jej ciało,
Żer rybom i morsukom, mnie nic nie zostało
Krom smutku, a tymczasem nie wstrzymany w biegu,
Gnan wiatrem okręt dobił itackiego brzegu,
Gdzie mnie Laertes kupił z własnej swej skarbony.
W taki sposób ujrzałem pierwszy raz te strony”.

Na to wyszła odpowiedź z ust Odyseusza:
„Jakże mnie, Eumajosie, do żywego wzrusza
Powieść twoja! Tyś w życiu nacierpiał się tyle!
Przecież Zeus obok przykrych dał ci dobre chwile,
Jeśliś po tych przygodach znalazł przytulisko
W domu zacnego człeka, który dał ci wszystko,
Który ci hojnie strawę i napitek dawał,
Że mogłeś żyć wygodnie. A ja, świata kawał
Obleciawszy, ot nędzarz, stoję tu przed tobą”.

Podobne rozmowy wiedli jeszcze z sobą,
A potem się przespali krótko, bo różowa
Jutrzenka wnet zabłysła.

Zaś Telemachowa

Czeladź, żagle zwinąwszy na owym noclegu,
Maszt spuściwszy wiosłami dopchała do brzegu
Statek. Kotwicę rzuci, linami przytroczy,
I na brzeg falą bity ochoczo wyskoczy,
Aby strawę uwarzyć, pić ogniste wino.
Kiedy się tak z obiadem i napitkiem zwiną,
Wraz roztropny Telemach rzekł do swej czeladzi:
„Wy odpłyńcie, do miasta łódź się odprowadzi,
Ja zaś skoczę tu na wieś do moich pasterzy,
A gdy wszystko obejrzę, wrócę o wieczery,
I nazajutrz, za wierne usługi w tej drodze,
Sutą mięsną i winną ucztą was nagrodzę”.

Na to rzekł Teoklymen, mąż z boskim wejrzeniem:
„Gdzież pójdę? Czyja strzecha będzie mi schronieniem?
Czy mnie przyjmie kniaź który na skalnej Itace,
Czy mam iść wprost na twoje lub matki pałace?”

Roztropny mu Telemach odrzekł: „W każdym innym
Przypadku dom nasz byłby dla ciebie gościnnym
I miałbyś tam wygodę, lecz dziś o przyjęciu
Nie myśleć; mnie tam nie ma, a matka w zamknięciu
Ciągłe siedzi, a w izbie gaszej też nie bywa,
Tylko w górnych komnatach na krosnach wyszywa.
Wskażę ci więc, do kogo możesz iść bezpiecznie:
Do Eurymacha pójdziesz, ten przyjmie cię grzecznie.
On teraz na Itace ma miru najwięcej,
Mąż dzielny, on o matkę moją najgoręcej
Się dobija, po berło Odysowe sięga.
Nie wiem, jak go osądzi olimpska potęga,
I czy nań przed weselem nie padnie cios krwawy!”

Gdy to rzekł, jastrząb wionął mu od ręki prawej;
W szponach darł on gołębia, ten Feba ptak chyży,
Z góry się posypała siła piór i pierzy
Pomiędzy Telemachem a łodzią padając.

Widział to Teoklymen, i odprowadzając
Na stronę Telemacha, by nie był słyszany,
Za dłoń go ścisnął, i rzekł: „Od boga zesłany
Ten jastrząb przelatywał po twojej prawicy:
Był to ptak przeznaczenia, pełny tajemnicy.
Wieszczy on, że w Itace nigdy nie postanie
Inny ród, li przy twoim będzie panowanie”.
Na to roztropny młodzian: „O gościu mój miły!
Oby się słowa twoje w przyszłości ziściły!
Ja bym cię podarkami obsypał, ugościł,
Iżby twojego szczęścia każdy ci zazdrościł!”

Rzekł i przyzwał Pejraja; z wszystkiej on drużyny
Odznaczał się wiernością, towarzysz jedyny:
„Klytia synu, Pejraju! Ty w drodze do Pylu
Zawsześ spełniał mój rozkaz, lepszyś był od tylu,
Więc zabierz z sobą do dom obcego tu człeka,
Ugość go, poczcij grzecznie, i niech na mnie czeka”.

Na to odrzekł mu Pejraj, sławny kopii miotem:
„Choćbyś się, Telemachu, opóźnił z powrotem,
To go przyjmę, i wdzięczen będzie za przyjęcie”.

Rzekłszy, skoczył na okręt i kazał w okręcie
Brać się wioseł, cumowną odwiązywać linę,
Aż gotową do jazdy zgromadził drużynę.

Telemach zaś, postoły zawdziawszy na nogi,
Leżący na pomoście wziął w garść oszczep srogi
Z miednym grotem. Flisacy linę odwiązali,
Statek odbił, ku miastu popłynęli dalej,
Jak im kazał Telemach, Odysa syn młody,
Którego niosły nogi do onej zagrody,
Gdzie mnogość trzód się chowa, które pastuch strzeże,
Mąż zacny, panom służy i wiernie, i szczerze.

Pieśń szesnasta

Telemachos rozpoznaje Odyseusza

Odys wstał z Eumajosem o porannej chwili,
Przy ogniu roznieconym strawę przyrządzili
I pasterzy wysłali z trzódmi na pastwiska;
A wtem nadszedł Telemach. Zawsze czujne psiska
Łaszą się, nie szczekając. Nie uszło to wzroku
Odysa; słyszał także chód męskiego kroku.
Więc się lotnymi słowy ozwał do pasterza:
„Ktoś tu idzie; zapewne jakiś druh się zbliża
Lub znajomy; pies żaden na niego nie szczeka,
Lecz się łąsi; stąpanie słyszałem z daleka”.

Ledwo skończył, a we drzwiach syn jego kochany
Zjawił się. Skoczył k'niemu pastuch, tak zmieszany,
Że mu dzban, w którym wino miał mieszać z wodą,
Z ręki wypadł, gdy podbiegł witać postać młodą
Swego pana. Całował głowę mu i oczy,
I ręce, aż po licu starca łza się toczy.
Iście tak ojciec syna tuli w swym objęciu,
Gdy z obczyzny mu wraca po latach dziesięciu
Jedynaczek, co tyle troszek go kosztował.
Tak samo Telemacha ścisnął i całował
Wierny pastuch, jak gdyby nieboszczyka witał,
I łkając, tymi słowy lotnymi go pytał:
„Tyżeś to, światło moje, Telemachu miły?!
Gdyś odjeżdżał do Pylos, oczy me zwątpiły,
Czy cię kiedy już ujrzą. Pójdźże tu, kochanku,
Przyjrze ci się, nacieszę, patrząc bez ustanku
W ciebie, wracającego z dalekiej żeglugi.
Tyś tak rzadko nawiedzał twe trzody i sługi,
Siedząc w mieście! Zapewne siedziałeś tam gwoli
Onych gachów zbytników, świadek ich swawoli?”

Na to roztropny młodzian odrzekł: „Dobry tatku,
Ot mnie masz, gdy umyślnie, a nie zaś z przypadku
Przyszedłem cię odwiedzić i spytać, co robi
Matka moja: czy w domu jeszcze? Czy już zdoła
Łoże innego męża Odyseja żona?
A łóżnica po ojcu mym osierocona
Pustką-ż stoi pajęczyn li nakryta siatką?”

Wódz pasterzy Eumajos na to: „Z twoją matką
Zawsze jedno: niezłomna na zamku swym siedzi
Odpierając napaści; dzień i noc się biedzi
I usycha w tęsknicach, łzami wciąż zalana”.

Rzekłszy to, włóczń spiżową odjął z rąk młodziana,
A ten, gdy próg kamienny do izby przestąpił,
Zaraz ojciec Odysej z miejsca się ustąpił,
Lecz go Telemach wstrzymał:

„Gościu! Siedź, gdzieś siedział!
Jest tu miejsce i dla mnie. Ten człek będzie wiedział,
Kędy mnie w swej zagrodzie najlepiej posadzić!”

I Odys usiadł znowu — a pastuch jął łądzić
Siedzenie z miękkich liści, kozuchem nakryte,
Na którym to paniątko siadło znamienite.
Eumajos wraz im przyniósł mięsa misę całą
Pieczonę, co wczoraj z wieczerzy zostało.
Zwinnie kosz pełny chlebów postawił wśród stołu,
W kruż bluszczowy lał wino i wodę pospołu
I naprzeciw Odysa sam już zasiadł ławę.
Jakoż jęli spożywać zastawioną strawę,
A gdy jadła, napitku mieli już do syta,
Tymi słowy Telemach pastucha zapyta:
„Powiedz, tatku, skąd gość ten u ciebie się zjawił?
Jaki okręt do naszej wyspy go dostawił
I z jakiego to kraju są jego flisaki?
Bo przecież przyjąć piechotą nie mógł do Itaki”.

Na to boski Eumajos: „Chcesz wiedzieć, mój synku,

Więc ci opowiem, prawdę czystą, bez przyczynku.
On powiada, że z Krety pochodzi rozległej,
Że nogi jego siła grodów już obiegly,
Gdyż na żywot tułaczy niebo go skazało.
Teraz mu się z tesprockiej nawy ujść udało
Tu, do mojej zagrody. Opiece go twojej
Oddaję; od tej chwili pod skrzydłem twym stoi”.

Roztropny mu Telemach na to odpowiada:
„Wbiłeś mi, Eumajosie, w serce sęk nie lada!
Jakże tego przychodnia w domu mym umieszczę,
Sam młody i ramieniem nie dość silny jeszcze,
By się komu obronić, kto by mnie znieważył?
Co zaś matki się tyczy, tom już zauważył,
Że jej serce się waha, dzieli się na dwoje:
Nie wie, czy ma prowadzić gospodarstwo moje,
Szanować pierwsze łóżce, u ludu być czczoną,
Czy pierwszego z Achiwów onych zostać żoną,
Co goszczą w naszym zamku, a który się stara
O jej rękę i darów składa co niemiara?
Ale tego przychodnia, że jest gościem twoim,
Piękną chłajną, chitonem uczciwie przystroim,
Damy mu i postoly, i miecz obosieczny,
I gdzie go serce ciągnie, odjedzie bezpieczny.
Chcesz-li go zaś u siebie zatrzymać na dłużej,
To przysłę mu odziewek, przysłę zapas duży
Żywności, by nie ciążył tobie ni czeladzi.
Lecz włazić między gachy, tego mu nie radzi
Zdrowy rozum: bo nużby zuchwałe te trutnie
Pohańbili mi człeka? Zgryzłbym się okrutnie;
Jeden przeciw gromadzie takiej nic nie wskóra,
Choćby największy siłacz — przy niej zawsze góra”.

Ozwał się na to Odys, cierpiennik niezłomny:
„Pozwól i mnie dorzucić jeden wyraz skromny.
Jakże mi serce rwie się, gdy wszystko to słyszę,

Co mówicie o gachów zuchwalstwie i pysze
Tam na zamku, na przekór tobie, cny młodzianie!
Powiedz, czyś im sam uległ, czy też Itakanie
Uwzięli się na ciebie, podszczuci przez bogów?
A możeś w braciach swoich znalazł teraz wrogów?
W braciach, na których człowiek spuszcza się najwięcej
W bitwie, a zwłaszcza, kiedy w boju najgoręcej.
O! gdybym tak był młodym, jak mam w piersi ducha,
Lub gdybym był Odysa synem, tego zucha,
Lub nim samym (o, niechby z włóczęgi po świecie
Wrócił już! a że wróci, mam nadzieję przecie),
To choćby łeb mi z karku miał strącić z nich który,
Obces w Odysowego zamku wpadłbym mury
I zuchwalej tej tłuszczy dałbym się we znaki!
Niechby silniejsi liczbą zmoży mnie junaki,
To na własnych mych śmieciach wolałbym dać gardło,
Niż patrzeć, jak hultajstwo to się rozpostarło,
Jak przychodniem pomiata, a dziewczki służebne
Wleczę w pańskie komnaty na te gry haniebne,
Wino toczy, zapasy domu marnotrawi,
Hulanką, pijatyką bawi się a bawi”.

Roztropny mu Telemach na to odpowiedział:
„Wszystko to ci opowiem, przychodniu, byś wiedział.
Ani mi lud itacki nienawiścią płaci,
Ani w tym razie wina pochodzi od braci,
Którym człek podczas bitwy zwykł ufać najwięcej,
Tylko że z woli Zeusa ten nasz szczep książęcy
Stoi jednym potomkiem: Arkejsjos miał syna
Jedynaka, Laerta; ten, dziś starowina,
Miał jednego Odysa; a Odys mnie spłodził
Jednego — i odjechał, ledwom się urodził.
Słodkich pieśczot ojcowskich zaznałem ja mało!
Stąd dom jego aż tylu wrogów najechało:
Bo ilu tu władyków siedzi w naszej stronie,

Czy na leśnym Zakincie, Samie, Dulichionie,
Czy na skalnej Itace włada i rej wodzi,
Każdy, chcąc ślubić matkę moją, dom mój głodzi.
Ona zaś ni odmawia, ni spełnić się śpieszy
Tych ślubów, a tymczasem od drapieżnej rzeszy
DobYTEK mój marnieje; wkrótce i mnie zjedzą.
Lecz jak się to tam skończy, bogi tylko wiedzą!
Śpiesz więc, tatku, i donieś matce Penelopie,
Że z Pylos w dobrym zdrowiu wróciło jej chłopię.
Ja tymczasem zaczekam, aż będziesz z powrotem;
Krom niej, nikomu z onych Achiwów nic o tem
Nie mów; wielu z nich bowiem skrycie na mnie godzi”.

Więc Eumajos mu na to: „Już wiem, o co chodzi
I rozumiem, dlaczego dajesz tę przestroę:
Jednak prawdę mi szczerą powiedz: czy ja mogę
Z wiadomością tą skoczyć zachodem za jednym
I do starca Laerta? Któż by się nad biednym
Nie uzałił! Choć dotąd jadły go zgryzoty
Po synu — w pole chadzał, dozierał roboty,
Chętka mu przychodziła nawet i nierzadko,
Że jadł i pił przy jednym stole z swą czeladką.
Lecz odkąd ty do Pylos puściłeś się w nawie
Jak słyhać, już nic nie je i nie pije prawie.
A w pole nie wychodzi, lecz jęczy i wzdycha
Jak mruk siedząc, aż ciało do kości przysycha”.

Na to rzekł mu Telemach: „Przykro mi i boli —
Lecz zostawmy Laerta własnej jego doli.
Gdyby ludziom szło wszystko gładko, od życzenia,
Ja bym wpierw powrót ojca wybrał bez wątpienia.
Śpiesz się tedy z poselstwem i prosto, na boki
Nie zbiegając do niego, wrócisz tu bez zwłoki.
A tylko matce szepniesz, niech chyłkiem wyprawi
Klucznicę, ta starcowi całą rzecz wyjawi”.

Rzekł i naglił, a pastuch postoił nakłada

I pośpiesza do miasta. Widziała Pallada,
Jak Eumajos wychodził z wrót onej zagrody;
Więc zbiegła, kształt przybrawszy precudnej urody
Smukłej dziewczki, w misternych ćwiczonej robotach,
I stanęła, że widzieć mógł ją tam we wrotach
Sam Odysej. Telemach nie widział bogini:
Bóstwo komu chce zwykle widzialnym się czyni.
Otóż krom Odyseja i psy ją spostrzegły:
Skomląc, lecz nie szczekając, po kątach przyległy.
Wtem ona nań mrugnęła — on spostrzegł mruganie.
I przeszedłszy dziedziniec stanął przy parkanie,
A gdy od niej był blisko, Atena mu powie:
„Laertiado Odysie! Możesz już synowi
Odkryć się, a i wspólną odbyć z nim naradę,
Aby stanąwszy w mieście, zgotować zagładę
Krwawą tym zalotnikom. Teraz się oddalę,
Lecz przyjdę wam pomagać: do bitwy się palę!”

Rzekłszy to, wraz dotknęła go laską złocistą,
I już w mig przyobleczon w chiton, chlajnę czystą
Stał Odys; wrócił dawny jego wzrost wspaniały,
Ślady bladej starości naraz poczerniały,
Wypełniły się czerstwą młodością jagody,
W ciemne uwil się skręty włos srebrzystej brody.
Spełniwszy to, odeszła. Odys przemieniony
Gdy wrócił do szałas, ujrzał go zdumiony
Syn i wzrok spuścił myśląc, że na boga patrzy,
I tak się doń odezwał:

„Teraz ty inaczej
Wyglądasz, mój przychodniu, niż wpierw cię widziałem:
Inne suknie, i zmiana jakaś w tobie całym.
Zaprawdę, tyś jest bogiem, mieszkasz w górnym niebie!
Zmiłuj się! Wnet obiatą hojną uczczę ciebie,
Dam ci złotą ofiarę. Zmiłuj się nad nami!”

Boski Odys takimi odparł mu słowami:

„Jam nie bóg, i nie mogę równać się z niebiany.
Jam twój ojciec, twoimi łzami oplakany,
Dla któregoś wycierpiał tyle, duchem mężnym
Opierając się łotrom na nasz dom sprzysiężnym”.

Rzekłszy to, pocałował syna; łza po licach
Mu pobiegła, choć długo więził ją w źrenicach.
Ale syn, choć go widział, uwierzyć nie zdołał,
Że to ojciec, i trwożny do niego zawołał:
„Tyś nie ojciec mój, Odys! To zły duch zapewne
Zwodzi mnie, bym się martwił, łzy wylewał rzewne.
Gdy człek nigdy rozumem dokazać nie może
Tego cudu, widocznie jest w tym ramię boże,
Żeby w mgnieniu przemieniać starce na młodziany.
Przed chwilą był dziad z ciebie, okryty w łachmany,
Teraz bożek, mieszkaniec niebieskiego gmachu”.

Odys mu odpowiedział: „O mój Telemachu!
Przerażać się i dziwić tobie czyż przystoi,
Kiedy własny twój ojciec przed tobą tu stoi?
Innego się Odysa nie spodziewaj widzieć:
Jam jest ten, co się długo miał błąkać i biedzić,
By po latach dwudziestu wrócił w kraj ojczysty.
Sprawa to Atenei, mojej oczywistej
Opiekunki, gdyż ona jak chce mnie przemienia.
Tylko co byłem żebrak odarty z odzienia,
Teraz masz mnie mołojcem, w stroju ślicznie lśniącym.
Łatwo bóstwom, w szerokim niebie mieszkającym,
Bądź w proch zetrzeć człowieka, bądź stawić na szczycie!”

Powiedziawszy to, usiadł. Młodzianek w zachwycie
Do serca cisnął ojca, łez wylewał strugi.
Rozbolał się, rozrzewnił, tak jeden, jak drugi.
Obaj głośno szlochali, kwiląc jakby ptaki,
Jastrzębie albo sępy, kiedy im chłopaki
Z gniazd wydrą nieudolne do lotu piskłeta:
Tak kwiliły, zawodząc, oba niebożęta,

Że i słońce by zaszło, oni nie przestali,
Gdyby syn nie zapytał:

„Wyście się dostali
Na jakim tu okręcie? I jakie flisaki
Przywieźli cię, mój ojczy, do naszej Itaki?
Przecież to niepodobna, byś przyszedł piechotą!”
Więc mu odrzekł Odysej!

„Gdy mnie pytasz o to,
Bez ogródki najczystsą prawdę ci wyjawię:
Feaki mnie na swojej odwieźli tu nawie.
Zwykle, kto ich się prosi, odwożą każdego,
Więc i mnie tak odwieźli przez morze, śpiącego,
Aż na brzegi itackie; podarek bogaty
W miedzi, w złocie mi dali i prześliczne szaty.
Wszystkom z rozkazu bogów przechował w jaskini,
Tu zaś jestem na rozkaz Ateny bogini,
By się tobą naradzić, jak by znieść te wrogi.
Powiedz mi, ilu ich tam? Czy poczet ich mnogi?
Chcę wiedzieć, co za jedni i skąd te zuchwalce?
Muszę się wprzód namyślić dobrze o tej walce,
Czy sami, bez pomocy przyjaciół, uderzem,
Czyli też nam wypadnie związać się przymierzem?”

Więc roztropny Telemach rzekł doń tymi słowy:
„Ojczy! Wciąż o twej sławie słyszałem bojowej,
O ramieniu do kopii, o głowie do rady —
Lecz czyś nie rzekł za wiele i nie bez przesady,
Aby we dwóch się porwać na ten tłum siłaczy?
Gdyby ich tam dziesiątek, dwa nawet — cóż znaczy!
Ale bo to gromada! Policz sam ich siły,
Jakie z sąsiednich wysep na dom się zwaliły:
Z Dulichionu pięćdziesiąt i dwóch dziarskiej młodzi,
I sześciu pacholików, co koło nich chodzi;
Z Same dwudziestu czterech; z Zakintu leśnego
Dwudziestu masz Achajów; dodajmy do tego

Dwunastu Itakanów, wszystko kwiat młodzieży;
Medon keryks i pieśniarz do nich też należy;
Okrom nich dwaj krajczowie służą im przy stole.
Gdybyśmy takiej kupie w zamku dali pole,
Kto wie, czy miasto zemsty klęska nas nie czeka!
Radziłbym przeto w pomoc przybrać więcej człeka;
Pomyśl raczej, kto mógłby poprzeć nas ramieniem?”

Odparł mu na to Odys, niezłomny cierpieniem:
„Zważ na każde me słowo, niech darmo nie pada!
Czyż mało, gdy nas wesprą Kronion i Pallada?
Czy chcesz może lepszego szukać sprzymierzeńca?”

Na to wyszła odpowiedź taka z ust młodzieńca:
„Wielkie masz pomocniki, ojciec mój, nie przeczę,
Siedzące tam w obłokach, bo losy człowiecze
I bożyszcz spoczywają w ich wszechmocnej dłoni!”

Odysej znów mu na to: „Bądź pewien, że oni
Nie zostawią nas samych w tej potrzebie krwawej,
Kiedy na zamku naszym przyjdzie do rozprawy
I bój będzie rozstrzygał między mną a nimi.
Ty zaś pójdziesz z jutrzeńki brzaskami pierwszymi
Do miasta i zabawisz gachy pogawędką;
Ja z pastuchem po tobie nadejdę tam prędko
W postaci znędniałego żebraka i dziada.
A jeśli mnie lżyć pocznie w zamku ta gromada,
To znoś obrazę moją, choćby ci zuchwali
Za nogi mnie z własnego domu wywlekali
Lub ciskali czym na mnie; znośże to statecznie.
Jednak wprzód możesz słówkiem napomnieć ich grzecznie,
Aby się hamowali; lecz wzgardzą przestrogą,
Wiem o tym — bo dnia śmierci swojej ujść nie mogą.
Jeszcze jedno: a niech to zostanie przy tobie.
Gdy rajczyni Atene podda mi na dobie
Myśl swą tajną, natychmiast skinę głową na cię...
Co widząc, wraz oręże, jakie w izbie macie,

Powynosisz i zamkniesz tam w górnym skarbczyku.
Gachy, gdy się spostrzeżą, wraz narobią krzyku.
Ty im mów, żeś te bronie na miejsce osobne
Z dymu wyniósł, bo już się stały niepodobne
Do tych, co po odjeździe Odysa zostały,
Od kopcia ogniowego, tak bardzo szerniały.
Mów, co większa, że Kronid szepnął ci do duszy,
Że o zwadę nietrudno, gdy się łeb zaproszy,
A do zwady dojść może i do krwi przelania.
To by gdy zepsuło, nie mniej jak starania
O rękę Penelopy — wszak pociąg do męża
Ma żelazo... Lecz dla nas zostaw z tych oręży
Dwa miecze, dwa oszczepy, dwie tarcz z byczej skóry,
By je chwycić, gdy przyjdzie napaść na nich z góry.
Pewnie ich Zeus z Ateną oślepią na razie.
Lecz ty jeszcze o jednym pamiętaj zakazie.
Jeśliś syn mój, szlachetne masz w sercu zarzewie,
To, że Odys powrócił, niech żywy nikt nie wie,
Nawet Laertes, nawet zacny nasz pastucha;
Niech to nie dojdzie nawet Penelopy ucha.
Nas dwóch wie tylko — bowiem zbadać nam wypada
Dworskie dziewki, parobki; ten, ów coś wygada,
I dowiemy się, kto nam wiernym sercem służy,
A kto zdradza i przeciw twej władzy się burzy”.
Więc Telemach w tych słowach ojcu odpowiedział:
„Odtąd poznasz mnie lepiej, ojcze! będziesz wiedział,
Jakim jestem; żem nie płoch ani też ladaco.
Wszakże wątpię, czy prośba ta przyda się na co
Nam obydwom. Zważ ino, jaki by czas długi
Trzeba chodzić z osobna wypytować sługi
I podglądać, co robią, kiedy ci bez sromu
Marnotrawią w najlepsze mienie twego domu.
Zmacać umysły niewiast — zgoda! to rzecz inna
Wiedzieć, która nas zdradza, a która niewinna.

Lecz po czeladnych izbach chodzić, badać czeladź,
Dziś nie pora, na później możemy to przelać,
Chyba żeć Zeus egidny inaczej ostrzegał”.

Na takich rozhovorach dzień dla nich ubiegał.
Tymczasem do itackiej przystani zawinął
Okręt, którym Telemach z Pylosu przypłynął.
Druhowie, gdy w głębokiej przystani stanęli,
Zaraz wyciągać nawę na suchy brzeg jęli.
Służba wnet wypróżniła, czym okręt ładowny.
Do Klytia upominek zniesiono kosztowny.
Już i keryks na zamek Odysów wysłany
Z wieścią do Penelopy, o syna stroskanej,
Że już wrócił, lecz na wsi został, tylko łodzi
Kazał płynąć do miasta. Wiadomość złagodzi
Smutek jej i lzy otrze stęsknionej niebodze.
Jego pastuch Eumajos spotkał był po drodze,
I obydwaj wiadomość jedną jej przynieśli.

A tak, kiedy w królewski zamek obaj weszli,
Keryks wobec zebranych białogłów tak prawil:
„Królowo! Twój syn wrócił, na wyspie się zjawił!”

Po nim pastuch przystąpił i mówił z królową:
Wszystko, co mu syn zlecił, oddał słowo w słowo,
A gdy się ze wszystkiego, co przyniósł, pozwierał,
Wracając do trzód swoich, z wrót zamku wybieżał.

Przeraziło to gachy; trwogi cień ponury
Padł na nich — przed zamkowe zaraz wyszli mury,
Posiadali i radzić zaczęli u bramy.
Eurymach, syn Polyba, rzekł im: „Otóż mamy!
Telemach odbył podróż, dokonał rzecz śmiałą;
Nie sądziliśmy nigdy, by mu się udało.
Dalej więc! Łódź najchyższą wyprawić na morze
Z tęgimi wiosłarzami! Niech pędzi, co może,
I tamtych uwiadomi, by wracali do dom”.

Tak rzekł; wtem Amfinomos twarz zwrócił ku wodom

Tam w zatoce, i nawę ujrzał w pełnym biegu,
Z żaglem zwisłym, wiosłami pędzoną do brzegu.
Śmiechem parsknął, i mówił do drużyny swojej:
„Nie trzeba już posyłać; okręt w porcie stoi.
Bóg ich natchnął widocznie lub też sami oni
Widząc żagiel, nie mogli dopaść go w pogoni”.

Zerwali się gachowie i poszli gromadnie
Na brzeg, gdzie łódź na suszę wyciągnąwszy snadnie,
Dali sługom wypróżnić ładowne jej boki.
Stamtąd potem na rynek skierowali kroki
I zrobiwszy tam koło, innych nie wpuścili
Ani starych, ni młodych, by z nimi radzili.

Antinoj, syn Eupejta, tak rzekł zgromadzonym:
„Dziw mi, jak on się wymknął sidłom zastawionym?
Snadź bóstwa go ostrzegły; przecież z szczytu wzgórzy
We dnie go śledził poczet czuwających stróży,
A w noc lotny nasz okręt wciąż po morzu krążył
Do rana, by Telemach uciec nam nie zdążył
I śmierć poniósł. Lecz widać, że bóstwa go strzegą,
Kiedy do dom powócił. Co bądź, tu śmierć jego
Musimy przygotować — już się nie wyśliznie!
Bo dopóki on żyje, nikt z nas ani liźnie
Tego, czego tak pragniem. Dzieciak to układny
I zna się się chytrościach; a jaki poradny!
Zresztą i lud nie całkiem sprzyja nam jak wprzód.
Zabić go, nim achajskie na wiec zwoła ludy:
Ręczę, że niezadługo chwila ta nastąpi.
Wtenczas gniewem wybuchnie, przeciw nam wystąpi,
Winiąc o skrytobójstwa zamach, choć chybiony;
Gwałt ten przez wszystkich zgoła bywa potępiony.
To złe na nas się skrupi: z ojczyzny wypędzą
I każą na obczyźnie łamać się nam z nędzą.
A więc pierwej go zgładźmy, gdzie bądź w ręce wpadnie,
Czy na wsi, czy tu w mieście, a potem przykładnie

Podzielim się majątkiem. Matce się przeznaczy
Zamek oraz mężowi, którego wziąć raczy.

Jeśli wam rada moja nie w smak, przyjaciele,
A chcecie, by Telemach żył na swym udziale
Dziedzicznym, po-ojcowskim — to nie wiem, dlaczego
Siedzimy tu taborem, chłonąc mienie jego?
Czyż nie słuszniej, by każdy wprost ze swego domu
Podarki jej posyłał? Ona musi komu
Dać pierwszeństwo i pojąć, kogo bóg wybierze!”

Tak mówił, lecz nikt głosu nie zabrał w tej mierze,
Li Amfinom krótkimi odezwał się słowy,
Syn Nisosa, potomek ze krwi Aretowej,
Który tu z pszenicznego przybył Dulichiona,
Czoło gachów. Mowami jego zachwycona
Nawet i Penelopa — mąż niepospolity!
Wstał on i tak przemówił:

„Potępiam ten skryty
Zamach na Telemacha, towarzysze moi!
Kto zgładza szczep królewski, boga się nie boi.
Raczej nam wolę bogów wpierw poznać wypadu;
Jeśli na to zezwoli nieśmiertelna rada,
Wtedy sam go zabiję, każdy zabić może;
Lecz nie wolno uprzedzać nam wyroki boże”,

Zgromadzeni te słowa przyjęli ze smakiem
I w zamek Odyseja ruszyli orszakiem,
A przyszedłszy, rząd krzeseł zajęli junaki.

Wtem w głowie Penelopy powstał zamiar taki,
Żeby samej wystąpić przed zuchwałych gachów;
Doniósł bowiem jej Medon, świadomy zamachów,
Jakie niebezpieczeństwo grozi głowie syna.
Zeszła do nich, a za nią panienek drużyna.
Gdy stanęła przed nimi postać jej wspaniała,
W progu szczytnie sklepionej izby się wstrzymała
I na lice namiotkę zapuściwszy z głowy,

Łajęła Antinoja donośnymi słowy:

„Ty szalbierzu, warchole! Choć wszyscy cię cenią
I co najlepszym w rzędzie równienników mienią
Tak rozumem, jak mową — lecz bajka to taka!
Mów! Dlaczego chcesz śmiercią zgładzić Telemaka
I pomiatasz nieszczęściem, które bóg ma w pieczy?
Grzeszy, kto jest przyczyną niedoli człowieczej!
Czyś zapomniał, jak ojciec twój, przez lud ścigany,
Skrył się u nas? Bo srodze był lud rozgniewany
Za to, że z tafijskimi związał się łotrzyki
I Tesproty rabował, nasze sojuszniki.
O, tak! Chcieli go zabić, wypruć mu wnętrzności,
Mienie zniszczyć, zagrabić wielkie posiadłości!
Lecz Odys pohamował tłumy rozjuzzone.
Ty w odwet chcesz mu zniszczyć mienie, porwać żonę,
Syna mu zamordować, mnie na śmierć zasmucić!
Przestań, przebóg! i drugich staraj się odwrócić”.

Syn Polyba, Eurymach, odparł jej w te słowa:

„O mądra Penelopo, córo Ikariowa!
Pociesz się, twoja żalność niech się ułagodzi:
Taki się nie urodził ani nie urodzi,
Co by śmiał Telemacha pozbawić żywota;
Pókim żyw, póki dzienna świeci mi jasnota,
Ręczę ci, że wykonam pogrózkę niemarną:
Z takiego bym wytoczył oszczepem krew czarną.
Czczę ja pamięć Odysa: on to mnie, bywało,
Sadzał na swych kolanach, i dziecinę małą
Karmił mięsem, i wino podawał mi w czaszy.
Przeto twojego syna z wszystkiej młodzi naszej
Najbardziej kocham. Niechże śmierci się nie lęka
Od nas, gachów — chyba go dotknie boża ręka”.

Tak ją cieszył, a w duchu stał mu już na zdradzie.
Ona odeszła do swych pokojów na gadzie
Opłakiwać małżonka — i długo płakała,

Aż Atene ją słodkim snem ukołysała.

Wieczorem do Odysa i do jego syna
Wrócił pastuch. W szałasie była krzątająca
Przy obiadzie ze świeżo zarzniętym prosięciem,
Gdy przed chwilą Atene weszła i dotknięciem
Różdżki znów Odyseja w starość i łachmany
Przyoblekła, ażeby nie był on poznany
Od pastucha, który by natychmiast biegł w tropy
Donieść o tym, co widział, wprost do Penelopy,
I wydał tajemnicę.

Węc syn Odysowy,
Ujrawszy Eumajosa, powitał go słowy:
„Wracasz, mój ty pocziwcze! Co tam słyhać w mieście?
Czy już gachy z zasadzki powrócili wreszcie?
Czy jeszcze na mój przejazd czatują w przesmykach?”
Na to odrzekł mu pastuch; „Nic o tych zbytnikach
Nie wiem; a gdym przechodził miasto, nie pytałem
Nikogo, tylko pilnie na zamek pogałem,
By panią uwiadomić i wrócić tu wcześniej.
Idąc, keryksa-m spotkał, jak również niósł śpiesznie
Wiadomość od twych druhów posłaną do matki.
Oprócz tego, a oczy własne mam za świadki,
Kiedym wzgórek Hermesa tuż pod miastem mijał,
Ujrzałem lotny okręt, jak w przystań zawijał,
A na pokładzie stali wszystko tędy chłopi,
I było tarcz tam dużo i dwoistych kopij:
Zdaje się, że to oni; choć może w tym nie ma
Nic pewnego”.

Gdy skończył, Telemach oczyma
Zerknął na swego ojca nieznacznie, z uśmiechem,
By nie spostrzegł Eumajos. I zaraz z pośpiechem
Jęli znowu przy ogniu przyrządzać jedzenie.
Wnet ochocze do stołu siadło zgromadzenie,
A jadłem i napitkiem pokrzepiwszy siły,

Szli spocząć, i każdego przytulił sen miły.

Pieśń siedemnasta

Telemachos wraca do miasta Itaki

Ledwo z mroków różana jutrzienka wystrzeli,
Telemach, syn Odysów, zerwał się z pościeli;
Białe stopy w postoly ozuł i wnet potem
Kopię w dłoń przystającą wziął z dwusiecznym grotem,
I pastuchowi myśl swą odchodząc tłumaczył:

„Tatku! Idę do miasta, bym matkę obaczył,
Bo ona — o, wiem ja to! — trapi się i wzdycha;
U niej z ustawnych płaczów oko nie osycha,
Póki mnie nie obaczy. Ty zaś za rozkazem
Moim pójdziesz do miasta z tym biedakiem razem,
Żeby sobie tam zebrał; ten i ów mu przecie
Da kęs chleba, łyk wina. Mnie bieda zbyt gniecie,
Żebym brał sobie na kark każdego biedaka;
Lecz jeżeli pogniewa kogo mowa taka,
Tym-ci gorzej dla niego; ja prawdy się trzymam”.

Na to odrzekł Odysej: „Ja też chęci nie mam,
Drogi mój, tutaj siedzieć dłużej między wami.
Łatwiej w mieście niż na wsi; niejeden coś da mi
I z łaski nie odmówi żebrakowi strawy.
Za stary ja już na wieś i do pracy krwawej,
Bym robił, co się panu mojemu podoba;
Ty idź, a my z pastuchem wnet ruszymy oba.
Lecz wprzód chciałbym się ogrzać; cieplej też na dworze
Zrobi się, bo ten łachman ogrzać mnie nie może;
Chłód zdrowiu wadzi, a stąd do miasta daleko”.

Tak mówił, a Telemach i szybko, i lekko
Z zagrody wybiegł, myśląc o zagładzie gachów.
Niebawem, gdy już stanął u wspaniałych gmachów,

Drzewce oparł o słupek i wraz próg kamienny
Przekroczywszy, był w izbie wysokosklepiennej.

Eurykleja piastunka najpierw go zoczyła,
Gdy ozdobne siedzenia skórąmi mościła,
Więc z płaczem k'niemu biegła; inne służebnice
Rzuciły się też za nią całować mu lice
I ręce, i panicza witać po kolei.

Wtem z komnat wyszła postać cnej Penelopei
Podobna Artemidzie, złotej Afrodycie.
Ta objąwszy w ramiona syna łzą obficie
Zrosiła, w oba oczy, lice całowała
I głośno łkając tymi słowy go witała:

„Wracasz mi, Telemachu, wracasz, mój jedyny!
Zwątpiłam, czy cię ujrzę — wszak z twojej to winy,
Żeś wbrew woli matczynej popłynął do Pylu
Dla odszukania ojca tam, po latach tylu.
Opowiedz, coś w tej drodze widział? Jakie wieści?”

Na to rzekł Telemach: „Nie budź mych boleści,
Matko moja! Żal próżny serce by mi skrwawił!
Po cóż! Kiedym od pewnej śmierci się wybawił.
Raczej wykąp się, schludnie przyodziej sukienki,
A zebrawszy w komnatę górną twe panienki
Ślubuj dać wszystkim bogom sowitą ofiarę,
A może Zeus na gachy ześle słuszną karę.
Ja sam idę na rynek za owym przybyszem,
Który w tej tam podróży był mym towarzyszem;
Lecz go naprzód wysłałem na łodzi z drużyną,
Zleciwszy Pejrajowi, by go wziął gościna
W dom swój, z czcią podejmował, aż wrócę do miasta”.

Tak rzekł — a woli syna powolna niewiasta
Poszła wziąć kąpiel, w szatki przyoblec się czyste,
Ślubować hekatombę bogom uroczyste,
Jeśli Zeus da jej odwet za gwałt wycierpiany.

I Telemach zamkowe opuszczał już ściany

Z kopią w dłoni; tuż za nim biegły lotne pieski.
Atenea nań urok rozlała niebieski,
Że gdy szedł, gmin się dziwił postaci uroczej.
Wnet też butny tłum gachów do niego się tłoczy,
Grzecznie wita, lecz w sercu knuje same zdrady.
Telemach przeszedł mimo tej gaszej gromady
I kędy Haliterses, Antif, Mentor stary,
Od ojca przyjaciele, a z nim dobrej wiary,
Siedzieli, tam się zwrócił, siadł przy nich na ławie.
Ci go wypytawali o wszystko ciekawie.
Nadszedł wreszcie i Pejraj, kopijnik jak mało,
Prowadząc z sobą gościa. Tego wypadało
Powitać, i Telemach biegł już ku gościowi,
Gdy Pejraj w drogę wchodząc rzekł Telemachowi:
„Przyślijże dziewczki dworskie do mojej tam chaty
Niech zabiorą złożony u mnie sprzęt bogaty,
Dar Meneli”.

Telemach na to mu odrzuci:

„Przyjacielu! sam nie wiem, jak się to obróci.
A nuż by mnie w tym domu zuchwalce napadli
I zabiwszy, majątek między siebie skradli?
Wolę, byś ty go użył, niżeli z nich który.
Lecz jeśli na mnie padnie łupić ich ze skóry,
To odnieś, bym wesoły więcej się ucieszył”.

Rzekł i zabrawszy gościa w zamek wraz pośpieszył.
A kiedy już do komnat mieszkalnych wstąpili,
Obaj z siebie chitony na krzesła rzucili:
Zaraz weszli do łaźni, w wygładzone wanny,
Gdzie oliwą wytarłszy ich służebne panny
Przyoblekły w chitony i chłajny wełniane.
Po czym szli zająć miejsca im przygotowane.
Wnet też jedna z dziewczeczek wniosła w złotym dzbanie
Wodę do rąk umycia i lała ją na nie
W podstawioną miednicę, stoliczek przed nimi

Przysunąwszy. Klucznica przyszła z przeróżnymi
Przysmaki, swoich gości hojnie częstująca.

A Penelopa, we drzwiach świetlicy siedząca,
Pochylona na krześle przędła cienkie nici.

Tymczasem smacznym jadłem każdy rad się syci,
A gdy się już najedli, napili do syta,
Tak mądra Penelopa ozwie się i spyta:

„Synu! Mamże do siebie na górę tam wrócić
I znowu się na łożę łzami złane rzucić,
Które wylewam, odkąd wraz z Atreja syny
Mąż mój poszedł na Ilion? Czemuż, mój jedyny
Nie chcesz, nim się tu zejda ci zuchwali gburzy,
Opowiedzieć o ojcu, coś słyszał w podróży?”

Na to odparł Telemach, mówiąc tymi słowy:
„Opowiedzieć ci wszystką prawdę jam gotowy:
Najpierw my do Nestora, ten rzeszom przywodzi,
Do Pylosu zabiegli. Przyjął mnie najśłodziej
Starzec na swoim dworze; był dziwnej czułości,
Jakby ojciec dla syna, co po niebytności
Długo do dom powraca: tak dla mnie był dobrym
Wraz z dzielnymi synami. A jednak o chrobrym
Odysie nic nie słyszał od ludzi w tym czasie,
Czy żyje, czy nie żyje. Więc w pięknej kolasie
Rumakami zaprzężnej słał mnie do Atrydy
Menelaja, sławnego w boju rzutem dzidy.
Poznałem tam Helenę, przez którą Trojanie
I Argowie wycierpieć mieli niesłychanie.
Menelaj grzmigłos pytał mnie zaciekawiony,
Co mogło mnie przypędzić do Lakedajmony.
Opowiedziałem prawdę całą najdokładniej,
A on na to zawołał: — Bogowie wszechwładni!
Tożby w łożę człowieka tak męznego serca
Miałby wnąć się podły i tchórzliwy wdzierca!
Tak samo miot swój drobny łania się odważa

Złożyć gdzie w legowisku lwa, pustyń mocarza,
I odbieżawszy małe, szuka sobie trawy
Po górach i dolinach — a wtem lew z wyprawy
Wraca i ssący pomiot podusi szkaradnie:
Tak samo i Odysej kiedyś na nich spadnie...
Ojczyźnie! Ateno! Febie-Apollinie!
Sprawcie, jak ongi w Lesbu bogatej krainie,
Kiedy on się w zapasy wziął z Filomelidem
I o ziem przeciwnika zwał z jego wstydem,
A uciechą Achiwów — niechby w tej postawie
Zalotnicy ujrzeli Odysa na jawie!...
Krótki byłby ich żywot — swaty w gardle kością —
Lecz na to, o coś pytał z taką ciekawością,
Dam niełżywą odpowiedź i w szczerości ducha
Powtórzę, com z ust słyszał morskiego starucha,
I z jego przepowiedni dam słowo po słowie:
Jak smutnego witezia widział na ostrowie
U Kalypsy, bogini — jak gwałtem go trzyma,
A on rwie się do domu; lecz próżno się zżyma,
Bo tam nie ma ni człeka zdolnego do wiosła,
Ni łodzi, by po grzbiecie morskim go przeniosła. —
Tak mi mówił Menelaj on oszczepomiotny.
Sprawiwszy to, wracałem; bogowie mi lotny
Wiatr na okręt zesłali, podróż się udała”.
Skończył — a ze wzruszeniem matka go słuchała,
Gdy boski Teoklimen podjął po nim słowo:
„Małżonko Laercjada, o cna białogłowo!
Nie dosyć on tam widział, jest coś więcej jeszcze,
Ja ci nic nie ukryję i przyszłość wywieszczę.
Świadkiem Zeus mi, to święte Odysa ognisko,
Stół gościnny, gdzie tułacz znalazł przytulisko —
Że Odys jest w ojczyźnie, bądź gdzie skryty siedzi,
Bądź ukradkiem ruiny domu swego śledzi,
I już się przyspasabia na gachów wycięcie.

To wszystko mi objawił, gdym był na okręcie,
Znak niemylny — jam wskazał go Telemachowi”.

Na to mu Penelopa rozumna odpowie:
„Oby to, coś rzekł, gościu, stało się w istocie!
Jakżeż bym gościnnością i darami w złocie
Nagrodziła! Szczęśliwym człkiem by cię zwano”.

W ten sposób tam o różnych rzeczach rozmawiano.
Gachy zaś, zgromadzone w podwórzu zamczyska,
Bawili się ciskaniem oszczepu i dyska
Na miejscu zwykłych igrzysk pięknie brukowanym.
Lecz kiedy na południu z bydłem pospędzanym
Z łąk wracali skotarze, wiodąc je za sobą,
Rzekł do nich keryks Medon, który swą osobą
Miał mir u zalotników i z nimi godował:

„Panowie, niechby każdy tym grom już folgował
I do izby powracał obiad przygotować,
Bo ten w porze właściwej lepiej zwykł smakować!”
Na te słowa gachowie z swych miejsc się schwycili,
A gdy obszerną izbę sobą napełnili,
Porzucawszy chitony na krzesła i stolki
Nuże rzezać barany i tuczne koziołki,
Także i karmne wieprze, toż ze stada wołu
Dla siebie na biesiadę.

Odysej pospołu

Z Eumajosem do miasta byli na wychodzie,
Gdy do niego rzekł pastuch, gospodarz w zagrodzie:

„Przychodniu! Ty do miasta masz iść niemieszkanie,
Bo tak pan mój rozkazał, a więc się tak stanie.
Wszakże ja bym cię wolał stróżem mieć w oborze,
Jedno pana się boję, złażałby mnie może;
Rzecz przykra połajanie pańskie ciągle znosić.
A więc w drogę! Już nawet dnia ubiegło dosyć,
Nierad bym cię narazić na chłodek wieczorny”.

Na to mu odpowiedział Odysej przezorny:

„Pojmuję i rozumiem, jako za rozkazem
Aż do samego miasta masz ze mną iść razem.
Więc chodźmy, tylko w rękę daj jakie kijisko
Do podparcia, bo pewnie na ścieżkach tam ślisko!”

Rzekł i na grzbiet zarzucił łątami świecące
Biesagi, co wisiały na lichej plecionce,
A Eumajos mu w rękę włożył kostur spory;
I tak wyszli obydwaj, a na straż obory
Zostały psy i czeladź. Prowadził więc króla,
A ten, jak dziad żebrzący, we dwoje się skuła,
I wlecze się o kiju, okryty w łachmany.
Owoż krocząc po ścieżce kamieniami zasianej,
Weszli w miasto; stanęli u cembrzyn krynicy
Misternych, gdzie brał wodę mieszkaniiec stolicy.
Itak, Nerit, Polyktor wznieśli ową studnię,
Którą wilgoć lubiące topole przecudnie
Ocieniały dokoła, a chłodny ze skały
Zdrój tryskał. Nieco wyżej ołtarzyk był mały,
Poświęcony boginkom; przechodzień tam stawał
I cześć obiatowaniem boginkom oddawał.

Syn Doliosa Melantios właśnie szedł od wody,
Pędząc z dwoma pastuchy samo czoło trzody,
Najpiękniejsze koziołki, dla gachów na kuchnię.
Ten ledwie ich obaczył, grubiaństwem wybuchnie
Obelżywym, aż serce zawrzało w Odysie:
„Nicpoń wiedzie nicponia! To podoba mi się!
Zawsze znajdzie swój swego i z nim się pobrata!
Gdzież to z tym pasibrzuchem wleciesz się u kata,
Z tym dziadygą, co godom wesołość odbiera,
We drzwiach staje i odrzwia plecyma wyciera
Na okruchy łakomy, a wstręt ma do mieczy?
Daj mi go! Straż nad stajnią oddam jego pieczy,
Będzie mi ją zamiatał, kozom nosił trawę,
Na serwatce utuczy cielsko chuderlawe.

Ale że to pędziwiatr, więc nie wiem, czy zechce
Rąk do pracy przyłożyć — takim się nic nie chce,
Jedno łączyć z wsi do wsi po chlebie żebraczym.
Więc się stanie, co powiem — sami to zobaczym...
Że jeśli on tam wlezie w progi Odysowe,
Mołojcy grad podnóżków sypną mu na głowę,
A niejeden zawadzi o żebro włóczęgi”.

Tak mówił i mijając zadał mu raz tęgi,
Nogą w biodro kopnąwszy. Odys stał jak wryty
I z ścieżki nie ustąpił. Tylko w głębi skryty
Zamiar ważył; czy ma wziąć zuchwalca na kije,
Czy podniósłszy go w górę, łeb o ziem rozbije?
Lecz się przemógł i zniósł to. Pastuch zaś nakiwał
Zuchwalcowi i wzniósłszy dłonie, bogów wzywał:

„O boginki źródlane, o córky Zeusowe!
Jeżeli dawniej Odys lędźwie niejałowe
Z kóz i jagniąt najlepszych żertwował wam zawsze,
To spełńcie moją prośbę, bądźcie mi łaskawsze:
Niechby witeż nasz wrócił, a bóg mu pomagał!
On by za to pyszałstwo dobrze cię wysmagał;
Nie dworowałbyś więcej, ty miejski włóczęgo,
A strzegł trzody, ginącej pastuchów mitręgą”.

Na to koziarz Melantios dał odpowiedź taką:
„I ty śmiesz odszczekiwać mnie, chytra sobako?
Jeszcze ja cię z Itaki na wioślanej łodzi
Wywiozę, sprzedam komu; zysk mi to nagrodzi.
Oby Apollon z łuku tak na pewno mierzył
Lub Telemach, na zamku uśmiercon, dziś nie żył,
Jak to pewna, że Odys dawno leży w ziemi”.

Rzekł i odszedł; ci za nim szli kroki wolnemi.
On zaś śpieszył na zamek w królewskie pokoje,
Gdzie wszedł i w gronie gachów zajął miejsce swoje
Naprzeciw Eurymacha, z którym rad przestawał.
Wraz służba przed nim mięsa postawiła kawał,

Chleb klucznicą. Zajął. A właśnie w tej chwili
Boski pastuch z Odysem na zamek wchodzili.
Dźwięk drążonej formingi rozlegał się w ciszy;
Stanęli: pieśń Femiosa gęźbie towarzyszy.

Wtem rzekł Odys, pastucha chwytając za ramię:

„To pewnie dwór Odysa; sam widok nie kłamie.
Łatwo poznać z wszystkiego, co uderza oko:
Gmach tutaj ponad gmachem piętrzy się wysoko,
Szczytny mur blankowany obiega dokoła
Otaczając dziedziniec, a brama od czoła,
O podwójnych wrzeciędzach, mocno go zamyka.
Dwór to najdumniejszego godny śmiertelnika.
Co większa, gdy widzę i liczne zebranie
Mężów; woń zalatuje, i formingi granie
Słyszę — obejść się bez niej mogłaby biesiada?”

Na to pastuch Eumajos te słowa powiada:

„Zgadłeś; widać, że rozum masz w każdym przypadku.
Lecz pomyśl, co nam począć wypadnie, mój dziadku:
Czy ty wnijdiesz tam pierwszy w progi ci nie znane,
Prosto pomiędzy gachy, a ja tu zostanę —
Czy też tutaj poczekasz, a ja pierwej wnijdę.
Wždy niedługo, bo nużby wpadłbyś w jaką biedę,
Zobaczyłby cię który i cisnął kamieniem?
Radzę więc ten przypadek brać z zastanowieniem”.

Na to odrzekł Odysej, cierpieć niezlomny:

„Miarkuję i rozumiem, co chcesz, rad twych pomny.
Idź więc pierwszy: ja tutaj zostanę na dworze;
Do bicia i pocisków już ja nawykł może.
Umiem cierpieć, bo wiele wycierpiał na wojnie
I na morzu: więc zniosę i ten cios spokojnie.
Głód najtrudniej jest znosić, gdy żołądek krzyczy;
On nas tyle nabawia cierpień i gorczy,
Przezeń na mórż pustkowie uzbrojone nawy
Wyprawiają, by zbierać na wrogach łup krwawy!”

Kiedy taki rozhovor wiódł Odys z pastuchem,
Pies leżący tam blisko łeb podniósł, strzygł uchem.
Był to Argos, którego sam Odys wychował,
Lecz nie użył, gdyż wcześniej on był pożeglował
Pod Troję. Potem chłopcy go na polowanie
Brali w góry na kozy, zające i łanie.
Teraz leży wzgardzony, gdy nie stało pana,
Na kupie, co spod mułów i krów wyrzucana
Zalega koło bramy; gnojem tym nawożą
Parobcy pola pańskie i pożytek mnożą.
Na nim to leżał Argos, jedzon przez robactwo.
Lecz skoro bliskość pana zwietrzyło biedactwo,
Pokiwało ogonem tuląc uszy obie,
Chciałoby się doczołgać, sił nie miało w sobie.
Uważał to Odysej i łzę uczuł w oku;
Otarł ją, by nie widział pastuch, co stał z boku.

„Dziwna rzecz, Eumajosie — Odys mu powiada —
Jak ten pies na barłogu pięknym jest nie lada!
Z tym kształtem czy i rącość łączył? Szedł na łowy?
Czy też to ot zwyczajny sobie pies stołowy,
Jakich dużo na dworcach trzymają panowie?”

Na to pastuch Eumajos te słowa odpowie:
„Ten pies to własność męża dawno już zgasłego.
Trzeba ci było widzieć kształt i rącość jego
Wtenczas, kiedy na Ilion Odys szedł z wyprawą!
Zdziwiłbyś się psa tego siłą i postawą.
Przed nim nie mógł zwierz żaden umknąć, tak był rączy:
Wpadłszy na trop, wciąż trzymał, niezrównany gończy.
Teraz zbiedniał; pan jego przepadł gdzieś daleko,
Więc mu źle pod niedbałych służebnic opieką.
Bo to tak z tą czeladzią — niech pan nie napędza,
Zaniedba obowiązk, rąk sobie oszczędza.
Zeus wszechmocny odziera człowieka z połowy
Cnej pocziwości, odkąd ten bierze okowy”.

To powiedziawszy, odszedł w głąb pysznych podwoi,
Do izby, kędy świetny tłum gachów się roi;
Tymczasem Argos w śmierci pogrążył się mroku,
Gdy ujrzał swego pana po dwudziestym roku.

Postrzegł boski Telemach wpierw niżli kto drugi,
Jak pastuch wszedł do izby, i zaraz na mrugi
Przywołał go do siebie. Ten powiódł oczyma,
A widząc próżny stółek, dla siebie zatrzyma.
Był to stółek, na którym krajczy zwykle siadał,
Kiedy pieczeń rozbierał i gościom nakładał.
Do stołu Telemacha szybko go przystawił
I siadł naprzeciw pana. Wnet keryks się zjawił,
Nałożył mu mięsiwa, chleb podał z koszyka.

Wkrótce się i Odysej do izby przemyka:
Istny dziadek żebrzący, obciążony laty,
Pełził o kiju, okryty w lachmany i łaty,
I siadł na jaworowym progu, oparł głowę
O misternie rzeźbione odrzwia cyprysowe,
Które cieśla przyciosał do miary jak trzeba.
Zaś Telemach z pięknego kosza bułkę chleba
Wyjął i mięs nabrawszy, co garść objąć może,
Przywołał Eumajosa i rzekł mu: „Niebożę,
Weź to, zanieś dziadkowi, i poradź, niech wkoło
Obejdzie gachów. Żebrak powinien mieć czoło
Prosić o miłosierdzie: wstydem nic nie zyska!”

Wysłuchawszy to, pastuch przez tłum się przeciska
Do progu, gdzie był Odys, i rzekł doń: „Mój dziadku,
Telemach ci to przysłał z tą radą w dodatku,
Byś poszedł między gachy i każdego prosił:
Nie wypada, by żebrak wstydem się unosił”.

Na to wołał Odysej: „Wszechwładny Kronidzie!
Błogosław Telemacha! Niech wszystko mu idzie
K'woli życzeń, a z ludźmi będzie najszczęśliwszy!”
Tak rzekł, datek w garść przyjął, potem go złożywszy

U nóg swoich na torbie starej połatanej,
Pożywał, a pieśniami brzmiały zamku ściany.
Lecz gdy skończył, a boski pieśniarz przerwał śpiewy,
A w izbie podniósł wrzawę tłum gachów zgielkliwy,
Wtedy Odysej ujrział przed sobą Palladę,
Ta go skłoniła obejść biesiadną gromadę
I pozbierać od gachów stołu odrobiny,
Gdyż po tym pozna winnych i tych, co bez winy —
Co jednak nie przeszkadza, że głowy ich padną,
Szedł więc w kolej i prośbą błagał ich układną
I rękę tak wyciągał jak zwykle żebraki.
Każdy dał coś z litości, lecz taki owaki
Nuż się dziwić i pytać: skąd on, jak się zowie?
Na to koziarz Melantios mówił w tej osnowie:

„Słuchajcie, dziewosłęby o rękę królowej!
Widok tego przybysza dla mnie nie jest nowy;
Widziałem, jak go świniarz prowadził przez drogę,
Lecz co zacz i skąd rodem, powiedzieć nie mogę”.

Wtem Antinoj łajaniem napadł na pastucha:
„Mów, hultaju, po co nam tego pasibrzucha
Sprowadziłeś? Czy nie dość mamy tu tych mętów,
Takich biesiadopłochów, żebrzących natrętów?
Czy-ć jeszcze nas tu mało, aby twego pana
Majątek zjeść z kretelem, żeś tego gałgana
Przyprowadził tu z sobą?”

Na to pastuch: „Szpetny
Język twój, Antinoju, chociaż ród tak świetny.
Któż by obcych przybyszów sprowadzał do siebie?
A jeśli ich sprowadza, to w ważnej potrzebie
Lub dla dobra ogółu: na przykład lekarza,
Cieślę, wróżbitę albo boskiego pieśniarza,
Który pieśnią nam serca krzepi i weseli.
Takich tylko się bierze, gdzie bądź by się wzięli,
Lecz dziadków nikt umyślnie nie ciągnie w swe progi.

Wszakżeś ty na Odysa sługi nader srogi,
Od innych sroższy; dla mnie tyś najstroższy może.
Jednak mało dbam o to, dopóki w tym dworze
Penelopa i syn jej śliczny władną nami”.

Roztropny mu Telemach rzekł na to słowami:
„Przestań już tę szermierkę prowadzić daremnie,
Antinoj, wiesz, jak umie dociąć nieprzyjemnie
Językiem i jak tamtym głowy poprzewracał”.

Rzekł i do Antinoja mowę swą obracał:
„Pięknie dbasz o mnie, pięknie, jakby ojciec wtóry,
Jeśli tego przechodnia za zamkowe mury
Chcesz grubiaństwem wypłoszyć. O, niechże bóg broni!
Raczej opatrz go, hojnej nie pożałuj dłoni.
Ni ja, ni matka moja, ni kto bądź z czeladzi
Za złe-ć tego nie weźmie: owszem, będą radzi.
Lecz darmo! To uczucie obce sercu twemu;
Wolisz sam zjeść niż kęsek ustąpić drugiemu”.

Ofuknął go Antinoj, tą mową dotknięty:
„Co tam gadasz, młokosie butny i nadęty!
Gdyby on tyle kęsów nazbierał w tym tłoku,
Tobyśmy się zwolnili odeń na ćwierć roku”.

To rzekłszy spopod stołu wyciągnął podnózek,
Na którym nogi wspierał; trząśł nim wśród pogrózek.
Lecz inni za to hojnie tkali w wór dziadowski
To mięsiwa, to chleby, i już Odys boski
Chciał wrócić i na progu zasiąść z jadłem swoim,
Gdy się ozwał stanąwszy tuż przed Antinojem;
„Daruj mi co, mój miły! Sądząc cię z postawy,
Tyś nie prostak: wyglądasz mi jak księżę prawy.
Toż się pokaż szczodrzejszym dla mnie niż ci drudzy,
A ja pójdę cię słać wszędy, gdzie lud cudzy.
Ongi i jam był szczęśliw: miałem dom i grzędę,
I dostatki — i nieraz takiego przybłądę
Opatrzyłem, bądź głodny był lub bez okrycia.

Rój sług w domu i wszystko, co szczęściem jest życia,
Miałem — a sławą bogactw kwitła moja dola.
Lecz Zeus Kronion mnie zniszczył; dziej się jego wola!
Skusiło mnie z łotrzyki związać się morskimi
I na Egipt, na pewną zgubę ruszyć z nimi.
Tam stanąwszy, gdy kotwie rzucono na rzece,
Wraz najczujniejszą baczność mym ludziom polecę,
Zabraniam ani na krok nie odbiegać statku,
Szpiegów na bliższe wzgórza wysłałem w ostatku;
Ale ci, nieposłuszni, w ślepej zuchwałości
Napadli na egipskich kilka pięknych włości,
Żony w jeństwo pobrali z dziatwą niedoroślą,
A mężów w pień wysiekli. Gdy się to doniosło
Do miasta — rankiem tłumy i konno i pieszo
Migając miedną zbroją na odsiecz im spieszą
I okrywają pola. Kronion gromowładny
Zesłał na mą drużynę popłoch bezprzykładny.
Żaden bowiem wrogowi już nie stawiał czoła —
Więc włóczyniami wykłuto ściśniętych dokoła,
Innych żywcem pojmanych do robót skazano,
A mnie zaś przejezdnemu panu darowano.
Był nim Dmeter, syn Jara, król w Kiprze władający.
Stamtąd tu się dostałem biedny i cierpiący”.

Antinoos mu na to głosem rzekł donośnym:
„A czy nas bies opętał tym dziadem niezdolnym?...
Precz od stołu! Tam możesz na środku stać sobie!
Ruszaj! Bo Cypr i Egipt gorzkim ja ci zrobię.
A jaki dziad natrętny! Wszystkim lezie w oczy;
Każdy mu nieoględnie, co ma, w torbę tłoczy.
Nie w miejscu taka szczodrość i politowanie;
Gdy się cudze rozdaje, z kupy co zostanie?”

Cofając się Odysej rzekł mu: „O bogowie!
Z tą szlachetną postacią nieszlachetnyś w mowie!
Snadź ze swego i szczypty soli byś żałował,

Kiedyś przy cudzym stole siedząc nie darował
Biednemu ani kęska, choć stosy przed tobą”.

Na to Antinoj większą rozpałił się złością;
Ponuro nań spojrzawszy rzekł słowa skrzydlate:
„O! co teraz, nie ujdiesz cały z izby, za te
Zuchwalstwa obraźliwe, włóczęgo plugawy!”
I cisnąwszy podnóżkiem, trafił go w bark prawy
Blisko karku; lecz Odys stał wryty jak skała:
Gwałtowna moc pocisku nic go nie zachwiała.
Li głową kiwał myśląc, jak wrogów tych zmiecie.
Wrócił na próg i usiadł, a z torbą rupiecie
Rzucił przed się, i tymi do gachów rzekł słowa:
„Słuchajcie, dziewosłębny do ręki królowej,
A powiem wam, co serce w usta mi nasuwa:
Nie zasmuca to bardzo ni duszy zatruwa,
Jeżeli kto w obronie mienia i zagrody
Krew przelał za swe bydło albo owcze trzody;
Lecz Antinoj mnie pobił za ten brzuch zgłodniały,
O który tak się trapi ludzki ród nasz cały.
Lecz jeśli dla skrzywdzonych jest bóg, są Erynny —
Strzały śmierci przed żeństwem ubić cię powinny!”

Na to rzucił Antinoj odpowiedź zelżywą:
„Jedź i siedź tam lub z dworu wynoś się co żywo,
Nim mołojce wywloką-ć za ręce i nogi,
I zdarłszy z ciebie skórę, wyrzucą za progi!”

Tak mówił, a ta mowa wszystkich innych gniewa;
Wreszcie któryś z tej gaszej rzeszy się odzywa:
„Żleś zrobił, Antinoju, ciskając w nędzarza.
Nużby to był niebianin, jak nieraz się zdarza,
Że bóg przybrawszy postać wędrownego dziada
Grody, włości przebiega i naocznie bada
Zbrodnie ludzkie i cnoty bogobojnej duszy?”

Tak mówili, lecz on to puścił mimo uszy.
Choć wzburzył Telemacha serce czyn szkaradny,

Potrząsał tylko głową milcząc, a lży żadnej
Nie uрониł, lecz myślał o gachów zatacie.

Dowiedziała się o tym w swej górnej komnacie
Penelopa — i rzekła do białogłów grona:
„Obyż weń tak ugodził pocisk Apollona!”
Klucznica Eurynome rzekła zaś do pani:
„O! jeśli modły nasze spełnią się, to ani
Jeden z nich nie doczeka brzasku jutrzni złotej!”
Penelopa jej na to: „Matko, te niecnoty
Wstrętne są sercu memu; każdy z nich złe płodzi,
Lecz Antinoj od wszystkich gorszy, jak śmierć chodzi.
Tam w izbie właśnie biedak przybyły z daleka
Szedł po prośbie do wszystkich, bo mu głód dopieka —
I każdy dał coś w torbę, gdy w kolej obchodził,
A zły Antinoj w ramię stolkiem go ugodził”.
Tak mówiła królowa, w panien licznych kole
Siedząca w swej komnacie. Tymczasem na dole
Odysej się pożywiał. Onę zaś chęć zdjęła
Przywołać Eumajosa, i tak doń zaczęła:
„Śpiesz co żywo, niech do mnie przyjdzie ten podróżny:
Chcę z nim mówić, o szczegóły wypytać go różny;
Może on co o chrobrym zasłyszał Odysie
Lub go spotkał; bywalcem w świecie wydał mi się”.

Na to odrzekł Eumajos, świniopas poczciwy:
„Niechby mu dali pokój tylko te Achiwy,
Zdziwiłby cię: tak prawi pięknie i rozumnie.
Już on trzy dni, trzy noce przedtem siedział u mnie,
Dokąd przybył, uciekwszy z okrętu obcego,
A jeszcze opowiedzieć nie mógł mi wszystkiego.
A jak patrzymy w pieśniarza, kiedy pieśń swą śpiewa
Od bogów mu natchnioną, że pierś ci rozgrzewa,
I jak ty byś rad słuchać wciąż i w każdym czasie:
Tak ten przybysz powieścią bawił mnie w szalasie.
Z Odysem, jak mi mówił, miał stosunek dawny

Po ojcu; a na Krecie mieszkał, kędy sławny
Ród Minosa. Więc stamtąd ścigan bez wytchnienia,
Dobił się do nas, straszne przeszedłszy zmartwienia.
O Odysie też słyszał, a między innemi,
Że stąd blisko na bujnej, na tesprockiej ziemi
Żyje, i skarby wiezie, bogaty ogromnie”.

Na to mu Penelopa rzekła: „Idź, i do mnie
Przyprowadź go na górę: niech sam opowiada!
A niech w dziedzińcu gachów pustuje gromada,
Czy tu w izbie; to nie dziw, że tacy weseli.
Dobytek ich bezpieczny, z nimi się nie dzieli
Nikt spiżarnią i winem — chyba swej czeladzi
Coś tam dają. Lecz za to na nasz dom są radzi
I co dzień tu przychodzą — żaden dzień nie minie —
Na rzeź brać nasze woły, barany i świnie,
I wyprawiać biesiady, chlać wino rumiane
Bez pamięci — aż wszystko będzie zmarnowane!
Oj! Takiego jak Odys nie mamy nikogo,
On by tylko mógł plagę oddalić złowrogą.
Oby wrócił, we własnym ukazał się domu:
Wraz z synem spadłby na nich podobien do gromu”.

Gdy to mówi, Telemach naraz głośno kicha,
Aż się w izbach rozległo; ona się uśmiecha
I pastuchowi słowa posyła skrzydlate:
„Idź i sprowadź przychodnia tu w moją komnatę.
Czyś baczył, jak on kichnął, kiedym to wyrzekła?
Znak jawny, że swym cieniem śmierć gachy oblekła!
Padną wszyscy, przeznaczeń spełnią się wyroki!
Jeszcze jedno — lecz w piersi ukryj to głębokiej:
Jeśli poznam, że człek ten mnie nie oszukuje,
Chitonem go i piękną chlajną obdaruję”.

Eumajos wysłuchawszy mówiącą królowę
Poszedł i do Odysa zwrócił lotną mowę:
„Penelopa cię wzywa, ojciec mój podróżny!

Z serca pragnie, nie gwoli ciekawości próżnej,
Pytać się o małżonka, po którym w żalobie.
A gdy pozna, żeś ufność wzbudził jej ku sobie,
Da ci chłajnę i chiton; a właśnie-ć potrzeba
Przyodziewku, gdyż łatwiej u ludzi kęs chleba
Wyżebrać i nakarmić żołądek zgłodniały”.

Odpowiedział mu Odys, w nieszczęściu wytrwały:
„Chętnie wszystko opowiem i prawdę wynurzę
Rozumnej Penelopie, Ikariowej córce,
Bom go znał, bo z nim równa przypadła mi dola.
Jednak straszy mnie więcej tych gachów swawola
I zuchwałość, w żelazny strop nieba bijąca.
Ot, teraz, za cóż tamten tak mnie w bark potrąca,
Przechodzącego izbę bez żadnej złej myśli?
A Telemach lub drudzy czy mi w pomoc przyszli?
Powiedz więc Penelopie: choć słyszeć mnie pragnie,
Niech cierpliwie poczeka, aż słońce się nagnie
Do zachodu; o mężu wtenczas jej opowiem,
Usiadłszy przy ognisku. Lichą odzież bowiem
Mam na sobie — wszak o tym najlepiej wiesz pono”.

Skończył, a pastuch odniósł wszystko, co mówiono.
Penelopa go widząc, jak wchodził w jej progi,
Rzekła: „Czemuż sam wracasz, gdzie jest ten ubogi?
Czy się lęka zuchwalców lub czegoś się boi?
Może wstyd mu? Żebrakom wstyd ten nie przystoi”.

Na to odrzekł Eumajos, przywódca pasterzy:
„Myśl co chcesz, lecz ten człowiek mówi jak należy,
Że butnym gwałtownikom nierad włączyć w oczy.
Czekaj więc, aż się Helios do morza zatoczy.
Dla cię samej, o pani, lepiej to wypadnie:
Sam na sam z nim pomówisz i wybadasz snadnie”.

Na to mu Penelopa: „Snadź u tego człeka,
Kto bądź on, rozum dobry i głowa nielekka;
Bo też nigdzie na ziemi, gdzie ludzie mieszkają,

Nie spotkać się z zuchwalszą i złośliwszą zgrają”.

Boski pastuch szedł prosto po rozmowie onej
Między gachów, gdzie tłum ich siedział zgromadzony,
I rzekł do Telemacha po cichu, do ucha,
Z obawy, że go który z tych gachów podsłucha:
„Już odchodzę, mój drogi, do trzód, do zagrody,
By w twym i mym dobytku nie było tam szkody;
Ty zaś tutaj we dworze na wszystko uważaj,
A najlepiej na siebie: nic się nie narażaj,
Gdyż Achiwi na jakiś zamach się sposobią.
Oby Zeus ich wygubił, nim złego coś zrobią!”

Rzekł mu na to Telemach, młodzieniec przezorny:
„Dobrze, tatku, lecz na mrok poczekaj wieczorny,
A jutro nam tu hojne dostawisz obiady;
Ja zaś z bożą pomocą wyjdę tu bez straty”.

To powiedział, a pastuch znów siadł w krześle swoim.
A gdy się już uraczył jadłem i napojem,
Poszedł do swej zagrody i trzódek z powrotem.
Świetlice i przysionki wciąż brzmiały łoskotem
Śpiewów i płasów gości bawiących się w dworze,
Bo wieczór już się zbliżał, gasłyienne zorze.

Pieśń osiemnasta

Walka na pięści Odyseusza z Irosem

Wtem nadszedł zwykły żebrak, w mieście dobrze znany,
Gdyż żebrał tam od dawna, żarłok zawołany,
Wiecznie głodny i opój, przy tym niedołężny,
Wątlej siły — na oko chłop rosły i mężny.
Nazywał się Arnajos; tak zwała go matka,
Irosem zaś przeważa uliczna czeladka,
Gdyż często do posyłek dawał się on użyć.
On to wszedł i Odysa chcąc z domu wykurzyć,

Począł go lżyć słowami, grubiaństw mu nie szczędził:
„Precz mi stąd, jeśli nie chcesz, abym cię przepędził!
Patrzaj, jak każdy z gości na mrugi mi każe
Wywlec cię, a ja przecież na to się nie wazę;
Precz zatem, albo zmusisz dołożyć kułaka!”

Odys zaś rzekł, ukosem zmierzywszy żebraka:
„Nigdy cię nie obraził uczynkiem ni słowem;
Nie zajrzę, choć z najsutszym odejdiesz obłowem:
Ten próg obu nas zmieści. Tobie nie przystoi
Zazdrościć cudzych datków! Znać to z miny twojej,
Żeś dziad, jako ja, taki. A komu bóg szczęści,
Ten bogaty; więc po cóż wyzywasz na pięści?
Choć ja stary, lecz gniewu nie umiem hamować:
Mógłbym pierś ci lub głowę juchą zafarbować
I nazajutrz przyszedłbym siedzieć tu w spokoju;
Ty zaś już byś nie wrócił pewno po tym boju
Siadywać popod drzwiami dworu Laertiada!”

Na to mu z wściekłą złością Iros odpowiada:
„Co ten żebrak językiem i kłapie, i kłapie
Jak baba przy kominie! Ojże, jak cię złapię,
Kułakami obłożę, aż wyskoczą usta
Wszystkie zęby z paszczęki, ty kabanie tłusty!
Opasz się — przy tych świadkach wychodź na kułaki!
Zobaczymy, czy młodemu oprze się dziad taki!”

Tak kłócili się z sobą w drzwiach, na progu lśniącym
Dziady, mierząc się wzajem wzrokiem pałającym.
Świętej mocy Antinoj usłyszał ich kłótnię
I rzekł do towarzyszy, śmiejąc się okrutnie:
„Nigdyśmy jeszcze takiej nie mieli zabawy,
Zsyła nam ją widocznie jakiś bóg łaskawy,
Uwierzycie-ż, że Iros z tym drugim przybędą
Wyzwali się na pięści i wnet się bić będą?
Chodźmy szczuć ich nawzajem”.

Gachy parskli śmiechem

I zerwawszy się z krzeseł, skoczyli z pośpiechem,
Aby kołem otoczyć te obdarte dziady;
I Antinoj tak mówił do gachów gromady:
„Słuchajcie mnie, druhowie! Widzicie tam ano
Kozia kiskę, krwią zsiadłą i tłuszczem nadzianą,
Jak się smaży na węglach dla nas do wieczery?
Owoż wygrywający jeden z tych szermierzy
Może przyjść, wybrać kiskę podług woli swojej
I zawsze jadać z nami. Lecz już nie postoi
W tych progach odtąd inny z natrętnych żebraków!”

Te słowa Antinoja ujęły junaków.

Chytrze im na to Odys rzekł: „O przyjaciele!
Jam już stary, jam w życiu bied doznał tak wiele!
Mogę-ż z młodszym się mierzyć? Cóż robić, gdy trzeba?
Głodny zniesie i kije dla kawałka chleba.
Więc zgoda! Wprzód jednak każdy z was przysięgnie,
Że mnie zdradliwą pięścią wśród walki nie sięgnie,
Ażeby Irosowi dopomóc w wygranej”.

Rzekł, i wszyscy przysięgli, a gdy wymaganej
Uroczystej już zadość stało się przysiędze,
Telemach pośród rzeszy rzekł w świętej potędze:
„Przychodniu! Jeśli sił ci starczy i odwagi,
Wyrzuć go, od Achiwów nie bój się zniewagi.
Kto by cię wyciął, miałby z nami do czynienia;
A jak mniemam, jednego sposobu myślenia
Wraz ze mną, gospodarzem, są rozumne głowy
Antinoj i Eurymach”.

Do tej jego mowy

Przychylili się wszyscy. Odysej tymczasem
W pół się opiał z lachmanów ukręconych pasem,
Odsłaniając potężne uda, bark szeroki,
Pierś, ramiona żylaste — gdy lekkimi kroki
Zbiegła k'niemu Atene i postać mu całą
Zolbrzymiła. W podziwie wszystko nań patrzyło,

Aż niejeden się zwrócił mówiąc do sąsiada:

„Iros licha napytał! Oj, będziesz mu biada!

Patrz — staruch jakie uda odsłonił potężne!”

Irosowi zaś serce tłukło się niemężne,

Lecz mu pacholcy gwałtem, choć jak się szamotał,

Pas włożyli. Na całym ciele on dygotał.

Więc Antinoj go łajał słowami bez braku:

„Po coś ty się urodził, chełpliwy junaku,

Kiedy trzęsiesz się wszystek przed staruchem onym,

Bezsilnym, cierpieniami żywota zjedzonym?

Zapowiadam ci tedy, i to cię nie minie,

Że jeśli on silniejszy, pokona cię ninie,

Wsadzę cię na łódź czarną, wyślę na ląd stały

Do Echeta — a złośnik to zapamiętały,

Ma zwyczaj, kogo złapie, kaleczyć okrutnie;

Więc niechybnie i tobie nos i uszy utnie,

A wyrwany człon męski psom da, aby zjadły”.

Rzekł, a wszystkimi członki drżał Iros wybladły,

Wleczon w szranki. Więc obaj wzniesli już ramiona,

Lecz Odysowi myśl ta przyszła rozdwojona:

Czy ma go palnąć z góry, ducha zeń wypędzić,

Czy na ziemię zwaliwszy, życie mu oszczędzić?

To ostatnie za lepsze w tym razie uznaje;

Inaczej podejrzewać mogliby Achaje.

Więc obaj wpadli na się, Iros w prawe ramię

Uderzył Odyseja, a ten mu kość łamie,

Palnąwszy w kark pod uchem, aż krew buchła z gęby.

Z krzykiem runął na piasek, dzwoniły mu zęby,

Nogi ziemię kopały. Gachowie weseli

Wzniesli ręce i wraz się do rozpuku śmieli.

Zaś Odys go za nogę przez całe podwórze

Przewłókłszy aż do bramy, posadził przy murze,

Opierając plecyma, w garść mu kostur włożył,

Mówił doń, i lotnymi słowami dołożył:

„Siedźże tu, abyś świnie i psy stąd odganiał,
A biednym, gdy tu przyjdą, wstępu nie zabraniał,
Inaczej co gorszego spotka cię, nędzniku!”

Powiedziawszy to, torbę z łątami bez liku
Znów wdział na grzbiet, a torba na sznurku wisiała,
I tak wrócił na próg swój. Aż tu zgraja cała
Gachów, śmiejąc się wdzięcznie, szła doń z powitaniem:
„Oby Zeus i bogowie hojnym zmiłowaniem
Dali-ć wszystko, co pragniesz, Zeus pewnie wysłucha
Za to, żeś nas od tego zbawił pasibrzucha,
Którego do Echeta wnet wyszłem na łodzi —
Król ten ludziom okrutny i jemu dogodzi!”

Tak życzyli. Odysej wielce się radował
Z tych życzeń, zaś Antinoj już mu przygotował
Sporą kiskę: krwią była i tłuszczem nadziana.
Amfinom dał dwa chleby, po czym z roztruchana
Złotego przepijając, te słowa doń rzecze:
„Pozdrowienie ci, stary, nieznany człowiecze!
Obyś lepszą miał dolę choć na przyszłe lata:
Brzemie wielkiej niedoli teraz cię przygniata”.

Odrzekł mu na to Odys, mąż w fortele płodny:
„Amfionie! Tyś ojca swojego syn godny,
Bo masz rozum, a sława dobiegła aż do mnie,
Że Nisos Dulicheński bogaty ogromnie
I poważan u swoich — takiego rodzica
Będąc synem i ciebie uprzejmość zaleca.
Więc słuchaj, a co powiem, niech pamięć zatrzyma:
Nic słabszego od człeka na ziemi tej nie ma;
Słabszy od wszystkich istot, co po świecie chodzą,
Nie myśli, że weń kiedyś nieszczęścia ugodzą,
Póki bóg daje dzielność i dobrych nóg parę.
Lecz gdy bóstwa nań spuszczą cierpienia za karę,
To choć z opornym wstrętem, znosi je, jak umie;
Taka bowiem jest zmienność w tym ludzkim rozumie.

Jak zmiennymi bywają dnie, które Zeus zsyła.
I mnie ongi szczęśliwsza gwiazda też świeciła,
Alem wiele nabroił ufny w moc ramienia,
W plecy ojca i braci mojego plemienia.
Niech więc człowiek od zbrodni ucieka jak może,
A co bóstwa mu dają, przyjmuje w pokorze.
Snadź i tu strasznie broją gachy rozwydrzone
Trawiąc cudzy dobytek, znieważając żonę
Męża, który już może jest w drodze z powrotem,
I tylko go nie widać. Radzę myśleć o tym,
Żebyś się z nim nie spotkał — i wynieść się z bogiem,
Bo gdy wróci na wyspę, stanie przed swym progiem —
Nie obejdzie się w murach tego tu mieszkania
Między nim a gachami oj! bez krwi przelania”.

Rzekł — i strząsnąwszy bogom wychylił do spodu
Czaszę — i oddał w ręce pasterza narodu,
A ten odchodził z głową na piersi zwieszoną
Zasepiony — coś złego przeczuwał on pono...
Przecież zguby nie uszedł... Pallas go w swe pęty
Omotła — padł włócznią Telemacha pchnięty!
Więc wróciwszy znów zajął dawne swe siedzenie.

Wtem Atene, bogini, wzbudziła natchnienie
W sercu Penelopei, Ikariosa córy,
Że gachom się ukaże, znijdzie do nich z góry,
By serca gachów żądzą na nowo rozpalić,
A w małżonku i synie dla się cześć ustalić
Większą jeszcze, niż miała. Z uśmiechem udanym
Rzekła więc swym niewiastom, wkoło niej zebranych:
„Eurynomo! Jam nigdy nie pragnęła bardziej,
Niż teraz, iść tam do nich, choć nimi się gardzi:
Gdyż synowi mam szepnąć coś, co go ocali,
Aby się od tych gachów trzymał jak najdalej,
Bo choć w ustach tych słodczy, w sercach siedzi zdrada!”

Eurynome klucznica na to odpowiada:

„Roztropne twoje słowo! Mówisz wyśmienicie!
Idź więc i powtórz mu to wszystko, moje dziecię!
Lecz wprzód opłucz się, namaść maściami wonnymi:
Nie lza z twarzą splakaną stawać tam przed nimi.
Łzami popsułaś sobie kwitnące jagody —
A przecie syn twój wyrósł, doczekał się brody:
Takim jest, jak u bogów sobieś wymodliła!”

Penelopa jej na to: „Eurynomo miła!
Nie troskaj się ty o mnie i nie radź z przyjaciół,
Abym ciało maściła i poszła do łaźni.
Wszak bogi mnie olimpscy dawno oduczyli
Dbać o płci mej ozdoby, jak raz od tej chwili,
Kiedy mąż mój odpłynął. Owszem, Hippodamię
I Autonoe przyzwij, niech mi dadzą ramię,
Gdy tam pójdę, bo wstydem spłonęłabym cała,
Gdybym się sama jedna gachom ukazała”.

Na ten rozkaz z komnaty wybiega klucznica
Wołać panny i pośpiech każdej z nich zaleca.

Lecz bogini Atene myśl powzięła inną:
Penelopie zesłała drzemkę dobroczynną;
Sen ją zmorzył i padła już ubezwładniona
W krzesło, i już bogini tchnęła jej do łona
Boski czar, aby wzbudzić w Achiwach zdumienie.
Jej lice w ambrozyjne ubrała promienie —
Kytera z takich wdzięków wieniec ma uwity,
Kiedy w płasy się puszcza ze swymi Charyty.
Przy tym wzrost jej i postać dała okazałą,
W bielsze niż kość słoniowa oblokła ją ciało.
Co sprawiwszy, bogini znikła. A tymczasem
Pięknoramiennych panien dwie wpadło z hałasem
Do świetlicy. Z snów słodkich ocknięta królowa,
Przetarłszy dłońmi oczy, wyrzekła te słowa:
„Mnie smutną ukołysał sen słodki tak błogo!
Oby Artemis śmiercią tak samo niesrogą

Zabiła mnie tu zaraz, bym w żalu ustawnym
Nie marniła żywota po mężu mym sławnym,
Który cnót blaskiem gasił achajskich herojów”.

Powiedziawszy to, zeszła z swych górnych pokojów;
Nie sama: dwie panienki tuż przy sobie miała.
Więc gdy się zgromadzonym gachom ukazała,
Wstrzyma się w świetnym progu świetlicy sklepionej,
Na twarz od głowy spuszcza srebrzyste zasłony,
A dwie panny stanęły po każdym jej boku.
Gachom nogi zadrżały, tyle w niej uroku,
I każdy chciałby łoże podzielać królowej.
A wtem ona do syna rzekła tymi słowy:
„Synu mój! Coś twój umysł i wola się chwieje!
Małym będąc, robiłeś większe mi nadzieje,
A teraz, kiedyś podrósł, wyszedł na młodziana,
I każdy w tobie widzi całą gębą pana,
Nawet obcy się dziwią twej dziarskiej postaci —
Czemuż zdrowy rozsądek u ciebie nie płaci?
Jakaż zgrozę spełniono tu w twej obecności?
Tyżeś dał sponiewierać jednego z twych gości?
Jak to? Gość, który w domu naszym się znachodzi,
Obelgi miałby doznać? O! to nie uchodzi!
Na ciebie hańba spadnie, ludzie tobą wzgardzą!”

Na to roztropny młodzian: „Matko! O, i bardzo
Twoje to oburzenie czuję i rozumiem,
A chociaż od dobrego złe odróżnić umiem,
Mogę-ż w każdym zdarzeniu iść drogą rozsądku,
Gdy mnie tak oszołomił wróg pełen zawziętku,
Owe gachy spiknięte, a mnie nikt nie broni?
Nawet o bój Irosa gniewają się oni,
Że go przybysz mocniejszy powalił pod siebie.
Spraw-że, ojczy Kronionie, Ateno i Febie,
Abyśmy gachy mogli podławić tak samo,
Iżby lby pozwieszali, jak ot ten pod bramą

Iros zbity, że członkiem nie rusza już żadnym,
Kiwa się jak pijany uczynion bezwładnym,
I na nogi nie wstanie, by dołączył do domu —
Tak wszystek na nic starty od tego pogromu”.

O tym z sobą mówili — i po tej rozmowie
Tak się do Penelopy Eurymach ozowie:
„O mądra Penelopo! Gdyby cię widziano,
To wszyscy z jazyjskiego Argos jutro rano
Zbiegliby się achajscy tutaj zalotnicy
Na gody: bo gdzie równej tobie krasawicy
Co by ci kształtem, wzrostem, rozumem sprostą?”

Mądra mu Penelopa tak odpowiedziała:
„Eurymachu! Mnie bóstwa wdzięków mych i krasy
Pozbawiły od dawna; jeszcze w owe czasy,
Gdy z Argami małżonek mój poszedł pod Troję;
Niechby wrócił, mnie nędzną wziął pod skrzydła swoje,
Dopieroż bym jaśniała sławą mej piękności!
Teraz jęczę, na ciągle wydana przykrości,
Odkąd on mnie na brzegu przed samym rozstaniem
Wziął za rękę i słowa te rzekł z pożegnaniem:
— Nie wszyscy ci pancerni męże, droga żono,
Którzy idą na Ilion, powrócą tu pono.
Bo i Trojańcy w boju dzielnie, jak słyszałem,
Robią kopią, miotają z łuków celnym strzałem,
Toż lotnym toczą koniem, a dziarskie to zwierzę
Zwykło dawać zwycięstwo w chwiejnym bitwy wirze.
Przeto nie wiem, czy bóg mnie stamtąd przyprowadzi,
Czy tam liszy? Więc głowa twoja niech tu radzi:
W domu miejże o ojcu, o matce staranie
Jak dotąd, a tym więcej, jeśli mnie nie stanie.
Gdy zaś syn nasz dojrzeje, wyjdzie na człowieka,
Idź za męża — twoja nad nim skończy się opieka. —
Tak mówił, i już teraz spełni się to wszystko:
Idzie noc, w której wstrętne dla mnie weselisko

Czeka mnie z woli Zeusa ciężko nawiedzona.
A jednak gorszym bólem przeszywa mi łono
Ten zwyczaj niebywały między zalotniki.
Dawniej, kto się dobijał uczciwej podwiki,
Córy ojca możnego, wysadzał się na to,
By dom zasilać wołmi, trzodą nierogatą,
A narzeczonej hojne upominki składać;
Nie śmiał cudzego mienia marnować i zjadać”.

Tak rzekła, a w Odysie cieszyła się dusza,
Że im dary wyłudza i oczy zaprósza
Słodką mową, choć w sercu myślała inaczej.

Antinoj, syn Epeja, tak jej to tłumaczy:
„O córo Ikariosa, cna Penelopejo!
Przyjm tylko te podarki, które wraz pośpieją
Znieść Achiwy; odmówić nie mogłabyś przecie,
My zaś nie ustąpimy z miejsc tych za nic w świecie,
Póki mężem twym który Achiw nie zostanie”.

Mowa ta w zgromadzeniu znalazła uznanie.
W skok też keryksów do dom po podarki słano:
Od Antinoja szatę cudnie wyszywaną
Przyniesiono, dwanaście w niej złotych pętliczek;
Od Eurymacha przyszedł piękny naszyjniczek
Szczerozłoty, z bursztynem, co jak słońce lśniący;
Od Eurydama parę kolców wniósł służący:
Misternej to roboty, trójgwiezdne wisiory;
Zaś od Pejsandra, syna króla Polyktory,
Łańcuch jej przyniesiono na szyję ozdobny.
Zgoła każdy z nich złożył podarek osobny.

Znów wróciła do górnych komnat boska pani,
A panny upominki niosły dane dla niej.
Gachy zaś do swych płasów i śpiewek wrócili,
Aż i wieczór ich zastał na tej krotchwili.

A gdy wesołych nocne ogarnęły cienie,
W izbie wnet w trzech kagańcach wzniecili płomienie

Świecące im dokoła, w które pęk smolaków
I drzazg, miedzią naciętych z wysuszonych pniaków,
Narzucali na ogień. Służebne zaś panny,
Gdy gasnął, rozniecały ogień nieustanny.
Do nich to boski Odys zwrócił swoją mowę:
„Nieobecnego pana dziewczki Odysowe!
Idźcie stąd, przy królowej siedzieć wam w komnacie.
Tam wasze miejsce; panią rozweselać macie
Albo kręcić wrzeciono, lub też czesać wełnę.
Ja zaś o tych kagańcach staranie zupełne
Chcę tu mieć, choć do rannej zostaliby zorzy.
Do trudów jam nawykły, mnie to nie umorzy”.

Dziewki w śmiech i po sobie zerknęły z ukosa,
Aż Melanto, rumiana córeczka Doliosa,
Pod okiem Penelopy od dziecięcych latek
Wyrósłszy, jak jej własny pieszczony gagatek
(A jednak obojętna na płacz opiekunki,
Tajemne z Eurymachem miewała stosunki),
Ona więc na Odysa napadła i łaje:
„Przybłądo! Tobie we łbie klepki nie dostaje,
Że na noc do gospody albo ciepłej kuźni
Nie idziesz; a tu wlażłeś, gdzie panowie różni
A dostojni się bawią, a tak hardo przy tym
Gadasz tu! Znać po tobie, że musisz być spitym
Lub frant jesteś. Widocznie przez ciebie coś gada:
Czy pycha z pokonania Ira, tego dziada?
Waruj się, by ktoś tęższy nie wyzwał na rękę!
Nuż trafisz na pięść twardą: zgruchocze ci szczękę
I za progi wyrzuci, oblanego juchą!”

Gniewnie spojrzał Odysej i wraz odparł sucho:
„Ej, nie bresz! Bo Telemach, niech powiem mu słówko —
Patrz, tam stoi — a w puch cię zrąbie, pokojówko!”

To rzekł i tak przestraszył białogłowy one,
Że z izby precz uciekły jakby oparzone,

W przekonaniu, że Odys nie żartował z nimi.
On zaś przed kagańcami stał zapalonymi
I ogień utrzymywał; lecz inne w nim wrzały
Myśli, które niebawem czynem stać się miały.

Atene, znów folgując gachom, choć zbyt hardzi,
Podszczuła ich do szyderstw, ażeby tym bardziej
Rozjątrzyć na nich duszę Odysa, już wściekłą.
Jakoż mu Eurymacha słowo dość dopiekło,
Które rzekł, aż parsknęła śmiechem ich gromada:
„Słuchajcie, dziewosłęby królowej! — powiada —
A ogłoszę, co z głębi do ust mi się ciśnie:
Jakiś bóg tego człeka przysłał tu umyślnie;
Bo ta jasność w tej izbie, jeśli wzrok nie zwodzi,
Nie od ognia, od jego łysiny pochodzi”.

Po czym się do Odysa zwracając: „A nużby
Wziąć ciebie za parobka? Czy zdasz się do służby
Gdzie tam na wsi? A dobrym mytem bym nagrodził:
Sadziłbyś cień dające drzewa, płoty grodził,
Strawę, wino dostaniesz, co dzień będziesz syty,
Przyzwoicie obuty i dobrze okryty.
Aleś ty do niczego! Bąki tylko zbijać!
Leniuch! Po okolicy wolisz się uwijać
I pakować w żarłoczny kałdun chleb dziadowski!”

Na to mu odpowiedział Odysej, mąż boski:
„Trzeba nam, Eurymachu, pójść o zakład z sobą!
Kiedy dzień bywa długi, tak wiosenną dobą,
I na łące z kosami obydwaś stanąwszy,
Spróbować się na kośbę, nic w usta nie wzięwszy,
Od świtu aż do nocy, ciągle w pracy krwawej,
Póki by sianożęci starczyło i trawy.
Albo niechbym miał w pługu tęgich wołów parę,
Zażywnych, mocnych, równą trzymających miarę,
Jednolatek, do orki co się już wprawiły,
Łan przy tym, gdzie by lemiesz snadno krajał bryły:

Zobaczyłbyś, czy umiem orać proste skiby!
Lub żeby bóg dał wojnę, poszedłbym bez chyby,
Zbrojny tarczą i dwoma oszczepami w dłoni,
I hełmem pięknie kutym ze spiżu na skroni —
A widząc mnie na harcu i zawsze na przedzie,
Nie urągałbyś memu brzuchowi i biedzie.
Ale pychą nadęty, z sercem nieużytem,
Mniemasz się być potęgi i dzielności szczytem,
Że siedzisz wśród tej zgrai odwagi wątpliwej.
O! gdyby na swą ziemię wrócił Odys żywy,
Wnet te drzwi, choć szerokie i stoją otworem,
Zmykającemu ciasnym byłyby wątorem!”

Na te słowa zawrzało serce w Eurymaku,
Gniewnie spojrzał i rzekł doń: „Dam ci ja, żebraku!
Zaraz weźmiesz zapłatę za harde gadanie
I za mężów dostojnych nieuszanowanie.
Czyżeś wińskiem się upił, czy tak ze zwyczaju,
Co ślina ci przyniesie, bajesz, hardy baju?
Czy ci łeb się zawrócił, żeś zbił Ira, dziada?”

Rzekłszy, chwycił za stółek — wždy Odys przypada
Do kolan Amfinoma, chroniąc się pocisku
Eurymacha; zaś stółek, lecąc, trafił w ścisku
Cześnika w prawą rękę, aż mu dzban z łoskotem
Wypadł, a on sam na wznak przewrócił się potem.
Gachowie na to wszczęli tumult w izbie całej,
I mówili — ich słowa wkoło obiegały:
„O! bodaj ten włóczęga pierwszej kark był skręcił,
Nim przyszedł do Itaki i do nas się wnącił,
By wzniecić taki rozruch! My się tu kłócimy
O dziada! Czy już nigdy spokojnie nie zjemy?
Snadź górę u nas wzięła niezgoda przeklęta!”

Wtem Telemach głos zabrał i rzekła moc święta:
„Szalejecie, to nie dziw: sytych i opitych
Jakiś demon podszczuwa do kłótni niemiłych;

Więc po tłustej wieczerzy iść wam spać do domu,
Kto ma chęć, gdyż nie bronię siedzieć tu nikomu”.

To rzekł, a oni wargi przygryźli w podziwie,
Że tak mówił stanowczo i tak natarczywie —
Gdy Amfinom do tłumu rzekł zgromadzonego,
Nisa syn, z Aretiadów rodu królewskiego:
„O druhowie! Telemach sprawiedliwie gada!
Niech się nikt nie obraża ani z nim ujada!...
Ani też napastuje tego wędrownika,
Ni bądź kogo tu w domu Odysa władnika!
A teraz lejcie wino ofiarne w te czasy:
Bogom strząśniem i pójdziem spać na leże nasze.
Ten zaś człowiek zachoży niechaj tu zostanie;
Telemach o swym gościu będzie miał staranie”.

Skończył, a mowie jego przyklasnęła rzesza.
Tymczasem Mulios wodę z winem w krater miesza;
On, wiernek Amfinoma i keryks z Dulichu,
Wszystkim wino podawał po pełnym kielichu.
Strząsnąwszy kilka kropel w cześć bogom, gachowie
Pili wino, dające wesołość i zdrowie.
Więc obiata spełniona, pragnienie zgaszone
Iposzli na spoczynek, każdy w swoją stronę.

Pieśń dziewiętnasta

Odyseusz rozmawia z Penelopą. Rozpoznanie przez Eurykleję

Został się boski Odys z Ateną w świetlicy,
Ważąc, jaką by śmiercią padli zalotnicy,
Po czym do Telemacha rzekł skrzydlate słowa:
„Te bronie Aresowe syn mój niech pochowa;
A gdy gachy zagabną, kędy się podziały,
Odpowiesz im łagodnie: Oręż rdzewiały
W dymie, więc je wyniosłem, bo jakaż różnica

Od onych zostawionych przez mego rodzica,
Gdy odpływał pod Troję! Dym je zezskaradził.
Zresztą zapewne jakiś bóg mi to poradził,
By je wynieść — o zwadę nietrudno przy winie.
A nuż się pokłócicie, a nuż krew popłynie
Z wielką dla waszych biesiad a z większą obrazą
Dla królowej — wszak mężów przyciąga żelazo”.
To rzekł Odys. Ojcowskie syn pełnić rozkazy
Przywołał Eurykleję i rzekł te wyrazy:
„Niańko droga, zatrzymaj swe dziewczki w komorze,
Ja tymczasem ojcowską broń wezmę i złożę
Gdzie w skarbczyku, bo tutaj dymem okapciały.
Ojca w domu nie było, jam dzieciuch był mały,
Więc pochowam je w miejscu od dymu bezpiecznym”.

Na to mu Eurykleja: „Przecież raz statecznym
Zaczynasz być, mój synu; rozum ci przychodzi,
Aby domem i mieniem władać jak się godzi.
Dobrze, lecz któż poświęci tobie o tej porze,
Jeśli mi każesz dziewczki zatrzymać w komorze?”

Roztropny jej Telemach na to odpowiedział:
„Ot ten człek: czy na darmo u mnie by tu siedział,
Gdy go żywię? Niech robi, a rąk nie zakłada”.
Tak rzekł do niej, a widać nie na próżno gada,
Bo co prędzej za sobą drzwi izby zamknęła,
A Odysej wnet z synem wzięli się do dzieła,
Przenosząc hełmy, kopie z grotami ostrymi,
Toż wypukłe pawęże. Atene przed nimi
Szła z pochodnią, co taki wkoło blask roznieca,
Że aż Telemach zagadł swojego rodzica:
„Ojcze, ten widok w wielkie wprawia mnie zdumienie —
Wszystkie ściany i każde rzeźb tych zagłębienie,
Toż gonnych słupów rzędy, te sosnowe belki,
Pałają w moich oczach jakby pożar wielki —
Czy tu bóg jaki, niebios mieszkanię się zjawił?”

Na to przemyślny Odys mówiąc tak odprawił:
„Milczałbyś i skrył w sobie to, co cię zdumiewa —
Bo już taki u niebian obyczaj tam bywa.
Idź się położyć, ja tutaj pozostanę nieco.
Zejdzie tu twoja matka, służebne się zlecą —
I wypytywać będzie głosem rozrzuwionym”.

Więc Telemach z łuczywem odszedł zapalonym
Precz z izby na spoczynek do świetlicy swojej,
Gdzie zwykle snu zażywa, gdy się w dzień uznoi.
Jakoż legł i jutrzeńki oczekiwał świętej.
Odys zaś w wielkiej izbie tym był zaprzątnięty
Wraz z Ateną, jak wyciąć do nogi tych wrogów.

Penelopeja z górnych schodziła już progów,
Podobna z Afrodytą złotą, ubóstwioną,
Przy ogniu krzesło dla niej własne postawiono,
Srebrem, kością słoniową misternie obite
Ręką cieśli Ikmalia, a skórą nakryte,
Z podnóżkiem przytwierdzonym, aby oprzeć stopę;
Owoż w wspaniałym krześle siadła Penelope.
Wnet i białoramienne zbiegły się tam dziewczki
Sprzątać stoły i chleby, puchary, nalewki
Rozrzucone po izbie, resztki gaszej stypy.
Z kagańców żar wytrzęsły na ziem, świeże szczypy
W nie wetknęły, by ciepło było tam i jasno.
Wtem znów mową napadła Odysa napastną
Melanto:

„Cóż, przybłądo? Nocy nam spokojnej
Nie dasz i wciąż się kręcisz; jakbyś nieprzystojny
Zamiar miał — fora z dwora! Wszakże po wieczerzy?
Wynoś się, bo ta głównia plecy twoje zmierzy”.

Mądry Odys w nią wlepił spojrzenie ponure:
„Za co mi znów, niecnoto, załazisz za skórę?
Czy za to, żem niemłody? Czy żem tak obdarty?
Czy że mnie do żebraczki zmusza los uparty?

Przecież to przeznaczenie biednych i tułaczy!
Niegdyś i jam był szczęśliw, i żyłem inaczej
W moim zamku, i często przychodniów wspierałem:
Co za jedni i skąd są, nigdy nie pytałem.
Było u mnie sług wiele, były mnogie włości
I co do zbytku służy i okazałości.
Ale wszystko mi odjął bóg w swej woli świętej!
Pamiętaj i ty, dziewczko, że twoje ponęty,
Którymi tak się chełpisz, mogą spełznąć snadnie.
A nuż gniew twej królowej kiedy na cię spadnie
Albo Odysej wróci? Wszystko stać się może.
Jeśli zginął i w tym tu nie zjawi się dworze,
Za to syn jego żyje i Feb go zaszczyca
Łaską swą! On wie przecież, co tutaj kobieca
Rozpusta dokazuje, mającąc zdradziecko.
Telemach w domu swoim to pan, nie zaś dziecko”.

Penelopa słuchała, gdy mówił, aż wreszcie
Gniewem wybuchła przeciw zuchwałej niewieście:
„O bezwstydna ty suko! Sprawki mi twe znane,
Wkrótce one twą głową będą ukarane.
Wiedziałaś, boś co tylko słyszała ode mnie,
Że się mam z tym podróżnym widzieć potajemnie
I pytać o małżonka opłakiwanego”.

Potem zaś do klucznicy rzekła: „Wnieś dla niego,
Eurynomo, krzeselko zasłane baraniem
Runem, aby w nie siadłszy, swym opowiadaniem
Odpowiadał na różne pytania zadane”.

Rzekła, i wraz klucznica przyniosła rzezane
Piękne krzesło, nakryte kozuchem baranim.
Boski cierpicieł Odys zaraz usiadł na nim,
Zaś królowa podjęła rozhoworu wątek:
„Obcy człeku! Przed wszystkim spytam na początek:
Coś zacz? I w jakiej ziemi twe gniazdo ojczyście?”

Na to odrzekł Odysej: „Królowo! Zaiste

Nie wiem, czy kto jest taki na ziemskim przestworze,
Kto by-ć ganił! Twej sławie nic sprostać nie może,
Jak sławie tego króla, co cześć bogom składa,
Co rozlicznym narodem dzielnych mężów włada
I sprawiedliwość pełni. Jemu ziemia czarna
Rodzi owoc, pszeniczne i jęczmienne ziarna,
Mnoży trzody, a morze ryb daje do syta;
Pod mądrym panem ludu pomyślność zakwita.
Lecz w tym domu o rzeczy rozpytuj mnie inne,
A nie o ród mój ani o miejsce rodzinne,
Jeśli nie chcesz boleścią serca mi zakrwawiać,
Gdybym miał obraz nieszczęść już przebytych wznawiać.
W cudzym domu te skargi zresztą, te łzy rzewne
Nie przystoją, i w gorsze popadłbym zapewne,
Bo ty sama lub twoje rzekłyby kobiety:
— Nie darmo ten człek płacze; on musi być spity”.

Roztropna Penelopa odrzekła mu na to:
„Powiem ci, że woń cnoty, urodę bogatą
Wydarli mi niebianie odtąd, gdy na Troję
Szli Argeje, a z nimi Odys, szczęście moje.
Niechby on był powrócił i żył razem ze mną,
Sławą bym zajaśniała nie taką nikczemną!
Dziś z tęsknoty usycham, a różnych klęsk mnóstwo
Wciąż zsyła na mnie jakieś nieprzyjazne bóstwo.
Ilu bowiem władyków mieszka w tej tu stronie
Na lesistym Zakyncie, Samie, Dulichionie
I tych, którzy w słonecznej Itace rej wodzą —
Wszyscy drą się do ręki mojej i dom głodzą,
Przeto mało się troskam o biednych żebrzących
Lub cudzych, lub keryksów ludowi służących;
Jedno pamięci męża łzy moje poświęcam
I ciągle się natrętnym zalotom wykręcam,
Aż niebo mnie natchnęło myślą wybiegliwą,
Żem na krosnach w mej izbie cieniutkie przędziwo

Nałożyła, by utkać ogromną oponę,
I tak rzekłam do gachów: — Chcecie mieć za żonę
Mnie, wdowę po Odysie, młodzi oblubieńcy!
To czekajcie ze ślubem ni dłużej, ni więcej,
Aż się zwinę z zaczęta na krosnach robotą!
Przędza wniwecz by poszła — a mnie idzie o to,
Aby miał piękny całun Laertes mój stary,
Gdy go w czarnej godzinie śmierć weźmie na mary.
Toż szydziłyby ze mnie achajskie kobiety,
Gdyby pan taki wielki leżał nie okryty. —
Tak rzekłam wybiegliwie, i zmiękły ich serca.
Odtąd dniem pracowałam około kobierca,
Porąc nocą przy żagwiach, com we dnie utkała.
Takem ich przez trzy roki wciąż oszukiwała.
Lecz gdy czwarty przyniosły pór odmienne lica,
Wyszła przez suki-dziewki na wierzch tajemnica.
Wpadli gachy, groźnymi jęli lżyć mnie słowy,
I zmusili dokończyć. Całun był gotowy!
Dłużej mi niepodobna wesela odkładać —
Cóż począć? Już rodzice zaczęli napadać
Na mnie, abym szła za mąż, i syn mój się krzywi
Widząc, jak go tu niszcza. Lecz to mnie nie dziwi:
Zmężniał i sam dziedzicznym mieniem władać może,
Byłeś ty go swą łaską wspierał, Zeusie, boże!
Lecz powiedz mi, kto jesteś? Skąd ród twój pochodzi?
Przecież nie dąb bajeczny, ni kamień cię rodzi?”

Bystroumny Odysej odrzekł jej to słowo:
„Laertiady Odysa zacna białogłowo!
Toż koniecznie chcesz o mym rodzie się dowiedzieć?
Słuchaj więc, lubo z góry muszę cię uprzedzić,
Że to boli, rozjąt看ra serca przeszłe blizny
Każdemu, co lat wiele nie widział ojczyzny,
Co, jak ja, przewędrował ziem i grodów tyle!
Lecz gdy pytasz, do twoich życzeń się przychylę.

Kreta, wyspa wśród morskiej rzucona otchłani,
Żyzna, pełna uroków — a siedzą tam na niej
Roje luda, a liczy dziewięćdziesiąt grodów.
Moc tam różnego szczepu i mowy narodów.
Są Achaje, Kydony, Dory bujnogrzywe,
Pelazgi, toż Kreteńcy, tubylcy właściwe.
Na wyspie jest gród Knossos, wielki i stołeczny,
Gdzie lat dziewiątek władał Minos, druh serdeczny
Zeusowy, a rodziciel ojca mego, którym
Był Deukalion; ja byłem jego synem wtórym,
Pierwszym zaś Idomenej. Ten z Atreja syny
Poszedł gród Ilionu rozwalać w perzyny.
Ja zaś, młodszy, Ajtona nosiłem nazwisko.
Tam poznałem Odysa, i w przyjaźń z nim bliską
Zaszedłem, bo na brzegi Krety wicher srogi
Sudna jego był rzucił, zbite z swojej drogi
Od przylądku Malei... Zatem na kotwicy
U Amnisy on stanął, kędy w okolicy
Pieczara Ejlejtji — schroniony przed burzą
W tej niedobrej przystani cierpiał jeszcze dużo.
Ledwo przybył, natychmiast do miasta pośpieszył,
Aby z Idomenejem, druhem swym, się cieszył.
Lecz już dziesiąty czy dzień jedenasty minął,
Jak Idomenej w sudnach pod Troję odpłynął.
Jam więc gościa zaprosił w dom mój, jak przystoi,
I hojnie udarowałem ze spiżarni mojej.
Krom tego towarzysze na nawach będące
Lud opatrzył dostawą tak w winie, jak w mące,
Jak w wołach, aby w drodze nie zaznali głodu.
Dni dwanaście mieliśmy tego tam narodu;
Bowiem Borej, wiatrobóg, ciągle morze wzdymał,
I wiał, że człek na nogach ledwo się utrzymał.
W trzynastym, gdy wiać przestał, odbili Achaje”.

Takie prawdopodobne gadał on jej baje,

Lecz słuchająca żona w łzach topniała wszystka.
Jak na górach Zefirem zwiane zasypiska
Śniegu zwykle roztopia rankiem Eur ciepławy:
Tak roztopiał jej śliczne lica potok łzawy,
Co płynął po małżonku, tuż przy niej siedzącym.
Dla Odysa płacz żony był rozdzierającym;
Oczy jego, jak z rogu, lub żelaza ryte,
Nieruchome, chowały w sobie łzy ukryte.
Więc gdy ona ten potok żalów swych wylała,
Wszczęła znowu rozmowę i odpowiedziała:
„Gościu mój! Chcę cię spytać o szczegóły różne:
Czyś naprawdę ugaszczał te druhy podróżne
Wraz z mym mężem u siebie, jak to z ust twych słyszę?
Mówże, jak on wyglądał, i jak towarzysze?
I jakie mąż mój suknie wtedy miał na sobie?”

Odparł wtedy Odysej: „Ciężko mi na dobie
Przypomnieć, jak wyglądał i jakie miał szaty,
Gdyż się to działo niemal przed dwudziestu laty,
Kiedy płynąc pod Ilion był w naszym ostrowie.
Jednak wszystko opowiem, com zatrzymał w głowie:
Boski Odys miał chlajnę czerwioną, wełnianą,
Podbitą, a na złotą pągwicę spinaną
Dwupętliczną. Misterna rzeźba była na niej:
Pies w przednich łapach trzymał jelonka od łani,
Który drgał w tym uścisku. Cudownej robocie
Dziwowali się wszyscy, że tak wyszła w złocie;
Zwłaszcza psu, jak się w zwierzę dławione wpatrywał,
I jelonkowi, jak się z jego łap wyrывał.
Widziałem też i chiton na nim: ta sukienka
Jak łuska na cebuli suchej była cienka,
A miękka, a białości jako słońce ćmiącej.
Wtedy on w oczach niewiast był zachwycający.
Dodam jeszcze, a słowa rozważ sobie moje,
Że nie wiem, czy Odysej z domu wziął te stroje,

Czy też jaki przyjaciel dał mu na okręcie,
Czy kto obcy, chcąc gościa uczcić na przyjęcie,
Bo dużo miał życzliwych ten mąż niezrównany!
Jam mu także darował piękny miecz miedziany,
Płaszcz podwójny z czerwieni, toż chiton mu dałem.
Ze czcią odprowadziwszy do naw, pożegnałem.
Był jeszcze przy nim keryks podeszłego wieku.
I o tym ci opowiem także coś człowieku:
Garbaty, smagłej cery, włos miał kędzierzawy,
Zwał się Eurybat; Odys go z druhów wyprawy
Najwięcej cenił, że był podobien mu duchem”.

Skończył. Ona spłynęła nowym łez wybuchem,
Słyszając, jak każdy wiernie był odmalowany.
A gdy ból jej się ulżył, łzami wykąpany,
Wszczęła znowu rozmowę, zadając pytanie:

„Gościu! Choć miałam dla cię wpierw politowanie,
To odtąd tutaj miłość czeka cię i chwała.
Szaty, któreś opisał, jam sama mu dała,
Poskładane w mym schowku, i złotą zaponą
Ozdobiłam. Lecz nigdy nie ujrzę go pono.
Jak nie ujrzą powrotu pana ot te progi!
W złej godzinie odpłynął Odysej mój drogi
Pod Troję tę przekłętą i znienawidzoną!”

Na to odrzekł jej Odys: „Czcigodna matrono
Laertiady Odysa! Ależ zdrowie szanuj,
Nie psuj pięknej urody, nad smutkiem zapanuj
I nie płacz tak ustawnie! Łez twych ja nie ganię:
Każda małżonka płacze, gdy męża nie stanie,
Towarzysza młodości, z którym miała dziatki.
A choć Odys jak bożek był śliczny i gładki,
To się ukój i słuchaj mojej opowieści.
A są to najprawdziwsze, jakim zebrał, wieści
O powrocie twojego męża, który ninie
Blisko stąd siedzi w żyznej Tesprotów krainie

I wiezie do ojczyzny bogactwa niezmierne,
Darem mu darowane. Za to druhy wierne
I nawy potonęły, leżą w wód odmęcie
Po odjeździe z Trynakii — bo ich Zeus zawzięcie
I Helios, za wyrżnięte byki, gniewem ścigał —
Morze wszystkich schłonęło, nikt się nie wymigał.
On sam tylko na wrędze falami niesiony
Dostał się był w feacki kraj błogosławiony,
Gdzie go ze czcią, jak bóstwo jakie, przyjmowano,
Hojnie obdarowano i odesłać chciano
Do ojczystej Itaki. Gdyby na to przystał,
Dawno byłby już w domu, lecz on nie korzystał
I gdzie indziej się rzucił, aby skarby zbierać;
Bo Odys jak nikt z ludzi tak umiał wyszperać
Każdy zysk — łepak sławny do takich obrotów.
Oto jest, co mi gadał Fejdon, król Tesprotów,
Przysięgając przy czaszy obiatnej najwięcej,
Że łódź czeka, flisacy czekają najęci,
Co go mają odwozić do rodzinnej ziemi.
Mnie zaś wprzód wyprawił z nawy tesprockimi,
Które właśnie wysyłał na Dulichion pszenney.
Pokazał mi też Fejdon Odysa skarb cenny,
Złożony w domu króla; tych bogactw tam było
Tyle, żeby i dziesięć pokoleń z nich żyło.
Sam zaś Odys, jak mówił, miał się do Dodony
Odprawić, by usłyszał, co dąb poświęcony
Kronionowi o losach jego mu nagada,
W jaki sposób w Itace stanąć mu wypada:
Czy jawnie w swej postaci? Czy w przebraniu, skrycie?
Więc żyje w dobrym zdrowiu, i wnet go ujrzycie
Tutaj; a on rad skończy te długie podróże
I wśród swoich zostanie. Będzie tak, jak wróżę!
Świadkiem bóg mi najwyższy, świadkiem to ognisko
Odysowe, przy którym mam dziś przytulisko,

Że się rzeczy tak spełnią, jak tobie je wieszczę!
Odys wróci, a wróci w ciągu roku jeszcze,
Gdy ten miesiąc się skończy, a zaświeci nowy!”

Roztropna Penelopa odrzekła mu słowy:
„Oby się twe spełniły, gościu, obietnice!
A tak cię udaruję, przyjaźnią zaszczycę,
Że każdy, kto cię spotka, zazdrością zapala.
Lecz już wiem, co się stanie — jakbym przeczuwała:
Ani Odys nie wróci, ni ciebie w te strony
Odeślą, bo ten dom nasz już osierocony:
Nie ma w nim Odyseja! Gdy ten gospodarzył,
I gościa przyjąć umiał, i hojnie obdarzył.
Wy zaś, dziewczki! słać łoże, myć gościowi nogi!
Piękne wnieść tu poduszki, kołdry! Niech sen błogi
Aż do porannej zorzy trzyma go w pościeli!
A jutro dać mu kąpiel, wymaćścić w kąpieli,
By odświeżon mógł razem z Telemachem śniadać
W tej tu izbie! Lecz wara na niego napadać!
Kto by śmiał go znieważać, ciężko pożałuje,
I niech mi się na oczy już nie pokazuje!
A ty gościu, pomyśleć mógłbyś, że rozumem
I sercem nie góruję ponad niewiast tłumem,
Gdybym cię nie mytego i w lichej odzieży
Częstowała. Nasz żywot krótką metę mierzy,
A kto serce ma twarde i w czynach okrutny,
Takiemu życzą wszyscy, by żywot miał smutny,
A jeszcze i po śmierci przekleństwo go ściga.
Lecz kto myśli pocziwie i przed złem się wzdryga,
Tego sławę po świecie roznoszą przechodnie,
Krocie ust powtarzają, że umiał żyć godnie”.

Na to jej bystroglowy Odys odpowiada:
„Wierzaj mi, o czcigodna żono Laertiada,
Żem już odwykł od kołder i miękkiej pościeli,
Odkąd z śnieżnych gór Krety na morskiej topieli

Przyszło mi w długodziobym okręcie się wędzić.
Pozwól więc, jak mam zwyczaj, i tę noc przepędzić;
A spędziłem ich wiele na nędznej pościółce,
Tęskniący ku Jutrzence, złotej przyjaciółce!
Mycie nóg, które każesz — także niepotrzebne,
Nie zniósłbym, aby panny myły mnie służebne!
Za nic nóg mych dotykać żadnej nie pozwolę.
Jeśli masz jaką starkę stateczną, to wolę,
Co by tak nieszczęśliwą w życiu jak ja była —
Tej bym nie bronił, niechby nogi mi umyła”.

Na to mu Penelopa: „O gościu mój drogi!
Żaden z tylu podróżnych, wchodzących w te progi,
Rozumem ci nie sprostał: wszystko w tobie wyższe
I wszystko takie mądre, co z twoich ust słyszę.
Mam ja tu jedną starkę, przywołam staruchy —
Niańczyła mego męża, niemowlę w pieluchy
Owinęła, jak tylko matka je powiła.
Wątła jest, lecz twe stopy jeszcze by umyła.
Przybliż się, Euryklejo, i usłuż starcowi!
On w latach twego pana. Mój Odys — któż to wie? —
Może tak samo sterał jak ty ręce, nogi?...
Nic bardziej nie starzeje ludzi niż los srogi!”

Rzekła, a cna staruszka, twarz ukrywszy w dłoni,
Ozwie się żałośliwym głosem i łzy roni:
„Oj! Nieszczęsneż to dziecko! Bóg się tak rozsrożył
Przeciw niemu, choć sercem on bogom się korzył.
Nikt z ludzi pobożnością nie wyrównał jemu:
Nikt więcej lędźw' nie spalił bogu piorunnemu
W nadziei, że się błogiej starości doczeka,
A i własnego syna wychowa na człeka!
A teraz dnia powrotu zaprzeczył mu zgoła!
Może mu tam w obczyźnie kobiety bez czoła
Urągały, gdy chodził po żebraczym chlebie,
Jak te suki, co, gościu, urągały z ciebie,

Że już — bojąc się szyderstw — nie chcesz, by ci stopy
Którakolwiek z nich myła. Ja zaś Penelopy,
Pani mej, rozkaz spełnię, służyć ci gotowa
Najczęściej, choćby pani nie rzekła ni słowa:
Taką litością serce ku tobie wezbrało.
Lecz wprzódę chcę się spytać: Przez nasz dom niemało
Przesunęło się biednych, przecież twarzy rysem
Ni głosem nie był żaden, tak jak ty, z Odysem
Podobniutki!”

Jej na to rzekł Odysej: „Matko!
Od tych, którzy nas znali, słyszałem nierzadko,
Że wielkie podobieństwo jest pomiędzy nami.
Więc to prawda, i wzrok twój wcale cię nie mami”.

Tak rzekł, a starka miednik wraz przyniosła śliczny
Do nóg mycia, i wlała w niego zdrój kryniczny,
Przymieszawszy coś wrzątku. Odys przy ognisku
Usiadł, lecz się odwrócił w ciemność od połysku,
Bowiem pomyślał sobie, że przy tym nóg myciu
Blizna, jaką ma, łatwo podpadnie odkryciu.
Starka zaś, przystąpiwszy, poczęła myć pana,
I zaraz ją poznała. Blizna ta zadana
Niegdyś białym kłębem dzika, jeszcze w owym czasie,
Gdy bywał w odwiedzinach na górskim Parnasie
U Autolyka, ojca matki swej rodzonej.
Ten ze zręcznych kradzieży wielce był wślawiony;
A tej sztuki sam Hermes za to go wyuczył,
Że go dymkiem kozłatek i jagniąt wciąż tuczył
Żertwując mu ich lędźwie. Hermes tym ujęty
Oślał te szalbierstwa i jego wykręty.
Właśnie się ów Autolyk w Itace znachodził,
Kiedy córka mu zległa i wnuk się narodził.
Eurykleja złożyła na kolanach dziada
Dziecię pod koniec uczty i tak doń powiada:
„Autolyku, ot wnuk twój — daj mu jakie imię.

Wnukaś pragnął, od ciebie niech więc miano przyjmie”.

I Autolyk tak mówił do córy i zięcia:

„Drodzy moi, wynajdę imię dla dziecięcia;

A ponieważ z niewiasty i mężmi skłócony

Sierdząc się na ród ludzki w waszem przybył strony —

Więc zwijmy go Odysem: sierdzistym zwę wnuka.

A kiedyś, gdy wyrośnie, niechże mnie poszuka

W parnaskich górach, w mojej ojczystej siedzibie,

A ja mu w upominkach hojnych nie uchybię”.

Więc później, gdy się wybrał po te upominki,

Autolyk gościa witał, Autolyka synki

Dłoń mu bratnią podali, przyjęli uprzejmie;

Niemniej i Amfitea z czułością obejmie

Swego wnuka, całując w oczy, w oba lica.

Autolyk dziarskim synom krzątać się zaleca

I sposobić biesiadę. Ci rozkaz spełniają,

Ciągną pięcioletniego ciolka, zarzynają,

Draż ze skóry, na ćwierci rąbią, te znów sieką

Na drobniejsze kawały, na rożnach je pieką

Ponad żarem i gościom rozdają pieczenie.

Tak dzień cały, aż słońca zagasły promienie,

Cieszyli się u wspólnej rodzinnej biesiady.

Lecz po słońcu, gdy ziemię owinał mrok blady,

Spać poszli i snów słodkich krzepili się darem.

O jutrzence, gdy błysła już na niebie szarym,

Autolyka synowie zebrawszy psów złaje

Na łów ciągną. I Odys do wyprawy staje.

Pną się w góry Parnasu skroś leśnych zarośli —

A gdy do smaganego wiatrem szczytu doszli,

Wyszedł Helios z Okeanowej toni sennej,

I ziemia zajaśniała w swej szacie promiennej.

Wtenczas łowcy w głęboki spuścili się parów,

Psy puszczono do kniei; za tropem ogarów

Autolyka synowie jedną ławą idą,

Lecz Odys ich poprzedzał, długą wstrząsał dzidą,
Jakoż srogi odynieć miał tam swoją knieję —
Gąszcz taka, że ją wiatry nigdy nie przewieje,
Ani słońce przewierci, ni przemoczą słoty,
Tak gałęzie gęstymi związały się sploty
Ponad suchymi liśćmi tego legowiska.
Snadź chód mężów, psów hałas zwierząt posłyszał z bliska,
Bo z gęstych chaszczów naraz porwał się, wyskoczył,
Szczęć najeżył, ślepiami iskrzącymi toczył
I tak wyszedł na łowców. Odys był na przodzie,
Więc pewny, że oszczepem wskroś dzika przebodzie,
Posunął się na niego. Dzik zwinnie się sprawił
I goleń zwyż kolana srodze mu rozkrwawił
Krzywym kłębem, który mięsa wydarł z niej kawałek,
Lecz kości nie naruszył; alić Odys śmiałek
Tak odyńca w łopatkę prawą pchnął dziurą,
Że grot przeszedł na wylot — dzik runął ze zgrzytem
O ziem i dech wyzionął. Syny Autolyka
Obstąpili dokoła rannego od dzika,
Obwiązując mu ranę, a krew, co tryskała,
Zamówiono. Więc do domu czym prędzej wracała
Ta wyprawa łowiecka, gdzie Autolyk stary
Z synami miał on pieczę i hojnymi dary
Opatrzywszy odesłał zdrowego młodziana
Do kochanej Itaki. Tam uradowana
Matka i ojciec syna drogiego powrotem
Nuż pytać go o wszystko, by mówił im o tem,
Jak otrzymał tę bliznę. On im opowiadał,
Że mu w kniei odynieć białym kłębem ją zadał,
Gdy polował w Parnasie z synami Autolyka.
Właśnie starka tę bliznę pod dłonią spotyka,
A poznawszy, jak miała nogę jego w ręku,
Tak puściła — ta w miednik upadła i brzęku
Narobiwszy, naczynie z wodą przechybnięła.

Ona trwogą zadrżała, radością spłonęła,
Głos jej zastygł, a łzy się cisną; lecz wzruszenie
Przeszło — i już podbródek głaszcząc mu pieszczenie,
Rzekła: „Synu! Tyś Odys!... Jam ciebie, mój panie,
Nie mogła pierwiej poznać, aż ot, po tej ranie”.

I w stronę Penelopy wzrok jej promieniący
Znać dawał, że to mąż jej, Odys wracający
Lecz królowa na migi te nie uważała.
Gdyż Atene gdzie indziej myśl jej skierowała.
Wtem Odys starkę chwycił za gardło, i k'sobie
Przyciągając, rzekł do niej: „Ej, matko, co tobie?
Chcesz mnie zgubić? A przecież tyś mnie własnym mlekiem
Wykarmiła — i kiedy po świecie dalekim
Nabiedowawszy, wracam do ojczystej ziemi,
Dwudziestoletni tułacz pomiędzy obcemi!
Więc jeśli-ć pozwolili poznać mnie bogowie,
To milcz! I niech się o mnie nikt w zamku nie dowie!
Bo inaczej — a groźby dotrzymam ja święcie,
Gdy z łaską bożą gachów nastąpi wyrżnięcie,
Wezmę się do występnych dziewczek, łby im skręcę,
I tobie nie daruję, i ciebie poświęcę”.

Na to mu Eurykleja, zacna białogłowa:
„O, jakież to, mój synu, z ust twych wyszły słowa?
Wiesz przecie, jakem silna, niezłomna w sumieniu!
Tajemnicę tę zamknę w sobie jak w kamieniu.
Li dodam, a to, proszę, schowaj w głębi duszy:
Kiedy boska moc twoja gachów tych pokruszy,
Wydam ci, byś ukarał, te wszystkie służebne,
Co dom ten zbezczęściły przez sprawki haniebne”.

Na to odrzekł jej Odys, on w ciemię nie bity:
„Po co masz mi wydawać, matko, te kobiety?
Ja każdą sam podpatrzę i, co warta, zważę;
Tylko sza! A ufajmy, że bóg złe ukarze”.

Rzekł witeź, a staruszka z izby się wymyka

Po wodę, gdyż się dawna wylała z miednika.
A gdy pan był umyty, namaszczone oliwą,
Poszedł się, gdzie płomieniem buchało łuczywo,
By się ogrzać, a bliznę ukryć pod łachmany.
I Odys od królowej był znów zagabany:
„Gościu mój! Chcę się spytać jeszcze o rzecz drobną,
Bo się już na spoczynek udamy podobno,
Lubo tym, którzy cierpią, sen powiek nie skleja.
Mnie z bożego dopustu cierpienie zabija;
W dzień mam niby rozrywkę i utulam płacz,
Gdy mej własnej roboty i sług moich patrzę;
Lecz w nocy, gdy spać pójdą moi domownicy,
Leżę w łóżku, w bezsennej wiję się tęsknicy,
A boleść mi wyciska z serca jęk żalosny.
Podobnie kwilić zwykła na początku wiosny
Zielonawa Aedon, córka Pandarewa,
Ukryta w gęstych splotach liściastego drzewa,
Opłakująca pieśnią na różne odmiany
Ityla — a ten Ityl to syn jej kochany,
I syn króla Zetosa. Matka w zaślepieniu
Zabiła go swą ręką. — W takim rozdwojeniu
I jam jest, i już nie wiem, jak sobie poradzić:
Czy mam zostać przy synu, majątek gromadzić,
Sługi moje i świetność zachować w tym dworze,
Dbać o sławę, małżeńskie czcią otaczać łożę?
Czy z goszczących tu w zamku mam sobie młodzieńca,
Co hojne dary złożył, wziąć za oblubieńca?
Póki syn mój był dzieckiem, w głowie miał zielono,
Z miłości dlań nie chciałam drugiego być żoną
I opuścić to gniazdo; lecz dziś, kiedy wiekiem
Dojrzał i już zupełnym zrobił się człowiekiem,
Sam pragnie, bym się z tego wyniosła mieszkania,
Gdzie gach dobytek jego i mienie roztrwania.

Lecz powiedz mi, co znaczy ten sen, który miałam:

Dwadzieścioro ja gęsi w podwórzu chowałam,
Jadły one pszenicę, wodę piły w stoku;
Widok tych gęsi miłym był mojemu oku.
Wtem z gór orzeł nadleciał, miał dziób, szpony krzywe,
Gęsiom szyje poskręcał — i padły nieżywe,
Pozabijane. Orzeł wionął znów w błękity,
A jam przez sen płakała. Zbiegły się kobiety
Pięknowiąse, tam, z miasta, cieszyć rozsłochaną
Po mych gęsiach. Wtem orła z powrotem ujrzano,
Jak się spuścił i usiadł na belce u strzechy,
I głosem ludzkim rzekł mi te słowa pociechy:
— O córo Ikariosa, próżne twe zmartwienie!
To nie sen, to prawdziwe z nieba objawienie:
Tymi gęśmi są gachy, tym orłem ja byłem,
A twym małżonkiem jestem; to ja powróciłem,
Aby wszystkie te gachy wyciąć co do nogi! —
Mówił orzeł; mnie zaraz opuścił sen błogi;
Wyjrzę na dwór: są gęsi, żadna nie zabita;
Dziobały swym zwyczajem pszenicę z koryta”.
Na to odrzekł jej Odys: „Pewnie nikt inaczej
Tego ci snu, królowo, już nie wytłumaczy,
Niż sam Odysej, kiedy zapowiedział słowy,
Że wszystkich zalotników w zamku padną głowy”.

Penelopa mu na to rzekła: „Gościu miły!
I sen bywa niekiedy ciemny i zawiły,
I nie zawsze się prawdą naszych snów majaki;
Bo, jak mówią, do krain sennych wchód dwojaki:
Bramą z kości słoniowej i bramą rogową.
Więc sny z pierwszej idące plotą to i owo,
A ich wróżby kłamliwe zawsze nas zawodzą;
Za to sny, co przez bramę rogową przechodzą,
Iszczą się i nie mylą ludzi, co śnią nimi.
Lecz mój sen nic wspólnego nie ma z ostatnimi,
Acz bardzo bym pragnęła tych tam wróżb ziszczenia!

Jeszcze jedną rzecz ważną mam ci do zwierzenia.
Jutro straszny dzień dla mnie: przyjdzie dom Odysów
Rzucić, gdyż jutro daję pole do popisów.
Przez dwanaście toporów, rzędem w ziemię wbitych,
Odys niegdyś bełt puszczał, i było przeszytych
Uch dwanaście, a strzelał na odstęp daleki.
Owoż mym dziewosłębom zadam trud nielekki:
Ten, który łuk potrafi napiąć dłonią silną
I przez topory strzałę przepędzić niemylną,
Otrzyma rękę moją, a ja to siedlisko,
Gdzie mi pierwszego męża przypomina wszystko,
Opuszczę — lecz tęskniąca sercem, nawet we śnie!”

Na to Odys rzekł do niej: „Rozkaz wydaj wcześniej,
Laertiady Odysa najzacniejsza żono,
By się do tych zapasów w zamku sposobiono.
Bo Odys pierwszej wróci, jeżeli już wraca,
Nim ów łuk, chociaż każdy z gachów go obmaca,
Jeden napnie i strzałą przeszyje topory”.

Penelopa mu na to: „Gościu! Jeśliś skory
Siedzieć tu ze mną w izbie, to siedź sobie dłużej,
I rozmawiaj: bezsenność wcale mnie nie nuży.
Lecz człeku sen potrzebny, kiedy mu jest dany,
Każda rzecz ma swą porę i swoje odmiany:
Na tej ziemi bogowie tak postanowili.
Ja zatem do mych komnat odchodzę w tej chwili
Aby spocząć na łożu, wciąż łzami wilżonem,
Odkąd Odys mój poszedł walczyć pod Ilionem
Obrzydłym, co wspomnieniem samym rani srodze
Idę więc na spoczynek, ty zaś na podłodze
Ściel tu sobie, lub łóżko wniosą ci gotowe”.

Rzekła odchodząc w górne komnaty zamkowe,
Nie sama, lecz swych panien gronem otoczona.
A gdy się tam ujrzała pośród niewiast grona,
Znowu w płacz po Odysie, i tak wciąż płakała,

Aż Atena ją słodkim snem ukołysała.

Pieśń dwudziesta

Wypadki przed rzezią zalotników

Odys w podsieniu do snu słał sobie posłanie:
Na spód skóry wołowe, a na wierzch baranie
Z tych skopów, które gachy pojadły łakome;
Chłajnę mu do przykrycia dała Eurynome.
I leżał witeż, lecz nie spał, zamyślony o tym,
Jak by gachy wygubił. Wtem z pustym chychotem
Z komór wybiegły dziewczki, takie, co zwyczajne
Zadawać się z gachami, miewać schadzki tajne.
Słyszając Odys ich śmiechy ważył w głębi duszy,
Czy się zerwie i wszystkie do jednej pokruszy,
Czy im jeszcze dozwoli na bezwstyd zbrodniczy
Raz ostatni? I serce w piersiach mu skowyczy
Jak u suki, co szczeniąt pilnując swych szczeka,
I zaczepia każdego przechodniego człeka.
Tak w nim wrzało i byłby na nie wraz uderzył,
Ale bijąc się w piersi poryw ten uśmierzył:
„Cierp, serce, przecie nieraz gorsześ przecierpiało,
Jak z Kyplozem, gdy szarpał żywcem druhów ciało!
A jednak to się zniosło — wyszedłem z tej matni,
Pewien, że przyszedł na mnie w życiu dzień ostatni”.

Tak mówił i ukajał w głębi burze duszne,
Serce się ukoilo rozkazom posłuszne.
On tylko wił się ciągle w bezsennym ucisku,
Jak ten, co postawiwszy kiskę na ognisku,
Nadzianą krwią i tłuszczem, przewraca co chwila,
Bo prędzej usmażona prędzej go posila:
Tak i on z boku na bok ciągle się przewracał,
Myśląc, jak by te gachy naraz powytracał.

Lecz ich tylu, on jeden!... Wtem z nieba Pallada
Zbiegła doń; kształt przybrawszy panny, i powiada
Stanąwszy u głów jego (tak mówiło dziewczę):
„Czemu czuwasz, a nie śpisz, ty mój nieszczęśliwcze?
Przecież jesteś w swym zamku, z żoną pod tym dachem
I z najlepszym, jaki jest, synem Telemachem!”

Na to jej odpowiedział Odys, mądra głowa:
„Bogini! To, co mówisz, prawda, ani słowa!
Lecz ja z myślami mymi mam niemałą mękę,
Jak się wziąć do tych gachów, jak wyzwać na rękę
Sam jeden, a ich taka schodzi się gromada?...
Lecz większy jeszcze grozi kłopot mi i biada,
Że gdy z bożą pomocą gachy w pień wysiekę,
Rozważ: gdzie mam się podziać, gdzie znaleźć opiekę?”

Na to mu sówiooka Atene odpowie:
„Dziwnyś! Wszak druhom zwykle ufają druhowie,
Choć śmiertelni i pomoc niezdolni w potrzebie.
Jam przecież nieśmiertelna, jam broniła ciebie
W każdej przygodzie. Uważ mowy mojej wątek:
Choćby różnojęzycznych hufców pięćdziesiątek
Obskoczył mnie i ciebie, chcąc zabić oboje,
To w końcu ty ich trzody pognałbyś jak swoje.
Uśnij więc: ta bezsenność wyniszcza ci siły,
Uśnij! Twoje cierpienia niemal się skończyły”.

To powiedziawszy, snem mu potrząsła powieki;
I wnet boginię w Olimp unosił pęd lekki.
Skoro sen go utulił, rozwiązał mu członki
I troski spędził.

Za to ócz jego małżonki
Sen nie kleił. Siedząca na łożu, w łzach cała,
Gdy już wszystkie boleści serca wypłakała,
Taką modlitwą błaga Artemis boginię:
Córo Zeusa, Artemis! O, ugódź mnie ninie
Strzałą twą! Smutny żywot wydrzyj z mego łona,

Lub ześlij na mnie wicher, którym uniesiona
W tumany mgieł zawalnych padnę gdzie na brzegu
Okeanu, co ziemię okrąża w swym biegu!
Zeszlij wicher jak na owe Pandarea córę,
Co zbawione rodziców skrzydłem tej wichury
Sierotami zostały. Afrodyta boska
O te panny-sieroty jak matka się troska,
Przynosi im wonnego miodu, wina, mleka;
Hera wdziękiem nad wszystkie niewiasty obleka;
Artemis wzrost im daje i kibić układa;
Misternych robót sama uczy je Pallada.
Potem, gdy Afrodyta szła w Olimp wysoki
Wyjednać tam weselne dla dziewic wyroki
U Zeusa piorunnego, który to przenika,
Co szczęściem lub nieszczęściem ma być śmiertelnika —
Wtenczas Harpie wykradły jej te wychowanki
I obrzydłym Eryniom oddały w poddanki.
Oby mnie tak bogowie z tego świata wzięli,
Lub zabiła Artemis! Wolę to niżeli
Chuć nasycać lubieżną prostego Achiwy —
Wolę, żeby mi w oczach stał mój Odys żywy,
A ja z nim się zapadła w ponure podziemie.
Zaprawdę lżej się znosi takich cierpień brzemię,
Kiedy na narzekaniu i łzach dzień przechodzi,
A noc wszystkie boleści słodkim snem łagodzi.
Bo ledwo senność błoga powieki przyprószy,
Równie złe jak i dobre wymiata ci z duszy.
Lecz demon co noc na mnie sny okropne zsyła —
Czułam męża — spał przy mnie; postać jego była
Taka jak na odjezdnem, a ja ucieszona
Mniemałam tulić męża, nie marę, do łona”.

Tak mówiła. Wtem promień błysł złotej Jutrzenki,
I doszły usz Odysa te płacze i jęki;
Zamyślił się, bo ciągle snuły się widziadła,

Że ona przy nim stoi, i kto jest, odgadła.
Jakoż chiton i skóry służące za łożo
Zwinał wraz i na stołku położył w komorze,
A na podwórze wyniósł li skórę wołową
I wzniósłszy w górę ręce, błagał moc Zeusową;
„Ojczy Zeusie! Tyś skazał mnie na trud i nędzę,
A dziś rodzinie wracasz po długiej włóczędze;
Spraw, niech słowem wróżebnym ozwą się te ściany,
A z nieba znak widomy niech będzie mi dany!”

Tak błagał witeź. Zeus go wysłuchał istotnie:
Z świetlanego Olimpu piorun naraz grzmotnie
Wypuszczony z obłoku. Odys rad był wielce
Z tego znaku, gdy z miejsca, gdzie królewskie mielce
Stały blisko, mielcarka przesłała mu wróżbę.
Przy żarnach bab dwanaście pełniło tam służbę
Mieląc jęczmień, pszenicę dla męża na strawę,
Lecz wszystkie spać już poszły w pracy więcej żwawe
Krom jednej, co, najslabsza, mąkę meła jeszcze;
Ta zatrzymawszy żarna rzekła słowo wieszczce:
„Ojczy Zeusie, władający ludźmi i bogami!
Tęgo zagrzmiałeś z nieba, choć nigdzie nad nami
Nie ma chmury; zapewne znak dajesz dla kogo.
Wysłuchajże mej prośby i pociesz niebogą!
Oby nigdy już więcej ten gaszy tłum nie siadł
Tu, w zamku Odysowym, do rozpustnych biesiad,
Na które mleć im mąkę muszę, mdła kobieta!
Niechby się raz ostatni najedli do syta!”

Usłyszawszy Odysej tę wieszczbę mielcarki
I ten grzmot, już był pewny, że skręci im karki.
Tymczasem inne dworskie służebne się zbiegły
I stos drew na ognisku płomieniem zażegły.
Toż i boski Telemach ze snu się ocucił,
Przywdział szaty, przez ramię świetny miecz zarzucił,
Pięknymi postołami białe opiął nogi,

Do ręki wziął z miedzianym grotem oszczep srogi
I rzekł do Euryklei, w progu stojąc: „Nianiu,
Myślałaś też o jadle, o miękkim pośłaniu
Dla tego tam przychodnia? Czyś też nie myślała?
Albowiem matka moja, choć taka wspaniała,
Często się zapomina i lada hultaje
Przyjmuje, a uczciwym przystępu nie daje”.

Na to mu Eurykleja wymówkę uczyni:
„Niewinnej matki swojej niechże syn nie wini!
Bo ów gość siedział w izbie i wytrząsał dzbany,
A jeść nie chciał, choć o to przez nią był pytany.
Aż gdy sen jął go morzyć o spóźnionej porze,
Kazała dlań służebnym w izbie mościć łoże.
Lecz nieszczęsny, od wygod odwykły staruszek
Nie chciał na łożu miękkich spoczywać poduszek,
Ino skóry baranie słał sobie pokotem
W przysionku, a my chłajną nakryły go potem”.

To rzekła, a młodzieniec dzierżąc w dłoni kopię
Wyszedł z zamku, a za nim psy biegły po tropie;
I na wiecę szedł między pancerne Achiwy.

Tymczasem Eurykleja zwoływała dziewy
Służebne, najzacniejsza z niewiast tego dwora,
Opsa córa (a Ops był synem Pejsenora):
„Nuże, dziewczki, do mioteł! Z izby wymieść śmiecie,
Lecz wprzód skropić; a potem krzesła zaścielecie
Krasnymi kobiercami! Wy zaś drugie, dziewczki,
Myjcie stoły gąbkami, wypłuczcie nalewki
I dwuuszne puchary; inne niechaj skoczą
Po wodę do krynicy, a rażno! ochoczo!
Bo gachy zejść się mają wcześniej: uprzątniętą
Niechże izbę zastaną. Dziś dla wszystkich święto!”

Rozkazom jej posłuszna czeladka niewieścia:
Przynieść wodę z krynicy pobiegło dwadzieścia,
Reszta piękny porządek w izbie już kończyła.

Wtem czeladź panów gachów na zamek przybyła
I wzięła się drwa rąbać, a dziewczki od wody
Też wróciły. Zjawił się także pastuch trzody,
Który trzy wykarmione, a z trzody najlepsze
Przygnał i na dziedziniec wolno puścił wieprze,
A sam Odysa zagabł słowem uprzejmości:
„Gościu! Czyś ty z Achiwy w lepszej zażyłości,
Czy jak w pierw obelgami trapią cię we dworze?”

Na to mądry mu Odys odrzekł: „Kiedyś może,
Eumajosie, bogowie spuszczą srogie kary
Na one rozpustniki bez czci i bez wiary,
Co się rozwiemożywszy tutaj, w cudzym domu,
Płodzą bezwstyd, ustąpić nie myśląc nikomu”.

Takie tam rozhowory jeden z drugim toczył,
Kiedy koziarz Melantios prosto ku nim kroczył,
Gdyż co tylko najlepsze z obory koziółki
Przygnał gachom na gody; dwa jego pacholki
Zaraz je uwiązali pod wystawą brzmiającą;
Melant zaś na Odysa wpadł mową łającą:
„Przybłądo! Więc wciąż będziesz męża napastował,
Twoją tu żebraniną? Ot, byś już się schował,
Bo, jak widzę, inaczej ciebie nie pozbędę
Niż tą pięścią; i po co cierpieć tu przybłądę,
Darmojada? Idź sobie żebrać w inne domy!”

Tak mówił, a Odysej w milczeniu zniósł gromy,
Li trząśł głową i myślał, jak mu ten łeb zleci,
Gdy wtem znowu Filojtios nadszedł, pastuch trzeci,
Który z tuczną jałówką przygnał stadko kozie.
Te się z lądu dostały morzem, na przewozie
Przewożącym każdego wprost na drugą stronę,
I pod brzmiającą wystawą były umieszczone.
A gdy je tam uwiązał mocno, jak należy,
Zagabnął Eumajosa, starostę pasterzy:
„Powiedz mi, kto jest, jeśli zapytać się godzi,

Ów gość nowy? Z jakiego kraju on pochodzi?
Jakie rodu nazwisko i dziedzicznych włości?
Nędzarz! A postać jego pełna królewskości.
Snadź bogi na ród ludzki srodze są zawzięte,
Kiedy nędzą i króle bywają dotknięte”.

Rzekłszy to, prawą rękę Odysowi podał
Pozdrawiając i takie lotne słowa dodał:
„Witam cię, ojczyzno gościu! Da bóg, lepszej doli
Doczekacie! Dziś nędza trapi was i boli.
O Zeusie, okrutniejszy niż inni niebianie!
Ludzi-ś spłodził, a jesteś tak zawzięty na nie,
Że nędza i cierpienie bywa ich udziałem.
Toż zimny pot mnie oblał, kiedy cię ujrzałem,
I łza spadła — bo Odys stanął mi w pamięci.
Jak ty, i on tam może wśród obcych się kręci,
Łachmanami okryty, jeśli jeszcze żywy
W słońce patrzy; lecz jeśli zmarł ten nieszczęśliwy
I jest w Hadesie, żal mi, żal po panu takim!
Ongi stado on bydła, kiedym był chłopakiem,
Na smugach kefalońskich powierzył mej straży;
A jam je tak rozmnożył, że się już nie zdarzy
Nikomu piękniejszego wyhodować bydła.
Ale mi ta hodowla nareszcie obrzydła,
Gdym zmuszon tuczyć mięsem żarłoczny brzuch gaszy,
Co nie dba o pańskiego syna ni się straszy
Zemsty bogów; bo gachy i na to już kroją,
By się włością królewską podzielić jak swoją.
O! nieraz ja z myślami biłem się i biję,
Co począć? Bo czyż mogłem, dopóki syn żyje,
Zabrać stado i uciec na ziemie sąsiada,
Aby błagać pomocy? Zostać — gorsza biada,
Gdy bydło dawać muszę dziś na stoły wraże!
Dawno byłbym się przeniósł pod inne mocarze
Z tej tu ziemi, gdzie dłużej wytrzymać nie mogę!

Alem zawsze nadzieję w sercu żywił błogę,
Że mój król nieszczęśliwy po latach powróci
I z zamku zalotniki napastne wyrzuci!”

Na to mu odrzekł Odys: „O mój skotopasie!
Twoja mowa niegłupia i niepodła zda się.
Widzę, żeś człek rozumny i dobrych przymiotów;
Więc słuchaj, a co powiem, jam zaprzysiąc gotów:
Zeusa biorę na świadka, ten stół, to ognisko
Boskiego Odyseja, gdzie mam przytulisko,
Że powrót twego pana ciebie tu zastanie
I własnymi oczyma ujrzysz, co się stanie,
Gdy się on tu zabierze do gaszej gawiedzi!”

Na to skotarz te słowa dał mu w odpowiedzi:
„O, niechże Kronion ziści twoje obietnice!
Zobaczysz, żeś dość krzepki, twardą mam prawicę”.

A Eumajos się modlił nieśmiertelnym bogom,
By Odysa ojczystym wrócili już progom.

Taką to między sobą wiedli tam rozmowę.
Telemach pod miecz gachów miał już oddać głowę,
Lecz ptak złowróźbny z strony przeleciał im lewej:
Orzeł z drżącej gołąbki darł szponami trzewy.
Ujrzawszy go, Amfinom rzekł do zgromadzenia:
„Przyjaciele! z naszego nic postanowienia:
Telemacha nie zgładzimy. Siadać do biesiady!”

Zgromadzeni uznali trafność dobrej rady
I hurmem weszli w wnętrze gmachów Odysowych,
Chlajny zdjęte na krzesłach kładąc purpurowych,
Obiatując barany i tuczne koziołki,
Wieprze karmne i ze stad najpiękniejsze ciołki,
Skwarząc trzewia i nimi racząc się nawzajem.
Wino w dzbanach mieszano zwykłym obyczajem;
Świniopas czasze wkładał w ręce godowników,
Skotarz Filojtios chleby wyjmował z koszyków
I rozdawał, Melantios znów dolewał wina.

Więc do gotowej uczty zasiadła drużyna.

Snadź Telemach coś chytrze w głowie swej uradził,
Bo Odysa przy progu kamiennym posadził
U małego stolika, na krzeselku lichem;
Kąsek trzewiów mu podał, toż wino z kielichem
Szczerozłotym i mówił do króla w ten sposób:
„Pij tu sobie spokojnie w gronie tych tam osób,
A od gwałtu, urągania, będę ci obroną
Przeciw całej gromadzie; tu nie karczma pono,
Lecz zamek Odyseja — ja po nim dziedziczę,
Przeto od gwałtów, obelg powstrzymać się życzę,
Aby stąd nie wypadły kłótnie i zatargi”.

Tak powiedział, i każdy przygryzł sobie wargi
Podziwiając tę ciętą wymowę młokosa,
Aż w tłumie dał się słyszeć głos Antinoosa:
„Słyszeliście, Achiwi, jak nas wziął na słowa,
Jak groził! Co kto dostał, niechże sobie schowa!
Cóż robić! Zeus nie zwolił. — Bez tej tam przeszkody
Zapewne by na wieki zamilkł mówca młody”.

Telemach na tę mowę nie zważał tam wiele,
A tymczasem przez miasto, z keryksy na czele,
Ciągnęła hekatomba, a kudłata rzesza
Achiwów w gaj Apolla Łucznika pośpiesza.

Zaś gachy pokrajawszy pieczone mięsiwa
Rozdali między gości; każdy je spożywa.
Dla Odysa przynieśli pacholcy służbowi
Tyle mięsa, co dali każdemu gościowi,
Bo tak im syn Odysów wyraźnie zalecał.

W gachach przecież jad złości coraz się rozniecał,
Bo tak chciała Atene, by ich szyderstw jady
Coraz bardziej jątrzyły serce Laertiady.
Był tam pomiędzy nimi gbur nieokrzesany,
Rodem z ostrowu Same, Ktesippem nazwany;
Pyszałek, dął w bogactwa, więc mu się zachciało

Wziąć sobie po Odysie żonę pozostałą.
On głos zabrał i mówił do gachów gromady:
„Posłuchajcie, co powiem, współnicy biesiady!
Ten przybysz swoją część dostał, jak z nas każdy;
Wszak ująć coś gościowi rzecz naganna zawždy
I niesłuszną, gdyż w domu goście równi sobie.
Ja mu przecież od siebie podarunek zrobię,
Niech nim dziewczkę łązebną lub kogo obdarzy
Z sług, będących tu w domu naszych gospodarzy”.

Rzekł i z kosza wyjąwszy gnat racicy krowiej
Z zamachem cisnął prosto na łeb Odysowi.
Król uniknął pocisku lekkim głowy zwrotem
I rozśmiał się wzgardliwie; gnat wyciął z łoskotem
O ścianę. Więc Telemach gniewny ścisnął pięście
I tak groził: „Ktesippie! Wielkie dla cię szczęście,
Żeś mi gościa nie trafił, gdyż umknąć pośpieszył;
Inaczej byłbym ciebie na wskroś dzidą przeszył,
I ojciec by ci sprawił pogrzeb, nie wesele!
Radzę wam nie pozwalać sobie tu za wiele.
Nabyłem doświadczenia i własnym pojęciem
Poznam, co złe, co dobre: nie jestem dziecięciem.
Nawet umiem cierpliwie znieść, co widzą oczy,
Jak rzniecie bydło moje, jak wino się toczy
I wypróżnia spiżarnia. Opór byłby próżny
Jednemu przeciw tylu; lecz każdy mi dłużny
Zachować się przystojnie, kto gości w mym domu.
Wam chce się mnie żywota zbawić po kryjomu:
Zabijcie! Śmierć znośniejsza niżli takie życie,
Niżli widok tych gwałtów, jakie tu robicie
Łącz wędrownice ubogie lub włócząc w świetlice
Na bezwstydną uciechę dziewczki służebnice!”

Skończył. Każdy oniemiał i milczący siedział,
Aż w końcu Agelaos tak mu odpowiedział:
„Przyjaciele! On mówił po sprawiedliwości;

Niech się nikt z nim nie spiera ani nań się złości,
Ani lży tego dziada, ni dokucza komu
Z czeladzi należącej do Odysa domu.
Wszakże jemu i matce potrzebną jest rada,
Którą mogliby przyjąć, jeśli się im nada:
Pókiście tęsknym sercem wierzyli oboje,
Że Odysej powrócić mógłby w progi swoje,
Póty wolno wam było na powrót ten czekać
I gachów natarczywość z dnia na dzień odwlekać
(Chociaż, mówiąc po prawdzie, gdyby Odys żywy
Z woli bogów powrócił, byłby traf szczęśliwy).
Lecz dziś, gdy znikła wiara w powrót twego ojca,
Namów matkę, niech sobie wybiera młójca
Najtęższego, co dary najhojniejsze składał,
I poślubi. Ty będziesz odtąd mieniem władał
Ojcowskim, bez podziału, jadł i pił swobodnie;
Matka z domu ustąpi”.

Na to odparł godnie

Roztropny młodzian: „Nigdy! Bogami się świadczę
I cierpieniami ojca, który bądź tułacze
Dni tam pędzi, bądź znalazł śmierć w nieznanej stronie,
Że matce nie przeszkodzę, owszem — ją nakłonię.
Niechaj sama na męża kogo chce wybierze;
I kto jej najhojniejsze dary niósł w ofierze;
Wždy sam nigdy nie śmiałbym odezwać się do niej,
By z domu ustąpiła. O, niech mnie bóg broni!”

Rzekł, i naraz coś gachom zrobiła Pallada,
Że wszystkich nieskończony, dziki śmiech napada.
Oszałeli! Śmiech parskał z ich szczęk wykrzywionych,
Połykali kawały mięsiw krwią czerwonych,
Łzy im ciekły, a serca owładnęły strachy...
Wtem boski Teoklymen rzekł, wskazując gachy:
„O wy biedni, nieszczęścia zewsząd na was godzą,
W ćmie nocy głowy, twarze, stopy wasze brodzą...

Słysząc głosy jęczące, z ocz płyną łez strugi...
Krwią ciepłą pobroczone ściany i framugi...
A co mar pcha się do drzwi, co ich tam w podziemiu!
A wszystkie w Erebie leżą... a na nieb sklepieniu
Helios gaśnie i straszne ogarniają mroki!”
Wieszczek rzekł, oni z śmiechu rwali się za boki,
Aż Eurymach się ozwał do gachów i prawil:
„Snadź oszalał ten przybysz, co się świeżo zjawił.
Hej, mołojcy, za próg z nim, wywieźcie na pole!
Jemu tu wszystko ciemno, noc go w oczy kole”.

Boski mu Teoklymen rzekł po raz ostatni:
„Na nic mi przewodnicy twoi nieprzydatni.
Mam, jak widzisz, wzrok, uszy, a i nogi zdrowe,
A szalem obłąkania nie zmaconą głowę.
Więc wyjdę z ich pomocą, bo i tak już wietrzę
Zbliżającą się biedę, która w proch was zetrze
Wszystkich co do jednego w Odysowym dworze,
Za urągania biednym, sprośne cudzołóże!”
Rzekłszy to wraz opuścił pyszne zamku ściany,
Wracając w dom Pejraja, gdzie był pożądan.

Gachowie ze zdziwieniem po sobie spojrzeli
I drwili z Telemacha, a z gości się śmieli —
Aż jeden butny młokos odezwał się w tłumie:
„Nikt pono gorszych drabów w dom puszczać nie umie
Niż Telemach. Wszak wpuścił nam głodnego dziada,
Co wino tego łyka i dobrze zajada;
Lecz to szczyry niezdara, na pracę się wzdryga.
Ciężar to niepotrzebny ziemi, co go dźwiga.
Toż i drugi, co wieszczę udając chciał wróżyć.
Słuchaj mnie, mojej rady mógłbyś dobrze użyć,
Gdybyś obu przybyszów wsadził w łódź wiośloną
I posłał do Sikelów, tam by ich kupiono”.

Te ich gwary Telemach puszczał mimo uszy
Jedno w Odysa patrząc, czekał, czy się ruszy

I podniesie prawicę na występne głowy.

Tam zaś, w ozdobnym krześle, wprost izby godowej
Siedziała Penelopa i nasłuchiwała
Tych rozmów, jakie wiodła w izbie młódź zuchwała,
Która wśród pustych śmiechów, hucznej wesołości,
Zażywała przysmaków różnych do sytości,
Gdyż na obiad niemało sztuk zarznięto bydła.
Za to żadna wieczerza tak im nie obrzydła
Jak owa, którą Odys z pomocą Pallady
Miał im sprawić, wetując ich gwałty i zdrady.

Pieśń dwudziesta pierwsza

Próba łuku

Sowiooka bogini tchnęła w pierś królowej,
Rozumnej Penelopy, pomysł tej osnowy:
Żeby gładkie żelaza, kołczan, łuk Odysów
Poznosić w wielką izbę, gachom do popisów —
I do rzezi, co zaraz potem się rozpocznie.
Więc na wschody, ku szczytom zamku szła niezwłocznie,
Gdzie klucz miedny z słoniową rączką wzięwszy w dłoń,
Do najdalszej komory w swych służebnic gronie
Zeszła, kędy pokłady królewskie schowane:
Złoto, spiż i żelazo misternie kowane.
Tam leżał i Odysów łuk pomiędzy nimi,
I kołczan, nabit strzałami jęk roznoszącymi.
Za bytności swej w Sparcie darem on go dostał
Od Ifita, jen bogom nieśmiertelnym sprostał,
A był Euryta synem. Oba bohaterzy
Zawarli między sobą sojusz druzby szczerej
W Messenie, gdzie Orsilocho podejmował gości.
Właśnie Odys tam przybył ściągać należności,
Upoważnion od ludu, a powód był taki,

Że Messeńcy na łodziach wpadłszy do Itaki
Trzysta owiec z pastuchy zabrali w grabieży.
Więc Odysa w tej sprawie, acz młodziak i świeży,
Wyprawił tam Laertes za starszyzny zgodą,
Ifitos tam ze swoją również nadbiegł szkoda,
Gdyż mu dwanaście mułów i klaczy skradziono,
Lubo przez nie śmierć znalazł sobie przeznaczoną,
Bo gdy w dom Heraklesa, pierwszego z siłaczy,
Męża dzieł wielkich, przyszedł szukać swoich klaczy,
Ten zbrodniarz w domu własnym śmierć gościowi zadał,
Choć przy gościnnym stole razem z nim zasiadał.
Zabił go, na gniew bogów mszczących się nieczuły,
Sobie zaś jego klacze przywłaszczył i muły.
Tych on szukając właśnie zeszedł się przypadkiem
Z Odysejem i cennym obdarzył go datkiem.
Był nim łuk. Witeź Euryt niegdyś z niego strzelał,
Lecz przy śmierci na syna własność łuku przelał.
Wzajem Odys go mieczem i kopią obdarzył
Na zadatek przyjaźni. Los przecież nie zdarzył
Spotkać się im przy jednym stole — syn Euryty,
Ifit, przez Heraklesa wkrótce był zabity.
Szlachetny więc Odysej wcale nie używał
Broni tej, gdyż pod Ilion w okrętach odpływał,
Ino w domu pamiątkę po druhu zostawił;
Póki w Itace mieszkał, tym łukiem się bawił.

Więc królowa, stanąwszy pod drzwiami skarbczyka,
Weszła na próg dębowy, ręką rzemieślnika
Ciosan gładko, od progu w górę odrzwia biegły,
W nich wprawione wierzeje mocne skarbów strzegły.
Ona rzemień zadzierzgnion szarpła dłonią zręczną,
Potem kluczem zaworę odsunęła wewnętrzną,
A pchnąwszy je, zaskrzyły wierzejów dwie poły
Takim skrzypem, jak ryczą na pastwisku woły,
I naraz się otwarły pod klucza obrotem.

Wszedłszy tam, na police wspinała się potem,
Gdzie stały skrzynie, pełne odzieży woniącej.
Stamtąd sięgnęła po łuk, na kołku wiszący
W pięknych łubach, a zdjawszy takowy ze ściany,
Siadła, cisnąc do serca łuk ten ukochany
Mężowski, teraz przez nią z łubów wydobyty,
I zaczęła w głos szlochać; a gdy źródł obfity
Łez rzewnych ulgę przyniósł sercu zboląlemu,
Wprost poszła tam, do gachów zuchwałych teremu,
Trzymając zakrzywiony łuk Odysów w ręku
I kołczan, a w nim lotne strzały, sprawce jęku.
Za nią niosły służebne sepecik zamknięty
Z żelazem i miednymi orężmi i sprzęty.
A gdy przyszła cna pani przed tłum zgromadzony,
Stała w progu izby wysoko sklepionej.
Cienką z głowy namiotkę spuściła na lice,
A mając z obu boków służebne dziewice,
W te słowa do zebranej ozwała się rzeszy:
„Słuchajcie, dziewosłęby! Snadź bardzo was cieszy
Zbierać się w tym tu zamku codziennie na gody,
Odkąd mąż mój odjechał. Jakież są powody,
Że zajazdem i dom nasz, i mienie niszczyacie?
Jeżeli to z miłości do mnie, jak mówicie,
Więc dobrze! Zatem pora stanąć do popisów:
Przyniosłam wam ów sławny, wielki łuk Odysów,
Który z was ot ten kabłąk napnie dłonią silną
I uch dwanaście strzałą przeszyje niemylną,
Tego żonę zostanę, mężowskie siedlisko,
Zamek ten ukochany opuszczę — z nim wszystko!
Ale tęsknota moja nigdy nie przeminie!”

To rzekłszy na pastucha Eumajosa skinie,
By topory i łuk ten przed nimi postawił.
Płacząc wziął je Eumajos i rozkaz jej sprawił.
Łuk ten widząc, Filojtios rozplakał się rzewnie,

Co spostrzegłszy Antinoj strofował ich gniewnie:
„O, wy głupcy! Dzień biały, a wam sny się roją!
Zaprzestać mi tych szlochań, które niepokoją
I jątrzą serce pani, i tak już strapionej,
Odkąd mąż jej odjechał, na zawsze stracony.
Dość tych łez, kto chce siedzieć z nami tu przy stole!
A jeśli chcecie szlochać, to za drzwi! Precz w pole!
Łuk zostawcie! O lepsze wnet do walki stanieniem.
Li jedną mam obawę z łuku napinaniem:
Nużby się pokazało, że w tym gronie całem
Nie ma człeka jak Odys. Niegdyś go widziałem,
I pamiętam, choć byłem dzieckiem w onej dobie”.

Tak mówił, a w umyśle układał już sobie,
Że łuk napnie i strzałą topory przeszyje.
Nie przeczuł, że strzał pierwszy łuku go zabije,
Z rąk Odysa, bo on go pierwszy w oczy żywe
Zelżył i szczuł na niego gachy urągliwe.

Świętej mocy Telemach głos zabrał wśród tłumu:
„Prze bogi! Toż mnie Kronion pozbawił rozumu!
Matka moja oświadcza, mądra białogłowa,
Że z drugim mężem dom ten opuścić gotowa,
A ja śmieję się wesół, ot, sobie trzpiot młody!
Kiedy tak — hej mołojcy! Stawać wam w zawody
I dobijać się o tę niewiastę bez ceny,
Jak równej nie ma Argos, Achaja, Mykeny.
Bo jak w świętym Pylosie, tak tu, w naszej stronie,
Któraż by wyrównała dostojnej matronie?
Lecz co mi chwalić matkę! Wy przecież ją znacie!
Dalej więc! Niepotrzebnie tak się ociągacie
Z tym strzelaniem — łuk czeka, ujrzym, kto zwycięży.
I ja bym też spróbował, czy ten łuk napręży
Ręka moja i strzałą topory przestrzeli?
Wtedy nic mnie z kochaną matką nie rozdzieli!
Nie poszłaby już za mąż, mnie nie sierociła!

Pragnę walczyć jak ojciec: w tych rękach jest siła!”
Tak mówił i skoczywszy z krzesła, płaszcz czerwieny
Z barków zrzucił, odpasał swój miecz naramienny;
Po czym zrobiwszy bruzdę, topór przy toporze
Wsadził w ziemię rzędem długim, równo jak być może,
I obdeptał dokoła, co wszystkich zdziwiło,
Że choć nie znał roboty, a zrobił aż miło.
Więc na próg izby wstąpił, trzymając łuk krzywy,
Po trzykroć się przysądził do wartkiej cięciwy
I trzykroć sił mu brakło; lecz nie tracił ducha,
Że łuk napnie i pocisk przepędzi przez ucha.
I już brał się napinać, silniejszy tym razem,
Lecz Odys mrugnął — niemym wstrzymał go rozkazem,
I Telemach się ozwał znowu w tłumie gwarnym:
„Przebóg! Mamże bezsilnym zostać i niezdarnym?
Czy zbyt młody, na pięści nie puszczać się twarde
I nie odbić, gdy w twarz mi rzuci kto pogardę?
Dalej zatem! Silniejsi niż ja niech tu staną,
Łuk napną i tę walkę zakończą wygraną!”

To powiedziawszy kabłąk odstawił na stronę,
Oparłszy o podwoje pięknie wygładzone,
A lotną strzałę oparł na lśniącym pierścieniu.
Co sprawiwszy, wraz odszedł usiąść w swym siedzeniu.

Wtem oto syn Eupejta tak się tam ozowie,
Antinoj: „Po porządku chodźcie tu, druhowie,
Od lewej ku prawicy: tą samą koleją,
Jaką cześnicy wino w puchary nam leją”.

Słowa te Antinoja przypadły do smaku.
Syn Ojnopa, Lejodes pierwszy stał w orszaku;
Był to wróżbit i zwykle ostatni przy dzbanie
Siadywał, mierząc sobie zło ich zachowanie.
Li on jeden potępiał te gachy zuchwałe.
Więc się zbliżył i podjął łuk, nałożył strzałę,
A stanąwszy na progu, cięciwę w kabłąku

Napiąć chciał, lecz sił nie miał w nieudolnych ręku.
Zatem do zgromadzonej tak mówił drużyny:
„Nie dam rady, niech łuk ten napina kto inny!
A i najtężsi męże przy tym łuku pono
Nie tylko serce stracą, lecz ducha wyzioną.
Lepiej umrzeć, niż żyjąc nie osiągnąć celu,
Który nas tu sprowadza dzień w dzień od lat wielu!
A choć z nas tu niejeden poi się nadzieją
Do małżeńskiej łóżnicy wniknąć z Penelopeją,
To gdy łuk ten pomaca, nic mu nie zostanie,
Tylko k'innej Achajce obrócić staranie
I słać jej upominki, bo jej przeznaczono
Dającego najwięcej mołojca być żoną”.

Rzekłszy, Lejodes kabłąk odstawił na stronę,
Oparłszy o podwoje pięknie wygładzone,
A lotną strzałę oparł na świetnym pierścieniu.
Co sprawiwszy, wraz odszedł sięść w swoim siedzeniu.

Wtem Antinoj głos zabrał i tak go strofował:
„Tożes się z piękną mową do nas wysforował!
Same groźby i strachy! Ta mowa mnie gniewa;
Więc, jak mówisz, młódź nasza ducha powyżewa
Przy tym łuku, którego twoja dłoń nie zmoże?
Snadź matka cię nie na to chowała, niebożę,
Abyś sławy się dobił strzałami i kuszą!
Są tu inni mołojce, którzy łuk ten ruszą”.

Rzekł i przyzwał Melanta, przywódcę koziarzy:
„Zakręć się koło ognia, niech się wnet rozżarzy;
Stolik mi tam postawisz nakryty baranem,
Ze spiżarni przyniesiesz łój całym sałhanem.
Tłustością tą łuk natrzem, rozgrzan przy ognisku,
A próba nam pokaże, kto co weźmie w zysku”.

Melant ogień rozniecił, płomień buchł do góry;
Stółek przyniósł, zasłany baraniami skóry,
A duży sałhan łoju przyniósł ze spiżarnie,

A oni róg rozgrzawszy gięli go — lecz marnie!
Szwankującym na sile nie dopisał sposób
Naciągnięcia cięciwy. Więc ze wszystkich osób
Li Antinoj, Eurymach, dwaj mężowie przedni
Nie chcieli się do próby mieszać sami jedni.

Więc i słudzy Odysa, wolarz z świniopasem,
Obydwa się wynieśli z świetlicy tymczasem,
A za nimi sam Odys podążył bez zwłoki.
Gdy minęli podwoje, przysionek wysoki
I wyszli na podwórze, idący za nimi
Odys tak ich zagabał słowy przyjaznymi:
„Mógłbym wam coś powiedzieć, kochani skotarze,
Lub zamilczeć — lecz serce gwałtem mówić każe:
Przy kim byście stanęli, gdyby niespodzianie
Odysa wam z tułaczki wrócili niebianie?
Przy kim? Czy przy Odysie, czy przy zalotnikach?
Powiedzcie, co tam w serca chowacie tajnikach”.

Na to mu odpowiedział od wołów pastucha:
„O! Jeśli Zeus modlitwy mojej raz wysłucha
I powróci nam pana w te progi domowe,
Zobaczysz, że mam siłę i ręce mam zdrowe”.

I Eumajos do bogów również wznosił modły,
By Odysa do ziemi rodzinnej przywiodły.
A gdy się o wierności obu sług przeświadczył,
Otwarcie z nimi mówił i już nie majaczył:
„Macie mnie — otóż jestem! Jak raz w lat dwadzieście,
Dobilem się do ziemi rodzinnej nareszcie.
Widzę, żeście tęsknili za moim powrotem,
Wy jedni ze sług tylu! Inni nigdy o tem
Nie myśleli i o to nie prosili bogów.
Więc zwierzę wam zamiary moje względem wrogów:
Jeżeli gachów zetrę przy pomocy nieba,
Każdemu z was dam żonę i dobry szmat chleba,
Toż chatę gdzie pod bokiem, byście każdej chwili

Z mym synem jako bracia i druhowie żyli.
Nie dość to: lepszy dowód pokaże wam przecie,
Po którym mnie poznawszy, wierzyć już będziecie:
Oto blizna — przed laty zadana kłem dzika,
Gdym w Parnasie polował z synmi Autolyka”.

Tak mówił i tę bliznę odkrył spod łachmana;
A gdy była odkryta i przez nich poznana,
Z płaczem go w swe ramiona obydwaj porwali,
Witali, a po rękach i w twarz całowali —
I Odys ich nawzajem w twarz, w ręce całował.
I prędzej by się Helios popod ziemię schował,
Niżby płakać przestali; lecz Odys ich z góry
Nabrał: „Dosyć tych kwileń, nuż tam z dworskich który
Nas podpatrzy i gachom, co widział, wygada!
Po jednemu nam przeto wracać się wypada.
Ja pierwszy — a wy po mnie. Uważać, co dalej:
Nigdy by zalotnicy na to nie przystali,
By się łuk ten z kołczanem dostał w ręce moje;
Więc Eumajos niech śmiało przekroczy pokoje
Z owym łukiem i odda mnie do rąk takowy.
Również trzeba nakazać, aby białogłowy
Mocno te drzwi zaparły, co idą na tyły,
A gdyby z wielkiej izby jakie dochodziły
Do nich jęki i łomot, to nic im do tego!
Siedzieć im przy robocie i pilnować swego!
Filojtiowi oddaję głównie pod straż wrota:
Zawory niech zasunie, rzemieńmi omota”.

Powiedziawszy to, wkroczył w zamkowe pokoje,
Gdzie pierwwej zajmowane zajął krzesło swoje,
A za nim po jednemu pastuchy wrócili.

Eurymach w ręku kabłąk obracał w tej chwili
Tak i owak przy ogniu; lecz łuk, choć rozgrzany,
Nie dał się wcale napiąć, czym on rozgniewany,
Ciężko westchnąwszy, wołał: „O, wy bogi w niebie!

Patrzcie na me cierpienia za drugich i siebie!
Nie przeto, że na niczym spełzło to wesele,
Przecież dziewic achajskich znajdzie się tu wiele
W Itace i po miastach! Choć to przykre niemniej —
Lecz że obok Odysa my tacy nikczemni,
Łuku jego naciągnąć żaden nie ma siły!
Dość, by o nas z pogardą prawnuki mówiły!”

Syn Eupejta Antinoj na to odpowiedział:
„Eurymachu, źle mówisz, jak gdybyś nie wiedział,
Że boga Apollona lud dziś święci święto:
W taki dzień nie lza kuszę napinać przeklętą.
Na bok z nią! Lecz topory w miejscu niech zostaną!
Nie ma przecie obawy, by je stąd zabrano;
Na zamku Odyseja bezpiecznie dostoją.
Hej, wina! Wy, cześnicy, pełńcie służbę swoją!
Bogów czcić nam obiata, a niechać strzelania!
Za to nam kozłarz Melant jutro do świtania
Dostawi co najlepszych kóz z całego stada,
Więc na cześć Apollona obiatę nie lada
Wyprawim. Łuk zapewne łatwo napiąć da się,
A tak walkę o zakład skończym w krótkim czasie”.

Tę mowę Antinoja wszyscy dzielali.
Więc keryksi na ręce zdroj wody im lali,
A służebni kielichy po brzegi naleją
I od prawej każdemu obnoszą kolejną,
Po czym część zlawszy bogom, spełnili gachowie,
Gdy wtem przebiegły Odys chytrze się ozowie:
„Wy, dostojnej królowej dziewosłęby młodzi,
Słuchajcie! To, co powiem, z serca mi wychodzi,
Zaklinam Eurymacha razem z Antinojem,
Który rzeczy wyświecił trafnym zdaniem swoim,
Żeby łuku nie tykać, a z bogiem mieć sprawę.
A jutro bóg da siłę i z wygranej sławę.
Tymczasem mnie pozwólcie spróbować kabłąku!

Chcę przed wami pokazać, czy siłę mam w ręku
Tę samą, co przed laty członki mymi władła,
Czy też bieda z włóczęgą do szczętu ją zjadła?”

Na tę prośbę gachowie wpadli w straszne gniewy
Z obawy, by przypadkiem nie napiął cięciwy.
Antinoj wstał nań gromko i te słowa rzucił:
„O, włóczęgo! Toż we łbie mózg ci się przewrócił!
Małoż ci z nami w gronie cnych mężów zasiadać,
Kąski od nas tu wszystkich wyludzać i zjadać,
Nasłuchiwać mów naszych, poufnej gawędy,
Tu, gdzie wstępu nie mają dziady i przybłędy?
Spileś się słodkim winem, powiadam ci szczerze,
Wino zbłąźni każdego, kto miarę przebierze.
Winem spity Eurytion, Kentaur w świecie głośny,
W domu u Pejritoja szął go uniósł sprośny;
Przybył tam do Lapitów i winem się zalał.
Zaraz też w Pejritoja domu się rozszalał,
Co widząc bohaterzy skoczyli jak wściekli
I wywlekłszy pijaka mieczem mu odsiekli
Nos i uszy. On do dom powlókł się pijany,
Nie wiedząc, jak okrutnie za to był skarany.
Z tego wojna się wszczęła Kentaurów z Lapity —
Najgorzej na niej wyszedł Kentaur, co był spity.
Toż i ciebie to czeka, gdybyś łuk ten gładki
Napiął, wnet ci upadną miłosierne datki,
Wnet do króla Echeta wyślem cię w okręcie.
Wiesz, jak ludzi kaleczy i dręczy zacięcie!
Nie ujdiesz ty mu żywcem — a chcesz wyjść bez szkody,
Jedz, pij, lecz się nie puszczaj z młodszymi w zawody”.

Słyszysz to Penelopa i tak się odzywa:
„Antinoju! Rzecz zdrożna, nawet niegodziwa,
Lżyć gościa, przyjętego w domu Telemacha!
Ciebież to nadzwyczajna siła jego stracha,
Że gdy łuk Odysowy napnie i wystrzeli,

Już mnie weźmie za żonę i łożę podzieli?
Ani jemu te myśli po głowie nie krążą,
Ani wam podejrzenia takie niech nie ciążą.
Pożywajcie spokojnie: kłopot wasz daremny”.
Na to rzekł Eurymach, tłumiąc gniew tajemny:
„O córo Ikariosa, Penelopo zacna!
Żeby on cię miał dostać, rzecz wcale niełacna,
Oto się nie kłopotczem. Lecz to jedno trwoży,
By o nas nie gadali ludzie jak najgorzej.
Mógłby rzec jaki Achiw, podły niedołęga,
Że z nas żaden wielkiego męża nie dosięga,
Jeśli łuku Odysa naciągnąć nie zdoła,
Aż bóg nadniósł jakiegoś błędnego warchoła,
Który jak nic łuk napiął i topory przeszył.
Świat by nas taką mową na wieki ośmieszył!”.

Penelopa już miała odpowiedź w odwodzie,
Więc rzekła: „Eurymachu! Trudno, by w narodzie
Dobrze o tych mówiono, co ten dom posiedli,
Rozpustą zbezczęścili, a dobytek zjedli.
Lecz tego wam nie wstydno. Ten zaś człek przychodni
Tęgi wzrostem i kształtem, bo rodzice godni,
Z rodu wielcy, jak mówi, na świat go spłodzili —
Cóż złego, byście w ręce ten łuk mu zwierzyli?
Uroczyscie przyrzekam, i to się dokona:
Że byle on łuk napiął z łaski Apollona,
W piękny chiton i chlajnę chędogo przystroję,
Na postrach psom i ludziom w oszczep go uzbroję;
Miecz mu dam obosieczny, sandały na nogi
I odeślę, gdzie pragnie, choć w najdalsze drogi”.

Wtem nagle jej Telemach przerwał nieciepliwy:
„Matko! Nic tu do łuku nie mają Achiwy.
Ja jeden, komu zechcę, dać go lub wziąć każę,
Zresztą nikt, choć ich tylu na naszym obszarze
W Itace i Elidzie mieszka koniorodnej!

Niech zatem nikt nie gwałci mej woli swobodnej,
Choćbym tego przychodnia łukiem chciał obdarzyć!
Lecz idź, matko, w komnatach swoich gospodarzyć,
Do wrzecion i krosienek napędzać służące,
Bo łuk, strzały — to rzeczy mężów obchodzące,
Mnie głównie. Chcę być w domu panem mojej woli”.

Matka do górnych komnat odeszła powoli;
Mądre słowa synowskie utkwily jej w łonie.
A gdy tam już stanęła w panienek swych gronie,
Znowu w płacz po Odysie i wciąż go płakała,
Póki Atene powiek snem nie posypała.

Właśnie zacny świniopas do rąk brał łuk krzywy,
Gdy wszystkie jednogłośnie wrzały nań Achiwy.
Ten i ów z gaszej zgrai dawał mu po uchu:
„A nie rusz tego łuku! Porzuć to, pastuchu!
Niegodziwy szaleńcze! Bodaj psie paszczęki
Rozniosły cię na zębach, choć jadły z twej ręki!
Oby bogi to dały, Apollon to sprawił!”

Wrzeszczeli. Już by pastuch w miejscu łuk zostawił,
Tak groźby i te krzyki zmieszały biedaka,
Lecz naraz zagrzmiął nad nim rozkaz Telemaka:
„Odnies łuk! Rób, co każę! Nie słuchaj ich krzyków!
Bo, choć młodszy, przepłoszę tak gradem kamyków,
Że uciekniesz za miedzę! Jam od ciebie lepszy!
Czemuż to ja o tyle w ramionach nie krzepszy
Od tej gachów czeredy, co nas tu obsiadła!
Zaraz by ich połowa za ten próg wypadła
Na połamanie karków! Oj, będzie im biada!”

Rzekł, a śmiechem parsknęła rozpustna gromada,
Śmiejąc się z Telemacha, lecz gniew się złagodził
Przeciw niemu. Zaś pastuch łuk wzięwszy przechodził
Wzdłuż przez izbę, by oddać do rąk Odysowi.
I zaraz do piastunki podszedł i tak powie:
„Telemach mi rozkazał wezwać Eurykleję,

Abyś w tym gmachu tylne zawarła wierzeje.
Gdyby zaś z tej tam izby łoskot albo jęki
Słyszać było, nie puszczać ci żadnej panienki:
Każda przy swej robocie niech spokojnie siedzi”.

Rzekł Eumajos, lecz nie miał żadnej odpowiedzi,
Gdyż poszła drzwi od tyłu zatrzasnąć bez zwłoki.
Filojtios cichymi już wymknął się kroki,
Aby w bramie dziedzińca zasunąć zawory.
Znalazł tam okrętowej liny kawał spory,
Nią skrępował wierzeje, do izby powrócił
I w krzesło opuszczone na powrót się rzucił
Wzrok wlepiając w Odysa, który łuk miał w pięści,
Wywijał nim, wyginał, opatrywał części,
Czy rogu czerw nie stoczył pod niebytność pana,
Czym wielce rzesza gachów była zdziwowana,
Bo mówiono: „Snadź z niego znawca jest nie lada!
Niechybnie łuk podobny w domu swym posiada
Lub może chciałby sobie zrobić drugi taki?
Jak go maca! Frant, widać, jak wszystkie żebraki!”

A znów życzył mu inny z tej zuchwałej młodzi:
„Niech mu się w każdej rzeczy najlepiej powodzi,
Jak z tym łukiem, którego nawiązać nie zdoła”.

Tak gadano, lecz Odys nie mówił nic zgoła,
Ino kabłąk giął w ręku, oglądał dokładnie.
Jak ten, co na formindze umiając grać ładnie,
Łacno brzęczącą strunę na gędziebnym drzewie
Napnie i w obu końcach wzmocni owcze trzewie:
Tak samo i on napiął wielki łuk bez męki;
Naciągniętą cięciwę musnął palcem ręki,
Aż odbrzękła jaskółczym rozgłośnym świegotem.
Gachy strachem pobledli, oblali się potem.
Wtem zagrzmiało: Zeus z nieba znak niemylny dawał.
Cud ten serce Odysa radością napawał,
Niezgłębionego Zeusa zwiastując mu wolę.

Więc wziął pierzastą strzałę, leżącą na stole,
Kiedy inne w zawartym leżały kołczanie.
Przeznaczone Achiwom wnet na skosztowanie.
Tę wzięwszy, karbem przytknął do cięciwy szczelnie,
I jak siedział na środku, wymierzył łuk celnie,
Grot puścił: ten topory wszystkie trafił rzędem,
Przeszywszy pierwsze ucho, wyleciał tym pędem
Przez ostatnie. Więc mówił: „A cóż, Telemachu,
Czy twój gość wstyd ci zrobił w tym królewskim gmachu?
W cel trafiłem; z napięciem cięciwy też mało
Miałem trudu, snadź dużo sił mi pozostało,
Chociaż mnie tu gaszkowie mieli w poniewierze.
Lecz czas, by tym Achiwom wyprawić wieczerzę
Za dnia, a potem innej zażyć krotochwili:
Przy gęźbie i przy śpiewie godować najmilej”.

To rzekłszy, mrugnął skrycie — i syn Odysowy
Telemach miecz przez ramię przewiesił spiżowy,
Oszczepem dłoń uzbroił, ku ojcu krok chyży
Zrobił i przy nim obok stanął, wszystek w spiży.

Pieśń dwudziesta druga

Rzeź zalotników

Odys rozstał się w mgnieniu z żebraczym łachmanem.
Wskoczył na próg wysoki z łukiem i kołczanem,
W którym wiele strzał było, nastrzępionych pióry;
Wysypawszy je u nóg, zagabł gachów z góry:
„A więc się już rozstrzygnie, mamy bój stanowczy!
Teraz cel mam, jakiego nie miał żaden łowczy!
Zobaczę, czy weń trafię, Febowi na chwałę”.

Rzekł — i w Antinoosa puścił gorzką strzałę,
Właśnie gdy ten po czaszę złocistą, dwuuszną
Sięgał, i już ją ręką chwyciwszy posłuszną,

Chciał do ust podnieść; umrzeć ani mu się śniło!
Któż by myślał przy godach, gdzie ich tylu było,
By się tam ktoś odważył, choćby jak waleczny,
Zgotować mu los czarny i wtrącić w cień wieczny?
Lecz Odys, weń zmierzwszy, trafił w samo gardło,
Że aż przez kark żeleźce na wskroś się przedarło;
Czasza z rąk się wyslizła, gdy padał ukosem;
I zaraz promień czarnej krwi buchnął mu nosem,
Precz od siebie kopnęły stół drgające nogi,
Że się wywrócił: misy zasłały podłogi,
Chleb i mięsiwo w kurzu brudnym się zwałowało.
Widząc gachy, jak padał, krzykiem izbę całą
Napełnili, ze swoich zerwali się stołków,
I przebiegając izbę, od kołka do kołków
Szukali po wszech ścianach w zajadłym ukropie —
Lecz ani jednej tarczy nie było ni kopie.
Więc, grożąc, Odyseja karali słowami:
„Na złe-ć wyjdzie, włóczęgo, żeś śmiał zadrzeć z nami!
Ale sztuka od razu! Pójdiesz wnet do ojców
Za zabójstwo pierwszego z itackich mołojców!
Żywot twój policzony, sępy cię tu zjedzą”.

Tak mu grozili w szale, bo isticie nie wiedzą,
Czy zabił go umyślnie. — Głupcy! Ani marzą,
Że skrzydła bliskiej śmierci nad nimi się ważą!

Na to Odys, przebiwszy źrenicą ich swoją:
„Psy jakieś! Myśleliście, żem poległ pod Troją?
Że nie wrócę? Więc dalej rej wodzić po domu!
Z dworskimi dziewczki płodzić rozpustę bez sromu,
I, choćem żyw, małżonkę moją bałamucić!
Jakby bogi nie mogły tych szaleństw ukrócić.
Jakby wam język ludzki mógł przepuścić płazem!
Lecz dosyć! Wyrok śmierci padł na wszystkich razem”.

To rzekł, a blady przestrasz ogarnął zbytniki.
Ten i ów rad by umknąć z tej zabijatyki.

Sam tylko Eurymachos zdobył się na słowo:
„Jeśliś itacki Odys, wracający zdrowo,
Słusznie karcisz za gwałty te nasze Achiwy,
Za te w zamku i włościach wyprawiane dziwy.
Lecz sprawca tych bezceństw przed tobą tu leży,
Antinoj — on nas ciągle kusił do grabieży.
Nie tyle o żeniaczkę widać mu chodziło,
Jak o większe, co z wolą Kroniona nie było:
Oto chciał on sam królem zostać nad Itaką,
A syna twego sprzątnąć śmiercią lada jaką.
Ma już, na co zarobił! A więc zlitujże się
Nad nami! Każdy chętnie, co porwał, odniesie:
Za to, cośmy najedli, napili z twych stołów,
Każdy ci przyprowadzi po dwadzieścia wołów,
A dla zgody dołożym, co chcesz: miedzi, złota,
Póki cię nie zjednamy; gniew twój nie dziwota!”

Dziko spojrzawszy, mądry Odysej mu na to:
„Nie, Eurymachu! Nawet spuściznę bogatą
Po ojcach mi tu znieście, i więcej w dodatku,
To i tak dłoń nie spocznie, póki do ostatku
O każdą zbrodnię z każdym nie sprawię się gachem.
Teraz macie wóz, przewóz: bój na śmierć lub z strachem
Uciezka; a czy śmierci który się wychwyci?
Lecz żaden, myślę, wszyscy będziecie zabici!”

Tak mówił, a po ciele przeszło ich aż mrowie.
Wtem jeszcze raz Eurymach do swych się ozowie:
„Bracia! U tego człeka nie zmacha się ręka!
Póki panią kołczana i gładkiego łęka,
Póty słać będzie strzały ze lśniącego proga,
Aż wszystkich wytnie. Nuże! Weźmy się do wroga!
Dobyc mieczy! Stołami pozastawiać piersi
Od strzał jego — i hurmem wypadniem najpierwsi.
Gdy go z progu i ze drzwi wypłoszyć się uda,
Wpadniem wtedy do miasta, skrzyknem dużo luda,

On tymczasem za nami pośle strzał pośledny”.

Tak rzekł — i zaraz dobył obosieczny, miedny
Koncerz i z podniesionym na Odysa biegał,
Z srogim krzykiem; a Odys właśnie co wymierzał
Łuk swój, i w same piersi celował pociskiem,
Że aż w głębi wątroby uwiązał mu ze wszystkim.
Ręka miecz wypuściła, on sam runął krwawy
Przez stół i na podłogę pozrzucał potrawy
Z dwuuszną czaszą. Wił się, czołem tłukł po ziemi.
W bólach konania kopiąc nogami obiema,
Zwalił stołek, i oczy nocą się powlekły.

Wnet też i Amfinomos wyskoczył jak wściekły
Przeciwko Odysowi z wzniesionym brzeszczotem,
By go z drzwi wyparować; lecz Telemach lotem
Zabiegł mu: w same plecy, pomiędzy ramiona,
Wraził kopię, aż na wskroś pierś przedziurawiona.
Padł jak długi, o ziemię uderzył czerepem,
A Telemach, uchodząc, rozstał się z oszczepem
Zostawionym w kadłubie; szło mu, aby który
Achiw, kiedy swój oszczep wydobywał, z góry
Nie płałnął go albo też nie przeszył w natłoku.
K'temu jednym podskokiem był przy ojca boku
I uskrzydłone słowa posłało mu chłopię:
„Ojcze! Wnet ci dostawię pawęż i dwie kopie,
Toż szłem, co by do czoła szczelnie ci przystawał;
Siebie całkiem uzbroję, a i zbroi kawał
Zniosę dla Eumajosa i dla Filojtiosa.
Daleko lepiej bić się, kiedy pierś nie bosa”.

Na to mu rzecze Odys, ćwik szczywany jak mało:
„Bież i przynoś, dopóki strzał jeszcze zostało,
Aby mnie nie wyparła z progów ta gromada”.

Jakoż Telemachowi przypadła ta rada,
Bo pobiegł do skarbczyka, gdzie stały oręż,
Tam wybrał osiem kopij i cztery pawęż,

Toż szlemów miednych cztery, zdobnych w końskie kity,
I zniósł prędko do ojca młodzian wyśmienity.
Po czym w zbroję miedzianą sam oblekł się duchem
A za jego przykładem i wolarz z pastuchem
W pełnej zbroi dokoła Odysa stanęli.
Bohater zaś, dopóki strzał starczy, co strzeli,
To powali jednego, tak że w całym gmachu,
Gdzie spojrzaleś, to leżą kupą gach na gachu.
Lecz gdy gniewnemu panu strzał brakło w kołczanie,
Odstawił łuk i oparł go u drzwi, przy ścianie,
Sam zaś nadział pawężę poczwórną na siebie
I szlem włożył na głowę, doświadczon w potrzebie,
Co groźnie ogonami powiewał końskimi,
Ręce uzbroił dwiema dzidy dwusiecznymi.

Były tam w ścianie z boku jakieś drzwi wychodne,
Od których, jak to mają mieszkania wygodne,
Szedł korytarz z zapartym wyjściem na podwórze.
Tam więc Odys wyprawiał co rychlej na stróże
Pastucha, by nikt nie mógł tamtędy wyjść z domu.

Wtenczas to Agelaos do swoich rzekł: „Komu
Z was ku tym drzwiczkom jeno przecisnąć się uda,
Niech pobieży do miasta, skrzyknie dużo luda;
Już on ostatnią strzałę wystrzeli tymczasem”.

Na to koziarz Melantios bąknął mu nawiasem:
„O boski Agelaju, na nic ta robota!
Wychodzące na podwórz zbyt blisko są wrota,
A i przejście do sieni ścieśnia się w czeluści:
Silny chłop niech tam stanie, nikogo nie puści.
Lepiej pono, gdy zniosę orężę i zbroję
Z górnego skarbca. Nigdzie — takie zdanie moje —
Tylko tam je przechował Odys z Telemachem”.

Tak rzekł koziarz Melantios i ruszył z zamachem
Do górnych izb królewskich, bocznymi wschodami,
Gdzie wziął tarczy dwanaście z tyłuż oszczepami,

Więc i szlemów dwanaście, zdobnych końską grzywą,
Zniósł i pomiędzy gachy rozdzielił co żywo.

Lecz Odysowi serce zadrgało i łyty,
Widząc, jak z gachów każdy stał zbroją okryty,
A kopia wstrząsał. Ciężka zda mu się robota!

Jakoż do syna szepnął: „Najpewniej niecnota
Któraś to z dziewczek dworskich, czy fortel koziarza
Tak im pomógł, że bitwa sroga nam zagraża!”

Na to mu Telemachos, młodzieniec roztropny:
„Ojczy mój! Jam popełnił ten to błąd okropny;
Nie winuję nikogo! Jam drzwi od skarbczyka
Nie zawarł, co snadź tknęło jakiegoś psotnika.
Więc, Eumajosie, śpiesz się, zatrzaśnij na rygle,
I uważ, czy nie która z dziewczek płata figle
Lub koziarz, bo do niego ta sprawka podobna”.

Kiedy tak między sobą gwarzyli z osobna,
Właśnie koziarz Melantios drugim już nawrotem
Szedł po broń do komory. Eumajos wnet o tem,
Wytropiwszy go, przybiegł do pana z nowiną:
„Cny Laertiado! Mądry Odysie! Patrz ino:
Ten łotr, co posądzamy wszyscy go o zdradę,
Znowu idzie do skarbcza! Panie, dajże radę!
Mam-li go, jeśli złapię, na miejscu tam sprawić,
Czy też po wymiar kary do ciebie dostawić,
Aby za swe łotrostwa nałożył tu głowę?”

Na to mądry Odysej takie rzucił słowo:
„Już to ja z Telemachem te gachów czeredy,
Choćby na nas jak biły, wstrzymamy od biedy.
Wy zaś dwaj ręce do nóg zwiążcie mu na grzbiecie,
A wtrąciwszy do skarbcza, drzwi za się zamkniecie;
Dopiero zadzierżgnąwszy o te pęta sznury,
Ciagcie łotra po słupie na belkę do góry,
Aby żył jeszcze długo, męczył się najsrożej”.

Rzekł im, a obaj słudzy, rozkaz pełnić skorzy,

Poszli na górę; już on w skarbcu był przed nimi
I w kącie grzebał między rynsztunki starymi.
Oni zaś, za odźwierki obaj przyczajeni,
Czatowali nań. Gdy więc koziarz wszedł do sieni,
W jednej ręce szlem pyszny trzymał, a tarcz w drugiej —
Która, choć ją Laertes jeszcze do posługi
Za lat młodych zażywał, dziś z gratami leży,
Rdza ją zjada, a rzemień szwem sprutym się jeży —;
Więc nań obaj skoczyli, porwali za włosy
Wlokąc po ziemi, chociaż krzyczał wniebogłosy;
A zawłókszy, na ręce, nogi kładli pęty,
W tył je łamiąc, bo rozkaz Odysa im święty.
Robią, co im przykazał; silny powróż potem
Uczepili do pętów i na słupie lotem
Wyciągnęli koziarza pod belkę, co w szczycie.
Eumajos wiszącemu urągał sownie:
„Prześpijże całą nockę tu sobie, mój zuchu!
Zasłużyłeś na takim wyciągnąć się puchu.
Pewnie złotopromiennej Eos nie zobaczysz,
Kiedy z morza wypłynie — i gachów uraczysz
Jaką kózką na obiad — o, to ich posili!”

I tak go wiszącego w mękach zostawili.
Sami się uzbroiwszy, drzwi zawarłszy za się,
Wrócili do mądrego Odysa na czasie.

Bojem dyszących w progu czterech ich tam stało,
Gdy w izbie zbrojnych chłopów wiło się niemało.
Aż wtem się ukazała Pallada na jawie.
Wykapany to Mentor w głosie i postawie.
Odys poznał boginię i rad mówił do niej:
„Mentorze, ulubieńca ratuj-że w złej toni,
Co równolatek z tobą, a zawsze przychylny”.

Że to była Atene, szeptał głos niemylny.
Lecz w izbie straszną wrzawą zaszumieli gachy,
Agelaos największe miotał na nią strachy:

„Mentorze, nie daj się zwieść Odysa mowami,
Abyś w jego obronie miał toczyć bój z nami.
Klniemy się, a przysiędze, jak tuszę, dostoim,
Ojca z synem zabiwszy, to samo na twoim
Dokonamy kadłubie! Zacz się mieszasz butnie
W rzecz nie swoją? Za karę głowę ci się utnie.
A tak mieczem wywłókszy duszę z twego ciała,
Własność twą, jaka w domu lub gdzie tam została,
Rozdzielim między siebie z Odysa spuścizną.
Ni twe syny, ni córki nam się nie wyślizną,
Ni się twoja małżonka w Itace osiedzi!”

Skończył. Palladę gniewa mowa tej gawiedzi,
Więc strofując Odysa ostrym słowem rzekła:
„Odysie, siła-ż z męstwem od ciebie uciekła?
Ty, coś gwoli Heleny z liliowym ramieniem
Lat dziewiątek się porał Troi oblężeniem,
Coś mężów pobił tylu, coś swymi namowy
Obalił ów baszciasty grodziec Pryjamowy —
Teraz, wróciwszy do dom i dziedzicznej włści,
Miałżebyś nie odeprzeć tej gaszej napaści?
Zbliż-no się, przyjacielu, stań tu, patrz, co zrobię:
Czy Mentor, syn Alkima, nieprzychylny tobie?
Czy przestanie cię wspierać w walce z twymi wrogami?”

Rzekła — lecz mu nie zdjęła z serca całej trwogi
O wątpliwy los bitwy. Zbadać chce bogini,
Czy Odys i syn jego mężnie w boju czyni.
Jakoż znikła im z oczu, a kształtem jaskółka,
Furkła i nad kominem siadła u przyczółka.

Wtem Agelaj szczuł gachów znów do rąbaniny.
Z nim Eurynom, Amfimed, toż inni z drużyny,
Jak Pejsandr, Demoptolem, Polybos, gracz wielki —
Każdy z nich, strach — jak mężny! Gotów do kropelki
Krew wylać, a o żywot bić się do upadła,
Bo innych gęsta strzała na ziem już pokładła.

Do nich więc Agelaos mówił, by słyszeli:
„Drużbo! Ten człek ostatnią strzałę wnet wystrzeli.
Mentor, ów czczy chełpliwiec, odbieżał go istic,
I on z swymi sam tylko głównie trzyma wniście.
Przeto nie wszyscy razem rzucajmy kopije!
Bacność! Wprzód sześciu rzuca! Czy który ubije
Odysa i przy łasce Zeusowej dank zyszcze.
Reszta nic, byle w niego utopić ratyszczę!”

Tak rzekł i — naprzód owi, co wskazał, rzucili,
Lecz Pallas cel ich grotów po drodze omyli.
Jakoż jeden przewiercił wskroś odrzwia świetlicy,
Inny drzwi przebódl z dobrze spojonej tarcicy,
Owemu w ścianie uwiązl jesion ostro kuty,
A tak kopiami gachów żaden z nich nie skłuty.

Zatem Odys do swoich rzekł, niezłomny niczem:
„Teraz, dzieci, z kolei my na bój zakrzyczem!
Ciskać oszczepy w gachów! Snadż im dawnych zbrodni
Jeszcze mało, gdy na nasz żywot tacy głodni”.

Rzekł — i razem oszczepy wypuścili celnie.
Odys Demoptolema ugodził śmiertelnie;
Telemach Euryada, Eumajos Elata
Zwalił kopią, a wolarz Pejsandra rozplata —
I wszyscy ziemię gryźli na szerokim toku.

Na to gachy w kąt izby uciekli w natłoku,
A ci przypadłszy, groty z trupów wyciągali.
Gachowie znów cisnęli kopiami zuchwalej,
Ale Pallas Atene zmyliła niektóre:
I tak jeden w świetlicy odrzwiach zrobił dziurę,
Drugi przewiercił mocno spojone podwoje,
Inny w ścianie uwięził kutą włócznię swoją.
Tylko Amfimed zmacał Telemacha w ramię;
Ostrze ledwo na skórze zostawiło znamię.
Toż Ktesippos w bark drasnął nad tarcz wystający
Pastucha, i grot dalej poleciał warczący.

Lecz drużyna, co twardo przy Odysie stała,
Znowu celne oszczepy na gachów posłała.
Waligroda Odysej zabił Eurydama,
Telemach Amfimedą. Kolej taka sama
Spotkała Polybosa, co legł z rąk pastucha,
A wolarz Ktesippowi wywłócił z piersi ducha
I tak mu urągając, zawołał radosny:
„Synu Polytersesa, o junaku sprośny!
Nie będziesz więcej chępią bawił się w głupocie!
Bogom zostaw ten język, wždy silniejsi od cię.
Masz wet za wet! Pamiętasz? Za podły gnat krowi,
Coś go to żebrzącemu cisnął Odysowi”.

Gdy tak przemawiał pastuch krętorogich wołów,
Odys do Agelaja przyskoczył, i w tułów
Wraził mu długi oszczep; więc w Euenoryda
Telemach rzucał dzidę — i wpruła się dzida
W sam brzuch, że aż na wylot ostrze przeleciało;
Padł przodem, i o ziemię tłukł się twarzą całą.
Tymczasem Atenea wionęła pod stropem
Egidą ludobójczą i jakby ukropem
Zwarzyła serca gachów. Popłoch na nich pada,
Uciekają po izbie rzkomo wołów stada,
Kiedy na nich rój baków siądzie nielitosny,
I tnie żądłem, co bywa w dniach przydłuższych wiosny.
Ci zaś, jak krzywodziobe, szponiaste sokoły,
Gdy z gór lecą na ptactwo polować w padoły,
Ptaszęta spod obłoków przypadły do ziemi,
Od tej łowczej pogoni są zabijanymi,
Trudna słabym ucieczka, trudny opór znowu,
A człowiek się raduje z takiego połowu —
Tak i oni, te gachy goniąc w całej izbie,
Zabijali każdego. Czasem tylko w ciżbie
Jęk był głuchy, gdy czaszka zgrzytnęła zrabana,
A podłoga dymiła krwi strugą zalana.

Wtem Lejodes do kolan Odysa się schylił,
Objął je i o litość żałośnie doń kwilił:
„Na klęczkach cię, Odysie, błagam! Przebaczże mi!
Przecież nigdy tu w zamku słowy bezwstydnemi
Ni sprosnym czynem dziewczki nie zhańbiłem żadnej;
Owszem, w innych ganiłem ten narów szkaradny,
Gdy takowy płodzili. W nic poszły przestrogi!
Słusznie teraz za zbrodnie skarał ich los srogi!
Ale gdybym ja, wróżbit, com niekrzyw niczemu,
Miał paść, to już nagrody nie ma pocziwemu!”

Na to mu mądry Odys rzekł z iskrzącym wzrokiem:
„Jeśliś tu między nimi był jakimś prorokiem,
To często się zapewne modliłeś do bogów,
Bym nigdy do ojczystych nie mógł wrócić progów,
Abyś uwiódł mi żonę i płodził z nią dzieci.
Przeto niech i na ciebie okrutna śmierć zleci”.

Rzekł i żyłastą ręką na ziemi leżący
Podniósł miecz, co wypuścił był umierający
Agelaj, i po karku ciał go cięciem dużym,
Aż łeb spadł, potoczył się i pomieszał z kurzem.

Lecz Femios, syn Terpiosa, uszedł czarnej doli,
Co gachom przyśpiewywał zwykle po niewoli.
Stał on, w ręku trzymając swą formingę dźwięczną,
Tuż u drzwi tylnych, walką miotany wewnętrzną:
Czy ma wymknąć się chyłkiem i usiąść w pokorze
Pod ołtarzem Zeusowym stojącym na dworze,
Gdzie ongi Odys tyle żertwił wolicz ćwierci,
Czy też u nóg Odysa prosić się od śmierci?
Wątpiącemu ta rada mądrzejszą się wyda,
Żeby po prostu upaść do nóg Laertyda.
Więc formingę dłubaną postawił na ziemi
Między krzesłem a krzesłem z gwoźdźmi srebrzystymi,
Po czym sam się rzucając do nóg gospodyna,
Przeproszał, przysięgając, że nie jego winą.

„Na klęczkach — rzekł — Odysie, proszę cię za sobą;
Nie zabijaj mnie! Sam byś okrył się żałobą,
Gdybyś zabił pieśniarza, co ludzi i bogi
Opiewał. Jam samouk. Bóg wszczepił dar drogi
W moją duszę, więc będę i dla cię miał pieśnię
Jak dla boga, a ino nie gub mnie tak wcześniej!
Zapewne już Telemach, twój syn, ci to mówił,
Żem tu nie wszedł do zamku, abym się obłowił,
Anim też z własnej chęci śpiewał do biesiady;
Możniejsi przymusili, i nie było rady!”

Słyszając to Telemachos, świętą natchnion mocą,
Wobec groźnego ojca przybiegł mu z pomocą:
„Stój — rzecze — on nie winien, nie podnoś nań miecza!
I Medona keryksa ochroń! Jego piecza
Czuwała tu nade mną od latek dziecinnych.
Chybaby biedak zginął przypadkiem z rąk innych,
Może z rąk Filojtiosa poległ lub pastucha,
Lub twoich, gdyś tu w izbie wrzał jak zawierucha”.

Usłyszał jego mowę Medon, co ukryty
Pod stołkiem, wraz z innymi nie został zabity.
Odziany w skórę wołu zarzniętego świeżo,
Wylazł, i to pokrycie zrzucił z siebie chyżo,
Po czym do Telemacha przyskoczył, za nogi
Objął go, i o litość zaklina na bogi:
„Otóż jestem, prosz za mną, tyś dobra dziecina!
Niech mnie gniewny twój rodzic mieczem nie zarzyna!
Wiem ja, że się na gachy burzy jego serce,
Bo go zdarli, a ciebie mieli w poniewierce”.

Na to mądry Odysej uśmiechnął się z lekka:
„Nie troszcz się, on twój zbawca i twoja opieka;
Wiedźże o tym i ludziom opowiadaj innym,
Że złym być mniej pociechy niżli dobroczynnym.
A teraz idźcie sobie, ty z gęślarzem, oba
W przysionek, na dziedziniec, gdzie się wam podoba,

Póki po tej tu rzezi porządku nie zrobię”.

Skończył, a ci dwaj z izby zaraz poszli sobie
I usiadłszy w dziedzińcu u stopni ołtarza,
Oglądali się trwożnie, czy im śmierć zagraża.

Odys tymczasem pilnie zamek przepatrował,
Czy się gdzie jaki żywy przed śmiercią nie schował!
Lecz wszystkich znalazł krwawym owalanych błotem,
Leżących na podłodze jak ryby pokotem,
Kiedy to z morskich toni na strome wybrzeże
Rybaczy wielookie wyciągną więcierze;
Porzucone na piasku ryby w morze rwą się,
A ty je swym promieniem zabijasz, Heliosie.
Podobnież też i w izbie trup przy trupie leżał,
Gdy Odys taki rozkaz synowi powierzał:
„Piastrunkę Eurykleję co prędej mi przyślij,
Abym jej to powiedział, co ciąży na myśli”.

Pełniąc ojcowski rozkaz, biegł Telemach skory
Do Euryklei, skrobiąc we drzwi jej komory:
„Wstawaj, dobra babuniu! Jako ochmistrzyni,
Co nad dworskimi dziewczki ład trzyma i czyni,
Potrzebna jesteś ojcu; śpieszże się, starucho!”

Nie była na głos jego Eurykleja głuchą,
Bo zaraz się otwarły drzwi schludnej izdebki,
I wyszła, za mołojcem zbierając krok krzepki.

Odysej, kiedy przyszli, kurzem i posoką
Okryty stał wśród trupów — istny lew na oko,
Kiedy to dumnie kroczy, zjadłszy w polu byka,
Z kudłów piersi, z warg obu czarna krew mu ścieka
A ślepie ogniem gorą: takim był w tej dobie
Odys mając zbroczone ręce, nogi obie.

Mamka, ujrzawszy trupy i tę powódź krwawą,
Chciała krzyknąć, zdziwiona tą nadludzką sprawą,
Lecz Odys ją powstrzymał w niewczesnej radości
I staruszce te słowa powiedział w krótkości:

„Ciesz się w sercu, kobieto, lecz waruj się krzyków!
To grzech cieszyć się głośno z biednych nieboszczyków.
Sąd bogów już ich pobił, własne struły zbrodnie,
Bo po każdym człowieku deptali niegodnie,
Czy dobry, czy ładaco, bez żadnej różnicy;
Przeto są ukarani ciężko swawolnicy.
A teraz licz mi dziewczki wszystkie, co we dworze,
Ile skrewiło, ile uczciwych być może”.

Na to mu Eurykleja: „Każesz miły synku,
Więc opowiem ci prawdę czystą bez przyczynku:
We dworze do pięćdziesiąt wszystkich niewiast liczą,
Które się w różnych pracach białogłowskich ćwiczą,
Jak służbę robić doma i jak czesać wełnę.
Dwanaście z nich popadło w bezwstydy zupełne
I nie dość, że mnie, starej, posłusznymi nie są,
Ale nieraz na samą panią się podniesą.
Wprawdzie syn twój już wyszedł z małego chłopięcia,
Wždy matka nie pozwala takiego zajęcia,
By rządził niewiastami. Lecz pozwól mi, panie,
Skoczę na górę przerwać małżonce twej spanie,
Które widno bóg jakiś na oczy jej zsyła”.

Odysej ją powstrzymał: „Ot byś nie budziła!
Czekaj jeszcze, i przyślij wprzód te dziewczki do mnie,
Co dom mój zbeszcześciły, żyjąc tak ułomnie”.

To jej rzekł, a piastunka wybiegła z świetlice,
Zganiać na pański rozkaz one służebnice.

On zaś syna i obu pastuchów ku sobie
Przywołał, i zagadał do nich w tym sposobie:
„Teraz trupy wynosić kobiety pomogą,
A potem pomyć stoły i stołki chędogo
Mokrą gąbką, by ze krwi nie zostało śladu.
A kiedy wszystko w izbach powróci do ładu,
Wyprowadzić mi z domu owe białogłowy
I tam, gdzie szopa stoi a okap zamkowy,

Pobić mieczem do nogi, wywlec duszę z ciała,
By im wiecznie z pamięci rozkosz wywietrzała
Pokątnie wyprawiana z tymi rozpustniki”.

Skończył; wtem całą hurmą wszeteczne podwiki
Weszły. W głos wyjąc, we łzach pływając obfitych,
Zaczęły z izby gachów wynosić zabitych
I składać ich w przysionku warownego dworca
Kupą, jeden na drugim. Odys, by dozorca,
Stał nad nimi, do pracy naganiał niemiłej.
Potem dziurkowanymi gąbkami krew zmyły
Ze stołów i ze stołków. Podłogę komnaty
Trzeba było też czyścić, więc się do łopaty
Wziął Telemach z pastuchy: w trzech żwawsza robota.
A dziewczki wszystkie śmieci wyniosły za wrota.

Owoż gdy krwi wylanej nie było ni śladu,
A cały dworzec pański powrócił do ładu,
Wyprowadzili z izby one białogłowy
I tam, gdzie szopa stoi a okap zamkowy,
Zapędzili w kąt ciasny, że nie ma sposobu
Wyjścia stamtąd. Telemach wtenczas rzekł do obu
Pastuchów: „O, zaprawdę, miecza ani ruszę!
Zbyt on czysty na brudne tych wszetecznic dusze,
Co mnie i matce mojej umknęły dość sławy,
A z gachami trzymały sojusz tak nieprawy!”

Rzekł — i linę z okrętu, co miał dziób modrawy,
Jednym końcem przywiązał do słupa wystawy,
A drugim do komina, wysoko, by one
Ziemi dostać nie mogły, będąc powieszone.
A jak stado gołębi lub drozdów popadnie
W sidełka, w gąszczy chaszców zastawione zdraźnie,
Gdzie na noc dążąc, smutne znajdują łóżysko:
Takie i z onych niewiast było widowisko,
Kiedy jedna przy drugiej i głowa przy głowie
Wisiały tam na linie jak owi ptaszkowicie,

Każda z sznurkiem na szyi, zduszona cichutko,
Coś nogami zadręgałszy w powietrzu, lecz krótko.

Potem i Melantiosa koziarza przywlekli.
Ostrą miedzią usz dwoje i nos mu odsiekli,
Toż wyrwawszy część wstydłą psom cisnęli w gardła,
W końcu na rękach, nogach złość się ich wywarła.
Omywszy sobie ręce i nogi zjuszzone,
Szli na dworzec Odysów, bo dzieło skończone.

Właśnie Odysej mówił Euryklei starej:
„Przynieś siarki, co klątwę odczynia i czary,
Toż ognia, bym wykadził komnaty; a razem
Powiedz Penelopei, za moim rozkazem
By się spieszyła tutaj z pannami dworskimi,
A i drugie niewiasty niech stawiają się z nimi”.
Na to mu Eurykleja, piastunka sędziwa:
„Dobrze, mój synu! Mądrość przez cię się odzywa.
Lecz wprzód trzeba, by chłajnę i płaszcz przynieść dla cię,
Byś się dłużej nie świecił w tym podartym gracie,
Jeszcze tu na komnatach: zgorszenie nie lada!”

Na to jej Odyseusz mądry: — „Słuszna rada;
Lecz wprzód niech mi ogień rozpalą tu duży”.

Rozkazał. Eurykleja pilnie panu służy:
Przyniosła ognia, siarki, i Odys dokoła
Kadził w izbie, w przysionku, w całym dworze zgoła.

Staruszka, pamiętając rozkaz Odysowy,
Szła na górę. zwoływać wierne białogłowy,
Które się wysypały z pochodniami w ręku,
Obstępując Odysa wśród szłochu i jęku,
Powitań, dłoń ściskając, a po głowie, twarzy,
Każda go serdecznymi całunkami darzy,
Że aż mu z rozrzewnienia na płacz się zebrało.
Serce Odyseusza każdą z nich poznało.

Pieśń dwudziesta trzecia

Penelopa rozpoznaje Odyseusza

Uradowaną starą szybko nogi niosły
Na górę, gdyż do pani co tchu biegła w posły
Z wiadomością o mężu, że jest między nimi;
I u głów jej stanąwszy, rzekła słowa tymi:
„Zbieraj się, córko moja, a ujrzysz przed sobą
Tego, coś oblewała łzami każdą dobą.
Twój małżonek już wrócił! Tu, w zamku przebywa:
Wszystkich gachów zabiła ręka jego mściwa
Za najazd domu, gwałty, zmarnowane mienie,
Za syna poniewierkę i upokorzenie”.

Roztropna Penelopa odrzekła jej na to:
„Bogi cię nawiedziły snadź rozumu stratą!
Wszak im łatwo rozumnych szalonymi robić,
A szaleńców mądrości promieniem ozdobić!
Rozum twój się pomieszał, zawsze tak dorzeczny,
Że przynosisz mi drwiny na mój ból serdeczny
I pustą gadaniną przerywasz sen lekki,
Który łagodnym cieniem nakrył mi powieki.
Odkąd mego małżonka przy mnie tu nie stało,
Pierwszy raz tak mi dobrze, tak smacznie się spało.
Odejdź więc, i do dolnych powracaj pokoi.
O, gdyby którakolwiek z kobiet w służbie mojej
Śmiała przyjść z taką brednią i sen przerwać błogi,
Zaraz bym ją przegnała za mych komnat progi.
Wierzaj mi, li na ten raz starość twą szanuję”.

Eurykleja jej na to: „Lecz ja nie żartuję,
Córko moja najmiłsza! Zawierz memu słowu!
Odysej już powrócił, pośród nas jest znowu!
Ów gość, ten pogardzony dziad, co w izbie siedział,
To był on, a Telemach wpierw już o tym wiedział,

Lecz ojca tajemnicy potąd nie wyjawiał,
Póki ten butnych mężów nie starł i nie zdławił”.

Słyszając to, wyskoczyła z pościeli królowa,
Z radości starą ściska, płacz przerywa słowa,
Ale się przewycięża i tak mówi do niej:
„Mów, matko, lecz nie zmyślaj! O, niech cię bóg broni!
Jeżeli, jak powiadasz, on tu jest, już wrócił,
Czyżby na tłum zuchwalców sam jeden się rzucił?
Sam jeden, a ich taka zgraja się zebrała!”

Na to jej Eurykleja tak odpowiedziała:
„Nic nie wiem, jak to było: li przez grube mury
Dolatywał do komnat naszych jęk ponury,
Gdy ich w izbie mordował; a my, drżące z trwogi,
Siedziałyśmy zamknięte, póki syn twój drogi
Mnie stamtąd nie wywołał. Wchodzę z nim do izby
I widzę tam Odysa: w środku stał, wśród ciżby
Samych trupów, leżących na kamiennym toku.
Byłabyś się cieszyła z straszного widoku:
Jak ten lew stał w pośrodku, wszystek w krwi i kurzu!
Teraz ich ciała leżą pod bramą w podwórzu,
On zaś siarczanym ogniem wziął się w izbach kadzić,
A mnie posłał, by ciebie czym prędzej sprowadzić.
Idź więc ze mną! Dwa serca znajdują się przy sobie,
Rozpłyną się z radości po długiej żałobie,
Bo najdroższe życzenia od razu spełnione:
On wraca do ojczyzny i zastaje żonę
I syna w zamku swoim, a gachy zbrodniarze
I sługi przeniewiercze mściwą ręką karze!”

Penelopa jej na to odrzekła roztropna:
„Do przedwczesnej radości jesteś zbyt pochopna!
Wiesz, że na jego powrót z utęsknieniem takim
Czekano; ja najbardziej z synem jedynakiem;
Lecz co mówisz, to pewnie stało się inaczej;
Nie on to butne gachy uśmiercił; bóg raczej,

Zbrodniami ich oburzon, pobrał im żywoty,
Za pogardę zarówno dla złych, jak dla cnoty,
Bo każdym pomiatali, kto do nich kołatał.
Więc bóg głowy występne z karku ich pozmiatał,
A nie Odys; mój Odys gdzieś w stronie dalekiej
Stracił drogę powrotu i zgasł już na wieki!”

Eurykleja jej na to: „Zaniechaj tych mrzonek,
Córko, i tak nie gadaj! Jakżeby małzonek,
Który tam w dolnej izbie, przy ognisku siedzi,
Nie miał wrócić? Niedobrze, gdy się kto uprzedzi.
Cóż powiesz na tę bliznę — znak to niekłamliwy: —
Którą mu dzik na łowach zadał białokływy?
Myjąc go, jam poznała znak ten na goleniu
I chciałam ci powiedzieć, ale w okamgnieniu
Za gardło mnie pochwycił: tak bał się odkrycia.
Chodźmyż więc, w zastaw dam ci krew mojego życia!
Zabij mnie, jeśli kłamię, choćby w jednym słowie”.

Na to jej Penelopa roztropna odpowie:
„Matko! Wyroki boże są tak niezbadane!
Znasz ich wiele, a jednak nie wszystkie ci znane.
Więc zejść ja do syna oglądać te zwłoki
Gachów i poznać tego, co spełnił wyroki!”

Rzekła, i schodząc, w myśli zaczęła układać,
Jak męża przyjąć: czy go z daleka wybadać,
Czy się rzucić na szyję, ucałować lice?
Więc gdy przez próg kamienny wstąpiła w świetlicę,
Siadła podal pod ścianą, od ognia olśnioną,
Naprzeciw Odyseja. On z głową zwieszoną
Siedział popod filarem, ciekawy w tej mierze,
Co mu powie małżonka, kiedy go spostrzeże.
Ona długo milczała, w walce sama z sobą:
Mąż-li to? Tak podobny twarzą i osobą —
To go znów ubiór lichy robi niepodobnym.
Aż Telemach się ozwał do niej głosem złobnym:

„Matko! Niedobra matko! Serce twoje z głazu.
Czemuż do mego ojca nie poszłaś od razu,
Lecz się boczysz i o nic nie pytasz go, matko?
Drugiej takiej małżonki w świecie znaleźć rzadko,
Co by tak uporczywie stroniła od męża,
Choć ten bied tyle przebył, trudów przewycięża
I po latach dwudziestu do domu powraca!
Nikt się u ciebie, matko, serca nie domaca!”

Penelopa mu na to: „O, synu mój miły!
Jestem cała w zdumieniu, myśli się zmaciły;
Ani ust ja otworzyć mogę, ni go pytać,
Ni popatrzeć mu śmiało w oczy, by w nich czytać.
Lecz jeśli to Odysej, on, a nie kto drugi,
To wystarczy słów kilka rozmowy niedługiej,
Abyśmy się zbliżyli. Wszak oboje mamy
Pewne znaki, po których zaraz się poznamy”.

Uśmiechnął się Odysej boski na to słowo
I rzekł do Telemacha, zwracając się głową:
„Synu! Daj pokój matce, póki chęć ją zjima
Wybadać mnie, kto jestem; długo nie wytrzyma.
Szpetność to moja sprawia i te, ot, łachmany,
Że mną gardzi i myśli, żem jej mąż udany.
Lecz pono coś gorszego teraz nam zagraża,
Bo chociaż kto zabije człeka, co się zdarza,
Jakiego tam chudzinę, bez moźnych mścicieli —
To ucieka, kraj rzuca, krewnych, przyjacieli.
A my kraju podpory, kwiat itackiej młodzi
W pień wyrzneli — rzecz taka płazem nie uchodzi!”

Więc na to mu Telemach rzekł, roztropny młodzian:
„Ojczy, ty sam zaradzisz, boś mądrością odzian
Większą niż inni ludzie, sławę masz z rozumu,
Jaką ci nikt nie sprosta z śmiertelników tłumu,
Wszyscy pójdziem za tobą, tuszę nie na próżno,
Że znajdziesz w nas odwagę, gotowość usłużną”.

Jemu na to przebiegły Odysej odeprze:
„Powiem wam, co w tym razie sędzę za najlepsze:
Iść do łaźni, chitony przyodziać świąteczne,
Niewiasty niech też stroje przyobleką k'rzeczne!
Boski pieśniarz z formingą niechaj idzie przodem
I gra, a wy wesołym płaszcie korowodem,
By sąsiad lub przechodzeń idąc mimo bramy
Myślał, że tu wesele w zamku odprawiamy!
A tak o rzezi gachów nikt wpierw nie usłyszy
Tam w mieście, aż się schronim do wielkiej zaciszy,
Gdzie w drzew cieniu, co począć, swobodnie ułożym,
W niepewności natchnieniem kierując się bożym”.

Tak mówił i ten rozkaz prędko był spełniony.
Do łaźni się udano, przywdziano chitony,
Dziewki strojne przybyły, pieśniarz wziął do ręki
Gęś drażoną, pobudził uroczymi dźwięki
Do pieśni i do płaśów im towarzyszących,
Aż zamek się rozlegał tętentem skaczących
Dziarskich chłopców i dziewczek spiętych w piękne pasy.
Toż niejeden przechodzeń słysząc te hałasy
Rzekł do siebie: — Zapewne wesele królowej
Z którym kniaziem! Niestależ to te białogłowy!
Pilno jej dom porzucić, bo nawet nie czeka,
Nim ten pierwszy małżonek powróci z daleka. —

Tak gwarzyli przechodnie, prawdy nieświadome.
A tymczasem we dworze wierna Eurynome
Kąpała Odyseja, oliwą wyciera,
W piękny chiton i faros przepyszny ubiera.
Zaś Atena urokiem oblicze mu wieńczy,
Daje wzrost członkom, krzepkość oraz czar młodzieńczy,
Ze skroni bujnych włosów kędzior mu rozwinie
Podobny do hiacyntów. A jako naczynie
Srebrne złotem obleka złotnik biegły w sztuce,
Bo mistrzował mu Hefajst z Ateną w nauce,

Więc też cudne wychodzą dzieła z mistrza ręki —
Tak samo i bogini w uroki i wdzięki
Przyoblekła Odysa, że gdy wyszedł z łaźni,
Postacią przypominał niebian najwyraźniej.
Wyszedł i zasiadł w krześle, gdzie i pierwiej siedział
Naprzeciw cnej małżonki, i to jej powiedział:
„Dziwna z ciebie niewiasta! Bóstwa tobie dały
Odmienne niż u płci twej serce, bo ze skały.
Któraż by mogła stronić od własnego męża,
Gdy ten losów zawziętość w końcu przewycięża
I po latach dwudziestu jawi się w swym dworze?
Piastrunko! Ściel mi łóżko; sam się w nie położę,
Sam jeden, gdyż kamienne serce w tej kobiecie!”
Na to mu Penelopa rzekła: „Źle mówicie!
Ni mnie pycha, ni wzgarda trzyma w oddaleniu —
Postać męża wyryta mocno w moim wspomnieniu,
Wiem przecież, jak wyglądał, i widzę go prawie
Stąd odpływającego na wiosłanej nawie.
Dobrze więc, Euryklejo! Ściel dla niego łoże
Nie w tej, którą zbudował, sypialnej komorze,
Ino wynieś je stamtąd, naściel skór baranich,
Do przykrycia wojłoków, chlajników nakładź na nich”.
Chcąc męża z mańki zażyć, tak mówiła pani.
Lecz Odys przerwał gniewny: „O, jakże mnie rani,
Kobietko, twoja mowa! I któż to przestawił
Moje łóżko? Kto ruszył? Tego by nie sprawił
I najświadośszy rzeczy; chyba moce boże
Mogłyby cudem ruszyć z miejsca moje łoże,
Ale nikt żywy, nawet z siłą nadzwyczajną,
Gdyż jedną w nim przeszkodę zamknąłem był tajną,
Kiedym sam wyciosywał to łoże przedziwne.
W dziedzińcu stało wielkie tam drzewo oliwne,
Grube jak filar jaki, rozłogie i ciemne;
Jam wkoło oliwnika wznosił ściany kamienne,

Dach zasklepił, drzwi wprawił z silnych tramów zbite
I na naszą sypialnię przeznaczył tę klitę.
Potem ściąwszy koronę drzewa gęstolistą,
Sam pień aż do korzenia ociosałem czysto,
Zrównałem ostrzem miednym gładko i pionowo,
A więc noga do łoża była już gotową;
W której świdrem na wylot wykręciwszy dziury,
Wyładziłem łożnicę wspaniałej struktury,
Zdobiąc ją w kość słoniową, toż srebrem i złotem,
Wreszcie kraśnych rzemieni obciążając splotem.
Oto masz znak dokładny, lecz nie wiem doprawdy,
Czy moje łoże stoi tam, gdzie stało zawdy,
Czy też je kto poruszył, gwoździ przeniesienia
Odrąbał pniak oliwny spodem, od korzenia?”

Tak rzekł. W niej serce drżało, zadrżały kolana,
Gdy wyszła tajemnica jemu i jej znana.
Ze łzami się w małżeńskie objęcia rzuciła
Garnąc k'sobie, a twarz mu całując mówiła:
„Nie miej mi tego za złe! Tyś przecie, mój drogi,
Zawsze słygał mądrością. Bogów wyrok srogi
Padł na nas i rozdzielił: dni młodych wesele
Nie przeciągło się w starość dla nas w tym rozdziele!
Niechże cię gniew nie zżyma ani rozżalenie!
Żem cię nie powitała na pierwsze wejrzenie,
Bo nie mogłam obawy wybić sobie z głowy,
Że może przyjąć ktokolwiek i chytrymi słowy
Zwieść mnie. Tyle oszustów włóczy się po świecie!
Wszakże ten obcy gładysz nie byłby zwiódł przecie
Heleny, Kronijowej córy z Argos księżny,
Gdyby była przeczuła, że Achiw orężny
Pójdzie po nią, odbije porwaną niegodnie —
Lecz z poduszczeń bogini spełniła tę zbrodnię
I serce jej okropnej winy nie przeczuło,
Z której i nam niedoli pasmo się wysnuło.

A teraz gdyś dokładnie znaki opowiedział
Łożnicy naszej — o czym nikt z ludzi nie wiedział
Krom nas dwojga i jednej służebnej jedynej,
Aktoris, mej wyprawnej, danej od rodziny,
Która zawsze sypialnej komory drzwi strzegła —
Nie wierząc ci z początku, teraz-em uległa”.

To rzekła jemu w sercu zebrawszy tęsknice.
Płacząc w objęciach trzymał drogą połowicę.
A jak żeglarze ziemi cieszą się widokem,
Których nawę Posejdon na morzu szerokiem
Burzą i bałwanami roztrzaskał na szczęty —
Więc owi, co przez wzdęte przedrą się odmęty,
Ku lądowi, słonawym obwalani błotem,
Jakże radośnie na brzeg wyskakują potem —
Z taką radością męża powitała żona,
Dwojgiem śnieżystych ramion garnąc go do łona.
I byliby kwilili do Jutrzenki złotej,
Lecz Pallas przedłużyła dla nich te pieszczoty,
Bo kres nocy przeciągła, i rydwan Eosy
Z Lampem i Faetonem nie wbiegł na niebiosy
Od brzegu oceanu: ona go wstrzymała;
I Eos blaski swoje nieprędko rozsiała.
Więc Odysej tak mówił do małżonki swojej:
„Oj, jeszcze wiele przeszkód na drodze mi stoi!
Trzeba walczyć, robota ogromna mnie czeka,
I wiele niebezpieczeństw, sprawa to nielekka!
Niegdyś duch Tejresjasza to mi przepowiadał,
Kiedym w gmachy Aisa zaszedł, wieszcza badał
O własną moją dolę i mych towarzyszy,
Lecz pora iść do łoża, aby w nocnej ciszy
Na wygodnej pościeli błogiego snu zażyć”.

Roztropna Penelopa zaczęła znów gwarzyć:
„Łoże wnet ci pościelą, skoro to żądanie
Twoim jest, gdy raczyli wrócić cię niebianie

W dom twój własny, na ziemię ojczystą, rodzinną.
Lecz bogi cię natchnęły myślą jakąś inną,
Wspomniałeś coś o walce — choć dowiem się o tem
Później — to wolę wiedzieć zaraz niżli potem”.

Na to odrzekł jej Odys: „Moja ty niebogo,
Czemu chcesz gwałtem wiedzieć tę prawdę złowrogą?
Słuchaj, wszystko opowiem, co kiedyś się zdarzy,
Ciebie to nie pocieszy, a i mnie nie plaży:
Wiedz zatem, że mi kazał iść w dalekie ziemie
Obcych ludów i w rękę dźwigać wiosła brzemie,
Póki ludzi nie znajdę, którzy nic nie wiedzą
O morzu, którzy strawę niesoloną jedzą,
Czerwonodziobych łodzi nie znają też wcale
Ni wiosła, istnych skrzydeł muskających fale —
Więc, abym się nie zmylił, tak mi rzekł dokładnie,
Że jeśli kto wśród obcych widząc mnie zagadnie,
Czy na barkach łopatę dźwigam — zaraz brzemie
Złożę i wygładzone wiosło wbiję w ziemię...
A Posejdon ode mnie, wielki mórz władyka,
Dostanie na ofiarę wieprza, kozła, byka,
Po czym wrócę i sute dam bogom ofiary
Zamieszkującym niebios niezmierne obszary
I innym po kolei. Na mnie zaś przez morze
Przyjdzie śmierć i zagrabi, gdy starość mnie zmoże
Z pośrodku moich ludów, którym szczęście dałem.
Oto masz, co z proroczych ust wieszczą słyszałem”.

Na to mu Penelopa: „O, jeśli bogowie
Dadzą żyć długie lata i dadzą ci zdrowie —
Ufajmy, że po smutkach szczęście się przymili”.

Takie tam między sobą rozmowy toczyli.

Tymczasem Eurykleja z klucznicą co żywo
Ściela łoże: do siania świeci im łuczywo.
A gdy z miękkich kobierców usłały już łoże,
Starka odeszła na noc spać w swojej komorze,

Eurynoma zaś, jako straż sypialni miała,
Szła naprzód i pochodnią państwu przyświecała.
Zawiódłszy ich, odeszła. A tak stało one
Znalazło się w swym dawnym łożu połączone...
Telemach spał po płasach; wolarz z świniopasem
Poszli spać i kobiety miłym się wywczasem
Pokrzepiały. Co żyło, usnęło w zamczysku.
Li ich dwoje po słodkim miłości uścisku
Długo jeszcze czuwało. Ona swoje biedy
Rozповідаła jemu: co cierpiała wtedy,
Gdy musiała na gachów patrzeć się rozpustę,
Jak się o nią starając bili woły tłuste
I barany, a wina co poszło na stoły!
On zaś jej rozповідаł swe nędze, mozoły,
Jak go los prześladował, jak się z nim borykał,
Co sam ludzi uśmiercił, co im nadopiekał!
Słuchała go z rozkoszą i od sennych mrzonek
Broniła się, aż skończył powieść swą małżonek.

A mówił jej, jak najpierw pogromił Kikony,
Jak w żyzny Lotofagów kraj był zapędzony,
Jak się Kiklop z nim obszedł, jak nad okrutnikiem
Mścił się za kilku druhów zzartych jednym łykiem,
Jak potem u Eola dobrze był przyjęty,
Opatrzony na drogę: ale los zawzięty
Nie dał mu wrócić do dom. Burza się zerwała
I okręty na morze daleko zagnała.
Jak znów aż w lajstrygońskie zaszedł Telefile,
Gdzie nawy stracił, mężów zabito mu tyle,
Że ledwo z łodzią uszedł, w takich był obrotach,
Opowiadał o Kirki czarodziejskich psotach,
Jak od niej w Hadesowe zabiegł gmachy ciemne
Pytać ducha Tejrēja o losy tajemne
I jak tam towarzyszków dawnych spotkał grono
I duszę matki swojej, matkę swą rodzoną.

Dalej, jak słyszał syren czarowne śpiewanie,
W błędne skały zajechał, w Charybdy otchłanie,
Do Skilli skowyczącej, gdzie ginie, kto wpadnie.
Mówił, jak druhy stado Heliosa szkaradnie
Wyrznęli — jak w łódź jego Zeus uderzył gromem,
Aż wszyscy towarzysze śmierć w morzu łakomym
Znaleźli, a on jeden uszedł strasznej Kerze
I dobrnął do Ogigii, gdzie Kalypso bierze
Pod swoją go opiekę, ugaszcza w jaskini
Lat wiele i chce gwałtem, by się został przy niej
Jak małżonek — a za to chce mu dać nagrodą
Nieśmiertelność i postać wiecznie, wiecznie młodą.
Lecz się jej nie udało sobie go zniewolić.
Stamtąd się do Feaków przedarł i przebolić
Musiał wiele w tej drodze. Feacy go prawie
Jak bożka przyjmowali i na lotnej nawie
Odprawili do domu, na ostrów rodzinny,
W złoto, spiż opatrzywszy, w szaty i sprzęt inny —
Kiedy słów tych domawiał, sen przyszedł nań błogi,
Ubezwładnił i duszne uciszył w nim trwogi.

Wtem myśl inna zajęła Pallas sowiooką.
Bo skoro przewidziała, że Odys głęboko
Usnął i przy małżonce wywczasu używa,
Zaraz znad oceanu Eosę przyzywa,
Aby złotego światła rozlewała strugi.
Odys z miękkiego łóża porwał się jak długi,
I rzekł do swej małżonki: „Żono, do tej chwili
Oboje my goryczy czarę wychylili;
Tyś tu mnie wyglądała we łzach i tęsknocie,
Lecz mnie, jakkolwiek sercem wciąż rwałem się do cię,
Zeus nie puszczał, a bogi dręczyli bez miary.
Teraz, gdy nas złączyły małżeńskie kotary,
O tym, co mi zostało z mienia, miej starunek!
O bydło i o trzodę mniejszy mam frasunek,

Bo co zjedli gachowie, wrócą mi po części
Achiwi — resztę złupię, jeśli się poszczęści,
U obcych, a tak znowu napełnię koszary.
Ja sam wnet śpieszę na wieś do ojca; mój stary
Laertes z utęsknieniem czeka na mnie, syna.
Ty zaś masz, choć przemądra z ciebie kobiecina,
Zaraz — bo pewnie ze dniem wieść w miasto dobieży,
Że tu pomordowanych gachów tyle leży —
Iść na górne komnaty z swymi białogłowy,
Siedzieć cicho, z obcymi unikać rozmowy”.

Rzekłszy to, wdział na barki przybory pancerne,
Obudził Telemacha i sługi swe wierne,
I kazał im co żywo stroić się w oręż;
Posłuszni — wnet stanęli w spiży oba męże.
Po czym otwarłszy bramę wyszli, prowadzeni
Przez Odysa.

Już niebo siało dość promieni.
Lecz ich Pallas Atene skryła w mgły obłoku:
Więc miastem się przemknęli, niewidzialni oku.

Pieśń dwudziesta czwarta

Pojednanie

Hermejas, bóg Kylleny, przypadł rączym lotem
Zwoływać duchy gachów. Miał on lśniąca złotem
W ręku laskę; niech dotknie nią śmiertelnych ludzi,
Kogo chce snem umorzy albo ze snu zbudzi.
Tą laską spędził dusze, z szmerem się porwały;
Podobnie nietoperze w norach świętej skały,
Byle jeden z nich odpadł od długiego splotu,
Z piskiem się porywają wszystkie wraz do lotu:
Z takim piskiem te dusze pomknęły tuż w ślady
Za wybawczym Hermesem w podziemne posady,

Mknąc mimo Okeanu, Leukady skał stromych,
Bram słonecznych i mimo siedzib snów znikomych,
Aż się na asfodelu dostały lewadę,
Gdzie mary nieboszczyków zamieszkują blade.

Tam na łące się zeszły z Achilowym duchem,
Z Patrokła, Amfilocha i tym sławnym zuchem
Ajase, który wzrostem, postawą rej wodzi
Pośród nich, li Achilla tylko nie dochodzi,
Którego otaczały zawsze tych dusz grona.
Właśnie zbliżył się do nich cień Agamemnona —
Smutny był, koło niego kręciły się cienie
Tych, co w domu Ajgista śmierci przeznaczenie
Zmiotło i razem z królem dali swoje głowy.
Do nadchodzących duch się ozwał Achilowy:
„Atrydo, jam był pewien, że Zeus, władca gromu
Ze wszystkich mężów tobie więcej niżli komu
Sprzyjać winien, narodów rozlicznych hetmanie,
Tam pod Troją, gdzie Achiw cierpiał niesłuchanie.
Więc i w ciebie nareszcie zgubny los ugodził,
Któremu ujść nie uszedł nikt, kto się urodził?
Czemuż cię w pełni chwały, na potęgi szczycie
Tam na polu trojańskim nie odbiegło życie?
Mogile by nad tobą usuli Achiwy
I syn twój sławą ojca świetniałby szczęśliwy,
Gdy dziś śmierć niepoczesna aż tu cię zawlekła”.

Na to Agamemnona dusza mu odrzekła:
„Szczęsny synu Peleja, o boski Achillu!
Choć ległeś pod Ilionem, a z tobą aż tylu
Cnych Achajów i Trojan głowy swoje dało,
Walcząc przy twoim ciele, które tam leżało
Wielkie w kurzu, już głuche na konne gonitwy,
Bój przy nim wrzał dzień cały, nigdy końca bitwy
Tej by nie było, gdyby nie deszczu potoki.
Więc z pola na okręty nieśliśmy twe zwłoki,

Złożywszy je na łożu obmyli na czyste
Letnią wodą, oliwą, z oczu łyż rzesiste
Ciekły nam, a my włosy z głowy sobie rwali.
Wtem na wieść tę twa matka wyszła z morskiej fali
Z nimfami, i rozległ się jęk jej żałośliwy
Po wodach, aż ze strachu struchleli Achiwy,
Gotowi na te jęki schować się w okręty,
Gdyby był ich nie wstrzymał mąż mądrością święty,
Nestor, z dawna już słynny radą, doświadczeniem.
Owóż tak jął przed trwożnym mówić zgromadzeniem:
— Stójcie, Argeje! Czemu pierzchacie, Achaje?
To matka, patrzcie, z morskich odmętów powstaje
I w nimf gronie do syna zabitego spieszy.
Rzekł i zatrzymał popłoch pierzchającej rzeszy.
Córy srebrnowłosego Nereja te zwłoki
Obiegły, owinęły zaraz w płaszcz szeroki,
A muz dziewięć słodkimi głosy na przemiany
Zawodziło, i każdy Achiw był spłakany,
Tak do głębi się wzruszył tym żalosnym pieniem.
Dni, nocy siedemnaście nad twym przeznaczeniem
Płakali tak bogowie, jak my, ludzie prości;
A potem złożonemu na stosie w mnogości
Rznięto tłuste barany i byki rogate;
Trup twój płonął owinion w ambrozyjną szatę,
Wonnym miodem, oliwą płomień był sycony,
Huf witeziów otaczał ów stos zapalony,
Jedni pieszo, a drudzy w rydwanach zaprzężnych.
Walczyli i grzmiał łoskot od ciosów orężnych.
Toż gdy płomień Hefajsta strawił twoje szczęty,
Wcześniej twych białych kości popiół był zgarnięty
I winem skropion. Wtenczas mać twa, Achillesie,
Złoty dwuuszny dzbanek pomiędzy nas wniesie —
Dał go jej Dyjonizos, jak utrzymywała —
A dłoń mistrza Hefajsta dzban ten wykowała.

W nim twoje, bohaterze, złożono popioły
Z popiołami Patrokla zmieszane pospoły;
Antilocha zaś szczątki schowano osobno.
Po Patrokle najwięcejś kochał go podobno.
Więceśmy te popioły nakryli mogiłą,
Wojsko argejskie ziemię na nią nanosiło
Na sam brzeg, co w Hellespont sterczy wysunięty,
By z dala ją widziały mknące tam okręty
I żeglarze dzisiejszych, jak i przyszłych czasów.
Matka zaś poznosiła na pole zapasów
Dla Achiwów, co męstwa złożyli dowody,
Od boga wyproszone przecudne nagrody.
Kto widywał, jak wodza lub króla chowano,
Gdy mołojce na jego mogile tam staną
W zbrojach, gotowi bić się o nagrodę złotą,
Zdumiałby się ujrzawszy, z jaką to szczodrocią
Na cześć twoją Tetyda zniosła z nieba dary!
Bo też ciebie bogowie kochali bez miary!
Imię twoje po śmierci żyje, twoja chwała,
Achillesie, od ludu do ludu rozbrzmiała.
Mój los gorszy, choć końca tej wojny jam dożył,
Cóż gdy wracającego do domu Zeus zmorzył:
Ajgist mnie zamordował, żona mnie zabiła!”
Taka się między nimi rozmowa toczyła.
Wtem do nich Argobójca zbliżył się, a w ślady
Za nim mar zalotników nadleciał tłum blady.
Na spotkanie szli obaj królowie zdumieni.
I cień Agamemnona poznał wśród tych cieni
Duszę Amfimedona; Melenid ten walny
Gościł go, kiedy bywał na Itace skalnej —
Więc go Atryd zagabnął: „Przez jakie wyroki
Strąconyś, Amfimedzie, w te podziemne mroki
Z gronem mężów dobornych, równych sobie laty,
Za co to najpiękniejsze pozrywane kwiaty?

Czy Posejdon w okrętach potopił was może,
Kiedy wypuścił burzę i rozhukał morze?
Czy was ludzie pobili swej krzywdy się mszczące
Za bydło zrabowane i trzody na łące?
Czy broniąc żon i grodu was pozabijali?
Mówże! Wszak myśmy z sobą przyjaźń zawiazali,
Kiedym dom wasz nawiedził gościnnie przyjęty,
By namówić Odysa z nami na okręty,
Które Atryd Menelaj na Troję przywodził.
Cały miesiąc upłynął, nim się Odys zgodził
I dał namówić do tej dalekiej podróży”.

Na to Amfimedona dusza tak odwótoczy:
„Dzielny synu Atreja, cny Agamemnonie!
Mówisz iście, jak było. Przeto ci odsłonię,
Mój królu, całą prawdę. Powiem, jak się stało,
Że nas razem aż tylu głowy nasze dało.
Pod niebytność Odysa my do jego żony
Mieli się; lecz do żadnej nie skłania się strony,
Nie odmawia, nie broni, jedno zwleka śluby,
A tymczasem w skrytości pragnie naszej zguby.
Chytra taką wymyśla dla nas niespodziankę,
Że na krosnach nawłókszy pasma jak na tkanę
W swej komorze, mówiła do zalotnej młodzi:
— Jeśli wam po Odysie o mą rękę chodzi,
To póki tego płótna nie skończę, nie prędej
Ślub być może, bo żal by marnować mi przędzy.
Całun ten dla Laerta przeznaczam, gdy stary
Usnąwszy niebudzonym snem pójdzie na mary.
Nie chcę, by mnie achajskie ganiły kobiety,
Gdyby on, pan tak wielki, leżał nie okryty”.

Tak mówiła i wszyscy wierzyli mądrości.
Więc odtąd w dzień przy krosnach tkła tam po trosze,
A w noc przy żagwiach pruć, co we dnie utkała,
I tak nas przez trzy roky wciąż oszukiwała.

Gdy rok czwarty przyniosły pór odmienne lica,
Przez jedną z pokojówek wyszła tajemnica.
Wpadamy. Na gorącym uczynku schwytana,
Pruła to czasu nocy, co utkała z rana.
A więc chcący nie chcący skończyć jej wypadło.
A kiedy już utkany płaszcz i prześcieradło,
Wyprała — że jak słońce jak księżyc są czyste —
Wtem demon skądeś naniósł na łany ojczyste
Odysa, do pastuszej zagrody, co leży
Hen na końcu ostrowu. Do niego wraz bieży
Luby syn wracający na okręcie z drogi
Do Pyłu piaszczystego. Więc oba te wrogi
Rzeź gachów uradzili między sobą w myśli.
Po czym przyszli do miasta, lecz nie razem przyszli.
Odys później, syn jego pospieszył tam wprzód,
Króla zaś przebranego powiódł pasterz trzody.
A król miał postać dziada złamanego łąty,
Szedł o kiju, na grzbiecie świeciły mu łąty.
Nikt z nas nie mógł Odysa poznać w tym człowieku,
Gdy się zjawił, nikt, nawet męża w starszym wieku.
Więc się nań posypały obelgi i krzesła.
Jakiś czas mężna dusza obrazę tę zniesła
Zadaną mu na własnych śmieciach, w własnym domu.
Lecz gdy go woła swoją natchnął władca gromu,
Z pomocą Telemacha z izby wszystkie zbroje
Przeniósł w górną komnatę i zamknął podwoje,
Po czym w chytrym zamiarze podmówił swą żonę,
By przyniosła łuk jego i siekiery one
Do szermierki dla gachów, i do naszej zguby;
Bo nikt nie mógł cięciwy na kabłąk tak gruby
Napiąć, z nas nieszczęśliwych; zawiodła nas siła!
Lecz gdy łuk ten Odysa ręka pochwyciła,
Narobiliśmy krzyku i zewsząd wołano,
Aby, choć się napiera, łuku mu nie dano.

Lecz Telemach mu kazał dać łuk obnoszony.
Otóż gdy go Odysej chwycił w swoje szpony,
Jak nic napiął, przez ucha żelaz strzałę cisnął.
Na próg skoczył, wysypał pęk strzał — okiem błysnął
Okropnie i pociskiem Antinoja przeszył!
Na innych miotać strzały nieustanne śpieszył,
A celnie i morderczo — mąż padał na męża...
Snadź słoniła ich boga jakiegoś pawęża,
Bo wściekli wpadli na nas, wszystkich mordowali,
Kto tylko się nawinał, aż powstał jęk w sali
Zmieszan z łomotem czaszek; krew izbę zalała.
Tak my padli, Atrydo, wszyscy! Nasze ciała
Dotąd w zamku Odysa leżą nie grzebane.
Braciom naszym nieszczęście to jeszcze nieznane,
By przyszli krew z ran otrzeć, z jęki żałosnemi,
Jak przystoi, pogrzebać ciała nasze w ziemi”.

Tak odpowiedział na to cień Agamemnona:
„Odysie! Twoja dzielność już wynagrodzona,
Kiedys mężem małżonki zdobnej w wielkie cnoty.
Zaprawdę niezrównane duszy jej przymioty!
Wierność od lat młodziutkich dochować umiała
Swojemu Odysowi! Wieczna, wieczna chwała
Czystej Penelopei! Na jej cześć niebianie
Natchną pieśni i cześć jej nigdy nie ustanie.
Nie zbrodniarka to z rzędu Tyndareja córy,
Co zabiła małżonka i w pieśni ponurej
Przejdzie do potomności, hańbiąc ród niewieści
Na wieki i te nawet, co warte są cześci!”

Tak rozmawiały z sobą mary nieboszczyków
W gmachu Hadesu, w głębi podziemnych tajników.

Tamci, wyszedłszy z miasta, mieli drogę krótką
Do zagrody Laerta. Ustroń tę milutką
Ongi nabył on dla się, sprawiał z potem czoła
W środku dziedzińca dwór stał; budynki dokoła

Gospodarskie mieszczące czeladkę roboczą,
Gdzie jadła i sypiała, pracując ochoczo.
Była tam i Sikelka, stara gospodyni,
Pielęgnująca pana swego w tej pustyni.

Wtem Odys rzekł do syna i pastuchów trzody:
„Wejdźcie do wrót tej pięknej przed nami zagrody
I sprawcie najtłustszego wieprzka na biesiadę!
Ja tymczasem do ojca poskoczę na zwiadę,
Czy mnie pozna, gdy stanę przed jego oczyma,
Czy — długo mnie nie widząc — w pamięci już nie ma?”

To rzekłszy, swej czeladzi oddał broń i zbroję.
A ci weszli za wrota; on zaś kroki swoje
Skierował wprost do sadu, by znaleźć tam ojca,
Lecz nigdzie wśród długiego nie spotkał ogrojca
Ni Doliosa, ni synów, ni sług Doliosowych,
Gdyż w pole poszli chrustów na płoty tarniowych
Naciąć, a stary Dolios sam im towarzyszy.
Więc li samego ojca znalazł w sadów ciszy,
Jak drzewko okopywał. Kubrak on na sobie
Miał brudny, połatany; skórą nogi obie
Obwinięte: od kolców i cierni obrona;
Na rękach rękawice, głowa otulona
W kaptur kozi; tak starzec w żałobie swej chadzał.
Widząc tedy Odysej — a wzrok go nie zdradzał —
Że ojciec wiekiem złaman, zjedzon bólem duszy,
Rozpłakał się, stanąwszy za pniem wielkiej gruszy,
I rozmyślał, co dalej ma począć, niepewny,
Czy się rzucić w objęcia, złożyć uścisk rzewny
I wyznać, że już wrócił w progi ojców lube,
Czyli też wpierw wybadać i wziąć go na próbę?
Ostatnie wąpiącemu najlepsze się zdało,
By przymówką wybadać tę duszę zbolalą.
I tak zrobił, i zaraz wprost do ojca kroczył,
Który, zgięty, dokoła szczepu ziemię tłoczył.

Więc podszedłszy ku ojcu rzekł syn znamienity:
„Starcze! Z ciebie ogrodnik, widzę, wyśmienity,
Wszędzie znać pilną rękę w uprawie tych sadów,
Tak koło fig, oliwek, grusz, jak winogradów.
Każdy szczep, każda grządka uprawna jak rzadko,
Jedno tylko zarzucę — przebaczy mi tatko! —
Że sam nie dbasz o siebie. Starzec, wiekiem zgięty,
Chodzi taki obdarty i nieogarnięty!
Pewnie nie za lenistwo pan o cię nie stoi —
Nie widać niewolnika przecież z twarzy twojej,
Owszem, coś królewskiego masz w całej postawie,
Ni to pan, co po łaźni i wytwornej strawie
Zażywa lekkiej drzemki, jak u starych zwyczaj.
Przeto mów mi, kto jesteś, z prawdą się nie sprzeczasz.
Kto cię trzyma parobkiem do pracy w ogrodzie?
Opowiedz to dokładnie, niech wiem w mej przygodzie,
Czy na wyspie Itace naprawdę stanąłem,
Jak przed chwilą z ust człeka jakiegoś powziąłem,
Który zresztą nie bardzo chętnie odpowiadał,
Chociem zagabł go grzecznie i dosyć nabadał
O mego tutaj druha, czy żyje, czy zdrowy,
Czy go skrył już na zawsze pomrok hadesowy?
Więc ci powiem, wyrazy moje zważaj ninie:
Miałem raz podróżnego u siebie w gościnie,
A nigdy przyjemniejszy gość z dalekiej strony,
Niżli on, w domu moim nie bywał goszczony.
Chęłpił się, że w itackim ostrowie się rodził,
Że od syna Arkejsja, Laerta, pochodził.
Jam go w dom mój wprowadził, nie szczędził niczego
W przyjęciu dostatkami domu bogatego.
Na odjeźdźnem jam równą okazał szczodrość:
Dałem mu siedm talentów warte sztuki złote,
Toż szczerozłoty krater kwiatami wzorzony,
Chlajników dwanaście, przy tym kobierce, chitony

W takiej liczbie, więc płaszców dwanaście przecudnych;
Cztery zaś białogłowy, biegle w pracach tudnych
A urodne, sam wybrał, o com go też prosił”.

Na to rzekł ojciec, który z płaczu się zanosił:
„Przychodniu! Na Itace jesteś w rzeczy samej,
Gdzie pod władzą zuchwałych mężów tu stękamy.
Na próżno go szczodrymi dary obsypałeś;
O, czemuż go w Itace żywym nie zastałeś!
Byłby cię obdarował, podjął z gościnnością,
Odesłał — słuszność każe płacić wzajemnością.
Wszakże powiedz mi prawdę, po cóż byś ukrywał?
Dawnoż temu, jak gość ten w domu twym przebywał,
Ten syn mój nieszczęśliwy? Czemuż go nie stało!
Pewnie podał od ziemi ojców jego ciało
W morzu ryby już zjadły lub w polu zwierz srogi,
Albo ptactwo pożarło. Ciebie, synu drogi,
Rodzice ni pochować mogli, ni łąą zrosić,
Ani cna Penelopa żalów swoich głosić
Nad mężem konającym, ni zawrzeć mu powiek,
Jak każe święty zwyczaj, gdy umiera człowiek!
Teraz racz mi powiedzieć, niech się w tym oświecę:
Skądęś jest i gdzie twoi mieszkają rodzice?
Gdzie twój okręt, na którym tyś do nas zawinął?
Gdzie wioślarze? Na cudzym statku możeś płynął,
Że cię tu wysadziwszy, pognał w dalszą drogę?”

Odysej odrzekł na to: „Jeśli chcesz, więc mogę
O wszystkim zdać ci sprawę dokładnie i jasno.
Z Alybantu ja rodem; mam dom, ziemię własną.
Ojcem moim Afejdas, syn Polypemona;
Eperitem mnie zowią. Wręcz przeciwna strona
Była celem mej drogi, lecz demon mi szlaki
Zmieszał, i od Sikanii zagnał do Itaki.
Łódź zaś moja od miasta podał, w polu stoi.
Odys, pomnę, z ojczyzny oddalił się mojej

Lat pięć temu; z Alybu odpłynął stolicy.
Biedak! Choć na odjezdnem po jego prawicy
Przelatywały ptaki z pomyślną dlań wróżbą.
Jam też z sercem wesołym żegnał się z swym družbą.
On również wesół; obaj z najlepszą otuchą,
Że nieraz się spotkamy z sobą nie na sucho!”

Rzekł, a starca owionął smutku dym zgryźliwy
Wziął z ziemi garść brudnego pyłu i włos siwy
Posypał nim, i łzami zalał się rzewnymi.
Odys wstrząsł się, nozdrzami parskął rozdętymi
Wyrzucając ból z serca na widok rodzica.
Skoczył doń, wziął w ramiona i całował lica:
„Ojcze! Jam to jest syn twój — mówił — syn zgubiony,
Który wraca po latach dwudziestu w te strony!
A więc łzom tym pofolguj, nie wzdychaj już więcej!
Krótco powiem, gdyż działać trzeba nam co prędzej,
Żem wszystkie zalotniki w pień wyciął w mym domu:
Nie uszli ci zuchwalce mściwego pogromu!”

Odpowiedział mu na to ojciec, Laert stary:
„Żeby mój Odys wrócił, rzecz trudna do wiary;
Pokaż znamię, a wtedy zaufam twej mowie”.

Na to mu bystromyślny Odysej odpowie:
„Ojcze mój! Na tę bliznę nasamprzód zwróć oko,
Którą odynieć kłami rozorał głęboko
Tam, w Parnasie, gdym z woli twojej i mej matki
Do Autolyka jeździł odebrać te datki,
Które mi był obiecał na me urodziny.
Teraz wskażę ci wszystkie drzewa i krzewiny,
Darowane mi niegdyś, gdym jeszcze dziecięciem
Za tobą wbiegł w te sady i słuchał z zajęciem,
Jak każde drzewo mianem nazywałeś innym;
Naparłem się był o nie z uporem dziecinnym,
A tyś mi grusz trzynaście, jabłoni dziesiątek,
Fig czterdzieści darował — tyle na początek;

Nadto pięćdziesiąt rzędów wina dostać miałem,
Rozpiętego na tykach pod słońca upałem,
Które się gronmi jagód okrywa w swej porze,
Gdy Zeus błogosławieństwo ześle z nieba boże”.

Starcowi biło serce, nogi pod nim drżały,
Skoro powziął z ust syna ten znak doskonały.
Rzucił mu się w objęcia i upadł w zemdleniu
Na pierś syna, i w jego zawisnął ramieniu.
A po chwili, gdy w niego duch wszedł i ocucił,
W uniesieniu radości takie słowo rzucił:
„O Zeusie! Snadź bogowie w niebie jeszcze władną,
Jeśli starli rozpustę gachów bezprzykładną.
Li o to strach mnie bierze, aby Itakanie
Hurmem nas nie napadli, nuż na ich wezwanie
Z miast kefaleńskich liczne nadciągną tu rzesze!”

Przemądry mu Odysej odrzekł ku pociesze:
„Nie trwóż się, niech się dusza twoja uspokoi:
Raczej wejdźmy do dworu, do siedziby twojej,
Gdzie Telemach, Eumajos z Filojtiem pastuchem
Już tam są i śniadanie przyrządzają duchem”.
Gdy to rzekł, ku domowi kroki swe zwrócili
I wnet pięknej komnaty progi przestąpili,
Gdzie Telemach z pomocą pastuchów co żywo
Krzętał się, wino mieszał i krajał mięsiwo.
Zaś Laert wszedł do łaźni, i tam bohatera
Wierna Sikelka myje, maściami naciera
I w czyste stroi szaty; a boska Pallada
Zbiegłszy doń, wraz królowi wspaniały wzrost nada,
Że się wydał barczystym i tęższym niż wprzód.
Wyszedł z łaźni, a Odys myślał, że to cudy
I że jeden z olimpskich bogów się objawił;
Więc zwrócił się do ojca i te słowa prawił:
„Ojcze! Iście w tym bogów nieśmiertelnych sprawa:
Ten twój wzrost, to wejrzenie, ta dziarska postawa!”

Na to mądry Laertes synowi odpowie:
„Czemuż, Kronionie, Febie, Ateno, bogowie!
Taki, jaki-m Neriku wylałamywał bramy,
Wiodąc huf Kefaleńców — czemuż taki samy
Nie znalazłem się w zamku tam, wczorajszej nocy,
Pancerny, mordujący gachów z całej mocy,
Z wami razem? A byłbym napłatał niemało
Gaszych łbów, aż by serce w tobie się rozśmiało!”

Takie się między nimi toczyły rozmowy —
Lecz już przygotowany czekał stół godowy.
Więc na krzesłach i stołkach u stołu zasiedli,
Zabrali się do jadła i śniadanie jedli.
Wtem wszedł Dolios, staruszek, a z nim jego syny,
Zmęczone pracą w polu, skąd matka rodziny,
Ona stara Sikelka wraz ich przywołała,
Co syny swe karmiła, a o starca dbała.
Ci ujrzawszy Odysa, sercem go poznali.
I z podziwienia w izbie jakby wryci stali.
Ale Odys im posłał przyjazne wyrazy:

„Siadaj, starcze! W zdumieniu stoicie jak głazy?
Długo na was czekamy spragnieni i głodni,
Aby z wami biesiadę spożyć, ludzie godni”.

Na to Dolios wzniosł k'niemu ręce wyciągnięte,
Dłonie króla całował wyż kostki ujęte
I takie doń obrócił słowa uskrzydłone:
„O drogi! Więc wróciłeś? Wracaj, co stracone!
Nikt cię się nie spodziewał; niebo nam cię zsyła!
Witaj nam! Oby łaska bogów ci świeciła!
Lecz powiedz, niech wiem wszystko: azali twa żona,
Roztropna Penelopa, już uwiadomiona,
Żeś wrócił? Jeśli nie wie, wyślę gońca lotem”.

Bystry Odys mu na to: „Ona już wie o tem,
Więc się nie troszcz i zasiądź tu z nami pospołu!”

Rzekł, a staruszek usiadł w swym krześle do stołu.

Syny jego podobnie Odysa witali;
Przystąpiwszy, serdecznie w rękę całowali,
I zasiedli tuż obok swojego rodzicy.

Kiedy się tak krzepiono w biesiadnej świetlicy,
Przelatywała miasto Ossa wieścionośna
Głosząc, że wszystkich gachów spotkała śmierć sprośna.
Co posłyszawszy, rzesze ze wszech stron się zbiegły
I z krzykiem, płaczem, zamek Odysa obiegly,
Wynosząc z niego trupy i grzebiąc je w ziemi;
Ciała zaś z dalszych grodów, łodziami szparkiem
Przewiezione, do swoich siedzib się dostały.
Na agorę pośpieszył potem ten tłum cały,
A doń się przyłączyło luda jeszcze więcej.
Wstał Eupejt i przemowę miał do tych tysięcy —
Bo śmierć syna boleśnie starzec uczuh w duszy,
Antinoja, którego Odys zabił z kuszy
Najpierwszego. — Więc starzec tak mówił ze łzami:
„Bracia! Srodze się człek ten obszedł z Achiwami!
Ongi młódź nam najlepszą ściągnął na swe statki
I te setki potopił, zgubił nasze dziatki;
Teraz cnych Kefaleńców w pień wyciął aż tylu!
Trzeba więc, nim morderca umknie stąd do Pylu
Lub do boskiej Elidy, gdzie Epeje władną,
Pomścić się, bo się hańbą zmażem bezprzykładną,
O której by ze zgrozą potomni mówili,
Gdyby tym, co nam synów i braci zabili,
Płazem uszło; ja sam bym życie zmierzył sobie
Nie znajdując spoczynku, chyba w jednym grobie.
Mścijmy się, nim zabójcy uciekną za morze!”

Tak rzekł starzec, i wzruszył słuchaczów w agorze.
Wtem nadszedł pieśniarz z zamku z keryksem Medoncm,
Gdzie obaj noc przespali; teraz w zgromadzonem
Ukazali się kole Achiwów zdumionych
I mądry keryks Medon rzekł do zgromadzonych:

„Słuchajcie, Itkanie! W robocie tej całej
Odysowi widocznie bóstwa pomagały.
Ja sam widziałem boga, jak w bitwy natłoku.
Wziąwszy postać Mentora był u jego boku.
Ten niebianin już ducha w Odyseju krzepił,
Idąc przed nim, już strachem zalotników ślepił,
Że zmieszani trupami podłogę zasłali”.

Rzekł — w bladym osłupieniu wszyscy go słuchali;
Aż wreszcie Haliterses przemówił sędziwy,
Co zna przeszłość, na przyszłość ma wzrok przenikliwy.
On głos zabrał i mądrze mówił w sposób taki:
„Posłuchajcie, co powiem, mężowie Itaki!
Wszystkiemu, co się stało, nasza gnuśność winna.
Bo moja i Mentora, a i każda inna
Przestroga — groch o ścianę! Wszak napominałem,
Żeby synów powściągać w ich życiu zuchwałem,
Wydanych na rozpustę i szkaradne zbrodnie,
Marnujących nie swoje mienie, i niegodnie
Bezczeszczących małżonkę dzielnego człowieka,
Myśląc, że już nie wróci, gdy powrót swój zwleka.
Przeto niechajcie zemsty — taka moja rada!
Kto zaczepi Odysa, temu śmierć i biada!”

Tak rzekł. Wtem z wielkim krzykiem więcej niż połowa
Tłumu z miejsc się porwała; reszta, których słowa
Halitersa wstrzymały, nie szła za pierwszymi,
Przemową Eupejtesa oszołomionymi,
Bo ci zaraz do zbroic spiżowych pobiegli
I przywdziawszy takowe, na pole wylegli
Za miastem, a sam Eupejt stanął na ich czele.
Szalony! Chcąc śmierć syna pomścić, wiódł mściciele,
Lecz nie miał już powrócić, padła nań śmierć blada.

Podczas tego do Zeusa mówiła Pallada:
„O mój ojczy olimpski, wszechwładny Kronionie!
Powiedz, jakie ukrywasz myśli w boskim łonie?

Czy chcesz lud ten wojenną rozpalić pożogą,
Czy serca poważnione natchnąć zgodą błogą?”

Na to rzekł Zeus wszechwładca, gromadzący chmury:
„Skądże takie pytanie wyszło z ust mej córy?
Czy nie twoja to sprawa, nie twój wymysł nawet,
By Odys wrócił, wrogom odpłacił wet za wet?
Rób jak chcesz, lecz ci powiem, co robić przystało,
Gdy Odys zalotników starł szajkę zuchwałą.
Zróbmy sojusz: on królem będzie na Itace,
A ja pamięć o synach zabitych zatracę
W sercu narodu; miłość zwiąże te ogniwa,
I — jak przedtem — Itaka zakwitnie szczęśliwa!”

Ledwie skończył, bogini nieciepliwie rwie się,
Lot ją rączy z Olimpu szczytów na dół zniesie.

Zaś w ogrodzie Laerta pod koniec biesiady
Rzekł do swoich Odysej: „Niechże kto na zwiady
Pójdzie i wyjrzy na dwór, czy nie widać wroga”.

Jeden z synów Doliosa wyszedł, pojrzał z proga
Przed domem i zobaczył, jak wróg ciągnął ławą.
Więc woła do Odysa: „Zbrójm się, a żwawo!
Do bronii! Wróg już blisko. Do bronii!” Tak wołał,
I każdy się uzbrajał naprędce, jak zdołał.
Z Odysem było czterech, przy tym Doliosowych
Sześciu synów, do walki wystąpić gotowych;
Toż Laertes i Dolios, choć starce zgrzybiali,
Przecież oba z potrzeby do boju stawali.
Więc gdy ciała okryli zbrojami miedzianymi,
Bramę im otworzono, Odys szedł przed nimi.
Wtem Pallas się zjawiała, Zeusowa dziewczica,
Mentorowi podobna z głosu, wzrostu, lica.
Uradował się Odys ujrzawszy boginię
I rzekł do swego syna: „Telemachu! Ninie
Masz pole się pokazać, czyś dorósł na męża.
Pamiętaj! W bitwy wirze odwaga zwycięża:

Nie zhańbże swego rodu, który od lat dawnych
Wydał męstwem i siłą mężów na świat sławnych”.

Na to roztropny młodzian tak mu odpowiedział:
„Ojcze! Wnet ci pokażę, abyś się dowiedział,
Czy ogień, jakim gorę, przodków mych zniesławi”.

Słyszając to, stary Laert bogom błogosławi:
„Bogowie! Dzień dzisiejszy dni moich ozdobą:
Syn z wnukiem o cześć przodków w zawód idą z sobą!”

Wtem rzekła doń Zeusowa córka z okiem sowiem:
„Arkejsjado! Nad wszystkich miłszyś mi, to-ć powiem,
Pomódl się do Ateny, ślubem błagaj boga
I oszczep długocienny ciśń szparko we wroga!”

Rzekłszy, pierś jego męstwem zagrzała do bitwy,
A Laertes, do bogów posławszy modlitwy,
Wstrząsł oszczep, i wyrzucił przed siebie oszczepem.
Grot się spotkał z przyłbicy spiżowym czerepem
Na skroni Eupejtesa, na wkroś ją przewiercił,
I wódz padł z chrzęstem zbroi: Laert go uśmiercił.
Więc Odys z synem wpadli w nieprzyjaciół roty,
Siekli mieczem i bodli dwusiecznymi groty,
I jak raz by wycięli wszystkich co do nogi,
Gdyby nagle nie zagrział nad nimi głos srogi
I nie powstrzymał strony. Był to głos Pallady,
Córy Egidodzierzcy: „Dosyć już tej zwady!
Przestańcie, Itkanie, we krwi własnej brodzić!
Rozchodźcie się do domu! Natychmiast rozchodźcie!”

Na ten głos potruchleli wszyscy zbrojni męże,
Oślupiałym wypadły z garści ich oręże,
Wytrącone na ziemię głosu tego siłą.
Ku miastu tłum się rzucił, pierzchało co żyło;
A Odys z strasznym rykiem na tłum uchodzący
Nacierał, ni to orzeł w chmurach szybujący.

Wtem ze szczytu Olimpu, z Kroniona prawicy
Padł piorun przed stopami Ateny Dziewicy,

A ona wnet Odysa wsparła dobrą radą:
„Bystroumny Odysie, zacny Laertiado!
Wstrzymaj się i zaniechaj bratobójczej wojny!
Mógłbyś Zeusa obrazić: on w pioruny zbrojny!”
Rzekła, a Odys woli poddał się swej pani.
Sojusz stanął: król z ludem byli pojednani
Za sprawą Atenei, córki Kronionowej,
Podobnej do Mentora z wzrostu, kształtu, mowy.

Przeczytaj także:

Odyseja – Streszczenie szczegółowe

Odyseja – Streszczenie krótkie

Odyseja – Plan wydarzeń

Odyseja – Charakterystyka bohaterów

Odyseja – Czas i miejsce akcji

Odyseja – Geneza i gatunek utworu

Odyseja – Problematyka utworu

Odyseja – Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Homer, Odyseja, tłum. Lucjan Siemieński, oprac. Jerzy Łanowski, wyd. dziesiąte, wyd. Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław 1992.